BIBLJOTEKA
8-mio klasowej
№ H. 18/1
SZKOŁY MAZOWIECKIEJ

II. 64. 129

Z PRZESZŁOŚCI DZIEJOWEJ

I

Antoni Małecki

Z PRZESZŁOŚCI DZIEJOWEJ

POMNIEJSZE PISMA

TOM I.

KRAKÓW
NAKŁAD G. GEBETHNERA I SPÓŁKI
WARSZAWA — GEBETHNER I WOLFF
1897

BIBLJOTEKA 8-mio klasowej SZKOŁY MAZOWIECKIEJ № L. 187/1a

2838 I

II 64. 129

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001017596679

KRAKÓW. — DRUK W. L. ANCZYCA I SPÓŁKI.

REWIZYA DZIEJÓW POLSKICH

w pierwszych dwóch wiekach politycznego istnienia.

962—1146.

Rzecz pisana i ogłoszona w r. 1875 w »Przewodniku naukowym i literackim«, w kilku artykułach, opatrzonych tam innym tytułem.

Primam esse historiae legem, ne quid falsi dicere audeat, deinde ne quid veri non audeat; ne qua suspicio gratiae sit in scribendo, ne qua simultatis.

Słowa Leona XIII, powtórzone za Ciceronem.

Początków Polski, jako państwa i narodu przed przyjęciem chrześcijaństwa, nie udało się dotąd rozświecić najmozolniejszym poszukiwaniom. I tak to pewnie pozostanie na zawsze. Dla domysłów otwarte pole — pewności nie będzie nigdy, skoro świadectw historycznych, ani współczesnych tym wiekom ani nawet bliskoczesnych, co do narodu naszego nie dostarcza nam żadna postronna literatura. Własne nasze podania narodowe weszły wprawdzie dość wcześnie w treść kronik; ile w nich jednak prawdy dziejowej, a co tylko płodem wyobraźni potomnej albo co gorsza erudycyi zbłąkanej, tego w szczegółach po dziś dzień nikt nie potrafi rozeznać. W najlepszym razie — kilka imion prawie mitycznych, garstka zdarzeń ubocznego znaczenia, bynajmniej nie rzucająca światła na główną istotę rzeczy — oto wszystko, co z tego źródła do historyi przyjąćby można jako prawdopodobne.

Podczas gdy zawiązek zakrytego tego na długie jeszcze czasy przed okiem sąsiadów państwa ustalał się i rozmagał na wielkopolskich równinach: wrzała na dobre już walka plemion, lepiej w dziejach zapamiętana, u brzegów Elby. Kraje środkowej Europy,

dzisiaj niemieckie, począwszy od rzeki Sali i Elby aż po za Odrę, równie były wtedy obsiadłe słowiańskim ludem, jak dalsze ku wschodowi przestrzenie, które przerzyna Warta i Wisła. Umiejętny rozbiór ostatnich szczątków mowy wygasłego tego już od dawnych wieków plemienia upoważnia do przypuszczenia, że była to ludność — przynajmniej w odłamach swoich północnych — narzeczem swojem bardzo zbliżona do fonetycznego organizmu polskiego. Świadomości wszelako o rodowem pokrewieństwie swojem, czy to z sąsiednią Słowiańszczyzną, czy choćby tylko pomiędzy sobą, równie nie miały rozdrobnione owe ludziszcza, jak im zbywało na jednej narodowej nazwie dla całego swego ogółu. Jeżeli zaś było w nich jakie zamglone tej plemiennej pokrewności poczucie, to nie miało ono żadnych następstw praktycznych, nie kierowano się niem zgoła w pożyciu. Odwiecznym obyczajem słowiańskim, w tej stronie świata jakby do wyższej podniesionym potęgi, separatyzm i samowola jednostek, odrębność gmin, luźność poszczególnych ciał politycznych, antagonizm wreszcie książątek nad niemi panujących, stanowił tu główną podstawę całej egzystencyi społecznej. Wygórowane zamiłowanie w wolności wykluczało wszelką możność podporządkowania spraw poszczególnych pod władzę jakiejś większej całości; wskutek czego tworzyła cała ta rzesza Słowian mnóstwo kraików, które się z sobą ciągle wadziły, a łączyły jeden z drugim chyba dopiero w razie ostatecznego niebezpieczeństwa — bez skutku jednak i bez pożytku, bo się to działo tylko cząstkowo, dorywczo i bez planu stałego, a co gorsza, prawie zawsze wśród działania na przekorę drugim takimże tylko dorywczym federacyom, uwodzonym i wyzyskiwanym przez każdego z postronnych panujących, który w tem upatrywał korzyść dla siebie.

Zrządziła to szczególna ironia losu, że ta prawdziwa ruchawica społeczna właśnie graniczyła o ścianę

z takiem w Europie plemieniem, które celuje instynktami wręcz przeciwnymi, a w zachłanności rasowej nie ma sobie w świecie równego. Do tej żądzy zaborczej, wrodzonej już krwi germańskiej, łączyła się w tamtych wiekach jeszcze i wyższa, rzec można historyczna idea — wiara w posłannictwo cesarstwa.

Z mocy praw przez stolicę apostolską w roku 800 przelanych na Karola W. miało cesarstwo zachodnie zdane sobie zadanie, rozciągnięcia najwyższego swego zwierzchnictwa na wszystkie w świecie narody, a otrzymało onę misyę w tym celu, aby przez to, na świat cały jedno zwierzchnictwo świeckie zaprowadzać we wszystkich krajach i przywracać i utrzymywać jedność kościoła katolickiego. Jakkolwiek prawo to cesarskie rozumieć się miało w jak najuniwersalniejszym sensie, to jednak wynika już z samej natury rzeczy, że mogła mieć ta idealna teorya praktyczne zastosowanie tylko względem ludów bezpośrednio graniczących z cesarstwem, a między tymi znów przedewszystkiem względem społeczeństw jeszcze nie nawróconych, którym się żadnych praw międzynarodowych i ludzkich nie przyznawało, a pomiędzy takiemi wreszcie społeczeństwami miała ta teorya najwięcej praktycznego znaczenia względem — najsłabszych. Takimi byli pod wszystkimi tymi względami właśnie Słowianie. To też już za czasów tego pierwszego cesarza Franków począł się podbój Słowiańszczyzny na całej linii granicznej rozległych dzierżaw frankońskich. Na razie wprawdzie nie mogło to przedsięwzięcie na wszystkich punktach wydać skutku trwałego. Od strony mianowicie północnej, właśnie w tych krajach między Odrą a Elbą, sprawa ta długo nie posuwała się z miejsca, rzecz bowiem przechodziła słabe siły rozdwojonych i niezgodnych pomiędzy sobą spadkobierców władzy Karola W. Lecz później — w wieku X — podjęto tę myśl na nowo i przystąpiono do niej z uporem i wysiłkiem odpowiednim trudności przedsięwzięcia. Henryk I cesarz niemiecki w różnych

latach panowania swojego (919—936) zagarnął dzielnicę Wagrów (dzisiejszy Holsztyn), Obotrytów-Ratarów (disiejsza Meklemburgia), Lutyków-Wilków (kraj od Berlina począwszy aż do Gryfii), Hawelan czyli Heweldów (ziemia brandeburska w zakręgu rzeki Haweli): i nie poprzestając na podboju tego szerokiego szmatu ziem różnych słowiańskich między Bałtykiem, dolną Odrą, Elbą, Hawelą i Sprewą (Szpreją) — położył ciężką dłoń swoję i na karkach odłamu Słowian serbskim nazywanego, z południa rzek Haweli i Szprei, tak iż mu trybut składać musieli także Milczanie (w górnych Łużycach, około Budyszyna) i Dalemińcy (na przestrzeni dzisiaj saskiej, między Merseburgiem, Lipskiem, Miśnią i Dreznem). Tak więc przeszła cała niemal ziemia połabska, jak ją dzisiaj konwencyjnie nazywają starożytnicy, w południowowschodnim kierunku sięgająca aż do granicy czeskiej i szląskiej, pod zwierzchnictwo niemieckie już w tych pierwszych kilkudziesięciu latach X stulecia.

Jakkolwiek brzemię tego zwierzchnictwa nie dawało się w pierwszych czasach czuć nad miarę uciążliwie — podwładność bowiem Połabian kończyła się jeszcze wtedy na płaceniu cesarzowi trybutu, w sprawy wewnętrzne księstw słowiańskich się nie mieszano, władze narodowe przy sterze nad niemi pozostawiano i nadal, nawet pod religijnym względem nie wywierano jeszcze nad niemi stanowczego przymusu: to jednak pamięć dawnej nieograniczonej swobody nie dozwalała ludom tym znosić i takiego ciężaru. Ponawiały się przeto często bunty to tu, to owdzie wszczynane, które jednak nie miały skutku.

Śmierć Henryka I w r. 936 dała hasło do groźniejszego, bo powszechnego powstania Słowian na całej owej przestrzeni krajów. Skończyło się wszelako i tym razem na przytłumieniu tych usiłowań odzyskania niepodległości. I teraz-to weszła dopiero ta sprawa w stadyum prawdziwie groźne i dotkliwe dla tych pokona-

nych narodów: Otto I, następca Henryka I, powziął bowiem postanowienie doraźnego, przymusowego nawrócenia tych pogan na wiarę chrześcijańską; krom tego uznano także potrzebę wzięcia ich i politycznie pod stały zarząd dostojników niemieckich. W tymto celu założono dla nich już z góry, jeszcze przed nawróceniem, kilka nowych biskupstw słowiańskich, a z drugiej strony zaprowadzono i tutaj ów rodzaj nowożytnych prokonsularnych organizacyi, jakie w państwie frankońskiem ze skutkiem zawsze pomyślnym z dawien dawna, gdzie tego była potrzeba, ustanawiano pod nazwą marchii, czyli hrabstw pogranicznych.

Biskupstwa takie słowiańskie powstały wtedy w Starogrodzie (Altenburg), jako mieście najwięcej wysuniętem na północ; w Hawelbergu i Braniborze (dzisiejszy Brandenburg), jako grodach najznaczniejszych w pośrodku ziemi słowiańskiej; nakoniec w Merseburgu, Życzy (Zeitz) i Miśni (Meissen), jako głównych osadach serbskich Słowian z południa. Czas założenia tych sześciu biskupstw przypada na lata między rokiem 946 a 968. W tymże roku 968 stanęło wreszcie i centralne arcybiskupstwo w Magdeburgu, któremu całą tę kościelną organizacyę wraz z zadaniem kierowania sprawami nawrócenia tych ludów, oddano w zawiadowanie zwierzchnicze.

Pierwej jeszcze nim weszły w życie te instytucye kościelne, przeprowadzono zamierzone polityczne reformy, dzieląc obszary słowiańskie między dwie marchie. Kraje Wagrów, Obotrytów, Ratarów, Lutyków i Wilków (odpowiadające dzisiejszemu Holsztynowi, Meklemburgii i tak zwanemu Vorpommern) przezwano Północną marchią i dano ją w zawiadowanie księciu saskiemu Hermanowi Billingowi, jako cesarskiemu margrabi. Resztę ziemi połabskiej, łącznie z Hawelbergiem i Braniborem, nazwano marchią Wschodnią, zarząd zaś nad nią otrzymała znana i w naszej narodowej historyi osobistość — margraf Gero.

Działalność tych dwóch urzędów ustalać się zaczęła jeszcze około r. 940. Pod politycznym względem zdawała się ona zrazu zupełnie odpowiadać skutkom oczekiwanym, szczególnie w zakresie władzy Gerona, który nie tylko umiał utrzymać w karbach burzliwość i niechęć Słowian sobie podwładnych, ale nawet szerzył jeszcze krwią i żelazem coraz dalej ku wschodowi przewagę cesarskiego imienia. Inaczej zato wiodło się Niemcom pod względem religijnym. Tu wysilała się i żarliwość i zmyślność księży do opowiadania słowa bożego użytych bez skutku, a to nie tylko w obrębie marchii Północnej, lecz nawet i w Geronowej. Odwieczne bałwochwalstwo Słowian zapuściło było zbyt głęboko korzenie. Pozorne z razu tu i owdzie postępy chrześcijaństwa opierały się jedynie na grozie towarzyszącego im niemieckiego oręża i znikały też natychmiast za pierwszym podmuchem okoliczności przyjaznych. Przyszło do tego, że krzyż misyonarza i miecz najezdcy zaczęto na całej tej krajów przestrzeni uważać za godła tejsamej rzeczy i że je obydwa zarówno znienawidzono. Miecz wymuszał sobie uznanie, bo rady na to nie było, ale krzyża nie przyjmowano, bo ducha okuć w więzy niełatwo. To też po kilkunastu już latach tej gospodarki marchijskiej, skończyły się rzeczy na tem, że propaganda miecza stała się nie tylko głównym, ale niemal jedynym celem wytkniętego tutaj działania, nie przebierającego już w środkach i poczynającego sobie ze wszystkiemi bezwzględnościami walki rasowej; a zamiary nawrócenia obróciły się w pretekst tylko do nieustannych zaczepek i do tem większego ciemiężenia podbitych.

Powiedzieliśmy wyżej, że wschodni margrabia Gero pruł się w stronę ku wschodowi coraz dalej i coraz głębiej w tę dzicz lasów i społeczeństw dziewiczych, znacząc w niej krwawą swą ręką coraz szerszą linię graniczną cesarstwa. Po 20 z górą latach takiego niezmordowanego karczunku, dorąbał się wreszcie

progu starego domostwa, którego dotąd nie przestąpiła stopa żadnego z tej strony przywłaszczyciela, przekroczył kresy dziedzictwa narodowego takiej ludności, o której dotąd świat zachodni nie słyszał nawet z nazwiska. W wrogu naszym i najezdcy, mimo woli jego i naszej, upatrywać dziś musimy ową osobistość opatrznościową, która dała hasło Polanom do wystąpienia z odwiecznego ukrycia i historycznego letargu na jasną widownię politycznego i cywilizacyjnego w świecie działania.

Wypadek, do którego się tu odnosimy, zaszedł w r. 963. Wyprawa Gerona owego roku została uwieńczona szczególnym plonem. Wspomagany w niej krom własnych swoich zastępów pomocą walecznego Wichmana, krewniaka domu w Niemczech panującego, awanturnika prześladowanego w własnej ojczyźnie i dobijającego się teraz jakiego księstwa dla siebie w tym świecie niezajętym jeszcze kulturą — zagarnął Gero w obręb swej marchii nie tylko niezawisłą jeszcze dotąd część Łużyc (dzisiejszą dolną czyli pruską Luzacyę), ale i przyległy kraik jakiś Selpuli (prawdopodobnie okolica między Odrą a Szpreją, obejmująca dzisiejsze miasta Mittenwalde, Kottbus, Zossen, Storkow i Fürstenwalde). Owoż przy tejto sposobności spotkał się marchion niemiecki już na prawem pewnie pobrzeżu Odry, gdzieś między dzisiejszym Frankfurtem a Kistrzynem, z siłą zbrojną władcy Polan, który mu tutaj zastąpił drogę, aby położyć kres dalszemu jego wdzieraniu się w obcą własność. Władcą tym był nasz Mieczysław I czyli jak go nazywali współcześni, Mieszko, naczelnie panujący nad Polanami. Szczęście wojenne w tej potrzebie potuszyło broni niemieckiej. W kilku bitwach pokonany został nasz Mieszko razem z braćmi, którzy go posiłkowali w tej wojnie. Wskutek tych zwycięstw Wichmana i Gerona, owa część kraju polskiego, która bezpośrednio dotykała tamtej zdobyczy (a więc pewnie mniej więcej okolica lubuska

i kistrzyńska), od granicy kraju Selpuli aż do uścia Warty do Odry, ogłoszona teraz została za włość podwładną cesarstwu i marchii Geronowej, a Mieszko zobowiązać się musiał do płacenia danin z tej ziemi [1]).

Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, wypadek, który wdzierstwu niemieckiego marchiona otwierał bramę do krajów polskich i pod każdym względem zdawał się być wielką klęską tego narodu — miał się niezadługo okazać zdarzeniem zupełnie przeciwnych następstw. Ani wątpić, że onto głównie przyspieszył ów obrót rzeczy wiekopomnego znaczenia, któremu Polska wszystko czem została później, zawdzięcza.

Książę polski nie poszedł bowiem, jak się pewnie Gero tego spodziewał, za przykładem zaślepionych swych pobratymców zachodnich, których smutne położenie miało i jemu teraz przypaść w udziale. Odgadł szczęśliwym instynktem, że ten bój o nierównych zasobach prędzej czy później skończyć się musi zniszczeniem jego dziedzictwa, a upor przy pozbawionym już żywotności systemie religijnym, tylko przyspieszy czas tej zagłady. Tradycye nasze narodowe (postrzyżyny cudowne Ziemowita i t. p.) dają nam wglądnąć w wnętrzny nastrój ówczesnej ludności polskiej. Pierwszy posiew chrześcijaństwa już tam musiał być rzucony. Przygotowanie umysłów do przyjęcia nowej

---

[1]) Wzmiankę Diethmara o zobowiązaniu się Mieszka do składania daniny »aż po Wartę«, rozumiem, rozpatrując się w zaborach dokonanych owego czasa przez Gerona, tylko o samem uściu tej rzeki w łożysko Odry w okolicy pobojowiska. Boć o całej rzece Warcie (aż do Poznania lub Kromołowa) myśleć tu dlatego zdaniem mojem nie można, że w takim razie trudnoby było pojąć, dlaczego nie nałożono na pokonanego księcia trybutu z całego jego księstwa — nawet za Wartą? Zdobycze marchiona szły powoli, krok za krokiem — zato tem pewniej. Przy owej sposobności zagięto kartę tylko na to, na czem faktycznie ręka jego spoczęła i co zdawało się koniecznem do zaokrąglenia posiadłości zdobytych. Nie wykluczało to jednakże bynajmniej widoków i na dalsze jeszcze w późniejszych latach postępy.

wiary — już panującej nad światem, musiało od dawna zrobić postępy w tem społeczeństwie, nie drażnionem przez żaden przymus i pozostawionem sobie samemu. Chodziło tylko jeszcze o jakąś pobudkę z zewnątrz, o jakieś hasło głośniejsze, aby idea kiełkująca w umysłach, przybrała ciało i stanęła na gruncie rzeczywistości. Stary Ziemomysł, jeśli rzeczywiście zgodnie z tradycyą tak się nazywał ojciec Mieszka, nie chciał i nie mógł być nowatorem w tej sprawie. Zostawił on powalenie bałwanów, z których czcią zrósł się całem swem życiem, przyszłości dalszej, ręce młodszej, woli zuchwalszej i mniej krępowanej okolicznościami. Taka chwila, taka pobudka, stanęły w r. 963 przed młodym Mieszkiem, który jako świeży władca narodu miał w tej mierze przed sobą wszystkie drogi jeszcze otwarte. Dodajmy do tego, że mógł tu znaczyć niemało i przykład tego co się działo i stało dawno gdzieindziej. Mogły wprawdzie nie być nad Gopłem i Wartą wiadome nawrócenia różnych ludów słowiańskich, od wieków już dokonane, o ile one dotyczyły krajów odległych. Takimi byli Słoweńcy korutańskiego odłamu, pod niemieckimi najczęściej zostający książęty; takimi Słowianie macedońsko-traccy, kolonizacyjnie rozrzuceni w obrębie bizantyńskiego cesarstwa; takimi wreszcie Chorwatowie nad Sawą i na nadbrzeżu Adryatyckiem — którzy wszyscy poprzechodzili na chrześcijaństwo jeszcze w ciągu VII i VIII stulecia; takimi Serbowie naddunajscy, którzy tosamo uczynili mało co później; takimi nakoniec Bułgarzy, których wnijście na tę drogę zaszło jeszcze w IX wieku. O tych wszystkich nawróceniach mogło jeszcze wtedy nie być ni słychu w tem ustroniu środkowej Europy, które było naszą kolebką. Ale o Morawianach pozyskanych nowej wierze w samym początku IX stulecia, a w następstwie tego rozsławionych z przewagi swej politycznej i w dalszym świecie, o Czechach, którzy poszli za tym przykładem o jakie pół wieku

później — o tych obu społeczeństwach i przesileniu w całym ich politycznym ustroju z tego wynikłem, musiał współcześnie już być powiadomiony nasz naród, boć przecie albo ościennie graniczył z tymi ludami albo z nimi utrzymywał pewne wzajemne stosunki. Morawian świetność wprawdzie, i nawet byt polityczny, przeminęły potem zbyt wcześnie — w latach, które tu mamy przed sobą, dzicz już madiarska zalegała opanowaną ich ziemię. Ale Czesi używali błogich skutków swego sojuszu z Kościołem nawet po rozbiciu ostatnich szczątków państwa Morawców w roku 907, a co w tym razie ważniejsza, mieli mir i spokój ze strony Niemiec, o ile chyba sami nie dawali powodu do przeciwnego z nimi postępowania. Prawda, że stosunek ten okupili dobrowolnem w roku 895 oddaniem się pod opiekę cesarstwa, które później (w r. 950) książę czeski Bolesław I już z konieczności na nowo zaprzysiąc musiał. Lecz skutki tego stosunku, zwłaszcza począwszy od r. 950, nie okazywały się bynajmniej pozbawionymi znacznych skądinąd korzyści — owszem porównane z rozpaczliwem położeniem połabskich Słowian, którzy stali uporczywie przy bałwochwalstwie, a ciężki ucisk niemiecki tylko z musu znosili, poczytywane być mogło za dobrodziejstwo prawdziwe... Książę czeski wolny przynajmniej był od obelg i napaści tej rojnej rzeszy niemieckich hrabiów i książąt, która na gruncie słowiańskim sądziła się uprawnioną do pełnienia wszelkich nadużyć. Na równi postawiony z nimi wszystkimi, poważany w radzie cesarskiej, w której niekiedy sam uczestniczył, miał w cesarzu, bezpośrednim swoim zwierzchniku, przedewszystkiem punkt oparcia przeciw nieokreślonym pretekstom wdzierstwa takich jak Wichman obcych przybłędów, a nadto miał i rękojmię przeciw tradycyjnemu wichrzycielstwu własnych swoich poddanych. Powaga jego monarsza rosła, a z nią razem też zasobność, oświata i ład społeczny w tym kraju, tak nieskończenie już wtedy wyższym od Sło-

wiańszczyzny pogańskiej, czy to między Elbą a Odrą, czy w posiadłościach Mieszkowych.

Takiemito pobudkami wiedziony, nie mówiąc już nic o czysto-religijnych podnietach, tak potężnie działających zawsze w chwilach podobnych, postanowił Mieszko po zdarzeniach r. 963 zająć względem Kościoła i cesarstwa tosamo poniekąd stanowisko, co Czesi, a przeprowadzenie tego zamiaru dokonało się w czasie stosunkowo nader szybkim, widocznie przy pomocy i z poręki księcia czeskiego Bolesława I. Ślub z córką jego Dubrawą zaszedł już w r. 965, chrzest Mieszka z całym jego narodem odbył się w roku następnym, a w r. 968 weszło już w życie i urządzenie kościelnych stosunków w Polsce przez biskupstwo własne krajowe, założone w Poznaniu, którego przynależność do metropolii słowiańskiej, t. j. do magdeburskiej, orzeczona już w chwili samego założenia tegoż biskupstwa, niezawodnie w porozumieniu z cesarzem Ottonem I, wynikła niewątpliwie z dokonanego już poprzednio poddania się Mieszka cesarstwu jako księcia chrześcijańskiego.

W takito sposób i od tej chwili poczęła Polska wątek swego politycznego żywota. Dobrowolnie, bez niczyjego przymusu, z pobudek leżących w samych okolicznościach, obrała sobie drogę swoję i kierunek działania, z którego nigdy później nie zeszła — przyłączyła się do grona państw Europy zachodniej, jako córa Kościoła rzymsko-katolickiego i zwolenniczka wszystkich idei, które się przesunęły w kolei wieków ponad tym łacińsko-germańskim światem. W szeregu pracowników około wolności, cywilizacyi i światła, stanęła jako ochotnik — równy równym. Od tej też pory dopiero zwróciła się uwaga dalszego świata na tego nowego uczestnika pracy i trudu, tak iż akta jego działania zaczęły być zapisywane w wielkim protokóle dziejowym już od tej pory pamiętnej — nasamprzód

BIBLIOTEKA NARODOWA

ręką postronnych, a niezadługo potem i ręką własnych krajowców.

Mając śladem tych notatek podążyć za dalszym tokiem żywota narodowego, rozpatrzmy się przedewszystkiem w zasobach, o jakich się ta epoka zaczęła.

Na wstępie samym spotykamy się z pytaniem, co znaczyła zwierzchność cesarstwa niemieckiego, uznana przez Mieczysława? Czy to było oddanie się w lennictwo?

Lennikami cesarstwa byli tylko książęta »państwa rzymskiego« trzymający to co mieli, z nadania cesarskiego i na pewnych umówionych warunkach. Dopiero w r. 1002 weszli w ten stosunek poniekąd także i Czesi (przez akt odnośny Włodoweja, księcia czeskiego). Stosunek Polski za Mieszka I, równie jak Czech przed r. 1002, był zupełnie innej natury. Podług panującej w tamtych wiekach teoryi politycznej, wszyscy książęta świata katolickiego byli uważani za podporządkowanych, a więc za podwładnych cesarzowi rzymskiemu. Dla państw daleko oddalonych, jak np. Hiszpania, dla morzami odgrodzonych, jak Anglia, dla silnych i do odporu gotowych, jak Francya albo też Węgry — uroszczenia te cesarzów nie miały wprawdzie praktycznego znaczenia: pomimo tego były one w zasadzie podtrzymywane i względem tamtych. Książęta zaś bliżsi cesarstwu, jeżeli się nie chcieli wystawić na ciągłe udry z Niemcami, radzi nieradzi musieli przyjąć i uznawać to ich pretendowane zwierzchnictwo. I stądto jedynie całe źródło stosunku, w jaki przeszła wtedy Polska w prostem następstwie swojego połączenia się z Zachodem i Kościołem.

Istota takowej podwładności polegała głównie na przyznaniu samej zasady — mniej na formach, któreby to czuć dawały dotkliwie w rzeczywistem zastosowaniu i w obowiązkach praktycznych. Cesarze bowiem w wewnętrzne stosunki państw takich się nie mieszali, a żądali tylko w razie znaczniejszych wojen zbrojnej po-

mocy, a nadto pewnych, umówionych wedle okoliczności ofiar czy danin, które im były składane w oznakę ich dostojności najwyższej. Oprócz tego przyrzekać musiał panujący, takim stosunkiem związany ze zachodniem cesarstwem, wierność rycerską i poczciwość sąsiedzką cesarzowi; a w zamian zato otrzymywał też i on od cesarza, jako od naczelnika całego rycerstwa chrześcijańskiego, rozciągającego opiekę swoją nad wszystkiemi jednostkami tej instytucyi, pewne rękojmie dla siebie i dla kraju swojego, które w ówczesnych okolicznościach — szczególniej dla Polski — nie były bez rzeczywistego znaczenia, np. nietykalność swoich granic ze strony wszystkich do cesarstwa należnych, uczestnictwo w walnych zjazdach członków tej spółki państw chrześcijańskich, możliwość pomocy w razie jakiej nadzwyczajnej potrzeby, zawarowanie owej władzy monarszej wobec własnych poddanych i cząstkowych nad nimi książąt, która w pojęciu i w rzeczy zaczęła się dopiero od tego właściwie czasu w narodzie naszym wytwarzać, itd.

Znając stosunek Polski na zewnątrz, zoryentujmy się teraz w jej położeniu wewnętrznem: poznajmy jej obszary ówczesne, doniosłość władzy panującego i okoliczności, na tle których działała.

Znamy poniekąd to wszystko, co z krajów polskich przybyło dopiero za panowania Bolesława Chrobrego; wiemy, jakie były granice jego królestwa. Na tej podstawie i przy pomocy innych jeszcze różnych wskazówek utworzyć sobie możemy w przybliżeniu wyobrażenie o rozciągłości państwa i za Mieszka I i to mniej więcej już w pierwszych latach jego rządów, które jak wiadomo, znaczniejszymi zaborami nie słyną w dziejach.

Dziedzictwo Mieszka stanowiła przedewszystkiem ziemia w ścisłem znaczeniu nazywana wtedy Polską czyli krajem Polan, to jest późniejsze województwo kaliskie, gnieźnieńskie i poznańskie, które ostatnie się-

gało do samej Odry (w kierunku dzisiejszego Kistrzyna) i cząstką swoją zachodnią (zaoberską, ziemia Lubuska) przeszło było w r. 963 pod zwierzchniczą władzę niemieckich marchionów wschodnich, którym się z tego kawałka ziemi od tego czasu trybut płacił. Z tą dzielnicą, właściwą »polską«, stanowiącą pierwotny, jak się to powszechnie przypuszcza, zaród państwa polskiego, połączone jednak być musiały już w owym czasie i inne ziemie okoliczne znacznie rozległe: mianowicie Kujawy z odwiecznym swoim grodem Kruszwicą; następnie ziemia Czerska czyli Mazowsze aż po Wisłę; ziemia Łęczycka i graniczące z nią Sieradzkie; z południa jakaś najbliższa Polski część Szląska, którego reszta stanowiła (może jeszcze od r. 907 t. j. epoki upadku Wielkiej Morawii albo też od czasów późniejszych) własność książąt czeskich.

Obszerniejszej rozciągłości trudno księstwu polskiemu w pierwszych latach panowania Mieszka przysądzić, roztrząsnąwszy wszystkie okoliczności ze sprawą tą połączone: jakkolwiek zastrzec tu jak najwyraźniej należy, że etnograficznie rzecz biorąc, miały się okoliczności inaczej. Co innego bowiem p a ń s t w o polskie, kraj Mieszka, a co innego n a r ó d, jednym i tymsamym, t. j. jak się później nazywać zaczął, p o l s k i m językiem mówiący. Ten sięgał obszarem swoim już w owym wieku daleko poza granice powyższe. I w Sandomirskiem bowiem aż do ruskiej granicy, i w Krakowskiem aż po Karpaty, i w górnym Szląsku, i nawet w tak zwanej później Rusi Czerwonej czyli »grodach czerwieńskich« (w ostatnich podług jak najdobitniejszego świadectwa Nestora) równie żyła już w tamtym wieku tasama polska czyli lechicka ludność, jak stanowiła odwiecznie zaludnienie i całego nadbałtyckiego Pomorza. Lecz to były wtedy jeszcze dzierżawy z rzeczy tylko polskie, nie z nazwy, i zostawały pod inną władzą, po największej części zapewne pod swoją własną, jako nikomu nie podległe kraiki.

I dziwić się raczej trzeba, że i ten kompleks różnych dzielnic, tyle rozległych, dał się jeszcze w przedhistorycznych stosunkach, a więc jakby wnosić należało, środkami czysto-narodowymi połączyć pod jednem berłem książęcem, w rodzinie Piastów. Jeżeli bowiem przejdziemy cały aż po owe czasy szereg znaczniejszych państw słowiańskich, ile ich tylko było — od Bułgaryi w wieku VII powstającej począwszy, aż do Rusi Rurykowej, przetwarzającej się w państwo w owych dopiero latach, w których Mieszko już przeprowadzał swój naród w kierunek ustalony dziejowy: to się przekonamy, że te wszystkie bez wyjątku narody zawdzięczały przejście swoje z mnóstwa małych społeczeństw w jedno, z separatyzmu w skupienie, z nicości politycznej w początek działania i znaczenia historycznego, jakiemuś naciskowi z góry i z zewnątrz, jakiejś kościstej dłoni obcej, najezdczej, jakiejś woli wydającej swoje rozkazy innym jak słowiański językiem i wbrew ich woli stawiającej te społeczeństwa na nogi [1]). Sama jedna tylko Polska przeobrażenie takowe zawdzięczała sobie samej jedynie.

---

[1]) Chorwacya długo podlegała obcej władzy, najprzód cesarzów wschodnich, potem Franków — nim około r. 830 wybiła się na niepodległość. Zawdzięczała przeto organizacyę państwa swego jako jednoty społecznej, tym obcym władzom, z pod których się wydobyła następnie. — Wielka Morawia także przeszła poprzednio tęsamę szkołę (pod Awarami — następnie pod Frankami), nim około r. 820 stanowić zaczęła społeczeństwo szerszych rozmiarów. — Czechy nim w końcu IX wieku poddały się jako państwo mniej więcej już jednolite pod opiekę cesarstwa były poprzednio (od r. 870) zawisłe od W. Morawii i urządzały stosunki swoje polityczne na wzór tego, co się wtedy działo w Morawii. — Ruś, w myśl podania, około r. 860 sama sprowadziła sobie Waregów, aby ład w niej uczynili, co też nastąpiło natychmiast. (O Serbii zaś naddunajskiej niema zgoła co mówić, bo jej w tych czasach jeszcze jako ciała politycznie w jedno księstwo połączonego nie było wcale. Bułgarzy nakoniec zgoła nie mieli nic wspólnego z Słowiaństwem i dopiero później zlali się w jedno z narodem przez nich zawojowanym).

Przechodzę do określenia natury władzy monarszej w pierwotnej Polsce. Co powiem, nie odnosi się koniecznie do samego tylko Mieszka I. Raczej mieć tu należy przed oczyma stan rzeczy w całej tej początkowej epoce, z śmiercią Bolesława Krzywoustego i wypędzeniem Władysława II w r. 1146 dopiero kończącej się. Wydobyta z spostrzeżeń takich teorya daje się w całej swej prawdzie i sile widzieć tylko za panowania dzielniejszych osobistości w tym czasie. Z początku epoki, znaczenie władzy naczelnej wytwarza się dopiero i wzrasta; pod jej koniec, słabnie i chwiać się zaczyna: ale główna zasada pozostaje mimo tego wszystkiego podstawą trafnego zapatrywania przez całą tę dobę dziejową.

Owoż na mocy owej zasady uważał się książę polski za dziedzicznego pana i właściciela kraju swojego, to jest wszystkiej ziemi jego, o ile z woli książęcej poszczególne w niej włości nie były na własność ponadawane prywatnym; był uważany za właściciela wszystkich nieużytków gruntowych położonych w jego państwa granicach (lasów, puszcz, wód itp.), niemniej jak i wszystkich nowych zaborów, które rozdawał, komu chciał, a zatrzymywał dla siebie wedle nieograniczonej swej woli. Jako pan i dziedzic państwa, przekazywał je i dzielił między synów jak prywatny majątek; co do naczelnej zaś władzy jedynowładnie orzekał, który z synów jego, i w jakich warunkach względem reszty rodzeństwa, ma być spadkobiercą władzy najwyższej po jego zgonie. Jako ostateczny piastun władzy rządowej, dzierżył pod ręką swoją wszystkich bez różnicy mieszkańców ziemi podwładnej, dla których był i sędzią najwyższym (w pewnych granicach dającym się wyręczać w tej atrybucyi przez osoby przezeń do tego umocowane) i jedynem źródłem rozkazów w obrębie administracyi, o ile poszczególnych funkcyi tej władzy nie poruczał do wykonywania w swojem imieniu dostojnikom, j e g o tylko wolą usta-

nawianym. Był nadto wodzem zbrojnych sił narodowych, z nieograniczonem nad niemi prawem rozkazu. Poczynał wojny, przywodził w bitwach, zawierał pokoje, prowadził wojsko daleko nieraz poza granicę państwa i częstokroć w pomoc ludom niepopularnym w jego narodzie — nikogo się nie pytając o zgodę. On też sam jeden ster nadawał polityce zewnętrznej, przyjmując zobowiązania względem sąsiadów, jakie mu się podobało. Nakładał i pobierał w całym kraju daniny, cła, podatki, myta, wreszcie ciężary przeróżne w naturze i w robocie, i to nie tylko zwyczajem odwiecznym uświęcone, lecz w wielkiej mierze i nowe, na swoje imię i dla swojego skarbu; a jeżeli pewne stany (np. duchowny) i pewne odcienie społeczne miały w tej mierze już w tej epoce niejakie ulgi albo zwolnienia: to tylko na mocy przywilejów, których znowuż sam tylko książę a nie kto inny udzielał.

W tych wszystkich atrybucyach książęcych któżby nie widział pierwiastków stanowczej monarchiczności? Na tym pokładzie, raz przyznanym, władza panującego wśród okoliczności przyjaznych mogła była wytworzyć się i w absolutne samodzierstwo, tak jak na Rusi np. albo w tylu innych krajach postronnych. Że do tego w Polsce nie przyszło: pochodzi stąd, że w kraju Piastów, od najrychlejszych czasów, działały obok monarchicznej i inne jeszcze idee, tej doniosłości, że się z niemi i najsilniejsza osobistość na tronie liczyć musiała.

Nasamprzód miejscowy, od wieków w tej części Słowiańszczyzny panujący o b y c z a j, który w praktyce wszystko łagodził... Nie wiemy, kiedy i w jaki sposób władza pierwotnie patryarchalna, zbiorowa, po raz pierwszy przeszła w Polsce w ręce jednej osoby. Co jednak pewne, to że to pojawienie się rządów książęcych nie było tu ani skutkiem podboju przez obcą rasę, ani owej organizacyi na wskróś i wyłącznie wojennej, gdzie dowódca zbrojnej bandy jest wszystkiem, a cała jego drużyna dyszy tylko jego skinieniem. Sło-

wianie w tej części świata wszakże do późna »nie znali wcale żelaza« — a rodzina Piastów wyszła z rdzeni narodu. O czem także wątpić nie można, to że ów początek książęcych rządów — czy one tam przez tę dopiero rodzinę zapoczątkowane zostały, czy wcześniej — zaszedł na razie w pewnej tylko, szczuplejszej dzielnicy (przypuśćmy w gnieźnieńskiej albo kruszwickiej). Następnie przybywały do niej drugie, sąsiednie okolice, tak iż się owo początkowe księstwo stopniowo zwiększało. Postęp tych kolejnych anneksyi mógł kroczyć nieraz drogą przymusu i gwałtu: w takim razie przewodząca dawniej w nich osobistość, sama lub z całą rodziną, podlegała zagładzie. W innych razach, gdzie się to dało dokonać bez użycia ostatecznych środków, prewodyr okolicy zatrzymywał swoje stanowisko wybitne, choć się uznał podległym centralnej władzy. Nie wywierał on już wtedy w swej sferze tego wpływu, co dawniej, ale zawsze sterczał głową ponad poziomem ogółu; a ten prym dziedziczyła po nim i rodzina jego przez generacye dalsze, o ile nie dawała powodu, żeby ją do tamtej kategoryi (przymusem pokonanych) zaliczać i wedle tego traktować. Tak się wytworzył ów — nie można powiedzieć stan, ale odcień społeczny, który tylko w imię dawnych wspomnień, starożytnością rodu, majątkiem, moralnem znaczeniem, prywatnym na najbliższe otoczenie wpływem, nie tylko innemu rycerstwu imponował, ale nawet i nad osobistościami powołanemi do uczestnictwa w rządzie, nad dostojnikami górował, chociaż żadne przyznane przywileje, żadne prerogatywy poręczone, nie dawały rodzinom takim odrębnej w społeczeństwie pozycyi. Są to owi »domini« w najdawniejszych naszych źródłach dziejowych. Występują tam pod tą nazwą, choć najczęściej nie widać, żeby jaką urzędową władzą mieli ten swój dominujący charakter popartym. — Powiedziałem, że odcień ten (może nazywany pańskim), ten zaród możnowładztwa, nie tworzył u nas s t a n u. I to właśnie było najgorszem.

Nazywamy stanem takie klasy społeczne, o których powiedzieć można, gdzie się zaczynają a kończą, które się dają ująć w pewne granice. Możnowładztwo polskie nigdy, ani w tej pierwotnej epoce ani później, nie odkrawało się czemś zewnętrznem od reszty narodu. W najpierwszych czasach byli to potomkowie zmedyatyzowanych dynastów. Tych jednak z natury rzeczy, której tu niema potrzeby tłómaczyć, nie starczyło długo. Na ich miejsce wtłaczały się potem rodziny, które na mocy innych posiadanych, w różny sposób nabytych warunków, mogły uchodzić za pańskie, i za takie się uważając, przejmowały tradycye tamtych. Od panującej dynastyi oddzielała je widoma linia. Ale na dół — nie było nigdy i nie chciano, żeby była przedzielająca granica. Wchodziły one w skład rycerstwa, a kiedy rycerstwo przeszło w szlachtę, w skład szlachty. Między zwykłem rycerstwem a rodzinami pańskiemi zachodziła oczywiście potężna zawsze różnica. Ale u nas ani pierwsze ani drugie, ani niżsi ani wyżsi, słuchać o tem nie chcieli, żeby była między nimi pociągana jaka miedza demarkacyjna. Tamtym, dyktowała tę niechęć próżność; tym, ich własny, nader zmyślnie pojmowany interes. Gdzieindziej, nawet w Czechach tak do nas pokrewieństwem zbliżonych, stan pański a stan rycerski były oddzielone. W zapędach wyjednania sobie kosztem władzy rządowej coraz dalej idących swobód jeden stan miarkował drugi. Panujący książę w miarę potrzeby mógł się to na jednym, to na drugim każdorazowo oprzeć, żeby wybujałe żądania trzymać w szachu. U nas przeciw władzy naczelnej szły zawsze szturmem obydwa odcienie razem. Możnowładztwo prowadziło — rycerstwo im potakiwało, zadowolone pozorem, że pod tymisamymi znakami gardłuje, że równi z równymi pod jedną chorągwią walczą. Okruchy owoców tej solidarnej jednoty spadały w udziale i młodszej braci. *Pars leonina* dostawała się tamtym. Ta sztuczna jedność, ta rzekoma popularność możnych, wspomagana

poplecznictwem całej reszty uprzywilejowanych w narodzie aż do najniższych stopni, nadawała możnowładztwu *in corpore*, a nawet i poszczególnym domom takie znaczenie, że chyba tylko najdzielniejszym osobistościom na tronie uchodziło nie liczyć się z nimi, iść w przebój z ich dążeniami.

Drugiem, co w zasadzie samej miarkowało samowładność książęcą, był wpływ »księży« biskupów, władza duchowna. Już r. 968 powstało biskupstwo polskie w Poznaniu. W 30 lat później znalazło ich się już pięć, a w kilkanaście lat dalszych stanął już w całej zupełności ów zrąb organizacyi kościelnej, wobec której cała potęga panującego stawać się mogła w danych razach bezsilną. Przynależność Polski do zachodniego Kościoła, jego prawo kanoniczne, ujęte w formy warowne i już w innych krajach katolickich uznane, nadania poczynione już przez pierwszych naszych książąt, które wyobrazicielom tej władzy od razu zapewniły i w świeckim względzie stanowisko pierwszych dostojników królestwa — wszystko to razem wzięte sprawiało, że nazwa biskupów książętami (w swoim zakresie) nie była w Polsce czczym tytułem, a wpływ ich i poza owym nawet zakresem sięgał pod koniec tej epoki już dalej, niż w niejednym innym współczesnym katolickim narodzie.

Trzecią okoliczność, bardzo fatalną dla rozwinięcia się w całej pełni władzy monarszej, stanowiło w Polsce paragium, to jest ów zwyczaj tutaj wniesiony jeszcze z pogaństwa, a także spostrzegany i w innych narodowościach, że się członkowie rodu panującego dzielili krajem jak prywatnem dziedzictwem. Nazywało się wprawdzie, że jeden z rodu, np. Mieszko I w swych czasach, panuje nad całą Polską; w istocie rzeczy jednakże miał taki panujący tylko część kraju pod bezpośrednim swoim rządem, inne dzielnice przeciwnie podlegały rozkazom jego braci lub krewnych, którzy mieli uznawać wyższość tamtego nad sobą, lecz rzadko

dopełniali tego warunku. I Mieszko miał niewątpliwie takich współuczestników w zarządzie Polski, choćby tylko w osobie braci swoich rodzonych, których na mocy świadectw współczesnych, było dwóch, jeżeli nie więcej. Jeden z nich, niewiadomego nazwiska, poległ w r. 963 w owej wojnie z Geronem, zapewne w młodych latach i bezdzietnie, tak iż dzielnica jego przejść mogła zaraz pod zarząd Mieszka; drugi, Cydebur (Czcibor?) żył dłużej (niewiadomy rok jego zgonu), ale szczęśliwym od reguły wyjątkiem, zostawał w stałej zgodzie z swym bratem. Nie wszyscy jednak książęta od Bolesława Chrobrego zaraz począwszy, byli tyle szczęśliwi w stosunku do tych współksiążąt. Trzeba im było uciekać się nieraz do gwałtów, nawet wypędzać z kraju młodsze rodzeństwo. — Ten więc stosunek naczelnie panującego do cząstkowych książąt, jako i niepraktyczny i nawet w samej teoryi przez ciąg całéj tej epoki zupełnie prawem zwyczajowem nieokreślony, gmatwający tylko pojęcia narodu o obowiązkach względem najwyższego zwierzchnika, stanowił najsłabszą może stronę władzy monarszej w Polsce. I o tento właśnie szkopuł rozbiła się ona też później (po śmierci Bolesława Krzywoustego).

O takiemto mieniu i o takim długu tronowym, o takich prawach i o takich niedostatkach, puścili się władcy polscy w zawód dziejowy. Było z czego wytworzyć silną władzę monarszą, choć wolną od despotyzmu — i za tę cenę zapewnić narodowi świetną rolę jednego z pierwszorzędnych mocarstw w historyi. Było aż nazbyt pokuszeń, pójść za innymi ideałami, unikać starcia tam gdzie było konieczne, być popularnym za życia, sławionym przez kronikarzy po śmierci, a potomności przekazać — sprawę przepadłą. Jedno i drugie zależało od czujności i instynktu politycznego, od trudu i dzielności panujących nad Polską.

A teraz przejdźmy do przeglądu tych poszczegól-

nych panowań, aby orzec, co które z nich zdołało pod tym właśnie względem uczynić.

Rządy Mieszka I (c. 962—992) były mimo nadzwyczajnych trudności, towarzyszących każdemu przekształceniu stosunków, a cóż dopiero takiej reformie, jak nią było zaprowadzenie chrześcijaństwa i europejskich politycznych pojęć do tego narodu, dziwnie szczęśliwe od początku do końca. Z warunków pomyślności krajowej, przekazanych z dawnych czasów, nie uronił książę ten ani jednego, a przyczynił nowych niemało, owszem położył trwałą i niepożytą na wszystkie wieki podwalinę przyszłości narodowej. Dokazał zaś tego wszystkiego nie rozgłośną a błyskotliwą brawurą czynów, ale cichem, konsekwentnem, pełnem prawdziwej mądrości politycznej umiarkowaniem. Z drogi, na którą raz go wprowadził instynkt szczęśliwy w roku 966, nie zszedł przez całe swe życie. Pozostał wierny i chrześcijaństwu i politycznym obowiązkom swoim względem Zachodu, przyjętym w następstwie dążności uznanej przezeń za jedynie możliwą w okolicznościach ówczesnych. Licząc się trzeźwo z warunkami, na jakich żyć i rządzić mu przyszło, nie wyłamywał się nawet z pod cesarskiego zwierzchnictwa. Owszem wspomagał Niemców posiłkami swoimi — i posuwał abnegacyę do tego stopnia, że nie odmawiał tych posiłków nawet przeciw pobratymcom swego narodu, którzy (mianowicie w marchii Północnej) obstając uporczywie przy bałwochwalstwie i tradycyjnym swoim nieładzie politycznym, podnosili ciągłe bunty przeciw narzuconej im władzy. — W ciągu rządów cesarza Ottona II (973—983) mogło się wprawdzie czas jakiś zdawać, że ta zgodność Polski z Zachodem sąsiednim zachwiewa się i przerzuca w nieprzyjaźń: i tu wszelako nie było zasadniczego wyłamywania się z pod stosunków z cesarstwem, ale jedynie spór o to, kto tam piastuje tę wła-

dzę; ponieważ Mieszko wraz z szwagrem swoim Bolesławem Pobożnym, księciem czeskim i znacznem w Niemczech stronnictwem, uznawał za cesarza Henryka II (bawarskiego), a nie Ottona. Czego tedy Ottonowi zaprzeczał, to wszystko przyznawał Henrykowi. Po wstąpieniu Ottona III na tron niemiecki okazało się to najjaśniej: Mieszko przybywał z darami na walne zjazdy panów i książąt Rzeszy (np. do Kwedlinburga w roku 986) i był tam przyjmowany zaszczytnie; co większa, posiłkował wytrwale odtąd tego cesarza w wojnach jego z północnem znowu Słowiańskiem w roku 985, 986 i 991.

Że ta polityka, małodusznie pojmowana przez niejednego z późniejszych dziejopisów, była rozumną; że jedynie odpowiadała ówczesnemu położeniu kraju polskiego: to się stwierdziło w skutkach. Żaden z potężniejszych sąsiadów tego dopiero ustalającego się państwa nie śmiał granic jego nachodzić; a kiedy następca zmarłego około r. 967 Gerona, Hodo marchion łużycki, wraz z jakimś znowu awanturnikiem niemieckim, hrabią Sigfriedem, pozwolił sobie najechać w r. 972 po dawnemu dziedzinę tego księcia naszego, żeby ją podbić lub złupić: to doznali obaj takiego przyjęcia, jakie im się należało (pogrom pod Cidini dziś Zehden nad Odrą). Ówczesny cesarz Otto I nietylko się nie ujął za tym szerzycielem »kultury«, lecz owszem położył najskwapliwiej kres dalszemu krwi rozlewowi i wdzierstwu tego swego wasala.

Z Czechami za życia Dubrawy († 977) — i nawet przez kilkanaście lat później — trwał stały pokój, pomimo podżegań Lutyków, zawsze nienawistnych Polakom, a trzymających z Czechami. Dopiero w r. 990 przyszło do wojny z Bolesławem Pobożnym o »księstwo« *(regnum)* jakieś, które Mieszko do granic państwa swojego wcielił[1]) — zapewne o część Szląska, do któ-

[1]) Obacz Diethmar i inne źródła niemieckie, przywiedzione w tomie I »Monum. Polon.« str. 255 i n.

rej Czesi prawo sobie rościli albo ją posiadali. W tej wojnie wspomagali Czechów Lutycy, a Mieszka Niemcy: i zdaje się, że zabranej tej dzielnicy nie dali już sobie wydrzeć Polacy. Od tego r. 990 mógł już należeć do Polski Szląsk cały, a pewnie i Krakowskie.

Sprostować tu wreszcie należy aż nazbyt upowszechnione mniemanie, jakoby ostatnie lata panowania tego księcia przyćmione być miały utratą kilku prowincyi. Zabór »grodów czerwieńskich« (tak zwanej później Rusi Czerwonej), dokonany przez Włodzimierza W. w r. 981, jakkolwiek wątpić o fakcie samym nie można, nie dotyczył Mieszka I bynajmniej; ziemia ta bowiem nie należała politycznie w tamtych czasach jeszcze do Polski, choć ją w myśl świadectwa Nestorowego zamieszkiwała już wtedy ludność »lechicka«, więc ludność tego samego szczepu, co polski. A co się tyczy rzekomego zaboru Krakowa i ziem okolicznych przez Czechów, który kiedyś przed rokiem 973, niewiadomo w którym właściwie czasie i w jaki sposób miał zostać Polsce wydarty: to trzeźwa krytyka wytknąć musi i tu mylność zapatrywania w tymże kierunku. Czesi za panowania swego księcia Bolesława I (936—967), teścia naszego Mieszka, mogli Kraków z pewnemi przyległościami posieść i przez niedający się bliżej określić przeciąg czasu posiadać; wszelako (j e ż e l i tak było) nie był to zabór na Polakach, lecz chyba anneksya tej przyległej Szląsku prowincyi, wtedy jeszcze zostającej pod własnym osobnym swoim rządem [1]).

---

[1]) Przynależność Krakowa do Czech w tych już latach, kiedy Mieszko I początkowe swoje rządy nad Polską sprawował, zdaje się być faktem stwierdzonym. Doszła czasów naszych, co prawda nie z pierwszej ręki, ale za pośrednictwem pewnego już późniejszego pisarza, w z m i a n k a w s p ó ł c z e s n a o p o d l e g ł o ś c i K r a k o w a k s i ę c i u c z e s k i e m u B o l e s ł a w o w i, niewątpliwie I-mu. Autorem tej zapiski był Izraelita hiszpański, imieniem I b r a h i m I b n J a k u b. Tenże, czy to w celach handlowych, czy może przydzielony do poselstwa od któregoś z kalifów Korduby do cesarza

Nieuszczuplone przeto państwo, a nawet jak wnosić można, rozszerzone o jakąś część Szląska świeżo dopiero nabytą, a może i o coś z ziemi pomorskiej

---

Ottona I, odbył podróż do Niemiec, a głównie w Merseburgu czas jakiś spędził. Zajść to musiało kiedyś już po roku 962 (rok wstąpienia na tron Mieszka) a przed 973 (rok śmierci Ottona). Bawiąc w Merseburgu, rozpytywał ów podróżnik o stosunki sąsiednich krajów, a głównie słowiańskich, i to co o nich usłyszał, spisał w języku hebrajskim. Otóż w jednem miejscu tej swej relacyi powiada: »Słowianie składają się z mnogich i różnych szczepów. Teraz mają czterech królów. Jeden jest król al-Błgarin (bułgarski — autor według pisowni hebrajskiej niektóre samogłoski z syllab wypuszczał); drugi Brislaw (Bolesław) król Fragi (w dalszych miejscach pisze i Braga), Bwimy i Krakwa; trzeci Mszka (Mieszko) król północy; czwarty Nakur, na skrajnym zachodzie« (zapewne Nakon obotrycki, o którym wspomina Widukind pod r. 954, »Monum. Pol.« I str. 136). — W jednym z dalszych ustępów: »Co się tyczy ziemi Brislawa, to długość jej od Fragi aż do grodu Krakwa (Krakowa) jest na 3 niedziele drogi. Kraj ten styka się wzdłuż z Turkami« (Madjarami). — Przytaczam jeszcze jedno Polski dotyczące miejsce: »Z Mszką graniczą na wschód Rusy, a na północ Brusy« (Prusy)... »Szczep Słowian, który się zwie Awbaba (?) żyje w błotnistym kraju Mszki ku północnemu zachodowi. U nich jest wielki gród nad okrążającem morzem. Ma dwanaście bram i przystań. Wojują z Mszkiem, a siła ich wielka. Króla u nich niema, rządzi nad nimi starszyzna«. (Wynikałoby z tego, że już w tych tak wczesnych latach zachodziły walki z Pomorzanami; czy zaś tym grodem był Gdańsk, czy może Kołobrzeg lub Wolin, trudno rozstrzygać).

W każdym razie było to zatem pisane już po r. 962. A ponieważ w dalszej pewnej notatce, poświęconej Bułgarom, podnosi z przyciskiem pewnym Ibrahim, że to naród już chrześcijański: więc zdaje się z tego wynikać, że kraj Mszki nie musiał wtedy jeszcze być nawrócony. Jeżeli to bowiem co do Bułgarów podnosi, toć musi tę okoliczność przeciwstawiać czemuś drugiemu. A ponieważ Czechy wtedy już były nawrócone, a nawet i dla Obotrytów istniało już od r. 952 biskupstwo starogrodzkie (Oldenburskie), choć co prawda więcej ono tam z imienia istniało, jak z rzeczy: więc chyba głównie właśnie krajowi Mszki przeciwstawia autor tę chrześcijańskość Bułgarów. W takim zaś razie datowałoby pismo to Ibrahima z czasu przed r. 966, jako rokiem nawrócenia księcia i narodu polskiego. Owym »Brysławem« zaś, do którego

i krakowskiej, przekazał Mieszko swym czterem synom, kiedy krótko przede śmiercią, dzielił to księstwo na części między nich wszystkich podług panującego wtedy

---

wtedy miał należeć oprócz Pragi i Kraków, byłby Bolesław I czyli Okrutny, a nie dopiero II-gi tego imienia czyli Pobożny.

Zapiski Ibrahima, choć tak kaleczące nazwy miejsc i osób słowiańskich, zawsze jednak wiarogodne, doszły do nas tylko w wyciągu, uskutecznionym (co do nazwisk jeszcze pewnie gorzej) po arabsku, przez autora, który żył w w. XI, a nazywał się Abu Obeid Abdallah al Bekri. Ten zszedł z świata r. 1094. Jego dzieło, zatytułowane »Podróże i kraje«, było do r. 1878 zupełnie światu uczonemu nieznane. Odszukane w ms. w którejś konstantynopolitańskiej bibliotece, ujrzało światło dzienne w tymto 1878 roku w Petersburgu, jako Dodatek do XXXII tomu Zapisek tamtejszej Akademii Um. Jest wydane obok arabskiego oryginału w przekładzie rosyjskim prof. Rosena, z cennemi wyjaśnieniami A. Kunika, członków tejże cesarskiej Akademii. Przekład Rosena spolszczył potem nasz wielkopolski uczony Dr Łebiński i wydał to w r. 1887 w tomie XV Roczników poznańskiego Towarzystwa przyjaciół nauk. — Rzecz Al-Bekrego składa się przeważnie z excerptów, ile sądzić można dosłownych, choć może z opuszczeniami, z dwóch pism podróżniczych dawniejszych, mianowicie Ibrahima i niewiele od niego dawniejszego Masudego († 957), który także pozostawił wiadomości o Słowianach, ale tylko wschodnich, i o ich sąsiadach.

Wyprowadziłem z powyższej wzmianki wniosek, że jeżeli Kraków rzeczywiście przed przyłączeniem do Polski należał do Czech, któremuto faktowi niema powodu przeczyć: to początek tego stanu rzeczy datuje z czasu panowania jeszcze teścia naszego Mieszka, Bolesława I. Historycy czescy, a na ich czele Kosmas, odnoszą zabor ten do Bolesława II Pobożnego, brata Dubrawy; widzą w nim nietylko władcę południowej Polski, ale i Słowaczyzny węgierskiej, niemniej Szląska całego i Moraw prócz właściwego czeskiego księstwa; ta południowa Polska miała obejmować oprócz krakowskiej, sandomirskiej i lubelskiej ziemi całą dzisiejszą Galicyę aż po Bug i Styr; i cała ta wielkość państwa miała się rozprysnąć nagle zaraz po zgonie tego księcia w r. 999, wskutek podboju tych dzielnic przez Bolesława Chrobrego. U Palackiego sprawa ta o tyle przedstawiona inaczej, że zabor tych ziem miał zajść za ks. czeskiego Bolesława I (wnet po r. 955); Bolesław II miał te zdobycze rozszerzyć między 967 a 973 r. aż do Bugu i Styru; utrata zaś tych wszystkich nabytków nastąpiła

zwyczaju — z zastrzeżeniem, aby naczelną władzę nad całym krajem dzierżył najstarszy z braci, syn Dubrawy, Bolesław. Trzej drudzy, Mieszko, Świętopełk i Lambert

---

r. 999. Opierają oni te twierdzenia na podstawie dwóch źródeł: Kroniki Kosmasa i dokumentu fundacyjnego biskupstwa praskiego z r. 973. — Nim rozpatrzymy dowodową wartość tych źródeł, zestawmy porządek rzeczywistych wiadomych faktów, około których się ta cała sprawa obraca. A więc od r. c. 955 począwszy przynależność Krakowa do Czech. W r. 967 zgon czeskiego Bolesława I i wstąpienie na tron Bol. II. W r. 973 fundacya biskupstwa praskiego — dokument fundacyjny układa Wolfgang biskup ratisboński, cesarz Otto I (prawdopodobnie d. 23 marca — na Wielkanoc — w Kwedlinburgu) go podpisuje, a potem zatwierdza to i papież — pierwszym biskupem praskim Ditmar. — W tymże r. 973 d. 7 maja Otto I umiera. — W r. 999 zgon ks. czeskiego Bolesława II. — W tymże r. 999 postanowione, a w r. 1000 ustanowione bisk. krakowskie. — W r. 1028 Morawia przyłączona do Czech (zdobyta w części na Węgrach, w części na Polsce; dotąd nie posiadali jej Czesi). — W r. 1062, za Wratysława II, erekcya biskupstwa w Ołomuńcu, papież je r. 1063 zatwierdza. — W r. 1086 tenże Wratysław, brat jego biskup praski Gebhard i cesarz Henryk IV obalają to biskupstwo i łączą z praskiem na synodzie w Moguncyi. Papież Urban II 1088 unicestwia tę czynność i biskupstwo morawskie przywraca.

Teraz patrzmy, jak się wobec tych faktów rzecz ma z dokumentem fundacyjnym biskupstwa praskiego z r. 973. Autentyk tego aktu należy do liczby zaprzepaszczonych; co orzekał, wiedzieć nie można. Kraków wtedy mógł być może włączony do dyecezyi praskiej jako włość księstwa czeskiego, o Morawach i Słowaczyźnie tego jednak ani myśleć niemożna. Najpewniej granice tej dyecezyi na wschod wcale w nim nie były zakreślone, zostały tu na razie pozostawione otworem. — W r. 1086 na synodzie w Moguncyi, w chwili właśnie opróżnionego biskupstwa ołom., tamtoczesny biskup praski (brat panującego księcia czeskiego) Gebhard, w porozumieniu z bratem, pragnąc posieść i to ołom. biskupstwo, wystąpił przed cesarzem Henrykiem IV z twierdzeniem, że dyecezya praska od pierwszego swego początku obejmuje i czeskie i morawskie księstwo, i zażądał, żeby ten stan rzeczy pierwotny i jedynie legalny został przywrócony. Na dowód, że tak się ta rzecz miała, złożył dokument, jakoby przez św. Wojciecha wydany, a przez Ottona I i przez papieża Benedykta zatwierdzony, który nie tylko przynależność Moraw do dyecezyi praskiej jak

byli synami drugiej żony Mieszka I, Ody córki marchiona północno-saskiego Dietricha, poprzednio mniszki

---

najwyraźniej orzekał, ale i onej granice — co prawda nader bałamutnie — tak opisywał, że z tego wynikało, iż południowa Polska aż po Tatry i rzeki Bug i Styr, niemniej Słowaczyzna węgierska, wreszcie i Szląsk niemal cały do tej dyecezyi należą. Henryk IV uwierzył, czy może udał że wierzy w autentyczność tego dokumentu. Ówczesne okoliczności czynią to przypuszczenie prawdopodobnem. Wystawił od siebie nowy, ale tejsamej treści dokument *(novum, antiquo fere eiusdem tenoris privilegium)* i wszystko tak uskutecznił, jak się tego domagano od niego. Ten przywilej Henryka z r. 1086, w oryginale nie przechowany, doszedł nas w kopii, zaciągnął go bowiem w całości i dosłownie do swej kroniki Kosmas, który na owym synodzie był także przytomny i jak powiada, naocznie patrzał na kładzenie własnoręcznej sygnatury cesarskiej na tym dokumencie. Z Kosmasa zatem jest on jedynie znany, równie jak i o towarzyszących tej sprawie wszystkich okolicznościach jedynie przez tegoto kronikarza jesteśmy powiadomieni (księga II rozdź. 37; »Monum. Pol.« I 145 i n.).

Niema żadnego powodu niewierzyć Kosmasowi. Dokument z r. 1086 przezeń w całej osnowie podany był z pewnością autentyczny; mimo to jednak jego zawartość nie ma żadnego źródłowego znaczenia, ponieważ ów produkowany tam w Moguncyi »dokument św. Wojciecha« był sfałszowany przez owego biskupa Gebharda. Św. Wojciech nie był pierwszym biskupem praskim, był konsekrowany dopiero r. 983: jakże tedy mógł dokument jego być zatwierdzony przez Ottona I i Benedykta, kiedy pierwszy zszedł z świata jeszcze r. 973, a Benedykt VI w rok po nim, a jeżeliby to do Benedykta VII ściągać się miało, to i ten już przed r. 983 życie zakończył. A potem, dokumenta tego rodzaju, orzekające o rozległości dyecezyi, z natury rzeczy bywały zawsze wystawiane dla biskupów odnośnych, a nie przez nich. Więc chyba byłby to przez kogoś dla św. Wojciecha wydany dokument, gdyby tenże był pierwszym praskim biskupem. I kto go to miał wystawić, jeżeli Otto I tu występuje jako tylko konfirmujący? — Nie dziw zatem, że papież Urban II nie był tak łatwowierny — nie potwierdził, skasował tę całą robotę w r. 1088. — Fałszerz dokumentu, kiedy w nim mówił o przynależności Moraw w r. 973, wręcz kłamstwo popełnił; a kiedy się rozpisywał o wschodnich dyecezyi granicach aż do rzeki Wagi, Bugu, Styru i Karpat, zastosował stan rzeczy r. 1086 do 973 t. j. podał tamtoczesne biskupstwa krakowskiego granice jako obszar pierwotnej praskiej dyecezyi w tych stronach.

w klasztorze w Kalbe nad Salą. Zaślubił ją kiedyś po r. 977, w którym pierwsza jego małżonka zeszła z świata.

Rządy Bolesława Chrobrego (992—1025) szły z razu tymże torem, co jego ojca. Przez pierwsze

---

Mogła mu zaś myśl tę poddać ta okoliczność, że Kraków z najbliższą okolicą może podlegał praskiemu pastorałowi, nim w r. 1000 otrzymał własnego swego biskupa.

Kosmas około r. 1120 piszący swoją kronikę, a w r. 1086 i przytomny całej tej pertraktacyi, uwierzył w to całe szalbierstwo. Na podstawie przywileju Henryka IV z tego roku, uwierzył w taką rozciągłość monarchii czeskiej w r. 973. A nie widząc, komuby jej utworzenie przypisać, gdyż wszystkie źródła milczały o takich zaborach, przypisał je Bolesławowi II. Z tegoto tylko powodu kładzie w usta umierającemu temu monarsze słowa *„ego dilatavi terminos regni usque ad montes nomine Trytri, qui sunt ultra Krakow“*. Z tego też tylko powodu, widząc w Bolesławie II niezwyciężonego zdobywcę, jakim on bynajmniej nie był, każe chyba dopiero po jego zgonie, ale już w tymsamym roku (999), gdyż w rok potem powstaje krakowskie biskupstwo — odpaść tym wszystkim prowincyom, a mianowicie krakowskiej, od czeskiego księstwa. A wydziercą tej ziemi — w r. 999! — miał być *dux poloniensis Mesco, quo non fuit alter dolosior homo* (Lib. I cap. 33 i 34). Otóż i temu, o ile to chronologii dotyczy, wierzyć nie można. Mniejsza o to, że Mieszko † 992. Ale rozważmy, że gdyby ziemia krakowska dopiero r. 999 została przyłączona do Polski, to trudnoby było pojąć już w tymże roku powzięte w Rzymie postanowienie utworzenia tam osobnego biskupstwa, a dokonanie tego zamiaru w rok potem. Tak prędko takie rzeczy nie postępują! Przyłączenie (później t. zw.) Małopolski zajść musiało zatem w każdym razie kilka lat wcześniej. I być też może, że ten przez Kosmasa odniesiony do Mieszka w r. 999 zabór Krakowa nie polega na tej pomyłce, żeby on Bolesława Chrobrego za Mieszka brał, ale że rzeczywiście tkwiło w pamięci, że początek tej całej akcyi jeszcze za życia tego starego księcia się począł, w takim zaś razie zapewne w r. 989 i 990, w którym (jak donosi Diethmar, ks. IV c. 9) miał nasz Mieszko swemu byłemu szwagrowi jakieś *„regnum“* odebrać czy najechać, i wywiązała się z tego rozległa, obustronnie własnemi i obcemi siłami prowadzona między nimi wojna. (»Mon. Pol.« I 255 i n.).

lata panował wspólnie z braćmi. Najstarszy z tych młodszych książąt nie mógł liczyć w chwili zgonu ojca więcej, jak najwyżej 13 lat, podczas gdy Bolesław był już w 25 roku wieku swojego[1]): była to przeto dla niego tytularna tylko wspólność rządzenia i (na razie) nietrudna zgoda z rodzeństwem.

Stosunki państwa na zewnątrz żadnej na razie nie doznawały zmiany. Aż do pamiętnych odwiedzin stolicy naszej przez Ottona III, świadczyła Polska temu zwierzchnikowi swojemu wszystkie oznaki wierności i danniczego stosunku, mianowicie pomoc zbrojną w przebojach z Słowianami już natenczas prawie corocznych (992, 994, 995 i 996).

Pod osłoną pokoju i bezpieczeństwa ze strony Niemiec, miał Bolesław otwarte pole skutecznego działania wewnątrz państwa swojego: mógł przedewszystkiem urządzić domowe i narodowe stosunki w Polsce w tym duchu, jak je pojmował. Już w czwartym roku tego działania jednakże, ujrzał przed sobą takie trudności — nie oznaczyła nam ich bliżej historya, że aby je przełamać i raz na zawsze usunąć, uciec się musiał do groźnej ostateczności. Wszyscy trzej książęta młodsi, wciągnięci zapewne nierozważnie w jakąś intrygę, zostali wraz z matką swoją Odą wypędzeni z ojczyzny (995), a jacyś Bolesława krewniacy, czy powiernicy *(familiares)*, Przybywoj i Odylen, przypłacili postępek swój oślepieniem. Tej katastrofie w samej rodzinie książęcej towarzyszyć musiała niezawodnie podobna katastrofa i w państwie — w stosunku do narodu całego: i nie wątpić, że ów tytuł królewski, w posiadaniu którego widzimy tego monarchę niezaprzeczenie w dalszym ciągu jego panowania, został przezeń przybrany przy owejto tak stanowczej porażce wszystkiego, co mu opór stawiało.

---

[1]) Rok 967 podają roczniki polskie jako czas narodzenia Bolesława Chrobrego. Obacz »Monum. Pol.« II str. 777, 828 i 872.

Wraz z tym wyniosłym tytułem przybyła mu oczywiście i władza odpowiednia [1]). A przy władzy — rozwinąć się mogły i spełnić nareszcie zamysły głębsze, już w jego duchu dojrzałe...

Jakoż pozachodziły w tych już latach — w przyspieszonych jak ze wszystkiego wnosić się godzi, jeden po drugim postępach — zabory rozległych owych z południa i z północy Polski prowincyi, które zaludnione były wprawdzie plemieniem polskiem, lecz nie były złączone jeszcze politycznie z tem państwem. Szląsk, o ile w całości nie należał dotąd do Polski — Kra-

[1]) Tytuł królewski Chrobrego jest pewnikiem w historyi; od kiedy jednak zaczął on używać tego tytułu? tego domyślić się chyba trzeba. Od kiedyż więc? Od czasu koronacyi niezawodnie nie, bo ta przypada na ostatni dopiero rok jego życia. Od chwili bytności cesarza niemieckiego w Gnieźnie, także zapewne nie; bo Otto III przybył tylko uznać i przyznać to wszystko, co się w kraju naszym już dokonało, a nie nadawać władcy polskiemu nowe tytuły. Nie pozostaje zatem, jak przyjąć chyba ów rok 995 za chwilę, w której to najpodobniejsze do prawdy.

W kwestyi królewskiego tytułu w pierwotnej Polsce jesteśmy mniej więcej wszyscy pod wpływem wyobrażeń, które zawiłość rzeczy jeszcze bardziej gmatwają. Wyobrażamy sobie, że kto koronowany, ten król — a kto koronacyi nie odbył, ten tylko książę. Sądzimy, że kto podlegał jako dannik cesarstwu, ten tylko księciem, a dopiero bezwarunkowa niezawisłość na zewnątrz stanowiła warunek królewskości. Rozumiemy, że niemieckie *könig*, łacińskie *rex*, oznacza króla, a *dux* książęcia. Wobec późniejszych wieków było to wszystko tak w samej rzeczy, ale nie w czasach Bolesława Chrobrego. Duński władca Harald Blauzahn, dopiero w r. 966 ochrzcony, koronacyą uroczystą bynajmniej nie zaszczycony, cesarzowi niemieckiemu jeszcze w r. 974 składający daniny, nazywany był mimo to wszystko kunik. Czeski Bolesław I, ani koronowany, ani też w kraju nawet swoim pewnie nigdy królem nie nazywany, a dannik względem cesarstwa, nazywany jest w kronikach niemieckich współczesnych (Frodoarda i Widukinda) *rex*. Piszący dzieło swoje jeszcze w VI wieku cesarz bizantyński Maurycy († 603) nazywa książąt słowiańskich, którychbyśmy słusznie zagrodowymi, chodaczkowymi nazwać tylko mogli książęty, *reges* (ῥῆγες). Czeski Wratysław II (1061—1092), który nie tylko urzędo-

kowskie aż po Karpaty — Słowaczyzna węgierska aż do Dunaju (pod Ostryhoniem) — Wiślicka, Sandomirska i Lubelska dzielnica — nakoniec Pomorze nadbałtyckie, od lewego brzegu Wisły i od Noteci począwszy aż zapewne do ujścia Odry, w każdym razie aż za Kołobrzeg, zamienione zostały w dzierżawy tego królestwa. Od tejto chwili dopiero naród polski a państwo polskie zaczęły znaczyć tosamo.

Kolej tych wszystkich nabytków, czas kiedy to lub owo pozyskane zostało, okoliczności towarzyszące zaborom — wszystko to leży poza horyzontem naszej

---

wego królewskiego tytułu, ale nawet i formalnej koronacyi dostąpił, pozostał przeto jednak i nadal dannikiem, nawet lennikiem cesarstwa niemieckiego... Również i naszego Mieszka I, którego nawet krajowe kroniki królem nie nazywają, tytułuje współczesny mu niemiecki kronikarz Widukind dwa razy *rex*, a w innych miejscach znowu, porówno z drugimi tego czasu dziejopisami — sam nie wie, jak ma godność jego wyrazić; nazywa go przeto to *dux*, to *marchio et comes* i t. p.

Wynika z tego wszystkiego, że było wtedy w tej mierze za granicą co do władców słowiańskich zupełne zamieszanie i nazw i pojęć, które dopiero później przybrały kształty stałe i ściśle oznaczone.

Odwieczną własną nazwą panujących w całem plemieniu słowiańskiem był wyraz knęz, który jednak wedle dyalektów przeróżnie się naginał: knez, kniez, kniaz, kniaź — po polsku zaś ksiądz, przy któremto znaczeniu wyraz ten w Polsce dotrwał co najmniej do czasów Władysława Jagiełły (w odniesieniu do Litwy »wielki ksiądz litewski«). Jest to etymologicznie zupełnie tosamo słowo, co w germańskich narzeczach kunink, kunik, könig, a po litewsku kunigas. W polskim narodzie wyraz ksiądz aż do Bolesława Chrobrego mógł być jedynym tradycyjnym tytułem naczelnie panującego: a pochodna od niego forma książę służyła albo dzieciom książęcym, albo może owym młodszym, cząstkowym książętom — i miała się tak do »księdza«, jak się ma orlę do orła, panię do pana i t. d. Za przyjęciem chrześcijaństwa otrzymali tytuł księdza i biskupi jako *principes ecclesiae* (później dopiero miało się to udzielić i każdemu nawet z prostych duchownych); z drugiej strony podniosło się niezadługo w chrześcijańskiej już Polsce znaczenie władzy monarszej do tego stopnia, że

wiedzy dziejowej. To jedno tylko zdaje się pewnem, że dokonano tego między rokiem 990 a najpóźniej 999.

Co do Pomorza, przypuszcza się powszechnie, że je zagarnął Bolesław w każdym razie jeszcze przed rokiem 997, skoro właśnie w rzeczonym roku i to już w pierwszych dniach wiosny, św. Wojciech w okolicy miasta Gdańska z poręki króla polskiego przebywał, opowiadając słowo boże i udzielając chrztu tłumom tamtejszej ludności — zanim następnie gorliwość apostolska i żądza śmierci męczeńskiej zawiodła go na ziemię Pruską, nietkniętą jeszcze stopą naszego narodu, gdzie też

---

jej ten tytuł księdza czy książęcia już nie wystarczał. Wtedyto obejrzano się za dostojniejszym tytułem i znaleziono go w wyrazie karl, wymawianym po słowiańsku kral i król — jako imieniu największej liczby panujących frankońskich począwszy od Karola Wielkiego. Używał tego imienia kral, jako tytułu odpowiedniego swej władzy, niejeden już władca słowiański przed Bolesławem Chrobrym i w innych stronach, np. Tomisław książę chorwacki na początku jeszcze X stulecia, a po nim i dalsi jego następcy. Wytworzyła się więc ta nowa nazwa godności panujących słowiańskich z imienia własnego Karl zupełnie w taki sam sposób, jak się również z imienia tylko osobowego Caesar wyrobił w wschodnim świecie słowiańskim wyraz car, w zachodnim cesarz, a w niemieckim języku Kaiser.

Widoczna przeto, że przybranie nazwy króla przez Bolesława Chrobrego nie wynikło ani z nominacyi cesarskiej (bo wyrazu takiego jako tytułu nigdy w Niemczech nie było), ani też z koronacyi legalnej czy nielegalnej — ale za przykładem innych postronnych panujących słowiańskich, w rychlejszych jeszcze czasach już tytułu tego używających — i pod wpływem poczucia, że dawne czasy malowanych księdzów już się w Polsce skończyły, a wnijść należy w epokę władzy zmuszającej do posłuchu i rządzącej po frankońsku, tj. na nowych zgoła warunkach...

Że zresztą była to nazwa świeża i późna na ziemi naszej, to okazuje i nomenklatura osad. Podczas gdy mnogo jest wsi i miast, nazwanych Książ, Książno, Księżnice, Książeniec, Książek i t. d. zaledwie doszukać się możemy Królewic i Królikowa, które ostatnie bodaj czy ma z królem, a nie raczej z królikiem jakie zetknięcie w tradycyi. (Królewiec zaś powstał dopiero r. 1255 i wiadomo, że wziął nazwę od króla czeskiego Otakara II).

poniósł śmierć, jakiej pragnął. — Wcielenie do obszarów naszych Szląska górnego przyszło do skutku przez zbrojne starcie się z czeskim narodem, który część pewną owej prowincyi od czasu upadku Wielkiej Morawii mógł dzierżyć aż do tej pory. — O pozyskaniu ziemi krakowskiej mówiliśmy już wyżej. — O Słowaczyźnie węgierskiej to jedno tylko jest pewnem, że i ta ziemia przybyła do posiadłości Chrobrego i to prawdopodobnie w tym już życia jego okresie. Czy zaś jako tylko anneks przynależny do Krakowszczyzny — czy w skutek osobnego podboju — czy wreszcie może na mocy pokojowego jakiego układu z teściem Bolesława naszego Gejzą węgierskim? — są to pytania niedocieczone.

To tak stanowcze przeistoczenie terytoryalnych stosunków pociągnęło za sobą konieczność odmian w urządzeniach kościelnych. Jedyne dotąd na całą Polskę biskupstwo poznańskie nie mogło już odpowiadać potrzebom. Przybyły rozległe ziemie, które albo dopiero nawrócone być miały (Pomorze), albo też sprawiały pod innym względem trudności. Owoż należało i tam i wszędzie indziej te dotąd niedostateczne chrześcijańskiej cywilizacyi pokłady wzmocnić, liczbę biskupstw polskich powiększyć; duchowo spoić w jedność nabytki orężem tylko zgarnięte. Że tę potrzebę od pierwszej chwili pojmował założyciel naszej narodowej potęgi, o tem przekonywa wyprawa apostolska Wojciecha św. na nadbrzeże bałtyckie, z jego poręki poczęta, a tylko przez przypadkowe okoliczności pożądanym skutkiem nie uwieńczona.

Nie wątpić przeto, że jeszcze przed rokiem 1000 musiały być poczynione przez króla polskiego kroki do stolicy apostolskiej i do cesarza, w sprawie założyć się mających nowych biskupstw w jego królestwie, a może też i względem innych jeszcze życzeń, tak naturalnych w jego położeniu ówczesnem (niezawisłość tychże biskupstw, koronacya królewska i t. p.). Tylko

przypuściwszy takie starania, takie kroki poprzednie, rozumieć zdolni jesteśmy możliwość pamiętnych owych zdarzeń roku 1000, które tak słusznie nazwać się godzi ostatecznym i najwyższym szczytem powodzeń tego monarchy w tym pierwszym panowania jego okresie.

Otto III przybył osobiście do Gniezna, jużto ażeby oddać cześć pamięci męczennikowi św., który był jego spowiednikiem i przyjacielem, już też i z politycznych pobudek. Chciał on się własnemi oczyma rozpatrzyć w stosunkach państwa tak bliskiego jego cesarstwu, którego wzrost nadzwyczajny i przewaga już osiągnięta zapowiadały nieuchronną potrzebę urządzenia z niem co rychlej stosunków, więcej opartych na realnej podstawie. Założenie kilku biskupstw, mających stanąć teraz w tym kraju, czyniło zresztą w każdym razie pożądaną obecność jego na miejscu. Został przez Bolesława przyjęty z gościnnością i przepychem, o jakich dwór cesarski nie marzył, a to wzbudziło i w wrażliwym umyśle gościa usposobienie, pod wpływem którego pozostawił krajowi temu w darze, czego się Polska bodaj spodziewać mogła z tej strony. Wyrzekł bowiem dobrowolnie wyłączenie tego państwa z pod uroszczeń cesarskiego zwierzchnictwa. Uznał w Bolesławie sprzymierzeńca swego i brata, zwolnionego od obowiązków danniczych; przyjął (ażeby to wyrazić stylem dzisiejszym) do wiadomości poczynione przezeń nabytki terytoryalne, równie jak i przybrany przezeń tytuł królewski; przez włożenie mu na głowę korony, co uczynił w kole poufnem, przy ochoczym stole biesiadnym, dał i zewnętrzny wyraz swego na tę sprawę zapatrywania — okazał, że zwierzchnikowi tak rozległego królestwa winszuje i życzy tego zaszczytu, jako też za stosowne uważa, by on sobie tam gdzie należy, to jest u stolicy apostolskiej, wyjednał kościelne potwierdzenie tego tytułu władzy. Takie były przyznania Ottona polityczne. W zakresie rzeczy kościelnych orzekł cesarz samoistną i tylko samym papieżom podporządko-

waną udzielność hierarchii polskiej, zakładając wespół z Bolesławem jako panującym miejscowym metropolitalne na całą Polskę arcybiskupstwo w Gnieźnie, któremu poddane zostały katedry biskupie, także wtedy dopiero wchodzące w życie, w Krakowie, Wrocławiu i Kołobrzegu pomorskim, a zatem wszystkie polskie biskupstwa prócz jednego poznańskiego; to bowiem jako już przy założeniu swojem wcielone do magdeburskiej (w sensie kościelnym) prowincyi, nie mogło bez poprzedniego zgodzenia się na to arcybiskupa tej metropolii tak na razie być wyjętem z tego stosunku.

Założenie owych biskupstw — miał to być ostatni akt interwencyi cesarskiej w rzeczach naszych kościelnych. Równocześnie przelał bowiem cesarz ten prawa, jakie miał względem kraju naszego w tym właśnie charakterze rękojemcy i protektora stolicy apostolskiej — na Bolesława: by ich tenże odtąd sam jeden używał »nie tylko na cały obecny rozmiar państwa swojego, ale i na mogący się w przyszłości jeszcze bardziej powiększyć podbojem ziem barbarzyńskich obszar tego królestwa« [1]).

A zatem przyznane zostało Polsce przy owej sposobności prawo dalszego szerzenia granic swoich przez podbój, wcielenie do niej bałwochwalczych jeszcze plemion sąsiednich i zakładania tam biskupstw — nie narażając się przeto na zatargi z państwem niemieckiem. Widocznie miała ta w powyższy sposób za udzielną

[1]) »Insuper etiam in ecclesiasticis honoribus quidquid ad imperium (t. j. do władzy cesarskiej) pertinebat, in regno Polonorum vel in aliis superatis ab eo (od Bolesława) *vel superandis regionibus barbarorum* suae (Bolesławowej) potestati concessit«. Wyrazy Galla, ale widocznie nie jego własne, przynajmniej nie jego stylem oddane; zdają się bowiem być literalnie wyjęte z dokumentu zatwierdzenia tych układów gnieźnieńskich, dokonanego wkrótce potem, jak to nadmienia tenże kronikarz, przez papieża Sylwestra II. »Monum. Polon.« I 401.

uznana monarchia Bolesławowa z woli tego cesarza przejąć na siebie tęsamę rolę na Wschodzie, jakiej ciężar na wszystkie strony dotąd dźwigało imperium katolickie zachodnie — w stosunku do ludów dla świata chrześcijańskiego jeszcze niepozyskanych. W tymto sensie rzekł Otto Bolesławowi: jesteś bratem moim i współpracownikiem cesarstwa.

I jakież były wyniki tego wielkiego przyznania? — Niestety, nieodpowiednie oczekiwaniu.

Już we dwa lata po tej pielgrzymce cesarskiej do grobu wojciechowego zamknęło się i nad szlachetnym Ottonem wieko grobowe. Zgasnął w pierwszym kwiecie dni swoich. Z nim razem rozwiały się w nicość idealne jego marzenia. Nowy cesarz, Henryk II (1002 do 1024), choć w dziejach nazywany »Pobożnym«, »Świętym«: okazał się wolnym od takich illuzyi, pojmował znaczenie swojej władzy praktycznie, oparł dążność rządów swoich, jak się wyraził nowoczesny historyk, *auf dem Boden der thatsächlichen Verhältnisse*, to znaczy: na tradycyjnych torach polityki zachłannej. A król polski uczynił też ze swojej strony wszystko, ażeby mu to ułatwić, aby go do tego zachęcić — postarał się o to samochcąc, aby ten nawrót na poziom realizmu i udrów narodowych nastąpił bez żadnej zwłoki.

Z żalem przychodzi mi wyznać, że nie widzę się w możności iść ręka w rękę z tradycyjnym sądem dziejowym o całym tym 16-letnim okresie panowania Bolesława Chrobrego, którego początek właśnie tu mamy przed sobą. Historyografia nasza upatruje w tem wielki tryumf, że Polska ówczesna potrafiła przez tyle lat dźwigać na sobie ciężar wojny z całym ogromem cesarstwa, i że wyszła z tej walki bez szwanku, nawet z pokojem zaszczytnym. W wyprawie kijowskiej — także widzi szczyt sławy i wielkości tego króla naszego... Zapewne, obrazy to wspaniałe! Lecz przedmiotowa, ścisła, z politycznego punktu widzenia oceniająca

czyny panujących krytyka historyczna olśniewać oczu swoich nie może ubocznym, przypadkowym, nietrwałym, pozbawionym politycznych następstw sukcesem poetycznym. Jej rzeczą — wiązać początek z końcem, pozytywne wyniki wielkich przedsięwzięć dziejowych mierzyć celami, dla których one podjęte zostały; niestosunek między nimi, gdzie takowy zachodzi, objąć wzrokiem w całej prawdzie, nie obrzucając go tem kwieciem złudnych pozorów, które w historyi tylko wypaczają pojęcia. Jej rzeczą, orzec na tle danych okoliczności, dlaczego się czyn zamierzony nie powiódł i czy miał on w sobie warunki choćby tylko możliwości przeprowadzenia? — Jeżeli na kartach następnych, właśnie z tego punktu widzenia roztrząsnę przedmiot tu poruszony i dojdę do mniej dodatnich wyników; jeżeli będę zmuszony nazwać wogóle to całe 16-lecie okresem prób i doświadczeń skutkiem nie uwieńczonych i takich, że jeżeli się one nie skończyły wyraźnemi klęskami, to tylko zawdzięczać to mamy indywidualnej dzielności monarchy, który wiódł naród nad tą krawędzią przepaści: niechże mi nikt nie zarzuci, że odzieram przeszłość naszę z uroku. Nam na sztucznym uroku przeszłości nic nie może zależeć. Dążmy ku temu, byśmy ją taką, jaką ona była znali, byśmy ją r o z u m i e l i i żeby prawda zawsze świadczyła za sądem naszym. Zresztą zastrzec się też muszę, że równie daleki jestem od owej poziomej i małoduszne doktryny, która o wartości czynów wielkiego człowieka wedle tego tylko orzeka, czy mu się co udało czy nie powiodło, jak od chętki występowania z zarzutami przeciw indywidualnościom odległych epok. Na bezowocne Bolesława wysiłki w ciągu lat 1002—1019 złożyły się zresztą i niezawisłe od woli jego czynniki, które leżały głębiej: niedoświadczenie narodu zbyt jeszcze młodocianego i zbyt świeżego na widowni dziejowej, by już rozumiał, co w działaniu politycznem możliwe; przecenianie sił własnych, tak naturalne w sku-

tek powodzeń poprzednich; sangwinizm nasz, który rachunku politycznego do dziś dnia się nie nauczył; dziwny nakoniec fatalizm w samym zbiegu zewnętrznych okoliczności.

Było to po takich początkach panowania tylko naturalnem w położeniu Bolesława I, że chciał iść i dalej jeszcze w rozwinięciu potęgi swojej. Było to zupełnie w duchu instynktu narodowego, że odsunął od siebie myśl podboju takich z Polską ówczesną o miedzę graniczących ludności, które (jak Prusy albo Jadźwingi) nic z nią nie miały wspólnego oprócz granicy. Było to prostem następstwem logicznem zapatrywań w duchu powyższym, że zamarzył Chrobry o stworzeniu wielkiego państwa z samych naturą rzeczy zbliżonych, a więc pobratymczych żywiołów. Polska ówczesna miała w samej rzeczy zadanie, które z tym wymarzonym programem aż do pewnego przynajmniej kresu mogło iść w parze — miała zadanie uczynienia wszystkiego, co tylko mogła, w stosunku do Słowiańszczyzny zachodniej, by ją wprowadzić na tory dziejowego żywota. Ściąga się, co tu mówię, mianowicie do tej jej części, która zaludniała dzisiejsze północne Niemcy od bałtyckiego nadbrzeża aż po linię równolegle do niego w myśli poprowadzoną mniej więcej przez okolicę dzisiejszego Berlina, to jest do części lutyckiej. I w owych latach, jak wiekiem pierwej, była to ciągle jeszcze bałwochwalcza kraina. Społecznie — nie wychyliła się ona i teraz z poza pomroki przeddziejowego bytu. Wszystkie owe narowy i niedostatki, dla których nie mogło się z tego materyału przez tyle wieków nigdy jednolite polityczne, większe ciało wytworzyć, broiły w łonie tej licznej ludności i wtedy taksamo jeszcze, jak kiedykolwiek. Na pozór wprawdzie używała ona chwilowo o tyle lepszej teraz niż dawniej doli, że strząsnęła z siebie prawie na wszystkich punktach panowanie niemieckie i żyła od niejakiego czasu w faktycznej prawie niezawisłości. Stan ten jednak nie

mógł być trwałym. Przy wyraźnym rozkładzie, jakiemu już podlegać zaczął organizm tej ruchawicy społecznej — obce rządy musiały do kraju tego wrócić prędzej czy później i wnieść doń z sobą idee, które owładnęły już światem. Otóż wszystko składało się na to, żeby owe idee wniosła polska ręka na tę ziemię słowiańską. Mimo nienawiści ku Polakom, która co najmniej od chrztu Mieczysława począwszy była tu już tradycyjną, wcielenie tego narodu do Polski zapewniało mu i nadal jego szczepową odrębność. Polska byłaby zyskała na tym podboju przyrost terytoryalny, któryby pod każdym względem zaspokoić był w stanie i jak najdalej posuniętą ambicyę panującego. Zawiść niemiecka, nawet pod rządami Henryka II, nie byłaby miała powodu bróździć wszystkiemi siłami przeciw szerzeniu się Polski w tej stronie, boć przecież kraje te więcej już wtedy kłopotu cesarstwu sprawiały, aniżeli przynosiły pożytku. Zresztą gnieźnieński z r. 1000 układ Bolesława z Ottonem przyznawał królowi temu prawo anneksyi »barbarzyńskich krain«, a do takich jeżeli która, to ta właśnie część Słowiańszczyzny i w przekonaniu Ottona niewątpliwie mogła się liczyć.

Trudno pojąć, dlaczego nie przystąpił Bolesław z tej właśnie strony do przeprowadzenia w życie swoich zamysłów, dlaczego wolał je począć w sposób, który nań ściągnął zaciętą wojnę z całem państwem niemieckiem.

Z południa plemion lutyckich, między ową linią berlińską a granicą czeską, zalegały obszary serbskiej ludności, pochodzeniem bliższej Czechom, skłonnościami z dawien dawna więcej Polsce przychylnej. W tamtoczesnych bowiem stosunkach nie rządziło usposobieniem ludów słowiańskich poczucie bliższego albo dalszego pokrewieństwa narodowego, ale sam tylko stopień sąsiedzkiego zbliżenia. Im ościenniej się z kim sąsiadowało, tem bardziej się niecierpiało tego sąsiada, a z kim się było przegrodzonym jaką pośrednią dzier-

żawą, z tym się zwykle utrzymywało stosunki. Lutycy równie nie lubili Polaków, choć językiem byli im bliżsi, jak Obotrytów i Serbów, z którymi graniczyli o miedzę, a natomiast trzymali zawsze z Czechami. Czechów znowu niecierpieli Serbowie, a przechylali się do naszego narodu, podzielając jego antagonizm i względem ościennego sobie lutyckiego odłamu. Być bardzo może, że właśnie ta życzliwość Serbów dla Polski była powodem, że od nichto postanowił sobie Bolesław Chrobry zacząć podbój zachodniego Słowiaństwa. Przyczyczyniła się też do tego pewnie zarówno i chęć — przyjścia naraz do gotowego. U Lutyków, Wilków, Hawelan, Obotrytów i t. d., którzy z przyczyn powyżej wyłuszczonych najwłaściwiej postawieni być mogli na pierwszej linii jego programu, trzeba było dopiero stworzyć to wszystko, co się zwać może chrześcijańskim, politycznym pierwiastkiem i żywiołem cywilizacyi. U Serbów zielenił się już podrost tego zasiewu. Stanowiła bowiem ta ludność główną miazgę w organizmie Wschodniej marchii owego niegdyś Gerona, który tak zmyślnie umiał trzymać w szachu książątka władzy swojej poddane. Zaprowadził on tam wszędzie ład i porządek w sensie niemieckim. A chociaż po śmierci tego margrabi (c. 967) rozpadła się była jednota tego marchijskiego ustroju na kilka cząstek drobniejszych, przechodziła przez różne ręce, nakoniec się przekształciła w trzy znowu większe margrabstwa: łużyckie, miśnijskie i (późniejsze brandeburskie czyli wtedy tak zwaną) Altmark: to stała tam jednak mimo tego wszystkiego władza niemiecka zawsze warownie — z wyjątkiem chyba brandeburskiej dzielnicy; w skutek czego też i chrześcijaństwo nawet zdołało tak w Łużycach, jak i Miśnii silne już zapuścić korzenie.

Ale właśnie dla tych przyczyn mogły też słusznie obydwa te margrabstwa uchodzić w oczach niemieckich za prowincye zupełnie już pozyskane i zapewnione władzy cesarskiej. Jakoż pod tytułem formal-

nych lenności niemieckiego imperyum dzierżyli je za dni Bolesława ich niemieccy zwierzchnicy.

Owoż właśnie od zajęcia tychto dwóch dzielnic, Łużyc włącznie z ziemią Milską (około Budyszyna) i Miśnii, zaczął Chrobry wkroczenie swoje w stosunki zachodniej Słowiańszczyzny. Wykonał na te dzierżawy najazd niespodziewany zaraz po zgonie Ottona III (1002), zanim jeszcze przeprowadzony został obiór jego następcy. I dopiero kiedy wszystkie ważniejsze twierdze, na całej tej przestrzeni krajów między Odrą a Elsterą i Salą, poobsadzane już były załogami polskiemi, stawił się przed co tylko obranym Henrykiem II z licznym orszakiem — na walnym zjeździe merseburskim (czerwiec r. 1002) — aby za wielką sumę pieniędzy i przez nacisk dokonanego już czynu wymusić na nowym cesarzu przychylenie się do wszystkiego, co się stało przed jego na tron wstąpieniem.

Oczywiście dziwić się temu nie będziem, że omyliła Chrobrego nadzieja, z jaką na dwór cesarza przyjechał. Henryk nie mógł w żaden sposób, nie przegrawszy żadnej bitwy, zaczynać panowania swojego od takiej przysługi państwu, którego całość powierzono jego opiece. Nacisk okoliczności wymógł wprawdzie na nim pewne ustępstwo — oznajmienie, że pozostawia królowi polskiemu Łużyce wraz z ziemią Milską; co do Miśnii jednak rozbiły się zupełnie układy. Ta marchia przeszła, zaraz na tymże zjeździe, w ręce jakiegoś Guncelina, »brata« (może tylko krewniaka) Bolesława naszego, z zastrzeżeniem wszakże lenniczego tylko tytułu władzy. Zdaje się, że i Bolesławowi pod takim tylko warunkiem oddane zostały Łużyce, choć co do tego punktu dzieje żadnych zgoła objaśnień nie dostarczają.

Na początek można było i w tem już upatrywać istotną korzyść. Feudalny tytuł władzy nad Łużycami przy zręcznej polityce mógł był z czasem przemienić się w inny stosunek. Kiedyś i Miśnia byłaby może zrosła napowrót z tamtą prowincyą. Cóż, kiedy cho-

dziło koniecznie o przeparcie wszystkiego naraz — a do podżegnięcia tajonej jeszcze wtedy niechęci przyczynił się i fatalizm zajścia przypadkowego, które zaszczepiło w sercach obu monarchów na całe życie osobistą nienawiść. Już przy wyjeździe króla polskiego z zamku merseburskiego dopuścił się jakiś tłum pospólstwa czy żołdactwa niespodzianej napaści na jego orszak. Do przelewu krwi nie przyszło, ale poczytał Bolesław wybryk ten poddanych cesarskich za zamach wymierzony na własną swoję osobę, w czem zapewne się nie pomylił, a ukartowanie tego zamachu przypisał — trudno dziś sądzić, o ile słusznie — Henrykowi samemu.

Pod tem wrażeniem, z uczuciem otrzymanej obelgi — przebył cały swój odwrót do Łużyc, odgrażając się już jawnie przeciwko cesarzowi, buntując mu jego poddanych, niszcząc po drodze miasta niemieckie.

I trzeba było jeszcze jednego wypadku, żeby ten tlejący w iskrze już ogień rozżarzył się w łunę jaskrawą. Zajęcie tronu czeskiego, które nastąpiło w ośm miesięcy po tej merseburskiej przygodzie, miało być tym wypadkiem.

Niezdolność i okrucieństwa ówczesnego księcia czeskiego Bolesława III nazywanego w historyi Rudym, ośmieliły pod owe czasy poddanych jego do wypowiedzenia mu posłuszeństwa. Rudy musiał szukać ocalenia w ucieczce. Na jego miejsce przyzwany został przez panów czeskich dalszy jakiś, jak przypuszczać należy, krewny rodziny tam panującej, który przypadkowo bawił w tych czasach w Polsce, imieniem Włodowej, książę z tego tylko pamiętny w dziejach swego narodu, że się bez kielicha w ręku nie mógł obyć ani godziny i że w międzynarodowym stosunku dokonał aktu politycznego, którego następstwa trwają aż do chwili obecnej. Ażeby się utrzymać na tym tronie nieprawowicie sobie oddanym — mieli bowiem lepsze do niego prawo dwaj bracia rodzeni Bolesława Rudego, Jaromir i Ulryk, a i Rudy mógł mu jeszcze być nie-

bezpiecznym — powziął Włodowej postanowienie oddać się pod rękojemstwo i opiekę Henryka niemieckiego, jako wasal z całym swym krajem zaprzysięgający mu wierność. Jakoż zaraz po osiągnięciu mitry książęcej, przywiódł to postanowienie do skutku na zjeździe ratysbońskim, mało co później od owego merseburskiego (w listopadzie roku 1002) odbytym, składając dobrowolnie cesarzowi Henrykowi II hołd feudalny i przyjmując z ręki jego Czechy jako lenno cesarskie. W takito sposób i w owej dopiero chwili stało się to samoistne, jakkolwiek dannicze aż dotąd księstwo, integralną na wieczne czasy częścią i lennością Rzeszy niemieckiej [1]).

Cesarz zapewnił wprawdzie hołdownikowi swojemu trwałość władzy za cenę tę okupionej, ale życia długiego — tego nie mógł pijakowi zapewnić. Zaskoczyła śmierć przedwczesna Włodoweja już we dwa czy trzy

[1]) Nie można zbytecznie dziwić się historykom czeskim, że nieradzi, jak się zdaje, z tego wnijścia swego narodu w poczet niemieckich feudów, uczepili się oburącz konceptu przez Pelzla zapewne najprzód wygłoszonego. Ażeby uchylić z swego narodu odpowiedzialność za to hołdownictwo Włodowejowe, powtarzają jeden za drugim, że Włodowej był Polak, brat rodzony Bolesława Chrobrego — dlatego powołany do władzy w Czechach, ponieważ był synem Dubrawy. Tem bardziej zato dziwić się trzeba, że i niektórzy polscy dziejopisowie od Naruszewicza począwszy, bezmyślnie tosamo za nimi prawią... Żeby Włodowej był bratem Chrobrego, a choćby tylko z urodzenia Polakiem, na to niema nawet śladu dowodu w źródłach dziejowych ani czeskich ani polskich ani niemieckich. Owszem uboczne okoliczności, przez współczesnego Diethmara (ks. V, 15) przy tej sposobności podane, upoważniają do twierdzenia, że jest to wymysł, co się zowie wyssany z palca. I za taki go też już poczytali krytycy niemieccy. Wszystko się tu na tem tylko opiera, że w owej chwili, gdy Włodoweja powoływano do zajęcia tronu czeskiego, bawił ten książę w naszym kraju. Jakgdyby na gościnnym dworze króla polskiego nie byli mogli przebywać i postronni książęta, a zwłaszcza też krewniacy, jakimi byli względem Bolesława naszego wszyscy członkowie dynastyi Przemyślidów czeskich.

najdalej miesiące po dokonaniu aktu ratysbońskiego, w styczniu roku 1003. To umożliwiło powrót do kraju i do tronu czeskiego wygnanemu Bolesławowi Rudemu. Że go zaś teraz odzyskał, wbrew życzeniom swego narodu: miał to do zawdzięczenia jedynie ciotecznemu bratu swojemu, u którego w ostatnich miesiącach życia tamtego krewniaka gościnny znalazł przytułek — królowi polskiemu Bolesławowi. Przyprowadził go ten bowiem osobiście teraz do Pragi i posłuszeństwo dla niego całej ludności praskiej nakazał. Owoż ta interwencya Chrobrego w sprawy nie swoje miała wydać złe owoce dla nich obydwóch. Doznana przeciwność losu nie nauczyła bowiem bynajmniej czeskiego księcia rozumu: już po kilku tygodniach tych ponownych swych rządów nad przejednanym narodem posunął on tam rzeczy do takiej ostateczności, że Czesi, do rozpaczy doprowadzeni, ażeby się raz na zawsze pozbyć tyrana, zażądali pomocy przeciwko niemu od własnego jego obrońcy. Bolesław przybywa na miejsce, staje tym razem po stronie uciemiężonych. Dozwala, a raczej nie przeszkadza narodowi, postąpić sobie z okrutnikiem, jak im się podobało (oślepiony i wywieziony gdzieś daleko został ten książę czeski przez własnych swoich poddanych) — a po tym akcie wymiaru sprawiedliwości ludowej, wdzięczni Czesi za tę pomoc w ich zawikłaniach domowych, zapraszają z własnej inicyatywy na tron, w ten sposób opróżniony... polskiego króla.

Ani się marzyć mogło Bolesławowi naszemu w chwili, kiedy przyjmował ten dar fatalny, jak sobie przez to całe położenie utrudniał, w jaką matnię po tem wszystkiem, co w stosunku księstwa czeskiego do cesarstwa i w stosunku do niego samego poprzednio zaszło, w jaką trudność powtarzam wchodził, jeżeli się nie chciał wyrzec swej doraźności w działaniu, wyniosłości w uroszczeniach, nienawiści przeciw osobie cesarskiej. Księstwo czeskie było rzeczywiście gorzej jak darem fatalnym — było dla niego psychologicznem

niepodobieństwem. Wprawdzie samito Czesi zażądali, by król polski objął rządy nad nimi. Wprawdzie były po stronie Bolesława pewne prawa dziedziczne do tego księstwa, bo wszakże po kądzieli i on z Przemyślidów pochodził. Fakt objęcia władzy, rzecz najważniejsza, był już spełnionym. A przecież, mimo tego wszystkiego, połączenie narodu tego z Polską było w danych okolicznościach utopią. Nie dlatego, że jak się wyżej już okazało, przyrodzona polityczna waga naszej monarchii ciężyła wtedy ku Zachodowi; nie dlatego, że podobny zlew dwóch już w tym stopniu politycznie sformowanych i wyosobnionych ludów należy w historyi do przykładów co najmniej fenomenalnych; nie dlatego, że naród czeski jak mało który drugi był wtedy z charakteru wichrowaty w swoich zachceniach; nie dlatego, że dwaj bracia rodzeni oślepionego Rudego, którzy lepsze do spadku po nim mieli prawa, niż nasz Bolesław, już rozpoczynali zabiegi, jakie tylko były w ich mocy, żeby przyspieszyć w Pradze powianie innego wiatru. Ale dlatego to nazwałem niepodobieństwem, że księstwo Włodoweja od czasu spełnionego hołdu Henrykowi II w roku poprzednim, już się musiało prawowicie poczytywać za lenność Rzeszy, a tron czeski za beneficyum niemieckie, które osięgnąć można było tylko z ręki i łaski owego cesarza, którego Bolesław tak nienawidził — na warunkach, które inny monarcha, przebieglejszy w politycznych kabałach, zdolniejszy do wyczekiwań, skłonniejszy do maskowania zamiarów rzeczywistych, a udawania uczuć tym zamiarom przeciwnych, byłby pewnie z wdzięcznością przyjął i może z nieobliczonym dla stron obydwóch, czeskiej i polskiej pożytkiem, czy to zaraz, czy bodaj kiedyś — czy to sam, czy przez którego z swoich następców spożytkować potrafił. Lecz nasz Bolesław nie posiadał takich przymiotów. Jego program brzmiał węzłowato i jasno — zdobywać kraje i panować w nich jak w udzielnych.

Z takim programem położenie ówczesnego księcia czeskiego nie dawało się w żaden sposób pogodzić.

Kiedy przeto przyszło od Henryka II niezadługo oznajmienie do Pragi, że mu nie tylko Łużyce, ale nawet i księstwo Czeskie zostawi w posiadaniu spokojnem — lecz nie inaczej, jak na warunkach, w jakich je znalazł, to jest jako lenność cesarską: odtrącił dumnie Chrobry to orędzie cesarskie i odpowiedział, że posiada już czeskie księstwo i że je dzierży swem własnem prawem. Tą odpowiedzią dokonał rzeczy, którą nazwać można spaleniem za sobą wszystkich mostów. Sprawa stanęła na ostrzu miecza — i nastąpiło, co musiało w danych okolicznościach nastąpić.

Panowanie nad czeskiem księstwem trwało tedy tylko półtora roku. Skończyło się... bądź co bądź niezaszczytnym odwrotem z Pragi, wymuszonym nieprzewidzianą przez Bolesława zdradą tego burzliwego narodu. Uknuli Prażanie wiarołomnie to sprzysiężenie przeciw monarsze, którego sami niedawno temu do stolicy swojej ściągnęli, zanim jeszcze przyszło do stanowczego zerwania i starcia z cesarzem, (w początku września r. 1004).

Zawojowana w tych samych czasach i zatrzymana nawet po tej katastrofie w rękach polskich (aż do śmierci Chrobrego) połowa Moraw — drugą połowę dzierżyli Węgrzy — nie mogła być uważaną za korzyść równoważącą doznanemu upokorzeniu. Starania ciągle w tych latach ponawiane w Rzymie o koronacyę królewską, które gdyby były wydały doraźny skutek, byłyby się mogły w części przyczynić, i to może nawet w oczach czeskich poddanych, do podniesienia uroku tej potężnej osobistości — i te także musiały chybić. Pobożny niemiecki Henryk posiadał aż nadto środków, żeby wpłynąć na kuryę rzymską w duchu przeciwnym. A krwawe wysiłki 14-letniej odtąd wojny (1005—1018), prowadzonej w skutek tego wszystkiego już z konieczności z całem państwem niemieckiem —

odsunąwszy na bok magiczne światło bohaterstwa nieznękanego żadnem niepowodzeniem, a tak często odnoszącego nawet niewątpliwe nad silniejszym przeciwnikiem korzyści, przyniosły ten tylko rzetelny skutek, że się Bolesław wreszcie dowiedział, że zbyt dzielnym jest wodzem, by się dać pobić Niemcowi, lecz królem państwa zbyt jeszcze niezasobnego, by jego rzucić na ziemię i wymusić od niego ustępstwa, które były celem walki. Wojna ta zatem, mimo całej tak imponującej świetności, zmitrężyła tylko siły tego genialnego człowieka i zajęła bezowocnie najdzielniejszą część jego życia. Traktat Budyszyński (1018) zwrócił, a raczej pozostawił rzeczy na punkcie, na którymeśmy stali jeszcze w r. 1002. Łużyce z Budyszynem pozostały przy Polsce pod nieokreślonym jasno, to jest przez obie strony po swojemu wykładanym tytułem. Miśnii cesarz nie odstąpił. Lubusz z przyległościami za Odrą, zajętemi w r. 1012 — ten nam wprawdzie przyznano; ale zato odpadło w tymże czasie w bałwochwalstwo napowrót i w niezawisłość pozyskane przed r. jeszcze 997 Pomorze, a wśród trudów wojny postronnej nie było tak zaraz na to sposobu, żeby zaradzić stracie tej tak nieskończenie ważnej, bo nadmorskiej prowincyi.

Ale te wszystkie bezskuteczności wysileń są jeszcze niczem w porównaniu z największą szkodą, jaka z nich pośrednio w dalszem następstwie wynikła — z wyprawą kijowską.

Nie znamy wprawdzie wszystkich pobudek, które skłonić mogły Chrobrego do powzięcia zamiaru zawojowania księstwa ruskiego (z którem już w poprzednich latach, np. w r. 1013, miał zatargi załatwiane wojennie) i do postanowienia wcielenia Kijowa do dzierżaw swojej monarchii. Że jednak ta największa z wszystkich powziętych przezeń utopii rzeczywiście stała w r. 1018 na jego programie — to jest jasnem dla każdego, kto wszystkie szczegóły 10-miesięcznego jego pobytu w tej stolicy ruskiej rozważy. Że to zaś było

w ścisłym związku z wojną niemiecką, że było prostym tylko tej co tylko ukończonej wojny wynikiem: o tem przekonać może samo zestawienie wypadków. Dobijanie się władzy nad zachodnim słowiańskim światem (źle rozpoczęte) nie doprowadziło do celu; nadzieja wcielenia do Polski czeskiego księstwa chybiła; a więc — »dajmy pokój wstrętnemu Zachodowi, niech sobie nad nim Niemiec panuje! my połóżmy rękę naszą na innem królestwie, obróćmy oręż w przeciwną stronę, gdzie pragnienie przyjścia naraz do gotowego łatwiej się da osięgnąć — idźmy wyszczerbić ten oręż... na żelaznej bramie kijowskiej!« — Takie były w każdym razie główne motywa najazdu Rusi.

I został zajęty gród ten Włodzimierza W. (1018). Poddało się księstwo ruskie swojemu zwycięzcy — mógł z niego Bolesław na wszystkie strony dumne rozsyłać poselstwa — mógł przy wyjeździe z Kijowa w roku następnym uprowadzić z sobą z niego skarby bajeczne i wierzyć, że na tronie tamtejszym siedzi zięć jego jako namiestnik... Niedaleka przyszłość miała okazać, że to były znowu tylko marzenia. Co w nich było opartego na przyrodzonych warunkach, to pozostało — lechicka ziemia od Sanu aż do Seretu, którą był zdobył i do państwa swego przyłączył Włodzimierz W., a Chrobry ją w r. 1019 ciągnąc do własnego kraju z powrotem, obsadził załogami polskiemi. Lecz Kijów — okazał się fantazmatem.

I nie byłoby też powodu ubolewać nad tym tak wspaniałym epizodem epopei panowania bohatera naszego. Boć szkody, klęski, straty przytem żadnej nie poniesiono. Owszem, sława, zdobycz bogata, dowiedziona przewaga męstwa Polaków — wynagrodziły sowicie trudy podjęte. Na nieszczęście, właśnie ta pozorna świetność wyprawy kijowskiej stanowi ujemną, wręcz złowieszczą stronę tego dziejowego wypadku. Przez całe dzieje polskie już potem snuje się jak nić czerwona ta nieszczęśliwa idea, że co się straciło, lub

czego się nie dopięło, w stosunku do zachodniego sąsiada, który się ciągle wpijał i wżerał w nasze wnętrzności — to nam odbijać należy na pograniczach wschodnich. Następstwa tej obłędnej dążności do dziś dnia utrudniają, łamią, niweczą, obrzydzają nam niestety nasze trudy społeczne! Otoż pierwsze zainaugurowanie tej polityki fatalnej było mimowolnem — nie zamierzonem wprawdzie, ale przecież spełnionem dziełem chrobrego króla naszego. Jego szczerbiec, jego — jak je ograniczeni kronikarze nazwali, słupy żelazne, bite w łożysku Dniepru i Elby i Sali, nie przestały już zatrudniać fantazyi potomnego narodu. Od Elby wprawdzie i Sali stroniliśmy przez wszystkie wieki następne, bo tam była twarda przeprawa. Tem chętniej zato sunęliśmy się ku pochyłemu Dnieprowi. Całe ciążenie Polski z czasem ku Wschodowi się przechyliło. Wielu historyków naszych to sławi! Czy słusznie? Spytajmy o to Szląsk i Pomorze i te mogiły słowiańskie, na których się dziś rozłożyły stolice Niemiec północnych. Spytajmy o to wreszcie i nasze położenie obecne...

Fantazyjna ta polityka Bolesława I jednakże nie miała aż do końca dni jego zaprzątać jego umysłu. Jak początek rządów tego prawdziwego założyciela Polski jako mocarstwa zapełniony był czynami trwałej wartości: tak też i koniec tego panowania (1019—1025) ukazuje nam w nim znowu monarchę, do moralnej wysokości którego prócz Krzywoustego i Łokietka, żaden z Piastów wznieść się już nie potrafił. Zawód doznany na fantazmacie ruskim, krótko po powrocie z Kijowa [1]), odsłonił przed nim nadaremność wszystkich podobnych

[1]) Rozumiem przez to przeniewierstwo, jakiego się pozostawiony na tronie kijowskim przez Bolesława naszego zięć jego Świętopełk w r. 1019 dopuścił, dając rozkaz pomordowania Lachów, którzy stanowili załogę w stolicy ruskiej, dla jego własnego bezpieczeństwa tam pozostawioną. Zaraz potem odebrał mu władzę książęcą brat jego Jarosław, który Świętopełka wypędził, a do

przedsięwzięć. Była to ostatnia jego próba dobijania się o królestwa odległe, o państwa, których i przeszłość i duch nie miały z jego narodem przyrodzonej wspólności. Zrozumiał teraz Bolesław, że zadaniem fundatora państw i narodów — tworzyć samemu podwaliny ich wielkości, wyrabiać i wywodzić z elementarnej nicości politycznej materyał zamierzonej budowy, nie zaś zagarniać, co inni — sobie, nie komu w takiż sposób stworzyli. Duchowe, moralne, stopniowe i organiczne czyny, zdobycze w zakresie żywiołów okolicznych, najbliższych, oto co stało się odtąd hasłem zbawczych działań Bolesławowych: teorya dosięgania wszystkiego naraz i przychodzenia łatwym kosztem do gotowego już żniwa, poszła w odstawkę.

Ubolewać nam należy, że tak mało nam są znane właśnie te lata ostatniej pracy i dojrzałej myśli wielkiego tego króla. Uszły one równie baczności krajowych bliskoczesnych mu spisywaczy roczników, z których potem kronikarze osnowę dziejów (jak umieli) klecili, jak i postronnych dziejopisów współczesnych, do wiedzy których te niejaskrawe już czyny w zbyt oddalonym narodzie albo wcale nie dochodziły albo żywszego nie obudzały zajęcia. Zmuszeni jesteśmy odgadywać prawie w tym okresie dążność rządów Chrobrego, odtwarzać sobie program jego działania z odosobnionych zdarzeń, zaledwie się dostrzec dających, z zdarzeń zapomnianych przez potomność, niewiadomych czyimi właściwie były czynami, jakby martwych i napowietrznych, dopóki się na nie nie spojrzy z punktu widzenia, który je wszystkie razem połączone widzieć daje i na gruncie chwili domyślnej osadza.

Zamierzono sobie teraz przedewszystkiem odzyskać straconą ziemię Pomorską. Podbić ją mieczem i narzuconem na karki jarzmem, nie wystarczało. Posiew

---

żadnych stosunków podległości względem króla polskiego wcale się nie myślał poczuwać.

trwały chrześcijaństwa i moralny wpływ ducha polskiego, oto co miało stworzyć pomost do społecznego przyswojenia sobie tej zdziczałej ludności, i taki tylko jej powrót uznano za pożądany. Wynikło z tego postanowienie wznowienia biskupstwa Kołobrzeskiego, które (zapewne jeszcze przed rokiem 1013) przy powszechnym powrocie Pomorzan do bałwochwalstwa upadło. Biskup Reinbern, osadzony na tej katedrze w r. 1000, był w ogóle jedynym biskupem tej dyecezyi. Po jego śmierci, którą około roku 1013 z niewiadomych nam powodów znalazł w więzieniu kijowskiem jako jeden z orszaku córy Bolesława naszego, wydanej w owym czasie za Świętopełka, syna Włodzimierza W. nie można już było nowego pasterza do tej dyecezyi posyłać. Otóż teraz, po ukończeniu zawieruchy wojennej, przyszła pora podniesienia na nowo tej tak nieskończenie ważnej strażnicy religijnego i cywilizacyjnego działania na północnych kończynach Polski. Nie osadzono jej już jednakże na podmulonym gruncie pomorskim, nie w Kołobrzegu — lecz na rdzennie polskich kresach, na chrześcijańskiej już ziemi, w bezpiecznej, bo własnej starej kujawskiej twierdzy Kruszwickiej. Biskupstwo to, wyposażone skrawkiem gnieźnieńskiej dyecezyi, a rozciągnąć mające właściwe swe terrytoryum aż do samego Bałtyku i uścia Odry, było tedy wznowieniem tylko dawnej kołobrzeskiej fundacyi; lecz otrzymało teraz charakter kresowy, cywilizacyjno-zdobywczy, marchijski i misyonarski — ani zaś wątpić nie można, że z tem religijnem zadaniem szło ręka w rękę także i polityczne [1]).

Drugim takim krokiem, skierowanym ku ustaleniu

[1]) Dowodów na poparcie tego zapatrywania na początek, czas założenia i znaczenie ówczesne Kruszwickiego biskupstwa, udzieliłem przy innej sposobności. Usprawiedliwiam tam także i twierdzenia moje co do innych biskupstw, które tu wypowiadam, a w którychto biskupstw założeniu widzę więcej jeszcze politycznych zamiarów, aniżeli kościelnych.

wewnętrznego ładu w królestwie i stosunkach jego kościelnych, było wydobycie Poznańskiego biskupstwa z organizmu zagranicznego, z pod Magdeburga, i wcielenie go do całości polskiego kościoła, do metropolii gnieźnieńskiej. Kiedy to zaszło — w przybliżeniu chyba tylko można oznaczyć. Przed r. 1012 niezawodnie nie. Drugi z porządku bowiem biskup poznański Unger, wiadomo, że zakończył życie jako sufragan jeszcze magdeburskiej archidyecezyi, a zgon Ungera przypada na rok 1012. Czy zaś zaraz po jego śmierci, czy w kilka lub dopiero w kilkanaście lat później (po budyszyńskim traktacie r. 1018) przyszło do tej zmiany stosunków, o tem nie powiadamiają nas dzieje. W każdym razie jednak uważać można za pewne, że wprowadzenie w życie kruszwickiej fundacyi było wcześniejszym wypadkiem, aniżeli to poddanie poznańskiej katedry pod gnieźnieńską. I właśnie z tego powodu musimy koniecznie wnosić, że stało się to wszystko w ostatniej dopiero epoce życia Chrobrego.

Trzecim czynem tegosamego rodzaju, lecz doniosłości (w zamiarze!) nierównie większej, było założenie biskupstwa w zdobytym na Niemcach Lubuszu nad Odrą. Z którego roku datuje ta fundacya — dzieje i tego nie orzekają. Oczywiście przed budyszyńskim traktatem ona powstać nie mogła; nie byłaby mu bowiem stolica apostolska udzieliła zatwierdzenia swojego, gdyby miasto, w którem je zakładano, należało jeszcze do gruntów spornych i tylko faktyczną mocą oręża posiadanych przez Polskę. A więc i ta kreacya kościelna przypada na ostatni dopiero okres życia założyciela. Wzniesione na samych zachodnich kresach państwa polskiego, nie mogło mieć to biskupstwo oczywiście posłannictwa, rozciągać na gruncie polskim pasterskiej swojej opieki. W tym względzie czyniła wszelkiej potrzebie zadość już i poznańska katedra. Jego zadanie patrzało w oczy bałwochwalczych pobratymców i sąsiadów naszych za Odrą, miało działać du-

chownie na plemię Lutyków, dotąd z taką dla strony swojej i naszej szkodą pomijanych przez Polskę, zasiać tam w imię pokoju ziarno, z którego plony błogosławione miały się kiedyś zbierać przez Polskę i w politycznem znaczeniu. Że do tego nie przyszło, to już skutek dalszego obrotu rzeczy.

Czwartym tegoż może monarchy czynem, tejże dążności — to wzniesienie jeszcze jednej takiej kresowej fundacyi kościelno-politycznej — biskupstwa Mazowieckiego, założonego w Płocku. Gdy Kruszwica działać miała na północ, po lewej stronie Wisły — gdy Lubusz stać się miał duchowną marchią naszą zachodnią: przypadło temu biskupstwu w dziale posłannictwo takiejże propagandy w pogranicznych ziemi mazowieckiej Prusiech i na gruncie Jadźwingów. Narody te niepokoiły granice polskie; na Pomorzan działała dzikość tych ich zawiślańskich sąsiadów buntowniczo i reakcyjnie: było to przeto dla naszego narodu ze wszech miar pożądanem, by i na tej ościennej ziemi światło wiary i pojęć europejskich raz już przyświecać zaczęło, na korzyść wzajemnego zbliżenia ludów ku sobie i dalszych z tego możliwych następstw [1]).

Że zamiary założyciela tych biskupstw, tak bijące

---

[1]) Dzisiejsza krytyka historyczna podaje w powątpiewanie, a nawet przeczy, żeby biskupstwo płockie było dziełem Bolesława Chrobrego. I rzeczywiście ze strony zewnętrznych pozytywnych dowodów przypuszczenie to nie ma żadnego poparcia. Taksamo jednak nie mają go i inne domysły o początku tego biskupstwa. — Nabytek zawiślańskiego Mazowsza zdaje się być faktem dopiero z czasu po roku 1000. Gdyby bowiem ten nabytek był dokonany przed owym rokiem, byłoby trudno pojąć, dlaczego tam nie założono biskupstwa równocześnie z krakowskiem i innemi z owego czasu. W każdym razie jednak anneksya tej dzielnicy musiała być czynem tego jeszcze monarchy. I jak wierzyć, żeby Chrobry Mazowszu tego poskąpił, czem obdarzył inne swoje, a nawet nieswoje jeszcze ziemie? Przynależność zaś przedwiślańskiego Mazowsza datowała z czasów Mieszka I i to powód, że ziemia Czerska pozostała na zawsze pod biskupstwem poznańskiem.

w oczy przez samo zestawienie zdarzeń odnośnych, tak uzasadnione w jego położeniu ówczesnem, wydały mimo wszystkiego w tym kierunku tak mało plonu: o to winić już nie jego należy. Niestety, nie dość wcześnie wszedł on na tę drogę, jedynie prowadzącą do celu. Po jego śmierci ubyło ręki, któraby kierowała i podsycała skuteczność działań z tych wszystkich tak mądrze obmyślonych stanowisk.

Wymienione tu fundacye kościelne nowe, i przeobrażenia dawniej już dokonanych, które zapewne przychodziły do skutku w miarę rozwijających się potrzeb i w każdym razie nie mogą być poczytywane za wynik jednego postanowienia, nasuwają nam jedno jeszcze spostrzeżenie, które warto tu podnieść, rzuca bowiem pożądane światło na ten tak mało rozświecony ustęp dziejowy. Widzimy tu z jednej strony, w jak częstych i w jak ścisłych zostawać musiał Bolesław przez cały ten czas stosunkach ze stolicą apostolską. Bez przyzwolenia papieża aniby wchodzić w życie nie mogły nowe biskupstwa ani zmiany tak istotne orzeczeń fundacyjnych co do katedr założonych już dawniej. Z drugiej strony uderza w tych wszystkich czynach zupełny brak ingerencyi cesarskiej. (W przeciwnym razie byłby odgłos tego wszystkiego musiał się odbić we współczesnych pismach niemieckich — a te o założeniu tych biskupstw milczą). Snać więc umiał zapewnić król polski ustępstwom Ottona III moc obowiązującą i nadal i co czynił w kraju swoim od tego czasu, do tego nie dopuszczał żadnej spółki niemieckiej nawet w sprawach kościoła.

Jeżeli go zaś widzimy zostającego w takich ciągłych styczności ach i dobrym skutkiem wieńczonych porozumieniach z Rzymem, zajętego tak gorliwie pomnażaniem środków szerzenia chrześcijaństwa nie tylko w swoich obszarach, lecz nawet poza ich granicami; jeżeli go widzimy składającego tyle dowodów iście monarszej hojności przy uposażaniu tych biskupstw: to

jakżebyśmy uwierzyć też temu mieli, że dwór rzymski mimo tych niewątpliwych dowodów wiary żarliwej i tak znakomitych zasług około Kościoła, miał mieć dla Bolesława zawsze tylko rękę szczelnie zamkniętą i traktować go jak pasierba? Nie, niepodobno w to uwierzyć, co z powodu że milczą o tem źródła współczesne (a o czemże one nie milczą wobec tej epoki rządów Chrobrego) już się prawie zamieniło, nawet w narodowej historyi, w pewnik. Uroczysta koronacya kościelna i namaszczenie Bolesława na króla, dopełnione w ostatnim dopiero roku życia tego monarchy przez krajowych biskupów w Gnieźnie, nie mogło być aktem bez wiedzy i zezwolenia papieża dokonanym tylko na sam rozkaz królewski... Zaprawdę aniby biskupi polscy nie byli śmieli przystąpić do tej czynności bez wyższego upoważnienia, ani też papież nie miał już wtedy żadnych powodów wzbraniać tego. Że do tego przyszło tak późno, dopiero w ostatnich miesiącach r. 1024 albo pierwszych 1025: to w rzeczy samej zdaje się że zostawało, jak się tego powszechnie domyślają, w związku z śmiercią mało co przedtem (r. 1024) przypadłą cesarza Henryka II. Lecz nie w tym sensie, jak to niektórzy niemieccy historycy pojmują i chcieliby po swojemu tłómaczyć, mianowicie że Bolesław skorzystał skwapliwie z zamknięcia oczu tego »swego zwierzchnika« i jakby pod niebytność pana w domu, wypłatał Niemcom figla, by dowieść swej od nich niezawisłości. Był on od nich niezawisłym już od r. 1000. A jeśli miał i potem z nimi o to zatargi, to nie w charakterze króla polskiego, lecz z tytułu dwuznacznej władzy swojej nad Łużycami. Związek przyczynowy między zgonem Henryka a koronacyą gnieźnieńską był zdaniem mojem innej natury. Upatrywać go w tem należy, że kurya rzymska, zobowiązana słowem danem i ulegająca wpływowi tego cesarza, nie mogła przychylić się do życzenia króla polskiego prędzej, aż dopiero kiedy ten wróg jego nareszcie do grobu zstąpił.

Od tej chwili rozwiązane były jej ręce. Z jej tedy wiedzą i wolą uświetniła i koronacya nakoniec dostojność tronu polskiego, a lament kronik niemieckich, ten odgłos oburzenia, jakie to widać w całych Niemczech sprawiło, potwierdza nasz domysł o tem, kto to aż do owej pory stał murem przeciwko tej koronacyi.

Po zgonie Bolesława Chrobrego miała Polska pozostawione sobie w spadku po obydwóch pierwszych swoich chrześcijańskich władcach dwie polityki, dwa zgoła odrębne wzory rządzenia — do wyboru. Polityka Mieszka I była ostrożna, z danych okoliczności w kraju i za granicą nigdy oka nie spuszczająca, niby zawisła i nie bohaterska, w szczegółach od świetności olśniewającej daleka — w całości skutków zato przejmująca podziwem i pewną drogą wiodącą naród do celu. Polityka Bolesława I w latach od 1002 do 1019, a i później poniekąd, była pod wielu względami prostem przeciwieństwem tamtego wzoru. Osięgła ona potężne rezultaty, lecz nie takie jak zamierzała. A że i takie odniosła, zawdzięczało się jedynie osobistej wielkości tego monarchy... Po zejściu Bolesława miało się nareszcie okazać, czy pod berłem nie genialnego, ale zawsze uznania godnego panującego, któremu dopiero kłamliwa pragmatyka późniejszych dziejopisów zarzuca to tyranię i wyuzdaną rozwiązłość, to znowu gnuśność lub pantoflową względem żony cudzoziemki uległość, będzie się mogło utrzymać to młodociane państwo na wysokości, której nie odpowiadała ani moralna siła w narodzie ani tęgość i doniosłość władzy nad nim najwyższej.

Tamten czynnik był jeszcze niewyrobiony: gmatwały go dawne, głęboko zakorzenione, bynajmniej nieuchylone jeszcze tradycye — innej natury. Władza królewska miała wprawdzie swój już teraz świetny pre-

cedens; ale ażeby posiadać całą tę władzę, na to potrzeba było dopiero zdobyć ją sobie osobiście każdemu, kto ją miał dzierżyć — nie tak w stósunku do ogółu poddanych, jak do współksiążąt, braci, krewnych, słowem w stosunku do paragialnych wspólników rządu.

Cały tok dziejów od tej chwili aż do początku rządów Krzywoustego — jest to jeden ciągły proces przesileń to jednej polityki, to drugiej. Nazywać tej części historyi naszej świetną i bezwarunkowo pomyślną w żaden sposób nie można. Kto tylko z panujących w tej dobie puścił się drogą Bolesławowską — zawsze szwankował. Nawet dzielne osobistości zbierały na tej drodze, prędzej czy później, niepowodzenia, które im samym przynosiły upadek, a na państwo ściągały klęski, z których je dopiero mozolną pracą musieli podnosić ich następcy, a to sposobami przez Mieszka I przekazanymi. I warto zauważyć, że nawet przy zwyczajnych zdolnościach książęta postępujący tym torem, dochodzili do celu, gdy przeciwnie nawet świetne osobistości, za tamtym ideałem goniące, upadały wśród zawodu.

Przerzucanie się z jednego kierunku w drugi nie działo się przypadkowo, choć niewątpliwie wpływały na to i osobiste skłonności panujących. Nawrót ku Mieczysławowym tradycyom bywał zwykle wywoływany koniecznością, leżącą w samych stósunkach. Przeciwnie pierwsza pozorna możność puszczenia się w ślady odwrotne wystarczała, żeby iść za przywodem fantazyi. W chwilach takich żył młodociany naród nasz pełną piersią. A kiedy zużył, czego mu trudem i powściągliwością dostarczyła poprzednia generacya, wracał znowu do cichej pracy.

Początek panowania Mieszka II (1025—1034) był zupełnie w duchu Chrobrego. Historyografia czasów późniejszych zowie go Gnuśnym. Od lat co najmniej 400 powtarza o nim sądy i nawet szczegóły,

które go prawie obmierziły w pamięci potomności. Sądy te nie mają żadnej historycznej podstawy.

Są to później dorobione, z własnej głowy kronikarzów wysnute domysły — nie wedle podań, któreby i wtedy jeszcze były w obiegu, lecz wedle klęsk, które pod tym księciem państwo poniosło. Aby zrozumieć te klęski, dorobiono sobie króla z przymiotami odpowiednimi. A można to było zrobić tem łatwiej, że w podaniach krajowych była już wtedy w tem miejscu zupełna próżnia, postronne zaś wzmianki o tem nie były w Polsce znane.

Genezę tej opinii o Mieczysławie, jak się zawiązała i rosła, można tropić krok za krokiem. Gallus, najdawniejszy z krajowych dziejopisów, to tylko wyrzekł o nim, że był on dzielnym wojownikiem, który dokazał wiele czynów rycerskich, ale *propter patris invidiam vicinis omnibus extitit odiosus.* Nie można trafniej w kilku słowach opisać położenia. Kadłubek, o trzy ćwierci wieku późniejszy od Galla, o całe półtora wieku późniejszy od Mieczysława, już mu zarzuca, że jeżeli czasem prowadził wojny, to dlatego tylko, że musiał. Baszko, pod koniec XIII w. żyjący, utworzył z tego już bezwarunkową gnuśność *(desidiam).* Żywot św. Stanisława (przy Gallu drukowany w r. 1824) do tej *desidia* dodaje jeszcze, że był to żonkoś i zgoła rozwiązły człowiek. A Długosz nakoniec, który go tak szczegółowo opisał, jakby go był widział i osobiście znał, ni suchej nitki na nim nie zostawił! Dzisiejsza krytyka wprawdzie umiarkowała to trochę, ale zawsze wiele z tego zostało, nawet w najlepszych dziełach [1]). — Współczesne wzmianki o Mieczysławie niemieckich annalistów zadają kłam tej całej charakterystyce od Kadłubka począwszy: ganią w nim dumę, wyniosłość, zuchwałość, tyranię i wojowniczość. Jakże z tem pogodzić gnuśność?

---

[1]) Mowa tu o dziełach z przed r. 1875.

Komu zależy na rzeczywistej prawdzie dziejowej, kto ją czerpie z rozprószonych wzmianek współczesnych w postronnych literaturach, i z takich źródeł krajowych, które przez samę czasową bliskość z przedmiotem przynajmniej mogą zasługiwać na wiarę: ten pozostanie co do Mieczysława II rządów wprawdzie przy nader szczupłym zasobie wiadomości, ale mu i to minimum wiedzy wystarczy nato, żeby tamtę pragmatykę jak najzupełniej odrzucić.

Uczestnik wielokrotny w sprawach publicznych jeszcze za rządów ojca, używany przezeń do czynów największej nieraz wymagających zręczności, przeniesiony z jego woli nad innych braci i ustanowiony następcą tronu z pominięciem starszego (Bezpryma), ożeniony (jeszcze r. 1013) z jedną z najświetniejszych księżniczek w Rzeszy niemieckiej [1]) — chciał Mieczysław, już w tych czasach 35-letni, nie tylko iść we wszystkiem w ślady Chrobrego, ale nawet i dalej jeszcze posunąć jego zamysły. Odbywa zaraz po swojem na tron wstąpieniu uroczysty akt koronacyi [2]), który wywołał takiż zgrzyt oburzenia na dworze cesarskim, jak niedawno przedtem koronacya ojcowska. W stósunku do braci, których miał dwóch i którzy, jak wnosić ze wszystkiego należy, w myśl obyczaju panującego wyposażeni być musieli cząstkowemi księstwami, poczyna sobie jak jego ojciec; widzi się niezadługo zmuszonym, jeżeli nie z obydwoma, to co najmniej z przyrodnim, starszym swym bratem Bezprymem, który go nienawidził i zdradzał, tak postąpić jak tamten względem swoich braci w r. 995 postąpił. Łużyce, w r. 1002 Niemcom wydarte, zatrzymuje w swojem dzierżeniu

[1]) Ryksa była siostrzenicą zmarłego w r. 1003 cesarza Ottona III, jako córka siostry jego Matyldy i Ezona Palatyna lotaryńskiego.

[2]) To można na pewne twierdzić na podstawie znanego listu do Mieczysława II, który mamy zamieszczony w »Mon. Pol.« T. I str. 323, mianowicie na podstawie początku tego listu.

i ani wątpić, że taksamo jak jego ojciec, nie uiszczał cesarzowi z nich danin. Co większa, poczyna, i to w pierwszych już latach panowania swojego, względem kraju Lutyków działanie, którego Bolesław w czasie dogodnym zaniedbał, później zaś, gdy je już za późno było przeprowadzić orężem, w inny sposób bodaj przygotować próbował (założenie biskupstwa Lubuskiego). To działanie najwyższej wagi wznawia tedy aż nazbyt śmiały Mieczysław jawnie i zbrojnie. Najdalej w r. 1028, jeśli nie rychlej, miał on już pod ręką swoją część jakąś tego plemienia i to prawem nie podlegającego żadnej wątpliwości podboju... [1])

Na dobrych chęciach i animuszu tedy Mieszkowi II nie brakło. Ale mu brakło sił i zasobów do prowadzenia tej polityki, a co gorsza, brakło mu do tego nawet i szczęścia. Wygnany z ojczyzny Bezprym (jak się drugi brat Mieszka, młodszy od niego Otto zachowywał, nie jest wiadomem) obszedł w okół wszystkich po kolei sąsiadów, z których każdy miał coś do odebrania sobie napowrót od Polski, i miało się niezadługo okazać, że te zabiegi jego odnosiły skutek, jakiego wygnani bracia Bolesława Chrobrego czasu swego nie dostąpili. Zawojowani Lutycy z swojej strony wywnętrzają przed cesarzem (r. 1029 w Palithi) swoje jęki boleści, swoje skargi na »tyranię« króla polskiego, swoję odtąd niby wierność dla Niemiec. Aż nazbyt powodów do wyprawy Konrada II przeciwko Polsce (1029, która

[1]) Orzeczenia powyższe opieram na zapiskach rocznikarskich niemieckich, w części współczesnych, w części bliskoczesnych, których zbiór lubo nie wszystek, ale zawsze dostateczny, mamy zestawiony w »Monumentach polskich«, tomie II, str. 763 i n., mianowicie począwszy od wspominki w rocznikach Hildesheimskich danej pod r. 1028. Przez *„regnum Sclavorum“* i *„orientales partes Saxoniae“* rozumiem Łużyce i dzierżawy Lutyków. Z dalszego kontekstu zapisek tu powołanych okazuje się zdaniem mojem jak najjawniej taki tylko, a nie inny sens powyższych wyrażeń.

jednak skończyła się prawie sromotnym w roku rzeczonym odwrotem Niemców z pod Budyszyna, a rozzuchwaliła tylko ufność władcy naszego. W r. 1030 oręż polski, przez postępy w brandeburskich (a więc głębszych jeszcze lutyckich) dzierżawach, i przez przewagi wstępnym bojem roznoszone na miśnijskich rozłogach, krwawo się wpisał w karty annałów niemieckich. Ale w jesieni r. 1031 nastąpił odwet. Prowadzić wojnę z kilku naraz wrogami, było dla ówczesnej Polski, intrygami Bezpryma nurtowanej przytrudnem. Hart woli Mieczysława II został raz na zawsze złamany. Pobity w boju przez Niemców, w miesiąc potem wyzuty z władzy przez brata, musiał szukać ocalenia tylko już w ucieczce z kraju. Łużyce wróciły w zaprzysiężony sposób pod bezpośredni zarząd cecarski. Lutycy odzyskali swą niepodległość. Za ich przykładem poszło i Pomorze, przez Chrobrego przyłączone do tego państwa. Morawy, aż do tej chwili (od r. 1003) pozostające pod berłem tutejszem, zajęli r. 1028 Czesi. Ziemia Bełska w r. 1030, reszta Rusi Czerwonej w r. 1031 dostała się pod panowanie ruskich książąt. Słowaczyzna węgierska (jeszcze pono 1027 ugodowo) przeszła — na zawsze — w obręb węgierskiego królestwa [1]).

---

[1]) Było w obiegu w ostatnich (przed r. 1875) czasach mniemanie, jakoby Słowaczyzna i w dalszych latach stanowiła część Polski. Miał to być dział przez Chrobrego Bezprymowi nadany, który i po śmierci tegoż przy jego pozostawał potomstwie. Źródła historyczne nie dostarczają jednak żadnego wytrzymującego ścisłą krytykę dowodu na to, żeby ta prowincya stanowiła kiedy udział Bezpryma. Przeciwnie dowodzą one raczej, że pod jego zarządem ziemia ta nigdy nie zostawała. W Wippona *Vita Conradi imperatoris,* cap. 29 (»Monum. Pol.« I str. 347 w nocie) czytamy, że wypędzony z Polski przez Mieczysława Bezprym (Wippo nazywa go Ottonem) uszedł do Ruzyi (tak się wtedy nazywała Słowaczyzna węgierska) i żył tam *miserabiliter* przez czas niejaki, a następnie zaczął błagać cesarza, *ut ipso juvante restitueretur patriae suae.* A więc żył on tam *miserabiliter,* jako tułacz. Z drugiej

Panowanie przywłaszczyciela Bezpryma nad Polską skończyło się wprawdzie wkrótce — padł pod ciosem morderczym, z nieznanej ręki, już w r. 1032. Akt jednak wielkiej doniosłości publicznej przez niego dokonany, pozostał. Poddał on to królestwo, w chwili kiedy obejmował ster nad niem, w zawisłość od niemieckiego cesarstwa. Postąpił sobie, jak w podobnych okolicznościach 30 lat pierwej w sąsiedniem księstwie Włodowej, tylko że ten oddał był Czechy cesarstwu w lennictwo, a Polska przywróciła teraz swój związek z Rzeszą na warunkach z przed r. 1000. Zmiana potem osoby panującego, wypadku tego oczywiście nie uchyliła. Pod tymisamymi tylko już warunkami musiał rządy nad państwem przyjąć napowrót i przybywający teraz do kraju Mieczysław; jakoż złożył stanowcze oświadczenie w tym sensie przy osobistem widzeniu się z Konradem (w Merseburgu, w lipcu roku 1032 [1]). W dwa lata potem zakończył życie.

Po śmierci tego króla nieszczęśliwego (1034) pozostawione własnym swoim losom królestwo (postronna przemoc nie zdaje się żeby była zakłócała jego sprawy wewnętrzne) przechodziło najsmutniejsze koleje, mało wyjaśnione w historyi. Mozolna a sumienna krytyka czasów ostatnich [2]) wydobyła z półsłówkowych, nieraz

strony, mamy wyraźną wzmiankę współczesną — w Hildesheimskim roczniku (»Monum.« T. II str. 765) — że w r. 1031 dzierzył Słowaczyznę jako książę tego kraiku Emeryk (Henryk), syn ówczesnego króla węgierskiego Stefana I. Zakończył ten Emeryk życie właśnie w roku rzeczonym i już przed 1031 otrzymał tę ziemię od ojca, który ją zatem w tych czasach musiał posiadać.

[1]) »Mon. Pol.« T. I str. 346 i n. w notach w uzupełnieniu dodanych.

[2]) Tad. Wojciechowski »O Kazimierzu Mnichu« w »Pamiętniku Akad. Umiejętn. Wydziału histor.« z r. 1885 (tom V), i Oswald Balzer, »Genealogia Piastów«, Kraków 1895 str. 76 i nast.

BIBLJOTEKA 8-mio klasowej № SZKOŁY MAZOWIECKIEJ

sprzecznych z sobą podań źródłowych na jaw tyle przynajmniej jako wynik dochodzenia nie podlegający powątpiewaniu, że objął rządy bezpośrednio po ojcu starszy syn Mieszka II imieniem Bolesław (1034—c. 1037). Czyny i rządy tego księcia o tyle tylko są znane, że miały być jak najgorsze. Jedna z kronik, co prawda przedzielona od tych czasów znaczną przestrzenią, bo co najmniej półtrzecią wieków, kronika Baszka — dawniejsze milczą o tem panowaniu i zbywają je ogólnikiem — zarzuca Bolesławowi okrucieństwo i niegodziwość *(saevitia, immanitas scelerum, nequitia)* i powiada, że jak źle żył, tak i zakończył źle życie, i z tej przyczyny, choć miał być koronowany (?), »nie został zaliczony w poczet królów i książąt Polski« [1]). W szczególności z jego występków ten podnosi, że się niepoczciwie z matką (Ryksą) obchodził, która nie chcąc znosić tej poniewierki, porzuciła tę przybraną ojczyznę i razem »z maleńkim« swym drugim synem Kazimierzem odjechała do Niemiec. — Maleńkim jednak nie był bynajmniej wtedy Kazimierz, liczył lat sobie bowiem w roku zgonu ojca już 18 [2]). Dawne podanie o stanie jego zakonnym okazuje się być prawdziwem, choć tak długo było zaprzeczanem przez późniejszą historyę. Wątpić o tem wcale nie można, że jak to już Gallus podał [3]), rzeczywiście z woli obojga rodziców królewicz ten w bardzo wczesnym swym wieku oddany został do klasztoru, z tem przeznaczeniem by

[1]) Baszko, »Mon. Pol.« II 484.

[2]) »Rocznik Kap. Krak.«, Śto-Krzyski i Szląski kładą zgodnie urodzenie Kazimierza pod r. 1016. »Mon. Pol.« II 793, 773, III 672.

[3]) »Mon. Pol.« I 419: »Qui (Kasimirus) monasterio parvulus a parentibus est *oblatus* (ofiarowany), ibi *sacris* litteris liberaliter eruditus«. A zatem chodziło o *sacrae litterae,* dla uzyskania kapłaństwa. I z pewnością w 18 swym roku był Kazimierz wyświęconym już księdzem. Nie należy tylko myśleć o klasztorze kluniackim, jak to opowiada legenda. Nie brakło przecież już wtedy na klasztorach w własnym kraju.

w stanie zakonnym, jako kapłan wyświęcony, przeżył życie, a nie (jak to chciano tłómaczyć) dla poznania tylko nauk i wykształcenia. O powołaniu do stanu duchownego, wrodzonem temu młodzieniaszkowi, trudno tu myśleć. Dalsze życie tego księcia, przed powrotem do kraju i potem, zachwiewa ten domysł. Powody musiały być polityczne. Nie życzono sobie tego, by brat młodszy czasu swego bróździł starszemu w rządach. Ten zamiar jednak krótko po śmierci Mieszka II okazał się chybionym. Czy z niechęci do gnuśnienia w murach klasztornych, czy może na widok, jak brat starszy nadużywa swej władzy i matkę krzywdzi, Kazimierz porzucił owo zakonne ustronie. I zajść musiał jakiś wypadek, dla którego razem z matką musiał uchodzić z kraju w kilka lat a może zaraz po r. 1034.

Dalsze rządy Bolesława w każdym razie musiały być niefortunne. W zupełnym braku świadectw trudno orzekać, czy złe płynęło jedynie z osobistości panującego, czy składało się na to w części i warcholstwo poddanych [1]). Zapewne broiło jedno i drugie, a to doprowadziło do tego, że około r. 1037 nastąpiły czasy w Polsce zupełnego przewrotu, w którym Bolesław swoję przeszłość życiem przypłacił *(vitam male terminavit)*. Ucisk słabszych przez uprzywilejowanych – prawem odwetu zwrot potem i w przeciwnym kierunku — rzucenie się pospólstwa na prerogatywy, na własność, na obyczaj, słowem na wszystkie podwaliny społeczne. Reakcya pogaństwa podniosła głowę — prześladowanie religii chrześcijańskiej, rozpędzenie duchowieństwa, burzenie kościołów i klasztorów, grabież skarbów i ozdób

[1]) Jest jedno ciekawe miejsce w (pisanym w końcu XIII w.) »Żywocie św. Stanisława«, drukowanym przy Gallu w edycyi z r. 1824, str. 345. Powiada o Bolesławie Śmiałym, że do celów jego polityki i ten należał, żeby pomścić *in nobilibus Poloniae* krzywdę, wyrządzoną jego rodzicom przez wygnanie ich z państwa. — A zatem trwała wtedy jeszcze pamięć, że na wygnanie młodego Kazimierza z kraju składały się i z dołu społeczeństwa idące czynniki.

kościelnych, zapanowanie siły brutalnej, i powrót do stanu rzeczy, jaki mógł być przed Mieszkiem I albo i w gorszych jeszcze kiedyś tam czasach — wszystko to teraz przeszło przez tę spuściznę Chrobrego.

Czego w gruzy nie powalił domowy zamęt w narodzie, tego dopełnił postronny najazd. W r. 1038 przewaliła się zgraja czeskich łupieżców pod Brzetysławem, ówczesnym książęciem owego kraju, przez Kraków i okoliczne dzierżawy. Następnie uległa temuż rabunkowi i reszta Polski. Czy marzył Brzetysław o podboju tego królestwa, czy raczej o złupienie tylko tego chodziło, co w niem było ruchomem — nie wiedzieć. Lecz to pewna, że po tym ostatnim ciosie pozostała w tym biednym kraju tylko ziemia i niebo. Nawet ciała umarłych musiały za rydwanem zwycięzcy procesyonalnie wracać do miasta, w którem tych świętych za życia nie chcieli cierpieć współcześni.

O skarbach przez Chrobrego zdobytych i posiadanych pozostały w jego kraju tylko mity bajeczne, a stan tego kraju był taki, że w jego stołecznem mieście i w jego metropolitalnej świątyni, w katedrze gnieźnieńskiej, dzikie się gnieździły zwierzęta [1]).

Do takiej doli przyszła Polska, w krótkich latach, samą logiką faktów.

Że po tem wszystkiem nastąpiła restauracya — restauracya rządu, dynastyi, władzy monarszej, religii chrześcijańskiej, porządku społecznego, a w skutek tego i powagi państwa na zewnątrz: tośmy mieli do zawdzięczenia niezawodnie tak nauce otrzymanej przez tę próbę zapędów nad siły, jak i zasłudze Kazimierza I słusznie nazywanego Odnowicielem. Ale w wyższym jeszcze stopniu zawdzięczała to Polska ówczesna, a i Kazimierz z nią razem, owym wpływom i dźwigniom moralnym, które to państwo już w pierwszej jego chwili dziejowej postawiły na nogi. Uchylenie się z pod tych

[1]) Gallus ks. I cap. 19.

wpływów sprowadziło jego upadek. Powrót na drogę Mieszka I i tym razem okazał się skutecznym.

Boć jak już teraz wiadomo, bajki to są, żeby sam naród szukał był królewicza swojego aż po klasztorach zamorskich. Nie on Kazimierza, ale Kazimierz poszukał drogi do kraju. A ta droga była dla niego i teraz jeszcze daleka, bo przez Węgry i przez Niemcy, które choć tak często nieprzyjacielskie, potrzebowały przecież Polski dla własnego dobra swego jako przedmurza cywilizacyi, i dopomogły temu wnukowi Chrobrego do nadania jej na nowo form państwa regularnego. Sześciuset zbrojnych rycerzy, których dostarczył Henryk III cesarz niemiecki, i zastęp podobnych 100 mężów z Węgier, towarzyszył Kazimierzowi do Polski. Pogrom papieski przycisnął silną dłonią czeskiego wdziercę, który już podnosił swój tytuł prawny do kraju, rzekomo podbitego orężem, a szląską ziemię, jako przyległą swemu księstwu, aż poza Wrocław w rzeczywiste wziął posiadanie. Z pod klątwy rzymskiej wywinął on się niezadługo pieniędzmi, ale się nie wywinął tak łatwo z pod innej ręki, która go przycisnęła. Zakaz Henryka dopiero, który się z nim aż do r. 1041, oczywiście nie w polskim interesie, lecz w swoim własnym, lecz pośrednio przecież i w polskim borykał, zamknął mu drogę do wdzierstwa i poza Wrocław.

Jeżeli przeto rzeczywiście jest prawdą, że wracający do ojcowizny swej królewicz był witany ową pieśnią serdeczną, której początek zapamiętała jedna z kronik naszych późniejszych: to witano temi słowy konieczność — witano doprowadzony do skutku mimo woli narodu powrót państwa polskiego do solidarności z światem dziejowym, do stroju z cywilizacyą i politycznym organizmem zachodnim. Bo jegoto wysłannikiem był w owej chwili, a i przez całe swe panowanie Kazimierz, i to jedno go tylko, a nie co innego, przyprowadziło do kraju.

Ośmnastoletnie rządy Kazimierza I (1039—1058) w szczegółach mało są znane: ogólny ich wynik będzie każdemu jawny, kto mizeryę Polski przed jego wstąpieniem na tron porówna ze stanem, w jakim on ją swemu następcy zostawił. Bolesław Śmiały mógł już znowu zamarzyć o wznowieniu czasów wielkiego dziada i imiennika swojego. Nie byłoby to zgoła podobnem, gdyby te kilkanaście lat skrzętnej pracy nie były państwa politycznie i religijnie odbudowały od fundamentu.

W stosunku do cesarstwa zostawała Polska w tych latach w zasadniczej uległości i stałej zgodzie. W danych okolicznościach — po dokonanych deklaracyach Bezpryma (1031) i Mieczysława II (1032), które byłyby Kazimierza wiązały, gdyby tenże nawet nie był dał i z swojej strony Henrykowi III ponownie zapewnień jakich, o których zresztą doniosłości nic nam bliższego nie podają źródła dziejowe, lecz bez których przy jego z Niemiec wyjeździe niewątpliwie się nie obeszło — w okolicznościach takich mówię nie mogło to być inaczej. Kronikarstwo niemieckie sławi też tego króla naszego, że »służył cesarzom wiernie«. Na czemby w praktyce polegała ta wierna służba, tego się nie można dopatrzeć w wiadomych nam zdarzeniach. Jest wszelki powód, żeby twierdzić, że główną istotę tej »wierności« cesarstwu stanowiło w tamtych czasach zasadnicze wstrzymywanie się od anneksyi ziem przez to państwo zajętych, jako też od popierania książąt z cesarzem zwaśnionych, a obok tego i uznanie owej wyższości tronu cesarskiego ponad wszystkie w okół inne władze rządowe, której teorya stanowiła fundamentalny artykuł wiary politycznej w tych wiekach tak w samych Niemczech, jak w Rzymie.

Mogły z tego niewątpliwie wynikać i przykre nieraz dla poczucia monarszego następstwa — a do takich policzyć należy i okoliczność, że się Kazimierz przez cały czas rządów swoich obywać musiał bez tej

siły moralnej, jaką dawało ówczesnym panującym tak na zewnątrz ich państw, jak też w oczach własnych poddanych, namaszczenie i koronacya królewska [1]).

Szczęśliwszym zato był ten Odnowiciel państwa

---

[1]) Choć wręcz nie twierdzę, iż Kazimierz I nie był królem koronowanym, rozumiem jednak, że jego koronacya jest rzeczą nierównie więcej wątpliwą, aniżeli przypuszczenie przeciwne. O każdej polskiej koronacyi poprzedniej źródła współczesne w Niemczech głoszą zawsze jak najdokładniej, że została dokonaną i kiedy. Że się Bolesław I koronował w r. 1025, to stwierdza kilka znanych powszechnie świadectw w sposób niezbity. Że Mieczysław II aktu tego dopełnił, to wypowiadają one w sposób równie stanowczy. Że się to stało na samym wstępie panowania tego książęcia, to wynika z listu Matyldy. Że małżonka jego Ryksa, nie tylko za życia męża, ale nawet po wydaleniu z Polski, w Niemczech, i sama używała tytułu *regina Poloniae* i miała go sobie przyznawany przez samego nawet cesarza: to widzimy nie tylko z nadań przez nią wydanych, lecz nawet z dokumentów cesarskich (»Mon. Pol.« T. I str. 333, 346, 351, 352 i t. d.). Że później Bolesław Śmiały ponownie tego aktu dokonał i że to zaszło w r. 1076: to nam znowu z oburzeniem największem powiada jeden z współczesnych, Lambert z Aschaffenburga. Te koronacye polskich monarchów uważane były przez Niemców za rodzaj buntu i to buntu przez kościół uprawnionego, przeciw prawom ich królów czyli cesarzów; dlategoto zapisywali je oni w rocznikach jako zdarzenia najwyższej dla nich wagi. Otóż co do Kazimierza I nie tylko najgłębsza panuje cisza w całem kronikarstwie postronnem, żeby on się był koronował, ale nawet chwalą go oni jeszcze za wierne służby cecarzom i to w sposób, że ta pochwała Kazimierza widocznie miała kontrastować z zarzutami, jakie ojcu jego czynili (obacz np. Wippona rozdz. 29; »Mon. Pol.« T. I str. 347). Czyż byliby Kazimierza ci pisarze mogli tak chwalić, gdyby on był właśnie tosamo uczynił, co jego ojciec? Zdaje się, że już upokorzenie się Mieczysława II przed cesarzem w Merseburgu (r. 1032) ukazywało się w oczach współczesnych niemieckich jako milczące zaparcie się tego wszystkiego, co z obrazą uroszczeń tamtejszej władzy uczynił ten król w początkach panowania swojego (*„coronae scilicet ac totius regalis ornamenti oblitus“*, rocznikarz Hildesheimski pod r. 1032, w »Monum. Pol.« T. II str. 766). W ten stosunek względem Niemiec wszedł dziedzic jego królestwa, i że się z niego nie wyłamywał, zato go właśnie chwalili.

Powyższy pogląd na sprawę umożliwia nam zrozumienie

i Kościoła w zagradzaniu materyalnych, a nawet terrytoryalnych jego wyłomów. Mazowsze, tę zbuntowaną prowincyę, która od czasu Mieczysława II zostawała pod wielkorządztwem Masława, a Kazimierza

---

niejednej rzeczy późniejszej, której inaczej byłoby niepodobieństwem zrozumieć. Bolesław II, choć »Śmiały«, choć przychodzący do władzy w czasach zupełnego upadku powagi cesarskiego imienia, zwleka akt koronacyjny przez całe lat 18. Wykonywa go dopiero w r. 1076. Jeśli przyjmiemy, że królowanie bez korony stało się w Polsce niejako zadawnionym zwyczajem, to stan ten rzeczy, nawet pod takim Bolesławem Śmiałym aż do r. 1076, łatwo pojąć; ale w przeciwnym razie, byłoby to niewytłómaczoną zagadką. A dalej zważmy, że koronacya tego króla sprawiła w Niemczech popłoch i oburzenie, które znowu na zagadkę zakrawa. Bo jeżeli ten władca Polski nie uczynił ani mniej ani więcej, jak tylko to, co jego ojciec i dziad i pradziad jeden po drugim spełnili: to jakiż powód dla Niemców, żeby się tak bardzo oburzać na to, co się w tym kraju już zamieniło w uświęconą samym czasem tradycyę? Ale jeżeli przyjmiemy, że Kazimierz I nie był koronowany, to rzecz przestaje być w takim razie zagadką. Idźmy wreszcie i dalej jeszcze. Że po upadku Bolesława Śmiałego taka wątłość pod względem woli, jak nią był brat tego monarchy, nie upomniała się o zaszczyty korony: toby wprawdzie może nie zadziwiało nikogo; ale że i Bolesław Krzywousty idzie w tej mierze aż do samego zgonu swojego w ślady ojca, to znowu rzecz, której zdrowy rozum nie pojmie. Zrozumie ją zaś każdy najsnadniej, kto się zgodzi na przypuszczenie, że w Polsce od r. 1034 do 1076 nie było koronowanego monarchy, od 1076 do 1079 był wprawdzie, ale skończył fatalnie, a potem znowu wrócił stan rzeczy do którego już przywykły umysły. Z tegoto tylko powodu ani dzielny Krzywousty, ani też syn jego Władysław, choć był całej Polski zwierzchnikiem przez pierwsze lata, nie dali się koronować.

Kogo to wszystko nie przekonywa, niech rozważy, że w najdawniejszej naszej kronice, Galla, inni królowie nasi są *reges* tytułowani, a tylko do imienia *Kazimir* ani razu tu nie dodano żadnej nazwy jego godności (jakgdyby chodziło o wyminięcie tej kwestyi); nadewszystko zaś niechaj rozważy skazówkę, jakiej nam dostarcza jeden z naszych najdawniejszych roczników, tak zwany kapitulny krakowski, w którym przy wszystkich wzmiankach o Bolesławie I jako też i o Mieczysławie II towarzyszy im tytuł *rex*, podczas gdy Kazimierz I jest w nim tylko *dux* tytułowany. Bolesławowi Śmiałemu nazwa *rex* znowu w nim przywrócona! Ta

nawet po jego powrocie nie tylko nie chciała uznać za pana, lecz jeszcze się dopuszczała na resztę Polski najazdów, odzyskał berłu swojemu po wielkich wysileniach wojennych. Wspomagał go w nich (r. 1041)

---

wyjątkowa tytulatura Kazimierza I — miałżeby to być w tym roczniku tylko przypadek?

Lecz w innych rocznikach, powie kto na to, i Kazimierzowi przecież nie odmawiają tytułu króla! To prawda; ale tamte roczniki, choć z nich niejeden sięga w odległą przeszłość, dochowały się tylko w późniejszych odpisach. Kapitulny tylko kodeks sam jeden jest ocalony w całości w prastarym autentyku! I zważmy jeszcze, co tu właśnie najwyższej jest wagi, że już i w tym kapitulnym wyraz *dux* dodany do imienia *Kazimir* przez nieznaną czyjąś rękę później był wyskrobany, a *rex* natomiast napisano (w zapisce pod r. 1058). W drugiem zaś miejscu (pod r. 1065) przeoczył ten późniejszy poprawiacz zapiskę »Kazimiri *ducis*« i zostawił te wyrazy, jak były.

Otóż naoczna skazówka, w jakito sposób postępowano sobie w rocznikach przy ich przepisywaniu, odmieniając na własną rękę, co się komu nie podobało.

Z tego wynika, że niemożna przeciw twierdzeniu mojemu w żaden sposób ani z tej okoliczności wydobywać zarzutu, że w kronikach naszych (późniejszych) pozytywne się znachodzą wzmianki o koronacyi Kazimierza jako odbytej. Najdawniejsze między niemi ani słowem nie nadmieniają, czy tej koronacyi dopełniono, czy nie dopełniono. Utarta tradycya narodowa, która Kazimierza za koronowanego króla każe uważać i która do dziś dnia powszechną znajduje wiarę, późno dopiero się pojawiła. Śledzić początków jej można nie rychlej, jak od końca XIII wieku począwszy, a zatem od takiej chwili, która przedziałem przeszło półtrzeciawiekowym była już oddalona od owych zdarzeń. Mianowicie obie Kroniki szląskie, jedna z końca XIII, druga, z niej głównie wypisująca, z końca XIV stulecia, prawią jakoby Kazimierz I w Niemczech (!) przez cesarza Henryka III koronowany był i zaraz potem razem z matką (?) do państwa swojego wrócił. Temu przecież już dla samych okoliczności ubocznych trudno uwierzyć. O zdarzeniu takiem w Niemczech, nie byłoby przemilczało kronikarstwo tamtejsze. Zdarzenie to samo w sobie nazwać trzeba niepodobieństwem. Wiadomo także, że Ryksa z synem i w ogóle po wyjeździe swym z Polski, już do niej nigdy nie powróciła. Jak więc ten powrót Ryksy jest bajką, jak na dalszych kartach jest bajką, że Bolesław Krzywousty brał udział w jakiejś wyprawie

i to podobno osobiście Jarosław w. książę kijowski, z którym się dom nasz książęcy dwukrotnym skojarzył związkiem. Siostra Jarosława, Marya-Dobroniega, została r. 1039 małżonką Kazimierza; z drugiej strony

---

krzyżowej do Palestyny, jak jest bajką, że Mieczysław II nie był koronowanym, o czem wszystkiem właśnie tylko w jednej z tych szląskich kronik czytamy: tak też do baśni oczywistych policzyć trzeba i tę niemiecką koronacyę Kazimierza... Długosz, ten ojciec tradycyjnej historyi narodowej, miał dosyć zdrowego sensu, żeby tych podań nie tykać: daje więc od siebie inne natomiast szczegóły. Kazimierz miał otrzymać od Henryka III, kiedy dwór jego nawiedził jadąc do Polski, zwrócone sobie obie korony (ojca swojego i matki), które według jednych Bezprym, według drugich Ryksa, kiedy z Polski do Niemiec uszła, miała była złożyć w ręce cesarza. Zaraz tedy za przybyciem do Gniezna odbyła się koronacya najuroczystsza, którą ten pragmatyczny dziejopis tak opisuje dokładnie, że chyba tylko tego jednego braknie, żeby dodał, ile beczek wina na niej wypito. Czy może miał Długosz jakie do tego źródła pod ręką? Bynajmniej! Długoszowi była wprawdzie prawda dziejowa świętą, jeżeli mu pozytywnie była wiadoma; lecz w braku źródeł — co tylko zdawało się jego wyobraźni w danych okolicznościach prawdopodobnem, już mu uchodziło za pewne, za fakt, który wolno postawić i nawet z najdrobniejszymi szczegółami opisać. Takato już w ogólności była jego metoda, przynajmniej przez całą dawniejszą partyę historyi. Że obok wielu innych znanych u niego zmyśleń, i ta koronacya Kazimierzowska należy do takich epizodów wyssanych z palca: o tem nas przekonywa inna ciekawa próba jego swobody w tejsamej rzeczy, mianowicie drugi, także znowu tak szczegółowy opis najbliższej potem koronacyi królewskiej, koronacyi Bolesława Śmiałego. Wyprawia mu ją Długosz w swem dziele w roku 1058, natychmiast po wstąpieniu na tron! Otóż wiemy jak najdokładniej, nie tylko z postronnych źródeł, lecz już i z naszych nawet krajowych, z roczników, że koronacya Śmiałego zaszła dopiero w r. 1076. Wiedzieć o tem musiał i niezawodnie wiedział i Długosz — ale jego warunkom podobieństwa do prawdy się to sprzeciwiało. Dał nam natomiast to, co wedle niego było rzeczą, która się sama rozumie. Z niego przeszło to potem do całego szeregu dalszych historyi polskich.

Tak chwytamy na gorącym uczynku zaród bałamutnych podań dziejowych, które im więcej omszone starożytnością, tem bardziej utrudniają pogląd na czystą istotę rzeczy.

siostra Kazimierza, tegoż imienia co jej matka Ryksa, później wyszła za syna Jarosława, za Izasława [1]).

To pokrewieństwo z Kijowem uchyliło na długą przyszłość odnowienie zatargów o Ruś Czerwoną. Zostawiono ją i nadal pod ruskimi rządami.

Natomiast udało się Kazimierzowi pod koniec panowania swojego (w r. 1054) przywrócić Polsce Szląsk, przez Brzetysława wydarty. Zwrot tej prowincyi jednakże przyszedł do skutku na razie połowicznie tylko i warunkowo — za przyrzeczeniem uiszczania Czechom z tego tytułu znacznej daniny corocznie (30 grzywien złota i 500 grzywien srebra).

Takimto powolnym wprawdzie, lecz nieprzerwanym a stopniowym postępem wracała Polska przez lat kilkanaście ku stanowisku, z którego ją zepchnęły były błędy jej polityki. Niewątpić, że gdyby była i po roku 1058 (po zgonie Kazimierza) postępowała dalej tym torem, byłaby mogła dawne swoje znaczenie i zupełnie odzyskać przy okolicznościach pod każdym względem tak bezprzykładnie dla niej pomyślnych, jak nimi były czasy rządów Bolesława Śmiałego (1058—1079).

Na nieszczęście, wzięły znowu górę zapędy, które ten postęp wstrzymały w biegu, a nakoniec i skompromitowały koronę.

Sądzić o czynach Bolesława II (a właściwie III) — nader trudne to wprawdzie zadanie. Jeżeli w ogóle dzieje tych pierwszych Piastów słabo się wychylają z pomroki, to panowanie tego króla jest nawet w porównaniu z jego poprzednikami, prawdziwie *terra incognita*. O historyi Bolesława Śmiałego ani mowy nigdy nie będzie. Tajemniczem się panowanie to okazuje od początku do końca, i w takim stanie rzecz ta

---

[1]) »Mon. Pol.« I 861.

pozostanie pewnie na zawsze. W postronnem współczesnem dziejopisarstwie nie znajdujemy prawie doniesień o czynach Polski tych czasów. Z przyczyn, które się niżej wyjaśnią, nie zajmowały się już wtedy Niemcy tym sąsiednim narodem. Krajowi nasi najdawniejsi, bliskocześni tej epoce pisarze (Gallus i rocznikarze) wiedzieli wprawdzie o Bolesławie niejedno, ale nie chcieli tego co wiedzieli powiedzieć. Ten ustęp dziejów, splamiony zbrodnią korony i niezawodnie także błędem jakimś pożałowania godnym ze strony przeciwnego obozu, był dla nich jak gdyby miejscem, w obrębie którego zatrzymywać się straszno. Omijali je co najprędzej, żegnając się krzyżem świętym... Późniejsi kronikarze żyjąc w czasach, w których majestat hierarchii tryumfował już nad koroną, do pamiątek archeologii złożoną, byliby radzi chcieli rozgadać się o tej próżni dziejowej, lecz niestety nic już o niej nie wiedzieli pewnego. Kadłubek, od Galla tylko lat 80 późniejszy, od zgonu Bolesława Śmiałego oddalony tylko jednowiekowym przedziałem — literalnie nic już o nim nie umiał powiedzieć więcej prawdziwie dziejowego, jak tylko, czego się od tamtego kronikarza dowiedział. Równie i Baszko, dalszym całym wiekiem późniejszy, parafrazuje znowu tylko tosamo. Natomiast rozrosły się na tym odłogu pustym a bujnym historyi, cudowne mity i legendy kościelne, które dość rychło wcisnęły się i do dziejów. Ścisła krytyka nic prawie stworzyć z takiego materyału nie może [1]).

Pod zastrzeżeniem, że mając do czynienia z takim przedmiotem, pomylić się aż nazbyt łatwo — da-

[1]) Bajeczność wszystkich tradycyjnych opowiadań o czasach Bolesława II miała dwie główne krynice, z których się zasilała. Jednem z nich było religijne podniecenie fantazyi u grobu św. Stanisława. Drugiem przekonanie z góry powzięte, że Śmiały w rycerskich sprawach Chrobrego naśladował. Za czem poszło, że popodkładali mu historycy różne rzeczy z czynami Bolesława I w analogii zostające, lecz przez Śmiałego nie dokonane.

łaby się może kwintesencya polityczno-dziejowa o Bolesławie, oczyszczona tak z uprzedzeń, jak i zachwytów przylgniętych już do tego imienia, zamknąć w tych niewielu zarysach. Był to książę niewątpliwie wyposażony z natury darami, które wiodą do sławy narody i pozyskują panującym serca poddanych. Pochopny do walki, w trudach obozowych rozmiłowany, szczęśliwy w boju i jakby stworzony na wodza — szczodry nad podziw i prawie rozrzutny dla swego rycerstwa — skory do pomocy każdemu z książąt sąsiednich, którzy się po kolei oddawali w jego opiekę — bezinteresowny w tych trudach, dla drugiego podejmowanych, w stopniu posuniętym do ideału — żądny sławy i za tym tylko fantasmatem goniący: posiadał Bolesław przymioty, które każdego w społeczeństwie wynieść muszą wysoko, które i panującego w oczach nie tylko własnego narodu, lecz i postronnych, do czasu otaczają urokiem, na całe życie jednak nie wystarczają, owszem i zgubić go mogą, jeżeli ich nie miarkuje rozwaga. Na tej, zdaje się, że Bolesławowi w wysokim stopniu zbywało. Szedł on zawsze za chwilową fantazyą — co z tego dalej będzie, o tem nie myślał.

Wojny, które Bolesław na wszystkie strony, z jednej w drugą się przerzucając prowadził, miały mimo całej swojej świetności bardzo mało rezultatu. Korzystał z nich wprawdzie Węgier, i to po kilka razy, korzystał Rusin, i w ogóle każdy krewniak wyzyskujący dobroduszną lekkomyślność króla polskiego: ale kto z tych ciągłych wojen zaledwie co korzystał — to Polska.

Powiada nam wprawdzie jedno z mętnych, późniejszych źródeł dziejowych [1]) o tajnych zamiarach Śmiałego, jakoby one polegały na pewnym planie z góry powziętym, a zatem na świadomym celu swojego systemie politycznym. Miał on dzierżyć to trojgo

[1]) „*Vita s. Stanislai*“ bezimiennego autora, z końca XIII wieku, wydana przy Gallu przez Bandtkiego, na str. 345.

na oku: stłumić zuchwałość szlachty, która ojca jego wyrzuciła z królestwa — odzyskać kraje, przez przodków postradane — nakoniec zmusić do uiszczania danin prowincye, które do nich były zobowiązane, a zaprzestały je płacić. Pomińmy śmieszną uboczną stronę tej wiadomości, która w tem kulminuje, że wyrzeczone to jest w owej księdze zakonnej jako nagana, jako jasny dowód »niegodziwości« *(malicia)* Bolesława II. Ach gdyby to była prawda! Nie byłażby to właśnie wiekopomna tego króla zasługa? Cóż mogło w ówczesnych okolicznościach być istotniejszem zadaniem władcy polskiego, jak wzmocnić powagę rządu w narodzie przez ujęcie anarchii w kluby, i wzmocnić powagę państwa na zewnątrz przez poodbieranie napowrót krain, jako też danniczych korzyści — w ciężkiej doli straconych? Przeprzeć to wszystko, wbrew nawet wstrętnym temu założeniu żywiołom w kraju, toć to był właśnie obowiązek, to całe zadanie syna Kazimierza I. Lecz niestety, nie musiał się Bolesław wcale poczuwać do tego zadania i chyba nie pojmował swego celu, skoro działał przeciwnie. A że tak było, tego dowodzą wyniki jego działania.

Z utraconych prowincyi, prócz Pomorza gdańskiego, nie odzyskał żadnej. A burzliwość rycerskiej warstwy w narodzie, w skutek ciągłego życia obozowego po obcych stolicach i krajach, gdzie wszystko uchodziło bezkarnie, wzmogła się tylko pod tymi hulaszczymi rządami. Obróciła się też w końcu na zgubę własnego wodza.

Prowincye wtedy do odebrania były te: Słowaczyzna węgierska — Ruś czerwona — Szląsk górny aż poza Wrocław, który od r. 1054 trzymała Polska tylko komornem — nakoniec Pomorze jako kraina dannicza. Czy z tych krain nie uważał tej lub owej Bolesław w pewnych chwilach swego zawodu za już zawojowaną przez siebie? temu przeczyć oczywiście nie można. Mogło to być, a raczej mogło tak zda-

wać się jemu. Ale w stałe posiadanie i w taki zarząd, żeby i następca po nim mógł to wziąć w spadku, nie objął Bolesław ani Słowaczyzny, ani Rusi Czerwonej, ani Pomorza. Wszystkie te obszary za Władysława Hermana leżały poza granicą Polski Tego faktu trzymać się tu koniecznie należy, żeby się nie dać bałamucić gadaninie późniejszych historyków, którzy w ogólnych konkluzyach o jakichś zawojowanych przez Bolesława prowincyach prawią, a właśnie z Węgrami, Czechami, Rusinami i Pomorzanami w nieustających ukazują go udrach. Jakoż rzeczywiście mógł i powinien był Śmiały zwrócić Polsce Słowaczyznę, skoro tyle razy (r. 1061, 1064, 1069, 1074 i 1077) o losach Węgier podług woli swojej rozstrzygał. Mógł tosamo uczynić z Rusią Czerwoną, kiedy w r. 1069 wiódł do Kijowa Izasława wuja swojego, by rozporządzić podług woli swojej i tamtym tronem. Tymczasem co do Słowaczyzny nie stało się to nigdy. Co do Rusi — jeżeli kiedy do tego przyszło, to chyba dopiero w r. 1073, kiedy w Kijowie, po powtórnej stamtąd Izasława ucieczce, dwaj bracia jego rodzeni, Światosław i Wszewłod, przywłaszczyli sobie władzę najwyższą. Z tymito dopiero książęty zdaje się że zaszły w r. 1073 na 1074 jakieś zajścia nieprzyjacielskie ze strony Polski, skoro w r. 1074 obie strony zawarły ze sobą pokój (we Włodzimirzu), o którym wspomniał w »Pouczeniu« swojem Włodzimierz Monomach [1]). O co jednak chodziło przy zawarciu tego pokoju? Czy to była zgoda po przeprowadzonej wojnie, czy raczej bez żadnej wojny tylko przymierze, zawarte na wypadek przewidywanej jakiej wspólnej potrzeby? — to wszystko rzeczy zgoła nieznane. Jeżelibyśmy zatem przypuścili, że Ruś pokój ten okupiła za cenę odstąpionych Polsce grodów czerwonoruskich: to przypuścilibyśmy rzecz może prawdopodobną, ale bynajmniej nie dowiedzioną. Mir ten za-

[1]) »Monum. Pol.« I 873.

warty z Rusinami trwał od r. 1074 do 1076. W r. 1077 się zrywa, z powodu wziętego powtórnie w opiekę polską Izasława. Jaki potem był stosunek między Polską a Rusią i jakie mianowicie położenie Rusi Czerwonej? tego znowu najzupełniej wiedzieć nie można. Że jednak Władysław Herman nie był prowincyi tej panem, to pewna; i że nie on dopiero ją stracił, to równie niewątpliwe: gdyż w razie przeciwnym nie byłby tego przemilczał Gallus, który czasy Władysława I przecież znał dobrze i dość zasobnie opisał. Utrata tej prowincyi, odniesiona dopiero do ostatnich chwil panowania Bolesława Śmiałego, po zabiciu św. Stanisława, a przed wyrzuceniem tego króla z ojczyzny, jak to podaje Długosz, uważając w niej karę bożą — należy oczywiście do własnych jego wymysłów.

Co się tyczy daniny Czechom płaconej od Szląska — ani wątpić, że faktycznie nie uiszczał im jej wyniosły Bolesław. Pomimo szwagrostwa z książęciem Wratysławem, jako małżonkiem zaślubionej w r. 1063 Swatawy, siostry króla polskiego, zostawał Bolesław w przeciągu długiego czasu (od 1069 do 1076 co najmniej) w nieustannych z tym Czechem zatargach zbrojnych. Powodu do nich dostarczały z jednej strony mieszania się Bolesława w dynastyczne sprawy węgierskie, które Wratysław podtrzymywał w przeciwnym kierunku — z drugiej strony niezawodnie i zalegające należytości od Szląska. Ponieważ wychodziliśmy z przebojów tych albo zwycięsko, albo przynajmniej obronną ręką: więc się mogło bardzo snadnie przez całe to panowanie ani grzywny Czechom nie płacić. Ale też na tem kończyło się już wszystko. Do zrzeczenia się bowiem zasadniczego tych należytości od Polski — do tego nie dał się Wratysław przymusić Bolesławowi (pomimo nawet dostarczonych temuż w r. 1076 posiłków ze strony sprzymierzonej z nim Rusi). A twierdzić to można śmiało na tej podstawie, że za rządów Władysława Hermana musiała Polska i ten nieza-

szczytny dla siebie ciężar znowu dźwigać (począwszy od r. 1092).

Weźmy przed się nakoniec stosunek ówczesny nasz do zachodniego Pomorza. Wiadomo, z jakiemi trudnościami i po jak długich i krwawych dopiero walkach poddał pod zwierzchnictwo Polski owę prowincyę Bolesław Krzywousty. Wiadomo, że i za Władysława Hermana kilkakrotnie już trzeba było odpierać najazdy zbrojne Pomorzan na posiadłości polskie. Cóż więc mógł uczynić w tym kierunku Bolesław Śmiały? Ani wątpić, że w jednej lub drugiej jakiej dorywczej bitwie ukrócił on (jak podobno i jego już poprzednicy, Mieczysław II i Kazimierz) napastliwość i zuchwalstwo tego plemienia, lecz ani nad Pomorzem zachodniem i środkowem nie panował, ani nawet stałych nie musiał z niego pobierać danin. Wszakże Gallus (ks. I cap. 22) wręcz to stwierdza, że ów rodzaj zwierzchnictwa Polski nad Pomorzanami, które miał rozciągnąć nad nimi Kazimierz I po uśmierzeniu Mazowsza, ustał zaraz w pierwszych początkach panowania Śmiałego. O przepłoszeniu ich później, powiada wprawdzie kronikarz (cap. 25), ale mówi o niem jako tylko dorywczem i niezupełnem (*„quamvis dampnose“*). Traci przeto wszelkie znaczenie, co Długosz (pod r. 1064) nie tylko o posiadaniu Pomorza, ale i o shołdowaniu nawet Prusaków przez tego króla napomyka (wbrew zwyczajowi swemu) półsłówkiem.

Jedyny dowód stałego władztwa Bolesława Śmiałego bodaj nad Pomorzem wschodniem, t. j. nad nadbrzeżem Wisły, od granicy kujawsko-mazowieckiej począwszy aż do uścia tej rzeki do Bałtyku, mielibyśmy w znanem nadaniu rzekomo dla Mogilnickiego Benedyktynów opactwa z r. 1065 [1]). Obdarza w nim Bolesław jakoby klasztor rzeczony obok wielu innych rzeczy i mytami przewozowemi przez Wisłę, od miaste-

[1]) »Kod. dypl. WPolski«, tom IV N. 3.

czka Kamienia (na lewym brzegu rzeki położonego w pobliżu Czerwieńska i Wyszogrodu) począwszy »aż do samego morza«. Toby z pewnością dyplomatyczną wskazywało więc na to, że uważał on tę część Pomorza za terytoryum swoje [1]).

Ta jałowość rezultatów 20-letniego działania u steru państwa znajduje wprawdzie wymówkę w okoliczności, że Bolesław w zbyt młodocianym wieku do steru tego przystąpił (miał lat co najwyżej 19, kiedy panować zaczynał [2]). Z drugiej strony jednakże niepodobna tego przemilczeć, że położenie jego jako naczelnego władcy w narodzie, przy takim z wrodzonego już charakteru zgodnym i potulnym bracie, jak nim był Władysław Herman (o drugim bracie Mieszku, niema powodu nawet wspominać, gdyż umarł w młodych latach i bezpotomnie), było szczęśliwem, jak żadnego drugiego z książąt naszych tamtej epoki. A kontrast ten staje się jeszcze jaskrawszym, jeżeli z nim porównamy opłakane położenie wszystkich w okół panujących, temu monarsze współczesnych — na Rusi, w Węgrzech, w Czechach i w cesarstwie nawet niemieckiem. Czego Bolesław w całej pełni używał na swoim tronie, tego brakło najzupełniej tym wszystkim jego sąsiadom, spychanym co chwila lub zachwiewanym na stanowiskach w skutek zatargów w obrębie własnej rodziny albo z innymi im podwładnymi książęty. W takich okolicznościach dawało się przeprowadzić niejedno, czemu

---

[1]) Dyplomat ten Bolesława Śmiałego doszedł do nas tylko w przeróbce, która jako całość należy do liczby falsyfikatów, zawiera w sobie jednak i autentyczne ustępy. Pisałem o tym najdawniejszym zabytku polskiej dyplomatyki w traktacie moim o biskupstwach, a mianowicie w rozdziale o biskupstwie kruszwickiem. (»Z dziejów i literatury«, pisma pomniejsze, str. 225 i nast.). Powtarzać więc tego, com tam powiedział, tutaj nie będę.

[2]) Czas urodzenia Bolesława II nie jest na pewne wiadomy. Długosz podaje r. 1042. Rocznik Krasińskich 1039.

o pół wieku rychlej nie dopisywały nawet siły Bolesława Chrobrego. Lecz z tego nie umiano korzystać.

Stosuję to i do położenia Polski w obec Niemiec. Z Henrykiem III poszła do grobu (1056) na długie czasy i groza władzy cesarskiej. Pięcioletni Henryk IV taksamo nie był nikomu strasznym, jak regencya w jego imieniu rządząca, która nawet własnych książąt nie umiała utrzymać w karbach. Siły tych książąt wyrosły władzy centralnej nad głowę. Za przyjściem do pełnioletniości, trzeba było Henrykowi orężem tylko podtrzymywać powagę a raczej pozór powagi cesarskiego imienia. Wojna domowa niezadługo zamieniła się w gorszą walkę, bo w bój dwóch najwyższych władz w chrześcijaństwie, w zapasy władzy świeckiej z Kościołem, kiedy na stolicy rzymskiej zasiadł potężny Grzegorz VII (r. 1073), który już w trzy lata później mógł święcić swój sławny tryumf w Kanosie... Nasz Bolesław nie widać, żeby był z tych przewrotów korzystał. Nie zaczepiany przez Niemców, i sam się też trzymał z dala od tych tak dokuczliwych dawniej dla jego kraju sąsiadów. Zdaje się, że jak z zachwianego stanowiska cesarza przed wybuchem jeszcze tej walki z Rzymem nie chciał przez długie lata żadnego ciągnąć pożytku dla siebie[1]), tak też i potem nawet nie wziął w niej zasadniczo udziału. Wprawdzie w ostatecznym skutku, mimo wiedzy i woli swojej, wysługiwał on się niepomału stronie walczącej pod sztandarami Grzegorza i temsamem utrudniał stanowisko Henryka. Ubijał się bowiem z wytrwałością przez owe lata z czeskim książ-

[1]) Jest faktem, że jeszcze w r. 1071, w jesieni, stawił się Bolesław na wezwanie Henryka IV do Miśnii razem z Wratysławem czeskim, którychto książąt zwaśnionych ten cesarz między sobą pojednać pragnął i boju im dalszego zakazał (Lambert Schaffnb. pod r. 1071). Posłuchu ten rozkaz cesarski nie znalazł wprawdzie; ale zawsze wiele znaczy, że król polski stawił się przed nim, a więc zasadniczo przyznawał mu jeszcze i wtedy jakieś prawo mieszania się do spraw takich.

żęciem, który stał po stronie Henryka, a począwszy od r. 1075 był nawet głównym filarem całej partyi cesarskiej. Ale to też było już wszystko, co na szkodę tejże partyi, a na korzyść drugiej uczynił. Ta polityka nie miała rozleglejszego zakresu, nie zajęła miejsca w samem sercu sporu, który był doniosłości europejskiej, nie dostrzegała, ile się kwestyi dotąd nierozwiązanych, a najwyższej wagi czy to dla własnego kraju, czy dla Słowian zachodnich w takiej chwili nastręczało do załatwienia przy zręcznem postępowaniu w przeciwny sposób. Ta polityka zacieśniała się do zaściankowej nienawiści między szwagrem a szwagrem, do boju na własną rękę prowadzonego między Czechami a Polską. Niemców jako Niemców ona nie dotyczyła, a taksamo i stolicy apostolskiej świadomie i bezpośrednio wcale nie miała na oku.

To zachowanie się Bolesława tłómaczy nam też całą zagadkę, dlaczego przez cały czas jego rządów kronikarstwo niemieckie prawie już wcale nie uwzględniało zdarzeń i stosunków dotyczących naszego kraju; dlaczego ono tak wytrwale milczy o Polsce [1]).

---

[1]) Powyższe wnioski opieram na podstawie zachowanego listu Grzegorza VII z dnia 25 kwietnia 1075, pisanego do Bolesława naszego, który mamy zamieszczony i w »Mon. Pol.« T. I str. 367. List ten nie tylko nie dowodzi ścisłych i stałych porozumień króla tego z papieżem, których dowód chcieli w nim upatrywać niektórzy historycy; ale owszem jasno wskazuje, że ich pomiędzy nimi aż do tego czasu nie było. Cóż w liście tym bowiem czytamy? Wypowiada tu wprawdzie Grzegorz uznanie Bolesławowi — lecz nie za jakiekolwiek polityczne na korzyść jego działanie, ale... za szczodrość dla kościołów i może za świętopietrze świeżo do Rzymu przysłane. (To się świadczyło papieżom ze strony Polski i przedtem). Zresztą jest to widocznie tylko wstęp grzeczny do interesu, ocukrzenie... bury, stanowiącej główną treść listu — i to bury za dwie rzeczy, za nieład panujący w świeckich i w hierarchicznych polskich stosunkach, i za rabunek popełniony na skarbach owego wygnańca ruskiego, który wtedy durzył Grzegorza i został przezeń wzięty w opiekę. Tak się do sprzymierzeńców i stronników zdeklarowanych nie pisze! — Mimochodem jest

Porozumienie zasadnicze z stolicą apolstolską, jeżeli w ogóle do tego przyszło, mogło chyba nastąpić dopiero za przybyciem legatów rzymskich do Polski w r. 1075, wyprawionych do tego kraju w sprawach wprawdzie kościelnych, ale może i z zadaniem skłonienia króla polskiego do wmieszania się w ruskie stosunki, celem przywrócenia na tron kijowski Izasława, aż dotąd nadaremnie domagającego się tej pomocy [1]).

O ile zostają ze sobą w związku wewnętrznym te trzy zdarzenia: bytność legatów w Polsce począwszy od maja albo czerwca 1075 r. przez czas zapewne przydłuższy — koronacya Bolesława w sam dzień Bożego Narodzenia r. 1076 odbyta — i pomoc zbrojna Polaków dana Izasławowi w rychłej już wiośnie r. 1077, w skutek której tenże (d. 15 lipca owego roku) w Kijowie utraconą władzę odzyskał: tego nie powiadają nam dzieje. Prawdopodobnem jednakże jest, że ta koronacya przyszła do skutku właśnie z ramienia owych legatów; w takim zaś razie ani wątpić, że była to cena, za którą okupiono to nasze po raz drugi pod Bolesławem wkroczenie w ruskie sprawy.

Tak więc to »bliższe porozumienie się« Polski z papieżem byłoby począwszy od r. 1075 faktem, ale godnym pożałowania: bo wyrzuciło Bolesława do reszty z owego toru, na którym prędzej czy później mógł był trafić na drogę, samemi okolicznościami pań-

---

w liście także i wzmianka o wysłaniu równoczesnem do Polski legatów papieskich, którzy mieli nieład kościelny na miejscu uchylić.

[1]) Wprowadzony przez Polaków do Kijowa w r. 1069 Izasław, już w r. 1073 ustąpił przed własnymi braćmi z stolicy. W Polsce źle go przyjęto, doświadczywszy niewdzięczności tego książęcia. W Niemczech także nic nie wskórał. Wtedy (w styczniu 1075 r.) przyobiecał on Grzegorzowi VII oddać państwo swoje, jeżeli je odzyszcze, pod protekcyę św. Piotra. To powód kroków, które Rzym w sprawie jego uczynił. Obacz list Grzegorza do Izasława z d. 17 kwietnia 1075 r. w »Monum. Pol.« T. I str. 371.

stwu temu wskazaną. Rzecz wzięła obrót, który ani krajowi naszemu ani stolicy apostolskiej żadnych nie przyniósł korzyści. Izasław bowiem obietnic danych Grzegorzowi nie dotrzymał, zresztą zginął wkrótce potem w jakichś krajowych zamieszkach (d. 3 października r. 1078 [1]). Dla nas zaś polityka, na ruskich spekulacyach oparta, była przeciwną celowi przyrodzonemu narodu i dlatego zawsze fatalną.

Koroną, w taki czy inny sposób otrzymaną, cieszył się Bolesław czas tylko krótki. Już w ciągu trzeciego roku dramat tej królewskiej jego wielkości się kończy.

Regiment niedogodny dla wszystkich, kosztowny, wojenny, a mimo uciążliwości powszechnej nie poparty świadectwem skutków — a takiem okazuje się panowanie tego króla od początku do końca — prowadzi zazwyczaj albo do rewolucyi albo do despotyzmu. Tym razem nastąpiło po kolei jedno i drugie. Okoliczności upadku tego monarchy wprawdzie bliżej nie są wiadome. Jeżeli gdzie, to w tym punkcie zakrywa wszystko gęsta zasłona mitu: przez zbitą jego tkaninę przezierają jednak główne zarysy rzeczywistego przebiegu rzeczy.

Katastrofę sprowadziło odmówienie posług wojennych ze strony rycerstwa, do rozpaczy doprowadzonego tą ciągłą służbą. I w niższych warstwach społeczeństwa nagromadziły się palne żywioły. Po ostatniej wojnie ruskiej czuć się dawała w całej atmosferze pożycia woń zatęchła i złowroga z r. 1034.

Pospólstwo nie chciało dłużej znosić ciężaru wymagań — ciemiężącej je wyższej klasy. Rycerstwo nie chciało dłużej znosić ciężaru żądań — nadużywającego go tronu.

W r. 1079, wśród ponownej jakiejś wyprawy

---

[1]) Nestor pod r. 1077 i 1078. »Monumenta Pol.« T. I str. 748 i 750.

w strony dalekie, przyszło w kraju do powstania ludu pospolitego. Dało to hasło i do rokoszu w obozie. Bolesław został na ziemi nieprzyjacielskiej porzucony przez wojsko, które mu odmówiło posłuchu, by karcić w domu, na własną rękę, wybryki zbuntowanego motłochu.

Ta dezercya, a po niej gwałty społeczne, które w narodzie powszechną sprowadziły anarchię, uprawniały Bolesława do nałożenia społeczeństwu kagańca, o jakim tu nie słyszano od wieków. Prawa monarsze przez koronacyę nabyte, właśnie że były nieokreślone, mogły mu poddać myśl niepytania się o obyczaj miejscowy, ani o tradycye panowań które go poprzedziły, ani o prawa niczyje, ani o prądy wiekowe, już dość potężne, by żądać, ażeby się z nimi liczono — myśl rozpoczęcia rządów jako despota, który nie zna granic swej władzy. Było to może na czasie, ale pod jednym nieodzownym warunkiem. Bez rozwagi i wielce ostrożnej zmyślności nie wiedzie się nigdy despotom, a tych przymiotów nie posiadał Bolesław.

Starcie z prawami, które się nigdy nie dają gwałcić bezkarnie, stało się zatem nieuniknionem. Przypadek, a raczej sama logika faktów doprowadziła do tego, że jedną z ofiar onego starcia był człowiek, za którym stała cała potęga hierarchii i Kościoła katolickiego... którego osobę, g d y b y nawet był zakres atrybucyi sobie nadanych rzeczywiście przekroczył, uważać należało za nietykalną.

Jeżeli nad ciałem biskupa Stanisława tryumfowała chwilowo wszechwładność panującego: to duch tego księcia Kościoła, i sprawa za którą tenże śmierć poniósł, miała na długie wieki tryumf nierównie większej doniosłości osięgnąć, bo nie tylko nad osobą królewską, lecz i nad ideą w tejże osobie wcieloną — nad władzą rządową i nad majestatem korony.

Aż do końca XVIII wieku uważano w biskupie Stanisławie męczennika świętego, który dał życie w obro-

nie praw, zdanych pod strażę Kościoła. Na początku tego wieku, w r. 1803 (w nocie pod r. 1079 danej w Historyi Naruszewicza edycyi Mostowskiego), rzucił mimochodem T. Czacki uwagę, że w kronice Galla, wtedy jeszcze w autentycznej swojej redakcyi nie ogłoszonej, znajduje się powiedzenie, jakoby biskup Stanisław był się zapuścił w zmowy z Czechami przeciwko swemu królowi i że zato przezeń jako zdrajca został zabity. W dwadzieścia lat później (1824) pojawiła się w druku kronika Galla podług kodeksu, do któregoto odwoływał się Czacki, i okazało się, że nazywa w niej autor biskupa wprawdzie *traditor*, lecz o zmowach jego z Czechami nie mówi wcale [1]). Zawiodła więc chyba pamięć Czackiego przy znanej jego żywości, skoro się mógł takiej pomyłki dopuścić. Pomimo takiego szwanku podejrzeń przez Czackiego rzuconych, nurtowały już jednak odtąd ciągle oskarżania św. Stanisława o te zmowy z Czechami, jakkolwiek dowodu nato niema i rzecz już z tej przyczyny nie jest podobną do wiary, że przecież w owych latach książę czeski Wratysław II jako najściślejszy sprzymierzeniec cesarza Henryka IV razem z nim przywalony był klątwą papieską — jakże zatem miałby był biskup krakowski wchodzić z takim rządem w kunszachty? Ostatnimi czasy chciano upatrywać możność przynajmniej poszlaków takiej winy biskupa krakowskiego w pewnym liście bez żadnej daty czasu, niezrozumiałym i co do pytania, kto go i do kogo pisał, ponieważ imię jednej i drugiej osoby jest w nim zastąpione literami tylko początkowemi, a i to nie bez pomyłki. Mamy ten list zamieszczony i w tomie I »Monum. Pol.« (str. 364). Dawniej jedni go uważali

[1]) »Illud enim multum sibi (Bolesławowi) nocuit, quum peccato peccatum adhibuit, quum pro traditione pontificem truncationi membrorum adhibuit. Neque enim traditorem episcopum excusamus, neque regem vindicantem se sic turpiter commendamus, sed hoc in medio deferamus«. To jest wszystko, co Gallus w sposób tak tajemniczy napisał o tem zajściu. »Mon. Pol.« I 422.

za pisany przez Wratysława II czeskiego do Władysława Hermana w czasie, kiedy ten już nad Polską panował. Inni stawiali tę rzecz odwrotnie. Nie brakło i na wykładzie, że było to pismo Wratysława do Bolesława Śmiałego z czasu około r. 1074. Dzisiaj już wiemy, że to wszystko przypuszczenia mylne, ponieważ był to list Wezilona arcybiskupa mogunckiego do księcia czeskiego Wratysława II, a zatem pismo, które z Bolesławem Śmiałym i z naszemi rzeczami żadnego nie miało związku.

Pozostaje zatem z całego oskarżenia biskupa Stanisława tylko to jedno słowo *traditor*, wyrzeczone przez Galla. Wnosić należy, że nie było ono na wiatr rzucone. Biskup krakowski nie widząc, żeby broń jego duchowna skutkowała na Bolesławie, mógł się obejrzeć i za świeckimi środkami, któreby poparły to wkroczenie władzy kościelnej w rządową. (Może jakie zmowy z dygnitarzami państwa — może konflikt jakiś uroszczeń hierarchicznych świeckiej natury z absolutyzmem rządowym, traktowany przez biskupa jako gwałt przeciwko Kościołowi samemu — lub coś innego w tym rodzaju). To się mogło królowi — i rodzinie królewskiej później, za której czasów żył Gallus, cudzoziemiec przywykły do innych pojęć — wydawać zdradą, chociażby nawet nie było to miało na celu zaraz detronizacyi upartego monarchy. Takiej »zdrady« w dziejach polskich dopuszczały się nieraz najpopularniejsze w narodzie osobistości. A biorąc rzeczy ściśle, to prawdziwie nie umiałbym powiedzieć, kto się jej nie dopuszczał w tem społeczeństwie, w którem każda niemal sprawa prywatna uchodzić chciała za publiczną, a każda publiczna obracała się prędzej czy później w prywatną.

Skompromitowanie to monarchicznej idei było niepowetowanem nieszczęściem dla całego narodu. Odpowiedzialność zato spada wyłącznie na książęcia, który przez całe życie rzetelnie na to pracował, żeby unie-

możliwić swoim następcom użycie jej w całej pełni. Odtąd już chyba tylko wyjątkowe osobistości rządzić mogły sprężyście. Nie mogły czerpać siły rozkazu z tradycyi, lecz tylko z siebie, z własnych osobistych przymiotów.

Zabicie Stanisława św. zaszło d. 11 kwietnia r. 1079 [1]). Spowodowało stolicę apostolską, jak to zawsze w razach podobnych bywało, do obłożenia króla, a pośrednio i całej Polski, cenzurami kościelnemi. Doniosłości tych cenzur historya nie zna. W samym kraju gwałt popełniony na osobie biskupa, wyzyskany przez przeciwników królewskich, spotęgowany sztucznie innemi jeszcze plotkami do rozmiarów olbrzymich i w tej monstrualnej postaci puszczony w obieg, dał hasło do jawnego buntu poddanych [2]).

---

[1]) Ta data dnia i miesiąca jest pewną, podaje ją bowiem Kalendarz kapitulny krak. (»Mon. Pol.« T. II str. 919), który w tych rzeczach zasługuje na wiarę, i niektóre także roczniki. Co do roku niema wątpliwości. Kanonizacya św. Stanisława zaszła d. 8 maja (r. 1253), jak to zapisano w tymże Kalendarzu krakowskim (»Mon. T. I str. 921). Dlatego też w tym dniu obchodzi się święto tego patrona Polski.

[2]) Mówię spotęgowany sztucznie. Ciało biskupa miało być posiekane w sztuki. Potem się zrosło cudownie, przy współdziałaniu czworga orłów. Tłómacząc ten poetyczny język legendy na język zwyczajnych śmiertelników, znaczy to, że nad ciałem biskupa, zabitego w namiętnem uniesieniu, wcale się nie pastwił Bolesław i nie posiekał go w sztuki — ale rozpuszczono po kraju taką pogłoskę. W którą wszyscy uwierzywszy, kiedy w kilka lat potem (w r. 1088), przy przeniesieniu tego ciała ze Skałki do katedry, widzieli je całkowitem i »nawet bez blizn zrośnięcia«, zagodzili sprzeczność pogłoski z tą widomą rzeczywistością — cudem. (W taki sam sposób w sześćdziesiąt kilka lat później Piotrowi Duńczykiem nazywanemu odrósł cudownie język, który mu z rozkazu Władysława II — syna Krzywoustego — został w niemiłosierny sposób ucięty). Znane to są manewra, którymi możnowładztwo i hierarchia w Polsce — a raczej niegodni obojga przedstawiciele, przy tradycyjnym braku odwagi cywilnej u reszty, lepiej myślącej — wojowali z władzą rządową... Co do mojej osoby przekonany równie jestem, że do mitycznej tylko ornamen-

Wobec tej ostateczności, wobec rokoszu podniesionego przez cały naród, popierany i przez władze duchowne, ustąpił Bolesław razem z synem 10-letnim, po nadaremnym przeboju z kraju *(ejectus est* u Galla). Usunął się na razie do Węgier. Czy zaś to nastąpiło zaraz w r. 1079, co najpodobniejsze do prawdy — czy (jak chce Długosz) dopiero w dwa lata później: to równie nie jest wiadomem, jak i cały koniec życia tego wygnańca [1]).

Po królu zrzuconym z tronu wolą narodu, przyszedł do steru państwa brat jego, jedyny wtedy z rodzeństwa, Władysław Herman (1079—1102). Prawo dziedziczne i prawo inicyatywy z dołu (elekcyi) działały tu razem. Jedno uzupełniało drugie. Ani Władysław ani ci co go okrzyknęli panem, nie byliby potra-

---

tyki opowiadania należą i ambaje o niemoralności króla, o grzechach przeciwko naturze i t. p. Kadłubek zarzuca mu tylko samowładne postępowanie i okrucieństwa, a nie życie i pod prywatnym względem gorszące, o które go według legendy miał głównie strofować i wyklinać biskup miejscowy. Wszystko to zatem wytworzyło się później dopiero. Czyż człowiek, po tyrańsku karcący zepsucie swoich poddanych, w którego usta Kadłubek kładzie słowa: *„extirpari oportere scortorum scandala, non foveri“*, czy mógł on sam popełniać uczynki, o jakie go w XIII wieku dopiero układane Żywoty św. Stanisława obwiniają?

Nie wątpić zatem, że publicznej to natury zatargi, a nie prywatnej, ani kościelnej, rzuciły kość niezgody między tymi dwoma mężami. Przeziera to nawet z Żywota *(„conditor legum iniquarum“*, str. 337; *„jus terrae commune“* za nic przez tego autora poczytywane, str. 338 i t. d.).

[1]) Śmierć Bolesława podług miejscowego tam gdzie grób jego podania zaszła r. 1089 w Ossyachu w Karyntyi, w tamtejszym klasztorze Benedyktynów, w którym nieznany nikomu i w pokucie bezprzykładnej przeżył lata ostatnie. W samej chwili zgonu dopiero miał wyznać, kim był. (O jego grobie i podaniach doń przywiązanych podał najwięcej wiadomości G. Smólski w »Krakowskim Przewodniku Powszechnym« z r. 1896, zeszyt styczniowy).

fili sobie z tego zdać sprawy, w imię której z tych dwóch zasad zajmuje tron nowy monarcha. W tamtoczesnem zamieszaniu nikt pewnie i o to nie pytał, czy to była intronizacya młodszej dynastycznej linii po usunięciu na zawsze starszej, czy coś w rodzaju czasowej regencyi. W kilka lat później (1087—89) będzie ta myśl nurtowała w umysłach, lecz w owej chwili i przez pierwsze lata swych rządów sam jeden chyba Władysław, człowiek dobrej, lecz wątłej woli, przyciśnięty i fizycznem jakiemś kalectwem [1]), uważał siebie raczej za zawiadowcę tylko królestwa. Powrót króla wypędzonego, lub syna jego Mieszka, który z nim poszedł dzielić wygnanie, mógł przy pomocy węgierskiej nastąpić prędzej czy później. Ani wątpić, że to przypuszczał Władysław i był daleki od tego, żeby im tych praw zaprzeczać, jeżeliby się o nie upomnieli z orężem w ręku.

To wystarcza najzupełniej, żeby zrozumieć, dlaczego książę ten pod tym tylko a nie pod królewskim tytułem na tronie braterskim zasiadł. Ale nie tłómaczy bynajmniej, dlaczego i później, kiedy w drugim lub trzecim rządów tych roku władza Władysława I się ustaliła, a oczekiwania powrotu tamtych upadły, przy roztrząsaniu nieuniknionego wtedy pytania co do koronacyi królewskiej na tem stanęło, że jej nie będzie [2]).

) *„Homo gravis aegerque pedibus“* (Gallus, lib. II cap. 1). Zresztą był on w sile wieku, kiedy do steru państwa przystąpił, nie licząc wtedy, jak lat najwyżej 38.

[2]) Za chwilę taką możnaby uważać rok 1081. Rok ten w kilku rocznikach naszych (kapitulnym krakowskim, t. zw. krakowskim krótkim, Sędziwojowskim i Traski) jest podany jako czas śmierci Bolesława Śmiałego. Kiedy właściwie król ten zszedł z świata, tego nikt nigdy w Polsce nie wiedział. Skoro o ostatnich jego losach panowały w kraju od najwcześniejszej już doby tak co do miejsca, jak co do innych okoliczności najrozmaitsze i nawet sprzeczne mniemania, temci mniej wiadomem było, kiedy on życie zakończył. Rzekomy tedy rok jego zgonu wskazuje chyba tylko datę,

Wiadomo, że od tegoto czasu począwszy aż do Przemysława w r. 1295, a właściwie aż do Władysława Łokietka w r. 1320, wszyscy nasi panujący zrzekali się tego zaszczytu. Ogołocenie Polski z blasku korony trwać odtąd miało przez lat 240 jako normalny stan rzeczy; i jeżeli na jaką okoliczność zewnętrzną (o wewnętrznych, istotnych przyczynach bowiem tu nie mówimy), to na tę właśnie bezkrólewskość i bezkoronność państwa polskiego w tym czasie, złożyć należy rozpadnięcie się już w 66 lat potem jednolitego królestwa na owe rozdrobnione rządziki, których plaga ciężyła nad tym narodem przez więcej jak półtora stulecia.

Nie będzie pono w całych dziejach naszych pytania, któreby było zawilszem od kwestyi, dlaczego Władysław Herman, dlaczego wielki syn jego nie dali się koronować.

Uprzytomnijmy sobie położenie państwa ówczesne, a rzecz nie będzie tak bardzo trudną do rozwiązania.

Przedewszystkiem skonstatujmy, że to odkładanie do coraz dalszej przyszłości, a nakoniec i zapomnienie o koronacyi, nie było ani zainaugurowaniem jakiegoś nowego stanu rzeczy, ani odstępstwem od dotychczasowych tradycyi.

Poprzednie panowania w pewnych tylko, z rzadka rozrzuconych, a zatem i wyjątkowych jedynie chwilach poparte były tym urokiem władzy nieokreślonej, jakiego udzielały w tamtych wiekach namaszczenie i koronacya królewska. Było tak w r. 1025; potem od 1025 do 1034; nakoniec przez lata 1077, 1078 i roku 1079 początek. Wszystkiego zatem, razem zliczywszy, mało co nad lat 12 — na przeciąg czasu tak długi, jak nim już było wtedy historyczne (962—1081) istnienie Polski, święcącej obecnie 119 swoję rocznicę.

---

od kiedy Polska zaczęła go urzędownie uważać za wykreślonego z liczby żyjących.

Zauważmy oprócz tego, co wątpię żeby nie miało zwrócić na się uwagi i tamtoczesnych pokoleń, że ten koronny majestat, który sprawiał za granicą tyle zawsze nienawiści i zgrzytu, nie przynosił z sobą szczęścia naszemu krajowi... Wszystkie wielkie czyny Polski aż do owego czasu, były spełnione w tej części życia jej władców, kiedy im jeszcze nie złociła skroni korona. Bolesław Chrobry, po koronacyi odbytej, zakończył życie już w kilkanaście tygodni, w pełnej sile jeszcze wieku swojego. Zawód Mieczysława II, który zaczął rządy swoje od tego aktu, był krótki i od początku do końca cierniem usłany. Bolesław Śmiały już w ciągu trzeciego roku po koronacyi swojej upadł jak najfatalniej...

W naszych oczach niepowodzenia podobne nie miałyby oczywiście żadnego w tym kierunku znaczenia. My takie rzeczy nazywamy prostym przypadkiem. W tamtych czasach, ani wątpić o tem nie można, tłómaczono sobie ten zbieg okoliczności inaczej — upatrywano w związku z królewską apoteozą władzy niedobrą wróżbę i prawie niebłogosławieństwo jakieś.

Kiedy więc Władysław Herman ujrzał się postawionym wobec pytania, czy iść w ślady ojca swojego, którego przypominał w niejednym względzie, czy przeciwnie sięgnąć za przykładem brata po ten symbol świetnego, lecz karkołomnego zawodu, po ten zaszczyt, którego osiągnienie kościół co najmniej utrudniał, poddani z zabobonu i z własnych swoich politycznych pobudek nie doradzali, a i własny tego księcia program działania na długie lata uchylał: to rzec należy, że postanowienie, które ostatecznie powzięto, wynikało z samej natury rzeczy.

Nadmieniłem tu o usposobieniu narodu koronacyi przeciwnem, i zdaje mi się, że po wypędzeniu Bolesława Śmiałego, właśnie za samowładność królewską, było ono w Polsce rzeczą, która dowodzenia nie potrzebuje. Że kościół akt ten utrudniał, w sposób nie

rychlej wprawdzie, jak przez Długosza dopiero wyraźnie określony dowiedzionem to być nie może, ale jest podobnem do prawdy. Wedle tej wersyi miał Grzegorz VII zakazać biskupom polskim następcę króla klątwą obarczonego koronować inaczej, jak tylko za osobnem zezwoleniem stolicy apostolskiej. Otóż to właśnie odniesienie się do Grzegorza w tej sprawie, a program Władysława I, były to rzeczy, które się wykluczały wzajemnie.

Program ów na tem polegał, aby nikogo nie drażnić, wojen z sąsiadami nie wszczynać, grożących z ich strony zaczepek za wszelką cenę unikać, a mianowicie tych nieprzyjaciół, z którymi król poprzedni najwięcej miał do czynienia i którzy w dawniejszych jeszcze czasach szczególnie nam dokuczyli, pozyskać i za przyjaciół uważać. Z tego wynikło, że książę ten dotąd bezżenny pojął sobie za małżonkę córkę Wratysława II czeskiego Judytę i aż do zgonu nie tylko tejże Judyty (w r. 1085 czy 86), ale i do śmierci teścia († 1092) najściślejsze z Czechami utrzymywał stosunki. Przyjaźń z Wratysławem utorowała mu drogę do dobrego porozumienia i z drugim dworem, którego klamki ten król czeski całe życie się trzymał — z dworem cesarskim. Już w lat kilka po przedwczesnym zgonie czeskiej Judyty, zawiązał nasz książę i na własną rękę z Henrykiem IV stosunki najserdeczniejsze, zaślubiwszy (w r. 1088) wdowę po królu Salomonie węgierskim, Judytę-Maryą, która była rodzoną siostrą tego cesarza. Od tego czasu te dwie panujące rodziny, jak się bliskocześni wyrażali świadkowie, tworzyły też jednę nierozdzielną społeczność [1]).

---

[1]) Wyraża się tak autor Żywota św. Ottona biskupa bamberskiego, »Mon. Pol.« II str. 127.

Wspomnieć tutaj należy o bałamutnej opowieści, danej w Kronice Kosmasa, ks. II r. 37 (»Mon. Pol.« I 145), jakoby cesarz Henryk IV w r. 1086 na synodzie mogunckim był nadał Wratysławowi II czeskiemu tytuł »króla tak czeskiego, jak i polskiego«.

Powyższe okoliczności, razem ujęte wyjaśniają, dlaczego trudno było i myśleć o poczynaniu rokowań koronacyjnych z Grzegorzem VII. Władysław Herman, gdyby to było nie od hierarchii, ale od niego tylko zawisłem, byłby się prędzej przechylił na stronę tych antypapów, którzy już od r. 1083 począwszy z woli Henryka IV kwestyonowali prawowładność tamtego energicznego papieża. Z nim stosunków nie utrzymywał.

Teraz przejdźmy do określenia w ogólności znaczenia politycznego rządów Władysława I.

Było to jedno z liczby owych pokojowych, na organicznym tylko rozwoju cel swój cały zasadzających panowań; lecz tak się miało do prawdziwych okazów tej polityki, jak się w przeciwnym kierunku miał np. Bolesław Śmiały w przybliżeniu do Bolesława Chrobrego.

Pojmowano tylko odwrotną stronę medalu. Do-

Którato wiadomość powtarza się u niego i w drugiem miejscu, w rozdz. 38 tejże II księgi. Na czem Kosmas to podanie opierał, tego nie wiemy. Było to jednak urojenie, o którem Palacky w swych dziejach nawet wspomnieć nie uważał za rzecz właściwą. U nas w czasach ostatnich chciano rehabilitować tę bajkę, przywiązywano do tego faktu zamiar dla nas nieprzyjacielski i broniono jej nie tylko powagą Kosmasa, ale i tą przypadkową okolicznością, że były znalezione dwa listy, nb. oba tylko w odpisie, pisane przez osobę tylko literą *W* oznaczoną, w których Wratysław nazwany *„rex Boloniorum“*. Mamy te listy i w »Monum. Pol.« I p. 364 i 374, najfałszywiej tu objaśniane i przypisane osobom, piszącego i odbiorcy, które z tem nie miały nic do czynienia. Te listy bowiem pochodziły od Wezilona arcybiskupa mogunckiego, nazwany w nich zaś był Wratysław *rex Bohemorum*. To *„Bohemorum“* było w autentyku tych listów albo wyrażone przez *B* albo napisane niewyraźnie, tak iż kopista (biorąc *he* za *lo*, a *m* za *ni*) *„Boloniorum“* z tego utworzył. Mniejsza o zamianę *P* na *B*, ale przecież *Bolonorum*, a nie *Boloniorum* byłby chyba autor listów napisał, gdyby mówił o Polsce, i nie byłby też w nich obydwóch właściwego tytułu Wratysława pominął, t. j. *rex Bohemorum* (przed *Polonorum*). A więc zaznaczam, że odmawiam temu faktowi wszelkiej wiarogodności.

datnie zalety wziętego za wzór systemu pozostawały ideałem, o który się nie kuszono.

Władysław Herman czuł swoję słabość. Jak w stosunkach państwa na zewnątrz szukał punktu oparcia w drugich, tak go też poszukał i w administracyi wewnętrznej. Cały ciężar tego trudu złożył na barki Sieciecha, który jako palatyn królestwa i wódz naczelny rządził krajem sprężyście. Podpórki takie zastąpić jednak rzeczywistej siły nie mogły; to też nie dziw, że rządy tego księcia pożytku krajowi nie przynosiły.

Chociaż wojen unikano, trapiły one przecież Polskę z stron różnych. Brak programu z celem wytkniętym i bierność tego programu, oddziaływały szkodliwie.

Z Czechami trwał pokój zaledwie tylko do r. 1093. Aż do śmierci Wratysława II (1092) nie płaciło się Czechom daniny szląskiej; owszem od nichto jeszcze pobierał książę polski dochody z Kłocka (Glatz) jako hrabstwa tytułem posagu Judyty sobie przydzielonego. Dochody z Kłocka były mu przez teścia pozostawione jeszcze i po śmierci tej księżnej. Następca jednak Wratysława, Brzetysław II, już w rok po objęciu rządów na siebie zażądał daniny szląskiej napowrót i spustoszywszy w latach następnych kilkakrotnie polskie przyległe powiaty, wymógł wszystko, czego żądał. Płacono odtąd regularnie tę należytość. Kłocko tylko, jako lenno księstwa czeskiego, raczył nadać Brzetysław (1095) młodemu Bolesławowi Krzywoustemu z łaski swojej wujowskiej [1]).

Podobnego upokorzenia doznała Polska i z strony Węgier (zdobyty Kraków przez Władysława św., niewiadomo w którym roku i z jakiego powodu).

Z Pomorzanami, którzy już teraz występowali

[1]) Brzetysław II nie zostawał względem Władysława Hermana w żadnym stopniu pokrewieństwa. Pochodził z Adelaidy węgierskiej, poprzedniej żony ojca swojego. Swatawa była mu tylko macochą, a Judyta, jego siostra rodzona, dawno nie żyła. Ale Bolesław Krzywousty był mu bliskim, jako syn tejże Judyty.

zaczepnie, przez całe to panowanie trzeba się było ubijać. Wyprawy wojska polskiego docierały niekiedy aż do najgłębszych zakątków owej prowincyi, lecz prowadzone z różnem szczęściem, a zawsze tylko doryczo, nie wydały rezultatu politycznego.

Połowcy, to w połączeniu z Rusinami (1094), to sami (c. 1097), dawali się także w znaki mieszkańcom naszych wschodnio-południowych prowincyi. Dopiero pod koniec życia Władysława I dał tym pohańcom pamiętne młody bohaterski syn jego, tak iż już za jego rządów nie śmieli mu się przypomnieć.

Widać z tego wszystkiego, że Sieciech, ówczesny palatyn i wojewoda *(princeps militiae)*, nie musiał grzeszyć zbytnim talentem wojennym. W zarządzie państwa, choć czynny i silnej ręki, nie był także szczęśliwy. Że go oskarżano o niesprawiedliwość, tyranię, prywatę, chęć przewodzenia, nawet przekupność — mogłoby jeszcze nie dowodzić niczego. Zawiść i zawiedzione ambicye miotają na każdego takie zarzuty. Ale się działy pod rządem Sieciecha zbrodnie, które nie dlatego zgrozą przejmują, że je spełniono, ale że je bezkarnie spełniono. Młody królewicz, przybyły w r. 1086 z Węgier do Polski, Mieczysław, syn Bolesława Śmiałego, ginie już w trzy lata później w skutek podanej sobie zdradnie przy biesiadnym stole trucizny. Tak nieubłaganą była nienawiść i lęk odwetu w tej klice, która ojca jego z tronu zrzuciła! Poniższe warstwy narodu opłakiwały sierotę, bo w nim widziały przyszłego następcę tronu, a zapowiadał wielką przyszłość: lecz żeby dwór się oń był ujął, żeby był bodaj usiłował zbrodniarzy wykryć i skarcić — o tem dzieje nie piszą [1]).

Domowe w ostatnim dziesiątku lat panowania tego księcia zamieszki zacieniają nawet klęski jego publiczne. Fakcya rządowi przeciwna ustępuje z ojczyzny, do-

[1]) Obacz Gallus I 29, »Mon. Pol.« I str. 423 i n.

puszcza się na ziemi czeskiej, pod sterem tamtejszej władzy, wrogiej naszemu krajowi, buntu jawnego przeciw swemu monarsze. Przybiera sobie za wodza znajdę, przywołanego aż z saskiego gdzieś klasztoru gdzie się chował, wyrodka; wkracza z nim w granice Polski (do Wrocławia), aby władcy państwa prawa dyktować. Za to wszystko Władysław — dla miłej zgody — uznał Zbigniewa, naczelnika tej roty, za syna prawowitego (c. 1093). Widząc później, że ten uznany za syna bękart nie chce żyć w zgodzie z prawym tronu dziedzicem i że rozporządzając silnem stronnictwem, może się stać niebezpiecznym nawet i jemu samemu — wydziela mu dział książęcy. Niedługo potem (około r. 1098) daje się zmusić do sromotniejszego jeszcze ustępstwa. Wichrzyciele zażądali zupełnego usunięcia Sieciecha od spraw publicznych. Ażeby celu dopiąć, potrafili i Bolesława (13to-letniego w tym czasie) przeciągnąć na swoję stronę pod tym pretekstem, że ten wszechwładny dostojnik nastaje na jego życie i tron pragnie dla siebie zagarnąć. Poczyna się formalna wojna synów obydwóch z ojcem, który będąc przekonany o bezpodstawnem oskarżeniu Sieciecha, wystąpił w jego obronie. Z całą świadomością, że ma do czynienia tylko z intrygą i zaślepieniem — przy postępowaniu w ciągu całego tego przeboju takiem, że go to w oczach współczesnych czyniło obłąkanym, w naszych zaś tylko słabym, ale słabym aż do śmieszności — przystaje w końcu nawet na wyrok wygnania z kraju człowieka, który mimo wszystkich wad swoich sam jeden może wtedy w Polsce pojmował, do czego te wybryki prowadzą.

Ażeby do sponiewierania siły rządowej niczego nie brakło, nastąpił potem ów sławny podział królestwa na r ó w n e działy pomiędzy obydwóch synów [1]).

[1]) Na wypadek śmierci, przeznaczył wtedy Władysław Herman dla Zbigniewa prócz W i e l k o p o l s k i, którą tenże wtedy już miał, i M a z o w s z e jeszcze, które sam miał jednak zatrzymać aż

Nie było to jeszcze wszystko! Dzieło zostało uwieńczonem dopiero przez sławniejszy jeszcze od tego podziału respons, dany na zapytanie panów otaczających książęcia: któremu z synów ma się dostać po jego śmierci naczelny zarząd królestwa. »Dzielniejszy i sprawiedliwszy niech po mnie władzę odzierży...« Dobrowolnie zatem wyzuł się ten bezmyślny regent z kardynalnego prawa, które mu jeszcze i wtedy przyznawano nieuszczuplone! Dawano mu je w takiej obszerności, że nawet nieprawy potomek panującego mógł w danym razie dziedziczyć prawo następstwa, bez współdziałania elekcyjnych z dołu czynników, jeżeli taka była wola ojcowska. I Władysław I nie rozumiał ważności tej największej swojej prerogatywy! Zostawił syna, na długoletnie skazanego zatargi z intruzem, wyposażonym takiemiż jak on prawami. Zostawił tron polski rzeczą, o posiadaniu której chyba łaska narodu lub prawo pięści miały stanowić. Odszedł z dziedzictwa swojego, nie tylko zostawiając je bez korony, ale jeszcze i przy zachwianiu w niem tego aż dotąd tradycyjnego poczucia, że to monarchia dziedziczna i własność bezwarunkowa swych książąt.

Klęski jednak z tego wszystkiego wynikające miały się nie tak zaraz jeszcze pojawić. Przeciąg czasu od r. 1102 do 1138 zapełnia panowanie Bolesława III (właściwie IV) czyli Krzywoustego, który pomimo młodego wieku (miał zaledwie lat 17, kiedy szedł za trumną ojcowską), pomimo że przez pierwsze lat sześć czy siedm konwencyjnie chyba tylko za władcę Polski może uchodzić, boć rządził nią aż do r. 1108 jedynie

---

do zgonu pod własną ręką. Dział Bolesława miał stanowić oddany mu już poprzednio w zawiadowanie Szląsk, a na przyszłość i Małopolska t. j. krakowskie i sandomirskie dzierżawy.

w spółce z Zbigniewem, a ten wszystkie kroki jego krzyżował — stoi przed nami, przez cały ciąg swego zawodu, jako prawdziwy prototyp panującego w duchu tamtej epoki.

Potomność nie okazała się sprawiedliwą względem tego najrozumniejszego może monarchy z całej dynastyi Piastów. Historyografia nasza, od pierwszego jej wyobraziciela począwszy (Długosza) aż do jednego z ostatnich (Morawskiego), widzi w nim tylko »zwycięzcę w 47 bitwach« i winowajcę, który Polskę »niewiedzieć na co« w sztuki poszarpał. Tamta zasługa i sława daje tym politykom wprawdzie zapomnieć, a raczej pobłażliwymi ich czyni, względem tego (jak się wyrażają) ciężkiego grzechu przeciw świetności narodu. Ale też na tem zrównoważeniu winy a sławy kończy się tutaj wszystko. Pamięć Krzywoustego stanęła tedy i stoi przez te wszystkie stulecia prawdziwie na punkcie zero, a sąd o jego trzydziestoześcioletniem, jak nić z jednego kłębka snującem się z niezaprzeczoną konsekwencyą i mądrością prowadzeniu spraw narodowych feruje się w taki sposób, że ani grzeje ni ziębi...[1])

My wielkość tego monarchy upatrujemy w tem, że co sobie zamierzył, tego i dokonać potrafił; że nie zamierzał, jak tylko to co było koniecznem, i z tej drogi nie dawał się zepchnąć ani trudnościom ani pokusom. Pod jegoto dopiero berłem podały sobie ręce owe dwa wzory sobie przeciwne kierowania losem Polski, które aż dotąd wyłączały się wzajemnie. Rozwaga, trzeźwy polityczny kalkuł, zręczność dyplomatyczna, dar wyzyskania zdarzającej się sposobności, świadomość celu swojego na każdym kroku, umiejętność wyczekiwania, a gdzie potrzeba doraźność — wszystko to znalazło się w tym prawnuku Mieszka I i Kazimierza, obok dzielności ognistej, talentu strate-

[1]) Przypominam, że było to w r. 1875 pisane, nagana przeto historyków powyższa nie ściąga się do dzieł po r. 1875 wydanych.

gicznego i ducha nieugiętego Bolesławów obydwóch, lecz oczyszczonego z onych fantazyjnych przymieszek, które chwilowo mogą wprawdzie dzieje narodu i w epopeję zamienić, ale granitowej im podwaliny pod stopy na dalszą przyszłość nie kładą.

Upatrujemy wielkość Bolesława III w tem, że od czasu śmierci Chrobrego jegoto dopiero ramię wyprowadziło Polskę z ciasnego obrębu gospodarki tylko krajowej na szerokie pole słowiańskiej i nawet europejskiej polityki: wznawiając i szczęśliwie wznawiając nie tylko przerwany program Bolesława I co do Słowiańszczyzny zachodniej, ale i wątek tej solidarności kraju naszego z Zachodem, której zadanie i obowiązek wzięliśmy na się w dniu chrztu Mieszka I. Za dni tegoto właśnie księcia naszego porwaną została cała Europa zachodnia ową może awanturniczą, lecz zawsze wielką, rycersko-cywilizacyjną ideą, której wyrazem były krycyaty. Nasz Bolesław z tymi rycerzami do Palestyny nie chodził, ale zaszczepiał cześć i panowanie krzyża na ziemi, która tej interwencyi krzyżowej więcej jeszcze potrzebowała niż Oryent, bo wszakże leży w samem sercu tutejszej części świata. Polska krucyata nad Odrą i na pobrzeżach Bałtyku stanowi jednę z niepoślednich kart w annałach dziejów powszechnych XII stulecia, a w tem jej chwała najwyższa, że myśl chrześcijańska i narodowa idea podały tu sobie ręce, i działały nie żeby naród podbity zgnębić, ale żeby go podnieść i ocalić.

Widzimy wielkość Bolesława w tem wreszcie, że po takim przewrocie lepszych tradycyi, jak nim był upadek władzy królewskiej w osobie jego stryja, i jak nim było panowanie całkowite jego ojca niedołężnego, potrafił jeszcze takich czynów dokonać; co większa, że ich dokonał na czele nie tylko znarowionego temi zajściami narodu, ale i ciągle buntowanego w dodatku pod jego już własnymi rządami, przez narzuconego mu brata. Mimo tych wszystkich obałamuceń, umiał

się Krzywousty przez cały czas swoich rządów utrzymać na wysokości jedynowładztwa, równego potędze najdzielniejszych jego pradziadów. Knowania podziemne możnowładztwa nie miały powodzenia pod jego tronem. Synowie owych rycerzy, którzy Śmiałego porzucili w obozie, szli za tym wodzem swoim, choć koroną nieuwieńczonym, bez szemrania w ogień i do najdalszych twierdz nadbałtyckich — bez względu na to, że jak wtedy, tak i teraz ta krwawa wojaczka przedłużała się nieskończenie.

Szczegóły tego panowania, przynajmniej aż do r. 1113 (na którym urywa się wątek współczesnej kroniki), są dość dokładnie wyjaśnione w historyi. Mniej w niem także, aniżeli gdzieindziej zdarzeń, któreby podlegały mylnemu pojmowaniu. Toby ułatwiało zadanie nasze: gdyby nie zachodziła konieczność zoryentowania się raz wreszcie w zamęcie faktów, które panowanie to tworzą — ukazania ich w ugrupowaniu i w perspektywie, na której dotąd najzupełniej im zbywa. Postaramy się to uczynić, stawiwszy przed sobą jasno główny cel wszystkich trudów Krzywoustego i uprzytomniając sobie stadya odrębne, przez które książę ten zbliżał się krok za krokiem i nareszcie dosięgnął onego celu.

Tym celem było dla Bolesława Pomorze. Zaprzątały go wprawdzie i inne nieustające zatargi. Nie było państwa w pobliżu Polski, z któremby to przez czas dłuższy, to krótszy nie był wojny prowadził. Ale rozróżniać tu trzeba zawikłania, do których go zmuszały okoliczności nie od jego woli zawisłe, od wypraw, stanowiących właściwe jego zadanie. Na własnym jego programie zapisaną była tylko sprawa pomorska. Jakoż łamał się Bolesław z Pomorzanami przez 30 lat panowania swojego, wśród najtrudniejszych okoliczności, wśród zdrad w otoczeniu swojem najbliższem, wśród najazdów na Polskę najpotężniejszych wrogów postronnych. I nie spoczął dopóty, aż pobratymcze, ale

zdziczałe to plemię złamał do szczętu, podbił, wcielił do państwa swojego i schrześcijanił zupełnie.

Widzieliśmy już za panowań poprzednich, że kraina ta z dawien dawna zaprzątała oręż Polaków. Za Chrobrego, w r. 1000, otrzymał był Kołobrzeg własnego swego biskupa. W niedługich latach potem, kiedy fundacya owa upadła, stanęło biskupstwo dla Pomorza w Kruszwicy. Z tegoto punktu rozszerzyła się wiara chrześcijańska może w jednej części tego kraju, na Pomorzu kaszubskiem, naokół Gdańska, wzdłuż Wisły. Ten stosunkowo drobny kraik jednakże, jeżeli rzeczywiście jego nawrócenie wyprzedziło czasy Bolesława Krzywoustego — na pewne twierdzić tego nie można — stanowił tylko jednę trzecią rozległych dzierżaw pomorskich. Jego ogół obstawał przy bałwochwalstwie i poczynał sobie jako wróg tradycyjny względem Polski, która mu narzucała obowiązki dannicze wraz z chrześcijaństwem. Wojował z jakimś odłamem Pomorzan Mieczysław II w ostatnich latach swojego panowania, i podobno wymusił trybut. W rozruchach po r. 1034 ustało jego płacenie. Kazimierz I miał z tymże czy innym odłamem pomorskim stoczyć znowu jakąś bitwę wygraną. Powtórzyło się to raz czy dwa razy i za Bolesława Śmiałego. Wszystkie te jednak utarczki z bałwochwalcami nie miały innego celu, jak odeprzeć ich napaści, uprowadzić zdobycz jaką, w najlepszym razie ściągnąć jaki haracz dorywczy. Nie powiadają nam też tego kroniki, z któremi kiedy częściami Pomorza się ubijano. Cała ta kraina rozległa, aż do tej chwili dziejowej, stoi przed oczyma naszemi jak krajobraz mgłą owiany, daleki, nieprzenikniony dla oka... Pod Władysławem Hermanem mgła ta zwolna zaczyna opadać — skutek jedynie zuchwalstwa tych najezdników, którzy mieli teraz już udeptane ścieżki aż w wnętrze kraju naszego, żeby go łupić. Była chwila w ciągu panowania owego (r. 1091), gdzie zdawaćby się mogło, że podejmowano względem Pomorza jakieś

donioślejsze zamiary. Po zwycięstwie odniesionem (niewiadomo w jakiej miejscowości) w samo święto Wniebowzięcia (d. 15 sierpnia), rozłożono załogi polskie w pewnym obrębie głębszego już nadbałtyckiego Pomorza i wydano rozkaz spalenia wszystkich twierdz warowniejszych tamecznych. To spowodowało jednak obrot rzeczy całkiem przeciwny — załogi polskie zostały wypędzone i nastąpiły zaraz potem nowe na pogranicza nasze najazdy, które trzeba było odtąd już rok rocznie prawie odpierać. Widownia tego działania odchyla się już teraz wyraźnie: Drdzeń nad Notecią, Nakło, Międzyrzecz jakiś, Santok i jego okolica najbliższa — oto punkta, gdzie r. 1092, i później, ubijano się z różnem szczęściem. Były to, jak wnosić trzeba, utarczki z Pomorzanami nadnoteckimi. O zaczepianiu głębiej położonych okolic owej prowincyi milczy w tych latach historya.

W ostatnich chwilach tego przeboju, kiedy Sieciech wojewoda, na wygnanie skazany już kraj opuścił, a schorzały pod koniec życia swojego Władysław Herman w sprawach publicznych głównie się synem swoim młodszym wyręczał: sprawa ta z Pomorzanami zdana była już w jegoto ręce. Od tego czasu (c. 1100) szczęście wojenne było też zawsze po naszej stronie.

Antecedencye powyższe ukazują nam Polskę względem Pomorza w stosunku właściwie zatem raczej odpornym. Bolesław I miał zamiar opanowania go stale, ale to nie miało skutku. Późniejsi — nie marzyli już o tem.

Przejście z stosunku obronnego w zaczepny miało nastąpić dopiero teraz. Zrozumienie potrzeby skupienia wszystkich sił narodowych ku temu, by ta prowincya, łącząca wnętrze europejskiego kontynentu z Bałtykiem stała się naszą, by ta ziemia, już przez naturalną swoję granicę złączona z Polską, i silniej jeszcze przylgnęła do tego państwa, by ta ludność, znarowiona wprawdzie długim bezładem politycznym, ale w boju waleczna,

potężnej siły liczebnej i jednego z nami narodu, nie stała się łupem obcego żywiołu na szkodę własną i naszę — myśl ta powstała dopiero w duchu Bolesława III i zajmować go też zaczęła zaraz od pierwszej chwili, kiedy (w r. 1102) po śmierci ojca objął w bezpośredni swój zarząd południową ojcowizny swojej połowę (Szląsk, Krakowskie i Sandomirskie), podczas gdy druga, północna połowa królestwa (Wielkopolska, Mazowsze, a może i Sieradz razem z Łęczycą) przeszła pod rozkazy Zbigniewa [1]).

Pierwsze lat sześć panowania pospólnego tych obu książąt (aż do r. 1108) stanowi pod każdym względem osobną całość. Można ją nazwać pierwszym sprawy pomorskiej okresem. Akcya zaczęła się na razie jednak od załatwienia pewnej kwestyi ubocznej.

Ażeby skutecznie uderzyć na północ, trzeba było stanąć jasno z południem. Daleki był wprawdzie Bolesław od hołdowania i ze swojej strony fantasmatowi ruskich zdobyczy. Wypadało jednak stwierdzić i jemu tę odwieczną prawdę dziejową, że chcąc mieć z niepewnym sąsiadem zgodę i poczesny stosunek, najlepszy sposób ku temu gruntownie odjąć nadzieję powodzenia jego zapędom.

Książęta Rusi Czerwonej, za rządów Władysława Hermana, niepokoili Polskę. Obawiać się należało, że kiedy rycerstwo polskie pójdzie za Noteć, nastąpią z tej strony wypadki, które tam udaremnią postępy. Takato tylko była przyczyna wydanej zaraz w r. 1102 wojny tej części Rusi. Trwała krótko, powiodła się szczęśliwie i wydała skutek zupełny, dla którego była podjętą. Zawarto pokój, utrwalony nawet związkiem małżeńskim. Bolesław zaślubił (w r. 1102) Zbysławę, córkę

[1]) Co do Sieradza i Łęczycy niema wprawdzie pewności, do którego działu to należało; ale położenie geograficzne i wzmianka w kronice Baszka (»Mon. Pol.« T. II str. 493) przemawiają za przypuszczeniem powyższem.

Światopełka II, W. księcia kijowskiego [1]). Miał już potem ze wszystkimi książęty Rusi pokój, trwający przez długie lata, a nawet pomoc ze strony teścia w chwili dla siebie najkrytyczniejszej.

Po tej dopiero epizodycznej rozprawie, lecz jeszcze w tymsamym roku, przyszła do skutku pierwsza wstępna i walna na Pomorze wyprawa. W dalszych latach powtarzać się to już miało rok rocznie. Wypraw takich, w tym pierwszym wojny pomorskiej okresie (1102—1108) naliczyć można siedm. Z małym wyjątkiem odbyły się one pod osobistem przywództwem Krzywoustego. Ich celem — była najgłębsza okolica Pomorza — między kaszubską (około Gdańska) a nadodrzańską dzielnicą, między krawędzią Bałtyku a tym pasem kilkomilowym błót niezbrodzonych, jezior i lasów dziewiczych, który w wschodnio-zachodnim kierunku przez całą szerz tej prowincyi się ciągnąc jako pustynia w tamtych stuleciach jeszcze bezludna, nadnoteckie jej dzierżawy od nadmorskich przedzielał. Zdaje się, że zamierzano przez owładnięcie tych twierdz matecznych, uchodzących za główne grody całego kraju i za centralne ogniska życia politycznego, osięgnąć od razu i złamanie oporu bliższych Polsce, nadnoteckich Pomorzan. Zostawiano ich więc do czasu w pokoju, a docierano do Bielgrodu nad Persantą (dzisiejszy Belgardt), do Kołobrzega nad samym już brzegiem morskim, do Słupska (Stolpe) nad Słupią, do Bytomia o kilkanaście mil na zachód położonego od Gdańska (dzisiejszy Bütow) i do innych okolicznych punktów tejże krainy.

Przebój ten z Pomorzanami nadbałtyckimi, przez

[1]) O wojnie w tym czasie pomyślnej donosi Herbord w Żywocie św. Ottona bisk. bamber. O czasie zaślubienia Zbysławy Nestor. »Mon. Pol.« I 810, II 74. Światopełk II był naszemu Bolesławowi wujem jako syn zaślubionej Izasławowi Ryksy, siostry Kazimierza I.

to całe sześciolecie, postępował z wielkim oporem. Wynagradzał on się wprawdzie zdobyczą, jeńcem uprowadzonym, powaleniem czasem w gruzy to jednej, to drugiej warowni zdobytej, moralnym nareszcie skutkiem, który kruszył coraz bardziej zuchwalstwo tej dziczy walecznej i zbliżał zwolna spodziewaną chwilę podboju. Widoczniejszych jednak skutków, jak te uboczne i tylko przygotowawcze postępy, nie mógł tu odnosić ani też spodziewać się nawet Bolesław, dopóki go zaprzątały obok tego inne zajęcia, nierównie uciążliwsze od tej całej wojny pomorskiej, która już i sama przez się wyczerpywała zasoby, przez jednę tylko połowę państwa mu dostarczane.

Nie dość bowiem, że go Zbigniew ani osobiście ani pośrednio w owych wysiłkach nie wspierał: łamał on jeszcze w samym zarodzie, co tylko tamten przedsięwziął. Polityką tego warchoła było, nie mieć żadnej myśli przewodniej jak chyba tę jednę tylko: zgotować bratu upadek, a królestwo całe sobie zagarnąć.

O wszystkich krokach postanawianych przeciw Pomorzu uprzedzał on tych sojuszników swoich przed czasem. A kiedy nurtowania jego, i w własnym braterskim poczynane obozie, nie wydawały skutku, ściągnął mu na kark i wojnę czeską (1103).

Nie żył już wtedy Brzetysław II, który przez cały czas swoich rządów był stale życzliwy naszemu Bolesławowi. W r. 1100 zajął miejsce jego na tronie brat przyrodni Borzywoj II. Jako syn polskiej Swatawy, drugiej Wratysława małżonki, był on książęciu polskiemu bratem ciotecznym. Pomimo tego pokrewieństwa psuło się ciągle z mniej wyjaśnionych powodów porozumienie między tymi dwoma panującymi; łatwo tedy udało się Zbigniewowi pobudzić Borzywoja do kroków nieoczekiwanych. Najazd czeski na przyległe szląskie powiaty, z wielkiem tychże spustoszeniem, spadł z nienacka już w ciągu r. 1103. Wspomagały

w nim księcia czeskiego i morawskie zastępy, pod Swatopługiem księciem na Ołomuńcu.

Zajęty właśnie przygotowaniami do drugiej swojej na Pomorze wyprawy Bolesław, ażeby sił nie rozrywać, załagodził wtedy nieprzyjaźń z Czechem pokojowymi środkami (darem a raczej zaliczką 1000 grzywien srebra posłaną Borzywojowi, prócz tego otrzymali też upominki i niektórzy panowie czescy). Pozostał jednak na placu, i przy wrogiem usposobieniu, pominięty przy rozdzieleniu tych darów, a obcy rodem Bolesławowi Swatopług. Trzeba go było spędzać z okolic, które plądrował, i odpłacać na własnych już jego śmieciach jego najazdy. Właśnie przeto i później jeszcze się one ponawiały (w r. 1104 i 1105). Brałci on cięgi od Polaków — to prawda: ale rozrywało to siły polskie.

Kiedy w r. 1107 zaszedł przewrot w wewnętrznych czeskich stosunkach i z podmuchu niemieckiego zajął tam tenże Swatopług miejsce po Borzywoju, z tronu zrzuconym: zawrzała wojna czesko-polska na dobre. Borzywoj z braćmi młodszymi schronił się wtedy do Polski. Zbigniew wyzyskał ten wypadek na swoję korzyść. Same okoliczności poprzednie czyniły przywłaszczyciela praskiego zaślepionym, zaciętym wrogiem Polaków. Nastąpiła wtedy chwila dla Krzywoustego tak ciężka, że pragnąc ująć sobie Zbigniewa, ofiarował mu zwierzchnictwo nad sobą i całą Polską. »Albo sam weź na się ciężar władzy nad tem królestwem, a ja wtedy wiernie będę polecenia twoje wypełniał — albo pozwól mi działać, jak działam, ale przestań mię zdradzać«.

W odpowiedzi na te słowa dowiedział się Bolesław, że się burzyciel do otwartej z nim wojny gotuje, wojsko zbiera, z Czechami i Pomorzanami w jawnem zostaje przymierzu, ażeby obrócić w niwecz, co tylko dotąd on zdziałał, aby ojczyznę na klęskę domowej i postronnej wojny wystawić i za tę cenę, przy po-

mocy obcych wrogów i zdrady, pozbyć go się z kraju na zawsze.

W tym stanie rzeczy nie zostawało, jak złe stłumić w samem źródle. Z Czechami postarał się przeto książę polski o co najprędsze załatwienie niesnasek. Skłoniwszy Swatopługa do zerwania z tym wichrzycielem (warunki — zapewne uciążliwe — tego rozejmu nie są bliżej wiadome), postanowił przedewszystkiem i raz na zawsze położyć koniec zdradzie w własnym swym domu [1]).

[1]) Ani wątpić, że zawarowanie regularnego uiszczania daniny szląskiej stanowiło jeden z punktów tej zgody z Czechem r. 1108 zawartej. Historycy nasi wprawdzie są tu innego mniemania. Podnosząc z jednej strony waleczność Bolesława Krzywoustego dowiedzioną w tylu bitwach wygranych, wobec której nie mieli zdaniem ich śmieć książęta czescy domagać się tego trybutu od Polski, z drugiej strony odwołując się do powagi współczesnego Kosmasa praskiego, który pod r. 1100 wspomina po raz ostatni o tej należytości jako uiszczonej: twierdzą, że od tegoto roku poszło owo zobowiązanie w niepamięć. Kosmas jednak nie wyrzekł tego, że spłata dani w r. 1100 była w ogóle ostatnią. Jego milczenie o stanie rzeczy po roku 1100 nie dowodzi samo przez się, że sum tych nie płacono już potem. Twierdzenie to historyków naszych zdaje się przeto być mylnem i mogłoby mieć dostateczną podstawę dopiero chyba co do czasu od r. 1111 począwszy. Aż do owegoto bowiem roku zostawała Polska z Czechami ciągle w naprężonych stosunkach. Byłoby to rzeczywiście lekkomyślnością w położeniu ówczesnem Bolesława III, gdyby był drażnił sąsiada, już skąd inąd nieżyczliwego, odmawianiem mu należytości tak błahych w porównaniu z celem, o którego dopięcie jemu chodziło, a który osięgnąć wśród wojen czeskich było prawie niepodobieństwem.

Mogły być jednak inne pretensye, o które w r. 1108, i także już za Borzywoja w r. 1103, rozchodziło się między tymi dwoma dworami, tak iż w tej mętnej wodzie ryby łowić na swą korzyść Zbigniewowi nie było trudno. Zatargi te mogły mieć taki początek: Jak się wyżej już nadmieniło, nadał był wuj Krzywoustego, Brzetysław II w r. 1095 (czy 1093) temu siostrzeńcowi swojemu powiat właściwie czeski, a tylko tytułem posagu Judyty przez Władysława Hermana nawet po jej zejściu trzymany, to jest hrabstwo Kłockie z przyległościami, jako lenność księstwa czeskiego.

Nastąpiła tedy wojna domowa, starcie zbrojne jednej połowy kraju polskiego z drugą.

Ponieważ chodziło o poskromienie człowieka liczącego na obcą pomoc, postarał się przeto i Bolesław o posiłki postronne. Użyczył mu ich teść jego Światopołk wielki książę kijowski — również i sprzyjaźniony z nim król węgierski Koloman. O takichto siłach, postronnych i własnych, musiał prawy potomek Piastów, stopa ziemi za stopą, w Wielkiej Polsce, w Łęczyckiem i w Mazowszu ojcowiznę swoję zdobywać.

Przeprowadził to zadanie w ciągu miesięcy latowych r. 1108 z najpomyślniejszym skutkiem. Zbigniew po nadaremnym oporze uznał się podwładnym (»miles«)

W kilka lat później, w r. 1099, a więc za życia jeszcze Władysława, wyniósł był tenże książę czeski siostrzeńca swego, przy osobistej tegoż bytności w Sadczu (Satz), w jego charakterze lennika czeskiego, na jedno z honorowych dostojeństw dworskich, zamianował go Miecznikiem swojego księstwa *(ensifer)*. Z tego tytułu przyznał on mu i prawo pobierania dla siebie z skarbu czeskiego należytości corocznej w kwocie 10 grzywien złota i 100 grz. srebra, którato suma w porównaniu z płaconą od Polski szląską daniną (30 grzywien złota i 500 srebra) stanowiła mniej więcej tejże część czwartą i od roku owego począwszy z takowej się potrącała. Otóż z tychto łask Brzetysławowskich wyrodzić się mogły po jego śmierci, zaszłej w r. 1100, wątpliwości, które były powodem obustronnych niesnasek, mianowicie od chwili, kiedy dotyczasowy hrabia na Kłocku, lennik i miecznik czeski, został w r. 1102 suwerenem swego narodu. Czy miał on się jeszcze i teraz za Miecznika obcego księcia uważać? To oczywiście nie! Czy mimo tego pensya owa miała się i dalej strącać z daniny czeskiej? To już pytanie mniej jasne! A jeszcze zawikłańszem — zwłaszcza przy pokrewieństwie tych dworów — było pytanie, czy może książę polski i nadal zatrzymać Kłocko, lennicze księstwu czeskiemu?

Nie podają nam wprawdzie źródła dziejowe przyczyn przedłużającej się w owych latach niezgody Polski z Czechami; ale jest podobnem do prawdy, że o teto wątpliwości, tłómaczone przez każdą stronę na swoję korzyść, rozbijało się dobre między tymi dworami porozumienie, psute w dodatku jeszcze przez intryganta Zbigniewa. Zapewne także był z temi wątpliwościami w związku i ów dar 1000 grzywien sr. w r. 1103 posłany Borzywojowi.

brata młodszego i zaprzysiągł mu posłuszeństwo. Jego księstwa przeszły teraz pod rozkazy zwycięzcy — tylko Mazowsze pozostawiono mu z miłosierdzia i na prośbę przyjaciół (Baldwina krakowskiego biskupa) jako dzierżawę pośrednio podległą berłu polskiemu.

Teraz dopiero można było z całą pewnością skutku poprowadzić wojsko, od wszystkich już dostawione ziem polskich, do ostatecznej rozprawy z nadbałtyckim oporem. Jakoż pod koniec owego roku (1108) dokonano ostatecznego podboju dzielnic tamtejszych w powyżej określonym obrębie (środkowa część Pomorza). Po zdobyciu jednych, poddaniu się drugich pomorskich warowni, zabawił tam jeszcze przez 5 tygodni Bolesław, urządzając administracyjne stosunki owej prowincyi na sposób polski, choć zresztą jeszcze pod zarządem krajowych książątek.

To więc pierwszy okres sprawy pomorskiej.

W drugi okres przechodzi ona już w r. 1109. Widownią walk, które teraz miały nastąpić — nadnoteckie Pomorze. Ciągnął się ten przełom — z niejakiemi przerwami — aż do r. 1113.

I tym razem towarzyszył działaniu wtór spotęgowanej wrzawy przebojów gdzieindziej prowadzonych, drugorzędnego znaczenia. Od nich nawet zaczął się okres obecny i oneto dały powód do buntu nadnoteckiej krainy.

Poczęło się od pożaru na ziemi węgierskiej, wznieconego ręką niemieckiego cesarza. Henryk V, syn i (od r. 1106) następca niezdarnego pokutnika w Kanossie, wznawiał tradycye dawnej świetności cesarskiej. Świetność tę postanowiono stwierdzić i wpływem na losy przyległych królestw. Już w r. 1107 zasiadł na tronie czeskim, z ramienia tegoto władcy, Swatopług, dawny książę morawski — a Borzywoja spędzono. W r. 1108, w miesiącu wrześniu, wkroczyły wojska niemieckie, a z nimi także i czeskie, pod osobistem przywództwem obydwóch tych panujących, do Węgier.

Postanowiono wyzuć tu z władzy królewskiej Kolomana, źle widzianego na dworze cesarskim, i obdarzyć nią brata Kolomanowego imieniem Almusa, który się oddał w opiekę niemieckiego mocarza.

Król węgierski zawarł był parę lat przedtem z Polską zaczepne i odporne przymierze; na mocy tegoto właśnie przymierza wspomógł też był Koloman przed kilku miesiącami Bolesława naszego w jego przebojach z Zbigniewem. Teraz przyszło mu zażądać od Polski podobnej i dla siebie usługi. Odmówić mu jej w żaden sposób nie mógł ten książę szlachetny, choć go wiązał rozejm czeski, drogo zapewne okupiony, choć go zaprzątały przygotowania do ostatniej owej na Pomorze nadbałtyckie wyprawy, której jaki był skutek, już wiemy.

Pomoc ta wszelako mogła być dana Kolomanowi w takich okolicznościach tylko dorywczo. W chwili zatem, kiedy Niemcy z Czechami już do stolicy węgierskiej szturm zaczynali przypuszczać: otrzymuje tam pod murami Preszburga Swatopług niespodziewane orędzie, że Polacy w jego kraju plądrują, że już aż do Królowy-grodu (Königingrätz) dotarli, że zapewne zechcą pójść na samą Pragę, że na domiar tego złego i stronnictwo Borzywojowe na dobre głowę podnosi...

Rzeczywiście dokonano wtedy ze strony naszej takiej na gruncie czeskim dywersyi. Po trzech dniach wielkiego spustoszenia w rozległości trzech około Królowygrodu powiatów, cofnęło się jednak wojsko polskie napowrót, przez nikogo nie zaczepione. Wystarczyło to zupełnie do zrobienia zamierzonego w obozie czesko-niemieckim popłochu. Swatopług bowiem natychmiast porzucił Henryka z całem swem wojskiem (już w październiku r. 1108). A cesarz, widząc że sam jeden już nie dokaże niczego, wrócił także wkrótce potem gniewny i zawstydzony do domu.

Ocalone zostały Węgry — ale nad Polską chmura zawisła, chmura pomsty niemieckiej i czeskiej.

Tymczasem jednak zdołał się uporać, jak się już powiedziało, Bolesław (w końcu owego roku) z swymi nowymi podwładnymi tam nad Bałtykiem. A w początkach roku 1109, kiedy jeszcze Henryk V dopiero przygotowania czynił do walnej na Polaków wyprawy, poszło rycerstwo polskie zajrzeć co najprędzej w oczy (a raczej w oko) Czechowi [1]), aby z nim skończyć rzecz pierwej, nim Niemiec swoję robotę zacznie.

Zawrzała zawzięta walka na pograniczu tych dwóch krajów sąsiednich, kiedy tym razem i do polskiego obozu niespodziewane wieści przychodzą. I Bolesławowi teraz wypłatano w domu dywersyę. A jej sprawcą okazał się protegowaniec krakowskiego biskupa, lennik przysięgły mazowiecki, obrońca pomorskiej niepodległości — brat Zbigniew.

Puszczono po nadnoteckiem Pomorzu zmyśloną, ale znajdującą wszędzie wiarę pogłoskę, że książę polski w Czechach został pojmany w niewolę. To dało hasło do powstania wzdłuż całego tego łańcucha grodów, które (jak Drdzeń czyli Drezdenko, dzisiejsze Driesen, Wieleń, Czarnków, Uście, Łobżenica, Nakło, Wyszogród i t. d.) to z tej, to z drugiej strony Noteci, stanowiły linię graniczną, służąc mieszkańcom tej okolicy za główne punkta i do wymiany targowej i do obrony w razie potrzeby. Na czele buntu stanął kniazik na Czarnkowie, Pomorzanin Gniewomir, już raz przyciśnięty dawniej za podobne zuchwalstwo i tylko za cenę chrztu, który przyjął, wtedy ułaskawiony. Oddały się jemu w posłuch wszystkie grody wyżej wspomniane, polskie załogi wypłoszywszy. Przyszło nawet do napadu, z profanacyą kościołów i z potyraniem duchowieństwa połączonego, zbrojnej jednej

---

[1]) Bo miał wtedy już tylko jedno, a drugie było wybite. Śmiertelna słabość Swatopługa z togo powodu, właśnie w miesiącach, w których Polacy nad Bałtykiem rzeczy swojej dokonywali, była dla Bolesława naszego bardzo na rękę.

hordy (od Nakła) aż na Śpicimirz nad Wartą w Sieradzkiem.

Zaszło to w poczynającem się lecie r. 1109. Przy wiszącej już nad głowami wojnie z cesarzem, zależało całe zbawienie państwa od obrotu, jaki sprawa ta weźmie, i od pośpiechu, żeby ją stłumić. Rozumiał to Krzywousty. Spadł jak piorun na karki buntowników czarnkowskich. Samem zjawieniem się swojem zadaje kłam puszczonej w obieg pogłosce. Na pierwszą wieść o tem, większa część miejscowości powraca w posłuszeństwo. Wieleń, w którym się Gniewomir zamknął, po długim oporze, zdaje się na łaskę zdobywcy. Załoga jego, choć ją chciał uchronić od zagłady Bolesław, w pień wycięta przez rozjuszone rycerstwo. Herszt buntu Gniewomir żywcem wzięty, dla przykładu skarany śmiercią. Dopadnięty w jakimś innym grodzie drugi i winniejszy jeszcze sprawca tych nieporządków, Zbigniew, traci Mazowsze i ledwie życiem udarowany ucieka z kraju. Wtedy poczyna się oblężenie ostatniej twierdzy, w której się niedobitki bronić postanowiły — Nakła. Było sztuką i z natury położenia tak niedostępne, że przez całe dwa tygodnie nadaremnie się rozbijały polskie zapędy o jego okopy trzęsawiskami oblane. Utrudniały szturm do niego i ściągające się aż z Prus i z głębi Pomorza posiłki, których liczba dochodziła 40.000 mężów. Dopiero stoczona z nimi w sam dzień św. Wawrzyńca (d. 10 sierpnia) bitwa, jedna z najkrwawszych owego czasu, rozstrzygnęła o losie tego powstania. Z pobojowiska zdołało tylko 10.000 ludzi z życiem i wolnością umknąć. Bramy Nakła otwarły się teraz dobrowolnie polskim załogom.

Jeszcze Polacy byli zajęci grzebaniem trupów nakielskich, kiedy cesarz Henryk V z potężnem wojskiem, własnem i czeskiem, docierał już do granicy naszej zachodniej. Stanowiła ją Odra. Zbigniew towarzyszył mu w tej wyprawie. Poczynał sprawę tę Henryk z całym szykiem ówczesnej kurtoazyi rycerskiej. Nim wtar-

gnął w dzierżawy polskie, chciał przyszłemu dannikowi swojemu, jak się wyrażał, łaskawość swoję okazać. Więc go uprzedza o swojem przyjściu, dając do wyboru jedno z dwojga: wojnę albo zgodne układy. Warunki zaś układów takie: jedna połowa królestwa wróci pod panowanie Zbigniewa; z drugiej, zobowiąże się książę do dani Niemcom corocznej (300 grzywien srebra), a jeżeliby mu to było milsze, do przystawiania tyluż zbrojnych do każdej wyprawy cesarza do Rzymu...

Wiadomo, jak się skończyła ta walna wyprawa Henryka. Przewaliła się po zachodniej krawędzi Odry, zsuwając się coraz na dół, jakby po stopniach spadzistych, po grodach owych już za Chrobrego wsławionych podobnemi nawiedzinami — po Lubuszu, Bytomiu, Głogowie (pamiętnym z brzydkiego wiarołomstwa tego mocarza, które prócz sromoty dla niego żadnej mu nie przyniosło korzyści), wreszcie po przysiołkach tego Wrocławia, pod którego murami zaczął on nasamprzód spuszczać z targu (wypuścił z opieki swojej Zbigniewa) — potem Skarbek cierpkie »Habdank« z ust cesarza usłyszał — potem zabiła mu ręka czyjaś bliżej nieznana, ale z czeskiego pochodząca obozu, przyjaciela i wiernika bitnego, jednookiego wroga Polaków, w skutek czego porzucili obóz niemiecki niezwłocznie Czesi — nakoniec doczekał się tutaj biedny ten cesarz i »Psiego-pola«...

Dzisiejsza krytyka historyczna może słusznie powątpiewać o wiarogodności literalnej wersyi podania, przywiązanego do miejscowości tego nazwiska. Co pewna, to że wiadomy zamiar tej wyprawy na Polskę w przenośnym sensie zawiódł cesarza na prawdziwe psie pole. Stratami tylko się skończył cały ten zamach i wielkiem upokorzeniem dumy Henryka V.

Sprawa ta zajęła resztę sierpnia i wrzesień (r. 1109).

Dalsze owego roku miesiące zajęło zaprowadzenie wewnętrznego rządowego ustroju w pokonanej tuż

przed niemieckim najazdem nadnoteckiej dzielnicy — i wojna czeska.

Co się pierwszego zadania tyczy, którego dokonano zaraz po odparciu najazdu: zdaje się, że ta pomorska kraina otrzymała wtedy urządzenie na tychsamych jeszcze warunkach, w jakiem od r. 1108 zostawała nadbałtycka część tego kraju. Głównym zwierzchnikiem wszystkich tutejszych powiatów został obecnie Świętopełk, jakiś krewny Bolesława naszego. Był to rodem Pomorzanin, zapewne już nawrócony; miał rezydencyę swoją w Nakle.

Do wojny czeskiej przyszło już w grudniu (1109 r.), z następujących powodów.

Jedną z głównych przeciwności losu, jakie Henryka V w pobliżu Psiego-pola spotkały, było niespodziane sprzątnienie z świata Swatopługa księcia czeskiego. Zaszło to d. 21 września (1109). Mała garstka Czechów, która i wtedy nie opuściła cesarza, wymogła na nim za tę cenę przyrzeczenie, że się nie będzie sprzeciwiał przywróceniu Borzywoja II do dawnej władzy. Z tym bratem swoim ciotecznym zostawał nasz Bolesław od lat już kilku w przyjaźni, życzył go sobie widzieć na tronie, i może właśnie pod takim tylko warunkiem wypuścił z rąk swoich wtedy owo tak ze wszech miar skołatane wojsko niemieckie. Za powrotem Czechów do Pragi wzięła rzecz jednak obrót całkiem niespodziewany. Książęciem panującym wykrzyknięty tam został, przez znaczną większość narodu, Władysław I, młodszy rodzony brat Borzywoja. (Pierwszy w dziejach czeskich przykład elekcyi). Władysław ten uczepił się natychmiast klamki cesarskiej: spowodowało to Henryka do złamania przyrzeczenia danego — zatwierdził tego księcia na tronie. A że się zjawił zaraz na dworze owego Władysława i Zbigniew: ujrzała się tedy Polska, już w kilka tygodni po odniesionem zwycięstwie, w temsamem położeniu wobec tej czesko-niemieckiej-wichrzycielskiej kliki, co dawniej.

Grób Swatopługa nadaremnie się nad nim zamknął. Śmierć jego nie odmieniła sytuacyi.

Takieto zatem głębsze polityczne znaczenie miały podejmowane w sprawie Borzywoja w r. 1109, 1110 i początku r. 1111 wyprawy Krzywoustego przeciw Władysławowi. Wiadomo, że były one w poszczególnym przebiegu swoim pomyślne, mimo to jednak nie uwieńczone zupełnym skutkiem.

Celu głównego w zamierzonym kierunku dlatego tylko nie osiągnięto, ponieważ Borzywoj zawierzywszy słowom cesarza raz jeszcze, przypłacił tę łatwowierność smutnym zawodem. Tego się tylko doczekał, że został do Hammersteinu odprowadzony w kajdanach. Od tej chwili nie pozostawało Polsce, jak chyba zmusić Czechy do zgody nawet pod Władysława rządami. Jakoż koniec końcem zawarł ten książę z Bolesławem naszym przymierze w r. 1111, zrzekając się wszelkiej spółki z Zbigniewem.

To przymierze zostało umocnione jeszcze i powinowactwem, kiedy obydwaj książęta zostali sobie szwagrami, zaślubiając dwie siostry rodzone, hrabianki na Bergu — Władysław Ryksę, a nasz Bolesław Salomę. (Śmierć pierwszej jego małżonki, Zbysławy ruskiej, zaszła była jeszcze około r. 1109).

Od tej chwili szczera przyjaźń między Polską a Czechami trwała już stale (aż do roku 1132). W tymże czasie (około 1112 roku) i Zbigniew znika z widowni [1]). Natomiast wkracza na nią ponownie sprawa pomorska.

Przez cały czas tej wojny czeskiej zachowywało się Pomorze nadnoteckie tylko na pozór spokojnie. Właśnie że oręż polski był gdzieindziej zajęty, nurto-

---

[1]) Wiadomo, że wkrótce po zawartem z Czechami przymierzu otrzymał Zbigniew raz jeszcze przebaczenie braterskie. Wrócił do kraju, lecz już w trzy dni po powrocie ściągnął znowu karę na siebie. Pozbawiony wtedy wzroku, niewiadomo jak skończył. Czas wypadku tego nie jest dokładnie podany.

wały tam coraz śmielsze dążności odzyskania dawnej swobody. Prąd ten ogarnął i Świętopełka, owego księcia na Nakle. Liczył ten wielkorządca prowincyi zapewne na dłuższą trwałość i większą doniosłość owych z czeskim sąsiadem zawikłań, kiedy właśnie w r. 1111 odchylił, co się w duchu jego taiło. Spowodowało to rząd polski do wysłania natychmiast silniejszych załog w grody tamtejsze — te jednak znalazły bramy miast owych zatarasowane przed sobą. Poszedł w tropy za niemi sam już Bolesław, ale i to nie zwróciło rzeczy w karby należne. Świętopełk zamknął się w Nakle i zdobywanie tej silnej błotnistej twierdzy przeciągnęło się przy pluskach jesiennych od św. Michała aż do Bożego Narodzenia — nie wydając żadnego skutku. Na domiar złego, Bolesław ugodzony postrzałem, nie mógł osobiście kierować robotami oblężniczemi. Świętopełk wtedy, obłudnie uderzywszy w pokorę i przyrzekając poprawę, potrafił tem łatwiej skłonić Polaków do odwrotu od Nakła. Już jednakże rok następny (1112) odsłonił, że obietnice oblężeńca były tylko wybiegiem. To zmusiło księcia polskiego do podjęcia niezwłocznie z krewniakiem swoim przeboju z całym wysiłkiem — tym razem z zupełnym skutkiem. Wyszogród, po całotygodniowym oporze, szturmem zdobyty. Takiemuż losowi podległo następnie i Nakło.

Terazto dopiero zaszła ta stanowcza zmiana w losach owej prowincyi, że Nadnotecie, tworząc aż dotąd odrębną administracyjną całość, wcielone zostało już integralnie do obszarów państwa polskiego. Zachodnie jego powiaty (Drezdenko, Czarnków, Wieleń, Uście, Wałcz, który wtedy był siołem tylko, gdyż miejskie urządzenie miał on dopiero w r. 1303 otrzymać) z przyległościami swemi weszły w kompleks p o z n a ń s k i e j ziemskiej administracyi; nakielskie okolice i wyszogrodzkie, przyłączone do takiegoż gnieźnieńskiego, później k a l i s k i e g o zarządu. Granica tego, co się odtąd nazywać miało Pomorzem, cofnięta głębiej na północ,

tak iż dopiero Pirycz, Tuchola, Człuchów, Chojnice i inne tym podobne miejscowości tameczne, liczyły się do miast właściwych »pomorskich«.

Reorganizacya ta przeprowadzona być musiała w r. 1112 albo najpóźniej 1113: i na tem koniec drugiego okresu sprawy, której przebieg dać się tutaj staramy w głównych zarysach [1]).

Trzeciego okresu początek, i dalszy przebieg, zakryty jest przed oczyma naszemi [2]). W przybliżeniu

---

[1]) Niektórzy historycy, mianowicie Naruszewicz, Lelewel i Röpell, odnoszą (w myśl chronologii Długosza) do r. 1119 to ostateczne zdobycie Nakła, w skutek którego dopiero mogło przyjść do skutku powyższe urządzenie tych nadnoteckich stosunków. Myśmy tu poszli za powagą najdawniejszych roczników, to jest dawnego Ś-to krzyskiego, kapitulnego krakowskiego i także Traski, które pod r. 1113 zapisały: *Boleslaus III Nachel et alia castra obtinuit.* Kierując się jednak i względem na wewnętrzną przynależność do siebie zdarzeń odnośnych, przystąpiliśmy do chronologii w »Mon. Pol.« za prawdziwą przyjętej (Tom I. str. 481 i 482), podług której sprawa z Nakłem odbyć się miała w r. 1111 i 1112. Możliwe rozminięcie się o rok jeden nie stanowi zresztą istotnej różnicy.

[2]) Dlatego mało o nim wiemy, ponieważ główne źródło do dziejów Bolesława III, kronika Galla, urywa się jak się wyżej już powiedziało, z rokiem 1113. Przerwy tym sposobem powstałej nie zapełniają tak zaraz dalsze kroniki. Sprawia ta okoliczność po dziś dzień takie wrażenie, jakby się w Polsce od r. 1113 począwszy, przez długie lata, mało co tylko rzeczy większej doniosłości zdarzyło. I rzeczywiście dali się uwieść temu optycznemu złudzeniu niektórzy historycy, którzy twierdzili, że w tej części zawodu swego Bolesław kilkoletniego wypoczynku po trudach sobie dozwolił i tylko pokutą (za swój postępek z Zbigniewem), toż pielgrzymkami do różnych miejsc cudownych itp. czas swój zapełniał. Mnie się zdaje, że kto do czynnego życia nawykł, pozostaje zawsze czynnym. Co do Zbigniewa, pokutować lata całe nie było za co. Kara która nań spadła, dawno mu się już należała.

W takisam sposób i Bolesławowi Chrobremu każą niektórzy po wyprawie jego kijowskiej (r. 1019) »wypoczywać« już aż do samej jego ostatniej godziny — nie mając czem dalszych lat pa-

tylko możemy granice okresu tego chronologicznie oznaczyć, nazywając go działaniem, początem w r. 1115 a dochodzącem do r. 1122 albo 1123. W ogólności także tylko powiedzieć można, co było przedmiotem tego działania, wskazując na ostateczne walk okresu tego wyniki.

Z postronnymi rządami w latach tych zdaje się, że mało tylko miała Polska zajęcia. Z Władysławem czeskim, bratem ciotecznym i szwagrem miał Krzywousty aż do samej tegoż śmierci (1125) dobre stosunki. Na drobnych zatargach z Rusinami — po zaszłej w r. 1113 śmierci Światopołka na Kijowie, życzliwego Polakom, wprawdzie nie brakło. Powtarzały się (w r. 1118 i następnych aż do 1123) napady od czasu do czasu, różnych czerwonoruskich książąt na pogranicza nasze i były im odpłacane i z naszej strony. Ale nie miało to doniosłości.

To powód, dlaczego się nasz monarcha mógł odtąd wyłącznie oddać głównemu swemu zadaniu. Dokonał też w tym przeciągu czasu reszty tego zadania.

Pozostawały aż dotąd dwie jeszcze dzielnice Pomorza niepodbite i po części wcale niezaczepiane. Około Gdańska — między Wisłą a Lebą — zagospodarzyła się ludność znana pod nazwą K a s z u b ó w. Z drugiej znów strony pozyskanego w roku jeszcze 1108 (średniego) Pomorza — rozciągała się między rzeką Odrą a Regą dzielnica, w której Szczecin główną stanowił stolicę, a Pirycz, Grodziec (dziś Gartz), Kłodzin (dzisiejsze Klötikau nad Regą?), Wolin, Kamień, Stargród (Stargardt) i Lubin jakiś nad samym położony Bałtykiem, do celniejszych się grodów liczyły. Nazwijmy sobie strony te n a d o d r z a ń s k i e m Pomorzem.

---

nowania jego zapełnić. To nie Chrobry wypoczywał, ale główny historyograf jego, Diethmar merseburski spoczął w r. 1018 snem wiecznym, i urwała się z nim razem nić wiedzy naszej dziejowej o owych czasach.

Otóż z tymito kraikami miało teraz przyjść do rozprawy.

Co do Kaszubów, niema wprawdzie pozytywnej pewności. Lecz zdaje się niewątpliwem, że zwierzchnictwo Polski nad tem księstwem — udowodnione w czasach Chrobrego i potem znowu za B. Śmiałego, następnie przerwane, za rządów zaś książąt po Krzywoustym przynajmniej nominalnie istniejące, ale nie przez nich zaprowadzone — wznowiło się za dni tegoto monarchy, a było owocem trudów jego dopiero w r. 1115 i 1116 podjętych [1]).

Podbój nadodrzańskiej dzielnicy — twierdzić to można już bezwarunkowo — nastąpił niedługo potem. Prawdopodobnie zaczął on się w r. 1119. Dosięgnął rozstrzygającego rzecz całą szczytu wysileń odnośnych w r. 1120. Przez rok 1121 miał już tylko do czynienia z niedobitkami. W r. 1122 lub najdalej 1123 przekroczył Odrę, a raczej jej morską zatokę *(grosse Haf)* i przeniósł walkę na terrytoryum lutyckie, które aż do jeziora Morycy (Müritzsee), w obrębie miast Szczecina, Kockowa (dziś Gutzkow), Bolegostu (Wolgast), Uznoimu (Usedom), Dymina (Demmin)

---

[1]) Opieram to przypuszczenie na dwóch datach odszukanego przed kilkudziesięciu laty, najdawniejszego ze wszystkich które się dochowały, i w pierwotnej autentycznej postaci na dwóch kartkach ocalonego rocznika, to jest t. zw. dawnego Sto-Krzyskiego (»Mon. Pol.« T. II str. 774). Zapisała tam pod r. 1115 ręka współczesna: *„Boleslaus tertius Pruziam vastat“*; a zaraz potem pod r. 1116: *„Boleslaus III Pomeriam* (sic) *subjugavit et duo castra obtinuit“*. Niema wprawdzie niepodobieństwa, żeby się książę ten nie był zapędził i w Prusy. Ale podobniejsza do prawdy, że nasz rocznikarz przez *Pruziam* rozumiał tu część Pomorza bezpośrednio graniczącą z Prusami, która się jemu już pruskim krajem być wydawała; że zapiska druga o temsamem mówi, co pierwsza; że donosi nam o zaborze, w r. 1115 i 1116 przeprowadzonym, kaszubskiej części Pomorza. *Duo castra* byłby w takim razie Gdańsk i drugi gród tamtejszy jaki, którego nie można się domyślić.

nad Dolenicą (Tollensee), i Słupów czy Słupia (Stolpe) nad Pianą, padło teraz do stóp zwycięzcy [1]).

W krótkich słowach zamknęliśmy cały wynik tej przeprawy oręża polskiego z nadodrzańskiem z jednej i drugiej strony owej rzeki Pomorzem. Nie idzie za tem, by i rzecz sama była sprawą, która się podobnie dała załatwić jednym zamachem. Plemię Pomorzan, a cóż dopiero Lutyków, było waleczne i pewnie nie oddało niepodległości swojej inaczej, jak dopiero po wyczerpnięciu wszystkich środków obrony. Musiała to być długa, zacięta i prawdziwie rozpaczliwa obrona, kiedy jej ślady jeszcze i w r. 1124 były wszędzie widoczne. Naoczni z tego roku świadkowie, którzy z krzyżem w ręku i ewangelią przesunęli się po tych krwawych pobojowiskach, oglądali na nich jeszcze leżące stosy kości mężów poległych — zgliszcza i ruiny miast całych, dawniej kwitnących — okolice przedtem ludne, ogołocone z mieszkańców. Ci w chwilach ostatecznej rozpaczy pierzchając przed orężem zwycięzcy, unosili życie i wolność swoję aż do najgłębszych dzierżaw

---

[1]) Opierają się te twierdzenia na opowiadaniach Żywociarzów św. Ottona biskupa bamberskiego, apostoła Pomorzan, którzy stan rzeczy już dokonany, jakim był w r. 1124 malują. Niemniej polega to także na zapiskach naszych roczników, mianowicie dawnego Śto-krzyskiego, kapitulnego krakowskiego i Traski, a to pod r. 1119, 1121, 1122 i 1123 (»Mon. Pol.« T. II str. 774, 797 i 832).

Przez *„utramque terram“* (w kapitulnym i Traski) rozumiem część z tej strony Odry położoną i z tamtej, tego nadodrzańskiego kraiku. Do wyrazów zaś *„mare transivit“* nie przywięzuję znaczenia morza w ścisłym sensie, t. j. Bałtyku (i w takim razie zajęcia wyspy Rugii, z powodów które niżej przytoczę), ale tylko znaczenie zatoki morskiej, prowadzącej korabie polskie do posiadłości lutyckich. — Czy zaś wspomniany w dawnym Śto-krzyskim roczniku pod r. 1122 jako zabity *Zuetepolk dux Odrensis* był znaną nam już z lat 1109—1112 i z nakielskich buntów osobistością, spokrewnioną z Krzywoustym i w takim razie może tutaj nad zdobytym przezeń krajem w jego imieniu wtedy rządzącą — czy innym w tych okolicach księciem tegosamego tylko imienia, tego nie śmiem rozstrzygać.

lutyckich, albo też uchodzili w lasy stopą ludzką nietknięte i na wyspy okolone nurtami morza. Ściągali oni z tych kryjówek swoich dalekich zwolna dopiero w latach następnych. Ogólna ilość poległych w tej walce o niepodległość miała dochodzić liczby 18.000. Jeńcem zostało przepędzonych do Polski około 8.000 rodzin [1]). Kto przy życiu i na miejscu burzę tę przetrwać potrafił, za szczęście sobie uważał wraz z panującym nad okolicą tą księciem, że się cały ten przewrot stosunków odwiecznych zakończył tylko uznaniem zwierzchnictwa Polski, trybutem państwu temu mającym się odtąd płacić, i zaprzysiężeniem obietnicy przyjęcia chrześcijaństwa.

Imię księcia pomorskiego, panującego w r. 1124 po obydwóch stronach Odry z ramienia Krzywoustego, jako też i nad średniem, t. j. w r. 1108 zabranem bielgradzko-kołobrzeskiem Pomorzem, które niewiadomo od kiedy połączone zostało z tamtym, nowym podbojem — było Warcisław. Był on podobno już od młodu chrześcijaninem, ale się z tem dotąd taił przed krajowcami swoimi.

Takito zatem był wynik czynów trzeciego spraw pomorskich okresu, który księcia naszego postawił prawie u samego już celu jego zdobywczych, przed dwudziestu przeszło laty rozpoczętych wysiłków.

A gdyby teraz nawiasowo zapytać, czy naród a raczej czoła tego narodu, czy możnowładztwo polskie, rozumiało doniosłość i wielkość tryumfów księcia swojego? Czy pojmowało, że polityczny testament wielkiego prapradziada i imiennika jego, po zmarnowanem całem stuleciu, wreszcie się spełniać zaczyna? Czy wogóle stali oni na równej z tym wodzem swoim wysokości moralnej i politycznej? — to odpowiedź na to pytanie byłaby zaiste smutna. Rycerstwo wprawdzie

---

[1]) Herbord, *Vita Ottonis,* »Mon. Pol.« II 76. Nie bez powodu tyle osad w Polsce nazwanych Pomorzany itp.

szło ochoczo za wodzem swoim, dokąd ich tylko prowadził. Lecz możnowładztwo? Właśnie w tych latach między zaborem kaszubskich dzierżaw a podbojem nadodrzańskich obszarów, trzeba było temu zdobywcy bałwochwalczej krainy i w swojem własnem państwie nory buntowników zdobywać. Trzeba mu było właśnie w tym czasie zdeptać narodowe powstanie, na czele którego stanął dawny wiernik jego i waleczny w bojach towarzysz, jego nieraz prawa ręka i w starciu z wrogami postronnymi zastępca, najwyższy ze wszystkich dostojników królestwa — Skarbimir... Bunt tego palatyna i wojewody polskiego zaszedł w r. 1117 albo 1118 — skończył się oślepieniem zbrodniarza [1]).

Czwartym i ostatnim okresem pomorskich zajęć — od r. 1124 począwszy do co najmniej 1130 — nazwać możemy te wszystkie czyny Bolesława III które ku temu zmierzały, ażeby zdobytą zbrojnie prowincyę zapewnić państwu swemu na zawsze, a lud zagrzęzły w poczuciu separatyzmu, z narodem do którego z prawa natury należał, połączyć. Tej unii Pomorza z Polską, jak się samo rozumie, dokonać przedewszystkiem mogło zaprowadzenie wiary chrześcijańskiej w tym kraju: i to też główny, choć bynajmniej nie jedyny przedmiot działań tego okresu.

Wprawdzie nie od tej dopiero doby pojmował książę tę nieodzowną potrzebę. Po każdym dokonanym zaborze odbierał on od podbitych kraików tych przyrzeczenie, że nie będą usiłowań około ich nawrócenia tłumiły. Pod tym jedynie warunkiem pozostawiano im jeszcze w pewnym obrębie zarządu ich dawne auto-

[1]) Dawny Śto-krzyski rocznik odnosi to powstanie *(insurrexit)* do r. 1118; inne roczniki (i Długosz) do r. 1117. Połączone u Długosza z tym upadkiem Skarbimira podanie o ustanowieniu w tymto czasie i dla tej właśnie przyczyny, pierwszeństwa kasztelanów krakowskich nad wszystkimi wojewodami, nie zasługuje na wiarę.

nomiczne znamiona. Okazywało się jednak w dalszych skutkach, że były to tylko obietnice wymuszone postrachem — albo wybiegi, ażeby wyłudzić ustępstwa. Wprawdzie nadnoteckie powiaty, do ziem wielkopolskich od chwili ostatecznego swego podboju (r. 1112) wcielone, poprzechodziły od tego czasu już na łono Kościoła, przyjmując wiarę z rąk misyonarzy poznańskiej, gnieźnieńskiej i kruszwickiej dyecezyi. Wprawdzie przypuszczać tosamo można i o gdańskich Kaszubach, o których milczy przynajmniej historya, żeby dopiero w tej porze (około 1124) nawróceni być mieli. Ale reszta nadbałtyckiego pogaństwa, tak dawniejszego (z r. 1108) zaboru, jak i ta teraz świeżo nabyta, brnęła po szyję w przesądach swojej tradycyjnej religii. Zaciekłość fanatyzmu dochodziła tu do takich rozmiarów, że duchowieństwo, które się zapuściło w tę dzicz pogańską, przypłacało nieraz gorliwość swoję męczeństwem, jeden z nich nawet do krzyża został przybitym...

Stanęło też wkrótce na tem, że żaden z polskich biskupów nie chciał już ani poczynać tej sprawy.

Trzeba tedy znowu było inicyatywy ze strony tego górującego nad wiekiem swoim monarchy, aby bez gwałtów i bez nowego krwi przelewu uwieńczyć dzieło już dokonane, uzupełnić podbój c i a ł podbojem d u c h a.

Otto św. przemieszkiwał już wtedy od lat kilkudziesiąt w ojczyźnie swojej, jako (od r. 1102) biskup bamberski. Choć rodem Niemiec, znał on obyczaj słowiański, władał kiedyś językiem polskim i lubił nasz naród: spędził bowiem młode, najlepsze swe lata (c. 1080—1096) w stolicy Polski, w której też najpierw znalazł sposobność rozwinąć i okazać światu swoje prawdziwie niepospolite jako kapłan i jako mąż rozumny przymioty. Temuto (jak powszechnie wnoszą) mistrzowi niegdyś swojemu powierzył książę polski teraz sprawę nawrócenia Pomorza.

Ledwie dotknąć tu tylko możemy znanych, jak

najdokładniej już przez współczesność wyjaśnionych szczegółów wiekopomnej i jak powieść zajmującej misyi tego apostoła w kraju Pomorzan. Wiadomo, że odbyła się ona w dwóch odrębnych zawodach.

Pierwsze przybycie Ottona na ziemię pomorską — przez Gniezno — zaszło w r. 1124. Trwała wtedy bytność tu jego od maja aż do końca lutego w roku następnym. Przez te blisko 10 miesięcy obszedł biskup z przydanymi sobie towarzyszami wyprawy, po większej części ludźmi naszego rodu, okolice Pomorza po prawej stronie rzeki Odry położonego aż ku granicy kaszubskiej i zaszczepił posiew słowa bożego w Piryczu, Grodźcu, Stargrodzie, Bielgrodzie, Kamieniu, Wolinie, Lubinie, Kłodzinie i Kołobrzegu.

Druga jego wyprawa przyszła do skutku — tym razem nie przez Polskę, ale od strony Niemiec — w trzy lata później, w r. 1128 zaraz po Wielkiej nocy: zajęła 7 miesięcy czasu, przeciągając się aż do grudnia. Główną widownią drugiego tego działania Ottona św. było Pomorze po tamtej (lewej) stronie tej rzeki, a zatem już lutyckie dzierżawy. Przyszło w skutek tego, teraz dopiero, do nawrócenia ludu w Dyminie, Uznoimie, Bolegoście, Szczecinie, Kockowie — i do ponownego umocnienia w wierze, odpadłego tymczasem znowu w pogaństwo, po drugiej stronie Odry Wolina.

Zasługa i wdzięczna pamięć za to schrześcijanienie Pomorza przynależy oczywiście temu biskupowi cudzoziemskiemu, ale uczestniczy w niej i Bolesław. Onto bowiem zrobił wybór osoby tak odpowiedniej zadaniu, wytknął jej wszystkie ścieżki do celu, zaopatrzył ją po królewsku we wszystkie potrzebne do tego przybory, przydał jej świeckich i duchownych pomocników w tym trudzie. Towarzyszył myślą i wiedzą o każdym kroku tej prawdziwie ewangelicznej krucyaty. Wkraczał wreszcie i osobiście w sprawę, ilekroć tego zaszła potrzeba, usuwając z drogi zawady świeckiem swojem ramieniem. Na pierwszym planie tego

obrazu stoi więc biskup — ale w jego głębi widzimy nieodstępną, w zbroję żelazną zakutą postać tego rycerskiego książęcia, któremu takasama chwała za to uspołecznienie Pomorzan!

Możnowładztwo nasze duchowne niestety nie wzięło w tem żadnego, ani nawet moralnego udziału [1]).

Na samem tylko nawróceniu Pomorza nie poprzestał jednak Bolesław. Ażeby dziełu Ottona zapewnić trwałość, ażeby religijny związek Polski z Nadbałtykiem oprzeć i na urzędowej sankcyi Kościoła: projektuje on r. 1124 nowe Pomorskie biskupstwo i otrzymuje jego potwierdzenie c. 1131. Biskupstwo to nazwane Wolińskiem (od swej katedry w Wolinie), miało tedy i pod politycznym względem być aktem doniosłości dalekiej i było nim rzeczywiście, wchodząc w życie jako sufragania gnieźnieńska.

Granicę między tem nowem pomorskiem a dawnem (czyli kujawskiem) biskupstwem odtąd stanowiła tam na Pomorzu rzeka Leba. — Nadnoteckie,

---

[1]) Rzecz to zaiste trudna do uwierzenia, a jednak prawdziwa, że w historyografii naszej, aż do środka przeszłego wieku, o nawróceniu Pomorza, o Ottonie św., o założeniu biskupstwa wolińskiego i o wszystkiem, co się z tem łączy, nie znaleść ani jednej sylaby! Ani Długoszowi i tym wszystkim, co go potem wypisywali, ani rychlejszym kronikarzom, ani nareszcie rocznikom, nic zgoła nie było o tem wiadomo! Dopiero od czasów Naruszewicza sprawa stanęła inaczej. Dowodzi to w każdym razie jednego z dwojga: Albo hierarchia nasza XII i XIII stulecia nie chciała o tem wspominać, bo jej to nie było na rękę — albo tak dalece nie przywięzywała współcześnie do tego wagi, że ta rzecz cała już w drugiej generacyi poszła w niepamięć. Milejby mi zaprawdę było uwierzyć w tę drugą alternatywę, ale zaledwie ją można przypuścić, kiedy się zważy, że i Kadłubek już nawet milczy o tych zdarzeniach, ów autor piszący kronikę swoję właśnie w latach, kiedy pamięć Ottona św., kanonizowanego w r. 1189, na nowo odświeżoną została i słynęły już czyny jego w całem chrześcijaństwie zachodniem. Miałżeby tedy rzeczywiście nic nie słyszeć o nich erudyt ten, tak wtajemniczony nawet w dzieje zamierzchłe bajecznych Amazonek i Scytów? Trudno temu uwierzyć.

r. 1112 do W. Polski wcielone Pomorze, zostało teraz (1124) kościelnie przydzielone przyległym dawnym biskupstwom. T. zw. Kraina (od Uścia aż do Nakła, od Noteci aż do Kamienia nad rzeką Kamionką), weszła w skład dyecezyi gnieźnieńskiej. Zachodnie Zanotecie, od dziś. Landsberga do Uścia, na północ aż do Drahimia i Szczecinka, przypadło dyecezyi poznańskiej. Strony jeszcze dalej położone na zachód: ziemia Kościerzyńska i Kiniecka (Küstrin i Kienitz), między Landsbergiem a Odrą — dyec. lubuskiej. — Tych wszystkich rozgraniczeń dokonał niewątpliwie przebywający w Polsce w r. 1124 kardynał Idzi, legat papieża Kalixta II.

W takito sposób wszystkie pomorskie obszary, w r. 1112, następnie 1124 i 1128 pozyskane chrześcijaństwu, zostały pod rękojemstwem papieskiem wcielone do tej jednoty polskiej narodowo-kościelnej, której wyobrazicielem był Arcybiskup gnieźnieński.

Niedość na tem. Ażeby podrywom Pomorzan odzyskania niepodległości odjąć do reszty nadzieję powodzenia, postarał się Krzywousty i o rękojmie politycznej natury. Zawarł (zapewne jeszcze w r. 1129) zaczepno-odporne przymierze z Danią i umocnił tę umowę zaślubieniem jednej z swych córek, Ryksy, za duńskiego króla Magnusa (w r. 1130): który też już w tymże roku wyświadczył teściowi swemu ważne przysługi przy ponownym i (o ile wiedzieć możemy) ostatnim buncie tej okolicy, podniesionym w Wolinie [1]). Na samo zjawienie się z jednej strony okrętów duńskich, z drugiej rycerstwa polskiego, uderzył gród ten przed Bolesławem w pokorę i rozstał się raz na zawsze z marzeniami odzyskania — za jego życia — niepodległości.

Księciem Pomorza, pomimo częstokrotnych z Pol-

---

[1]) Nasz Długosz słyszał coś o tem, ale źle i stosunek odwrócił. Wspomina on pod r. 1128 o zaślubieniu królewny duńskiej z synem Bolesława Krzywoustego, ani jej ani jego imienia zresztą nie wymieniając.

ską nieporozumień, pozostał aż do śmierci swojej Warcisław († 1136). Brat tegoż Warcisława, Racibor I, mąż Przybysławy, która podobno także była jedną z córek monarchy naszego, otrzymał po nim w zarząd to księstwo i dzierżył je aż do śmierci, przypadłej r. 1151 [1]).

Pozostaje tu jeszcze do wyjaśnienia pytanie, jak się względem tych podbojów zachowywało cesarstwo niemieckie. Rościło ono sobie zawsze prawa zwierzchnictwa do wszelkich ziem przyległych swoim granicom. Pomorze niewątpliwie wchodziło w ten program uroszczeń, faktycznie jednak nigdy ono dotąd nie podlegało cesarstwu. Inaczej zato miała się rzecz z zaborami po tamtej stronie Odry [2]). Te powiaty, jakkolwiek aż do owej pory taksamo były pogańskie jak Pomorze,

---

[1]) Helmold ks. I rozdz. 51. »Monum. Pol.« Tom II str. 20, 100, 101 i 507 w notach.

[2]) Jak daleko na zachód sięgały te zabory, o tem jedynie wnosić możemy ze stosunków założonego około r. 1131 biskupstwa wolińskiego. Nazywało się ono pomorskiem, ponieważ niemal cała jego rozciągłość zamykała się w kraju książąt (zachodnio) pomorskich aż do rz. Leby; oprócz tego zaliczało się jednak i po drugiej stronie Odry kilka grodów i żup do tejże dyecezyi, które z tego tylko powodu zostały jej przydzielone, że nad nimi panowali już wtedy książęta pomorscy, pod zwierzchnictwem Bolesława Krzywoustego. Za jego sprawą i pod jego przywodem musiały te strony przejść pod władzę tych książąt około r. 1128 i w następnych latach. Były to zaś następujące powiaty: Dymin, Treboses (dziś Tribses, kiedyś pewnie Tryboż), Chocko, Wolgast, Uznoim, Groźwin (wyspa Usedom), Sithen (dziś Ziethen, kiedyś Szczytno)i Szczecin, co wszystko bulla protekcyjna Innocentego II, w r. 1140 dla biskupstwa wolińskiego wydana, wymienia jako grody w skład tej dyecezyi wchodzące (Hasselbach, Kodeks dypl. Pomorski, N. 16). Jest to szmat ziemi odpowiadający dzisiejszemu pruskiemu Vorpommern; właściwie już nie Pomorze, lecz część kraju Lutyków. Jakoż tamtocześni książęta pomorscy zwali siebie w dokumentach *„duces Pomoraniae et Leuticiae“*, z tytułu tych powiatów już w granicach szczepu Lutyków.

a i pod politycznym względem taksamo nie uznawały żadnej władzy zachodniej, stanowiły wszelako pod obydwoma tymi względami nominalnie już przedmiot, nie będący bez właściciela. Politycznie wchodziły w skład marchii północnej, kościelnie w skład jednej z dyecezyi niemieckich, hawelberskiej.

Ich odwieczna tytularna przynależność do biskupstwa hawelberskiego [1]) główną też pewnie była tego przyczyną, że biskupstwo wolińskie, już w latach 1124 i 1125 postanowione, a nawet biskupa dezygnowanego mające [2]), dopiero w r. 1131 lub 1132 weszło w życie [3]). Przynależność zaś świecka, polityczna tego kraiku do cesarstwa, przyszła na stół jako kwestya otwarta, długo nie tykana, ale przeto nie puszczona w niepamięć, w r. 1135. Stało się to za panowania Lotara, który po Henryku V w r. 1125 na tron cesarski wstąpił, a dały bezpośredni do tego powód następujące okoliczności.

Niewiadomo, z jakich właściwie przyczyn wdał się w tych czasach Bolesław w zawikłania z królestwem węgierskiem. Z tym narodem za rządów Kolomana († 1114) i syna jego Stefana II (1114—1131) żyła Polska w zgodzie. Stefan zszedł z świata bezdzietnie. Nie żył już wtedy żaden z braci tego króla, a synów Kolomanowych, prócz jednego chyba Borysa; ten wszelako, już przez Kolomana samego ogłoszony za płód

---

[1]) Dokument fundacyjny biskupstwa hawelberskiego z r. 946, Hasselb. N. 6.

[2]) »Monum. Pol.« II str. 100.

[3]) Bulla Inocentego II z r. 1133 dla arcybiskupa magdeburskiego Norberta stwierdza w tym roku już istnienie tego biskupstwa (Hasselb. N. 12). Pierwszy biskup Wojciech w dokumencie swym dla klasztoru słupskiego (Hasselb. N. 21) nadmienia, że jest biskupem przez papieża Inocentego II konsekrowanym. Ten rządził Kościołem od r. 1130 począwszy. Więc rzeczywiste istnienie biskupstwa wolińskiego poczęło się dopiero między r. 1130 a 1133.

nieprawego łoża, od dzieciństwa żył za granicą i nie mógł żadnego sobie rościć prawa do korony węgierskiej. To też następcą Stefana został stryjeczny tegoż brat, Bela II.

Rządy Beli jednakże nieroztropnem okrucieństwem (już w pierwszym roku władzy) wywołały przeciw niemu nienawiść i rozdwojenie w narodzie. Stronnictwo znaczne postanowiło strącić go z tronu. Dokazać zaś tego spodziewano się, przywołując na jego miejsce owego Borysa, którego rzekome nieprawe pochodzenie obwoływać teraz zaczęto za fałsz, za krzywdę mu wyrządzoną; w nim widzieć chciano jedynego po ojcu i po starszym bracie Stefanie uprawnionego dziedzica. Borys po różnych przygodach bawił w owym czasie w Polsce, na dworze Bolesława naszego. Tu zatem przybyli posłowie tego stronnictwa, aby wygnańca na tron węgierski zaprosić, a księcia polskiego skłonić do użyczenia mu swej pomocy, której on im też nie odmówił. Taka miała być przyczyna rozpoczynającej się w jesieni r. 1132 wojny z Węgrami, która się przeciągnęła aż w rok 1135. — Podług innej wersyi miała być właściwym tej wojny powodem ta okoliczność, że książę polski zamierzył przy tej sposobności odebrać Węgrom ziemię Spiską, a sprawa Borysa miała w tej wojnie drugorzędną tylko rolę odgrywać. Śpiż bowiem miał się dostać w ręce węgierskie tytułem posagu najstarszej z córek Bolesława Krzywoustego, zrodzonej z pierwszej jego żony Zbysławy, imieniem Judyty, która w r. 1123 miała być wydaną za mąż za królewicza Kolomana, syna króla węgierskiego tegoż imienia (w r. 1114 zmarłego). Ten posag miał mu być przydzielony tylko w dożywocie. — Jeżeli w całem podaniu o tem małżeństwie jest jaka prawda, i jeżeli ten w dziejach węgierskich zresztą nieznany zięć księcia polskiego, a syn króla Kolomana zakończył życie w tych czasach (przed r. 1131), w takim razie powinna była

ta spiska kasztelania wrócić do Polski; a że Bela nie chciał się na to zgodzić, więc stąd ta nieprzyjaźń [1]).

Bądź jak bądź, jakiekolwiek były tej wojny przyczyny, tyle pewnem, że nasz Bolesław w r. 1132 oświadczył się za tym pretendentem węgierskim, którego wspomagały obok stronnictwa z jego narodu także i jakieś posiłki z Rusi. Ten obrót rzeczy skłonił wszelako i Belę do poszukania sobie sprzymierzeńców postronnych. Znalazł ich w dwóch sąsiadach swoich najbliższych, w Sobiesławie I (od r. 1125) księciu czeskim, ciotecznym Krzywoustego bracie, i w Albercie rakuskim, synu żyjącego jeszcze wtedy margrabi austrya-

---

[1]) Taki powód poważnienia Polski z Węgrami podaje Baszko (»Mon. Pol.« II 508). Łączy on jednak z tą może prawdziwą wiadomością różne dalsze inne jeszcze szczegóły, które widocznie są bałamutne. Cała ta sprawa zatem jest bardzo ciemna i twierdzeń bezwarunkowych pozwalać tu sobie nie można; ale tyle będzie pewne, że Spiż, który jak wiadomo dopiero za Władysława Jagiełły w r. 1412 odzyskany został dla Polski, od czasów zaś Bolesława Krzywoustego aż do r. 1412 w większej swej części do Węgier należał, liczył się przedtem, od niepamiętnych czasów, do posiadłości polskiego królestwa. Przeczą temu wprawdzie niektórzy historycy węgierscy, ale ich wywody nie wytrzymują ścisłej krytyki. Coś prawdy zatem w podaniu Baszka musi być. — Oprócz Baszka jest ślad i w jednym naszym Roczniku, t. zw. Małopolskim (»Mon. Pol.« III 152 i 153) wydania za mąż najstarszej córki Krzywoustego, Judyty, »za królewicza węgierskiego«. Zapiska ta, stawiona w jednej kopii tego rocznika pod r. 1123, w drugich pod 1122, opiewa: *„Boleslaus intravit Ungariam preliando. Tandem dat filiam nomine Juditham filio regis Ungarorum“*. Prof. Balzer w nader cennej swej »Genealogii Piastów« (str. 172) nie przywięzuje żadnej wagi do tej zapiski, a to dlatego, że w tymże roczniku mieści się już pod r. 1136 inna podobna: *„Boleslaus dat filiam filio regis Ungarorum“*, która to zapiska jest i w roczniku Traski. Tę tylko poczytuje autor za godną uwagi i wykłada ją w sposób mojem zdaniem trudny do przyjęcia, bo nadto sztuczny. — Nie wchodząc tu w rozbiór tego wykładu, tyle jedynie nadmienię, że nie sądzę, żeby się dwie te zapiski koniecznie wykluczały. Zapiska pod r. 1122 czy 1123 bynajmniej nie daje niemożliwych rzeczy. Król węgierski Koloman (1095—1114) z pierwszej swej żony Bu-

ckiego Leopolda III. Łączyło tych obydwóch książąt (Sobiesława i Alberta) z Węgrem krewieństwo: mieli oni za sobą siostry rodzone Beli II, Albert Jadwigę, a Sobiesław Adelaidę. Warto dodać, że połączenie się pierwszej pary zaszło dopiero r. 1132, a zatem albo mało co przed rozpoczęciem tej wojny, albo w jej dopiero ciągu — w każdym razie niespodzianie dla naszego książęcia [1]).

Ta wojna nieprzewidziana z trzema naraz sprzymierzonemi państwami, przy coraz bardziej topniejącem Borysowem stronnictwie, okazała się trudnem dla Polski zadaniem. Wiodła się też z różnem szczęściem,

---

zylli, zaślubionej r. 1097, a przed 1112 zmarłej, mógł prócz bliźniaków Stefana i Władysława, którzy mu się urodzili r. 1101, mieć i trzeciego syna (mniejsza o to czy się Koloman czy inaczej nazywał), choć o nim ubogie źródła węgierskie nie zapisały wzmianki. Ten, jeśli się w rok albo we dwa po owych bliźniakach, więc r. 1102 albo 1103 urodził, miałby w r. 1122 około 19 lat; a najstarsza Zbysławy i Bolesława Krzywoustego córa, urodzona między r. 1105 a 1109, inne bowiem lata są pokryte innemi urodzinami, miałaby wtedy lat najwyżej 16. Mogła się tedy ta para snadnie pobrać w tym czasie, a następnie mąż tej księżniczki mógł za panowania jeszcze Stefana II, przed r. 1131, zejść z świata. — Druga, późniejsza córka Krzywoustego, także imieniem Judyta, w r. 1148 wydana za Ottona brandeburskiego, zrodzona 1130—34, mogła to imię mieć, pomimo że je nosiła już i przyrodnia jej siostra, zwłaszcza jeżeli ta wtedy może już nie żyła. Wszakże i między jej braćmi było dwóch Kazimierzów, z tej samej przyczyny.

[1]) Zaczęło się w czasach niedawnych upowszechniać coraz więcej mniemanie, jakoby tento pretendent węgierski Borys, syn Kolomana z drugiego jego małżeństwa, był zięciem naszego Bolesława Krzywoustego, i jakoby zatem tylko sam familijny interes, t. j. chętka posadzenia zięcia na tronie, popchnęła tego monarchę w przeboje z państwem dotąd z Polską stale zaprzyjaźnionem. Mniemanie to uważam za przeciwne wszelkim warunkom prawdopodobieństwa. Przedewszystkiem zdaje mi się, że Bolesławowi III nie należałoby podsuwać tak błahych pobudek do rozpoczynania wojen. Krom tego sprzeciwiają się przypuszczeniu owemu i dwie pozytywne już rzeczy. Współczesny kronikarz niemiecki, Otto biskup Frisingeński, który jako szwagier Władysława.

w ogóle niepomyślnie dla kraju naszego, ile że napady wojsk czeskich na Szląsk, które (by już o innych latach nie mówić) w samym r. 1133 trzy czy cztery razy się powtórzyły, roznosiły straszne spustoszenie po całej tej okolicy.

Pomimo zadanej w dniu 22 lipca (1133) w Węgrzech pod Wyszegradem klęski naszemu Bolesławowi, którą na niego ściągnęła tylko zdrada i odstępstwo w ciągu walki rzekomych Borysowych stronników — nie czuła się snać jednak cała ta trójka wrogów jego na siłach do stawiania mu i dłużej skutecznego oporu, skoro powzięła postanowienie, wciągnąć w tę zwadę i cesarstwo niemieckie.

---

najstarszego z synów Krzywoustego, rodzony brat jego małżonki, dokładnie przecież być musiał powiadomiony o stosunkach familijnych tej panującej rodziny, powiada (Chronicon lib. VII c. 21), że Borys, zanim się jeszcze do Polski schronił, zaślubił był w Konstantynopolu jakąś krewnę cesarza greckiego Jana Komnena. Mając tamtę osobę za żonę, nie mógł być zatem zięciem polskiego książęcia. Drugiem, co tu zawadza, to wiek tego Borysa, porównany z wiekiem jego mniemanej małżonki, t. j. najstarszej i z pierwszego małżeństwa pochodzącej córy Bolesława Krzywoustego. Czy tej księżniczce rzeczywiście było na imię Judyta czy nie — tego wprawdzie nie można wiedzieć na pewne, i mniejsza też o to. Ale co niewątpliwe, to że Borys był w porównaniu z tą księżniczką dzieciuchem. Zbysława, pierwsza żona Bolesława III, została zaślubiona r. 1102, a zeszła z świata około r. 1109. Jeżeli tak, to jej córka rodzić się mogła tylko między r. 1105 a 1109; miała tedy w r. 1132 (kiedy się wojna ta zaczynała) lat już co najmniej 23, prawdopodobnie zaś miała ich wtedy nawet i więcej. Borys zaś liczył sobie w tym czasie co najwyżej lat 19: wiadomo bowiem, że jego rodzice, Koloman i księżniczka kijowska Eufemia pobrali się dopiero w r. 1112 (Nestor, »Mon. Pol.« T. I, str. 831). Głowy koronowane zaślubiają się nieraz wprawdzie bez względu na takie drobnostki — to prawda. Wszelako zdawałoby się to rzeczą dziwną, gdyby nasz dzielny monarcha za takiego konkurenta córkę wydawał i to jeszcze tę najstarszą, mając do dyspozycyi kilka dziewek młodszych, z drugiego swego małżeństwa, któreby z mniejszą przynajmniej śmiesznością zawierać mogły podobne stadło.

Z cesarstwem zażywała ojczyzna nasza od r. 1109 (Psie-pole) statecznego pokoju. Nie zaczepiał jej już odtąd ni Henryk V († 1125), ni jego następca Lotar. Przewodnią myślą tego zabiegliwego cesarza to było, żeby przez wyrównanie dawnych sporów z stolicą apostolską i przez podporządkowanie swej władzy świeckiej pod papieski majestat (skoro tak już być musiało), wzmocnić zachwianą powagę Niemiec i właśnie przy pomocy papieża odzyskać wpływ swego berła przynajmniej na te sąsiednie państwa, które za czasów Ottona I uznawały zwierzchnictwo władzy cesarskiej. Zdaje się, że musiał Lotar mieć w tej mierze głównie na oku Danię i Polskę. Zatargi niemieckie z Danią poczęły się już r. 1131, na razie bez widocznego skutku. Z Polską aż do tego czasu, jak się już powiedziało, trwał pokój, pomimo nawet podbojów oręża polskiego na lewem nadbrzeżu Odry, już w tytularnym obrębie Północnej marchii. Powodem tej tak cierpliwej zgody niemieckiej to tylko było, że cesarz ten z roku na rok, i przez całe swe panowanie, miał aż nadto do czynienia z własnymi swymi książęty, którzy prawowitości jego rządów nie chcieli uznać (Hohenstaufowie).

Dzięki zręcznej polityce, doprowadził Lotar powoli układy swoje z kuryą rzymską do tego punktu, że nareszcie w r. 1133 d. 4 czerwca otrzymał z rąk Inocentego II na Lateranie w najuroczystszy sposób koronę cesarsko-rzymską. Za wielkie ustępstwa, tam poczynione tyarze, pozyskała i korona od tyary przyznania, jakich jej było potrzeba. Zajmowały między niemi niepoślednie miejsce dwa, wtedy właśnie i na żądanie Lotara wydane rozporządzenia Inocentego tej treści: Wszystkie p o l s k i e dyecezye, nie wyłączając nawet gnieźnieńskiej, liczyć się będą od tej chwili do juryzdykcyi arcybiskupa Magdeburskiego. Wszystkie s k a n d y n a w s k i e biskupstwa, nie wyłączając nawet arcybiskupiej katedry w Lundzie, liczyć się

mają do juryzdykcyi niemieckiego arcybiskupstwa w Bremen [1]).

Państwa, których to tyczyło, pojęły pewnie od razu, co to miało za znaczenie i w politycznym kierunku [2]).

Za powrotem z Rzymu do swego państwa (sierpień 1133), znalazł Lotar niezadługo sposobność wmieszania się zbrojną ręką w wewnętrzne stosunki Danii, dynastycznymi zatargami ciągle wtedy wstrząsanej. To wydało taki skutek, że już w kwietniu r. 1134 (zjazd Halberstadzki) król duński Magnus, zięć naszego Krzywoustego, na tym zjeździe dobrowolnie się uznał wasalem niemieckiego cesarstwa i za złożeniem Lotarowi sum znacznych koronę duńską z rąk jego jako lenniczą otrzymał.

Na kilka tylko tygodni przed tem zdarzeniem — pod koniec stycznia r. 1134 — stawili się przed Lotarem i dwaj owi zwaśnieni z Polską szwagrowie — czeski Sobiesław osobiście, a Bela węgierski przez posłów swoich. Składając u stóp majestatu tego mocarza dary bogate, zażądali od niego pomocy przeciw książęciu, z którym już rok trzeci bój prowadzić musieli.

Z miłą chęcią przyrzekł cesarz wziąć sprawę tę w swoje ręce, skoro tylko będzie pora po temu.

Tak zaraz jednak przyjść do tego nie mogło, gdyż stronnictwo Hohenstaufów stało i wtedy jeszcze na silnych nogach. Przeboje z tymi książęty wszelako

---

[1]) Bliższe o tem szczegóły obacz w Giesebrechta „*Geschichte des Kaisers Lothar*“. Rozporządzenie polskiego dotyczące Kościoła z r. 1133 mamy w Kod. dypl. WPol. pod N. 6.

[2]) Tylko śmierć wkrótce potem przypadająca arcybiskupa magdeburskiego Norberta i innych osób, na korzyść których i przez które zostało wyjednane to papieskie rozporządzenie, sprawiła, że pozostało ono martwą literą. W danej chwili znaczenie jego przedstawiać się musiało inaczej i pociągało za sobą obalenie całego porządku kościelnego w północnej Europie, wraz z odpowiednimi przewrotami i politycznych stosunków.

brały już teraz coraz pomyślniejszy dla niego obrót. Pod koniec października (1134) jeden z tych książęcych braci, Fryderyk, upokorzył się przed Lotarem i z łatwością przebaczenie jego otrzymał. Załatwienie niesnasek z drugim Hohenstaufem (Konradem) było odtąd już tylko kwestyą czasu; jakoż już w niespełna rok potem (po św. Michale r. 1135) miało rzeczywiście i to nastąpić.

Zbliżała się zatem przyspieszonym krokiem chwila wielkich i groźnych dla Polski zawikłań...

Nasz monarcha zwyczajem swoim postanowił nie czekać, aż ta bieda sama nań spadnie. Wolał jej zajrzeć w oczy zawczasu. Aby intrydze węgiersko-czeskiej odjąć doniosłość, a zachłanności niemieckiej żywioł: sam pierwszy odezwał się do Lotara. Wyprawił doń (w maju r. 1135) poselstwo, prosząc o sposobność pomówienia osobiście z cesarzem. W kilkanaście tygodni potem (w miesiącu sierpniu) przyszło do zjazdu w Merseburgu obydwóch tych panujących, w którym wziął udział i książę czeski, od Beli zaś jako kaleki (był ciemny) przybyli tylko posłowie.

Samo się rozumie, że dla Lotara spór tych książąt między sobą był obojętny (załatwiono go tu rozejmem, na dwa lata przyjętym). Cesarza niepokoiły jedynie zabory polskie w Słowiańszczyźnie zachodniej, do której liczył on i Pomorze, choć ono nigdy przedtem ani nawet z imienia pod tą władzą nie zostawało. Spędzać Polaków z zajętego już stanowiska — było co najmniej zapóźno. Ale niechżeby bodaj trybut z niego płacili! Z takiemto żądaniem przyjął dwór cesarski w Merseburgu księcia naszego, oświadczając, że się cesarz ani nawet widzieć z nim nie zechce, dopókiby mu wszystkich, od tak dawna zaległych danin nie złożył. A ponieważ wysokość corocznej dani oznaczono kwotą 500 grzywien sr., a lat ubiegłych od czasu owładnięcia Nadodrza naliczono dwanaście: więc 12 razy

500 grz. sr. miał teraz Bolesław cesarzowi na jednym stole wyliczyć.

Co tam wtedy nastąpiło? i jakimi argumentami uchylił książę polski owe żądania, jeżeli (jak przypuszczać musimy) nie przystał na te pretensye — tego nam nie powiada historya [1]). Co pewna, to że porozu-

[1]) Historycy niemieccy, a nawet i niektórzy nasi krajowi, utrzymują że Krzywousty złożył Lotarowi rzeczony trybut. Ma tego dowodzić znane miejsce u Ottona Frisingeńskiego (Chronic. lib. VII, 19). Ale ten kronikarz powiada tylko, że się cesarz dopóty nie chciał widzieć z książęciem polskim, dopókiby mu tenże nie zapłacił trybutu (*non ante..., quam tributum 12 annorum persolveret* etc.). Zwrot ten łaciński dowodzi tylko żądania, ale bynajmniej nie dowodzi zapłacenia (musiałby się bowiem był wyrazić kronikarz: *non antea..., quam persolvit*). Ponieważ zaś ani ten ani żaden inny kronikarz nie podał ani słowa o rzeczywistem zadość uczynieniu onym żądaniom Lotara, niema przeto dowodu, żeby trybut był zapłacony. Ważne natomiast zachodzą okoliczności, z których wprost dowieść nietrudno, że nie mógł go zapłacić Bolesław i nie zapłacił. Pomorskie i zaodrzańskie dziedziny Warcisława, o które się tu rozchodziło, wiemy (z Herbordowego Życia Ottona św. lib. II cap. 30), że płaciły razem Polakom trybutu tylko 300 grzywien rocznie. Jakże miał z tegosamego tytułu płacić Bolesław cesarzowi rocznie po 500 grzywien? Chybaby z własnego skarbu dopłacał 200! Zaszczyt zwierzchnictwa byłby go zaprawdę drogo kosztował, że już nie wspomnę o poniesionych kosztach wojen i zbrojnego dozoru nad tym tak skłonnym do oporu narodem. Gdyby nawet był uznawał Bolesław słuszność żądania cesarskiego, nie wiem skądby wziął naraz tyle pieniędzy, bo zaprawdę niemała to była suma na owe czasy, 6.000 grzywien srebra! Równało się to 84 tysiącom dzisiejszych naszych florenów — co do wagi, abstrachując od tamtoczesnego znaczenia pieniędzy. Byłby w takim razie przecież choć targował się o zmniejszenie żądania. Toć przecież w r. 1109 Henryk V za całą Polskę żądał rocznie tylko 300 grzywien, a i tych nie dostał. Jakżeby miał był wtedy za jednę prowincyę płacić Bolesław temu cesarzowi 500?! Że był już złamany wiekiem i niepowodzeniem w wojnie węgierskiej i dlatego wyliczył sumy: i to nie jest żaden argument! Tak bardzo stary przecież nie był, liczył lat dopiero 50. A niepowodzenia nie były tak znowu ciężkie, zważywszy że przegrana pod Wyszegradem bitwa była tylko zdrady następstwem. Takie klęski spotykać mogą każdego i nie było czego rozpaczać. Chwila

mienie jego z Lotarem o ten szkopuł się nie rozbiło. Przypuścił on Bolesława bardzo uprzejmie przed swe cesarskie oblicze i skończyło się wszystko na sutych darach cesarzowi ofiarowanych i — ceremonii.

Wytargowano od Bolesława jedynie formę i pozór rzeczy, o jaką Niemcom chodziło, to jest uznanie zasady, że prawo najwyższego zwierzchnictwa nad krajami tymi zawojowanymi właściwie przynależy cesarstwu. Ale też i książę polski otrzymał za to ustępstwo rzecz wagi nieobliczonej: poręczenie tego, co w ręku już trzymał, a prócz tego i przyznanie sobie ze strony niemieckiej prawa do dalszego podboju, mianowicie do zajęcia wyspy Rugii, a może jeszcze i innych jakich obszarów lutyckiego Pomorza [1]).

Takieto bowiem miało znaczenie, dokonane wtedy

---

najazdu Polski przez Henryka V w r. 1109 przypadła w daleko gorszych okolicznościach, a przecież Bolesław stawił mu czoło. Zresztą przypomnieć też sobie należy, że Lotar wtedy tak bardzo skłonnym do wydania mu wojny nie był. Pojednanie jego z Konradem Hohenstaufem jeszcze nie było przyszło do skutku, a nowa wyprawa włoska, w r. 1136 mająca nastąpić, przedewszystkiem zaprzątała mu głowę.

[1]) Mniemanie już po dziś dzień powszechne, że Bolesław Krzywousty jeszcze w trzecim okresie swoich pomorskich podbojów (przed r. 1124) podbił Rugię i obecnie nad nią panował — nie ma zdaniem mojem pewnej podstawy. Teraz dopiero (w r. 1135) przyszła po raz pierwszy kwestya ta na stół i omawiane były zamiary księcia polskiego, żeby ją zająć. Dowód na to, że podboju tej wyspy przed rokiem 1124 ani 1128 ze strony naszej nie dokonano, mamy najprzód u Żywociarzy Ottona św., którzy wszyscy z naocznego przekonania się o tem znają Rugię jako księstwo politycznie nie podległe nikomu, kościelnie zaś (pomimo swego jeszcze pogaństwa) uważane za przydzielone do dyecezyi arcybiskupów duńskich. Helmold, pisarz także prawie współczesny, znający stosunki rujskie jak najdokładniej, nie tylko ani słowem nie wspomniał o podbiciu tej wyspy przez oręż polski, ale owszem poświadcza, że dopiero r. 1168 stała się Rugia — przy pomocy ówczesnych pomorskich książąt — łupem Duńczyków, jako też że nie podlegała aż do tej ostatniej chwili żadnemu postronnemu rządowi.

przez cesarza Lotara w najuroczystszy sposób nadanie Bolesławowi Pomorza i Rugii jako lenności cesarskich — a z drugiej strony złożony przez tego księcia, jako pana (nie Polski, ale) tych krain, hołd Lotarowi, połączony z ceremonią niesienia przed nim do kościoła w procesyi miecza obnażonego [1]).

Owoż tymto jednym zwrotem zamatował ten rozumny monarcha roboty, od kilku miesięcy przeciwko sobie tak przebiegle poczęte. Uchylił wiszącą nad jego narodem wojnę z potężną ligą niemiecko-czesko-węgierską. Zawarował sobie i następcom swoim na dyplomatycznej już drodze prawo do dalszych nad Bałtykiem anneksyi. Zbliżył nakoniec Polskę do Niemiec na owych dla obydwóch stron równie pożądanych, a Polsce nieuwłaczających warunkach, których ideał przelotny raz już kiedyś, niespełna półtora wieku temu, przesunął się był ponad tymi dwoma krajami w wyobraźni Ottona III i sprzyjaźnionego z nim Bolesława Chrobrego. — Historycy nasi nie pojęli tego nigdy, że to było Polski zadaniem, i nie zrozumieli też znaczenia tej merseburskiej umowy. Albo istotę jej przekształcają wedle przypadkowego mniemania swojego, albo też upatrują w tym akcie upokorzenie i prawie abdykacyę z przeszłej wielkości Bolesława III, spowodowaną wiekiem jego podeszłym i przeciwnościami losu doznanemi pod Wyszegradem... Ktoby przy takim wykładzie hołdu merseburskiego obstawał, niech na rzecz spojrzy ze stanowiska tamtego wieku. Wszakże tensam

---

[1]) Annalista Saxo pod r. 1135: *„Dux Poloniae Boleslaus in die sancto, manibus applicatis, miles ejus (Lotharis) efficitur et ad ecclesiam processuro gladium ejus ante ipsum portavit“*. Otto Frisingeński (Chronicon lib. VII cap. 19)... *„de Pomeranis et Rugis homagium sibi* (Lotarowi) *faceret“*. Naruszewicz, Lelewel i wielu innych za nimi, powodowani chyba płonną narodową próżnością orzekli, że to było pasowanie rycerskie! Jak gdyby 50-letni wojownik, jeszcze około r. 1100 przez ojca swego pasowany rycerzem, potrzebował na swoje stare lata tego honoru!

zmyślny i wyniosły cesarz nie wahał się w r. 1131 przyjmować Inocentego II w Leodyum w roli honorowego Masztalerza ojca św., kiedy za uzdę prowadził konia, na którym ten gość jego dostojny wjeżdżał do miasta, i kiedy trzymał mu strzemię przy zsiadaniu u bramy katedralnego kościoła. W roku 1133, bezpośrednio przed koronacyą swoją w stolicy chrześcijaństwa, skłonił się cesarz ten do form takich wobec Inocentego, że to dało później powód nawet do odmalowania całej tej sceny w audyencyonalnej sali pałacu laterańskiego, z napisem łacińskim pod nią w tym sensie, że »takto najpierw królowie niemieccy, przed bramą miasta wiecznego, zaprzysięgają zaszczyty Rzymu i prawa — potem stają się wasalami ojca św. — i wtedy dopiero z jego ręki biorą koronę cesarską«. W kilka dni po tej koronacyi przyjął Lotar od papieża nawet i formalne feudum rzymskie (tak zw. posiadłości Matyldy, Bolonię, Reggio i t. d.), od których się zobowiązał płacić kuryi tytułem dani po 100 funtów sr. corocznie.

Jak Lotarowi nie spadła dlatego korona z głowy, tak też i władca polski nie doznał przez to złożenie hołdu żadnego w oczach cesarza uszczerbku. Dowodzą tego najlepiej owe najwyższe »nigdy przedtem nie widziane« honory, jakie mu na wyraźny rozkaz Lotara czyniono w Magdeburgu, gdy przez to miasto, wesół i o przyszłość spokojny, do kraju swojego wracał. Procesye tryumfalne, bicie w dzwony wszystkich kościołów itp. na cześć tego słowiańskiego książęcia, zdumiewały wtedy w Niemczech do tego nieprzyzwyczajone umysły, czego odgłos i w ich współczesnych kronikach [1]).

[1]) Długosz bytność Bolesława w Merseburgu w r. 1135 przedstawił w duchu zupełnie nieodpowiednim dziejowej rzeczywistości; zdaje się jednak, że musiał i on mieć przed sobą odgłos jakiś tego, jak to spotkanie się z cesarzem czasu swego wykładane bywało, tylko że on to przez nieporozumienie odniósł do r. 1110, do Henryka V i do zjazdu Bamberskiego, w owym jakoby roku odby-

Tak urządziwszy stosunki swoje z Lotarem, poszedł Bolesław na tejże drodze i dalej jeszcze: pozałatwiał w przeciągu objętego rozejmem merseburskim dwulecia równie korzystnie zatargi swoje i z resztą owej ligi przeciw Polsce spikniętej.

Właściwie przed tym jeszcze okresem czasu wszedł w jak najściślejsze porozumienie z domem rakúskim, żeniąc najstarszego syna swojego Władysława (II) z jedną z córek Leopolda III, margrabi austryackiego, imieniem Agnieszką. Ślub ten, do skutku doprowadzony w latach 1133 lub 1134, mógł wróżyć z tej przyczyny korzyści wielkiego politycznego znaczenia, ponieważ ta księżniczka przez matkę swoję była siostrą przyrodnią owych obu Hohenstaufów, Fryderyka i Konrada, którzy przez tak długie lata na czele potężnej w Rzeszy niemieckiej partyi trzymali w szachu całą potęgę Lotara, a na przyszłość, przy bezpotomności tego już wtedy sędziwego cesarza, mieli wszelkie widoki zajęcia miejsca na tronie niemieckim. Jakoż przyszło niezadługo rzeczywiście do tego — już w r. 1138 został Konrad III cesarzem [1]).

---

tego przy współudziale naszego Bolesława. Najświeższe badania niemieckich uczonych wyjaśniły, że zjazdu w r. 1110 i w ogóle za Henryka V w Bambergu takiego nie było wcale. Do tegoto chyba zatem merseburskiego zjazdu (w r. 1135) odnieść należy słowa cesarskie, powiedziane wtedy polskiemu władcy według Długosza: *se eum »justo honore inter principes catholicos velut suum et imperio amicum habiturum"*, jeżeli takowe są historyczne. (Obacz Dług. Hist. T. I str. 489 krak. wydania).

[1]) Twierdzenie moje, że ślub Władysława z Agnieszką zajść musiał w latach 1133—1134, jest tylko wynikiem kombinacyi. Tradycyjna historyografia stawia tu inne daty, ale nie wytrzymujące krytyki. Długosz, od którego one pochodzą, był w ogóle najfatalniej powiadomiony o wszystkiem, co tylko rodziny Bolesława Krzywoustego tyczyło. Według niego nazywać się miała małżonka Władysława II Krystyna; miała być córką Henryka V cesarza; miała być zaręczoną z Władysławem na owym zjeździe w r. 1110 w Bambergu; miała zaraz od owego czasu począwszy, niedorostkiem jeszcze będąc, chować się przez lat 10 na dworze swego

BIBLIOTEKA 8-mio klasowej № SZKOŁY MAZOWIECKIEJ

Z Węgrami zdaje się, że przyszło do pojednania ostatecznego w r. 1136. W tymto zapewne bowiem już roku narzeczeni sobie zostali 14-letni mniej więcej wtedy Mieczysław, trzeci syn Bolesława Krzywoustego, z córką Beli II imieniem Elżbietą, o lat może 7

przyszłego teścia, ażeby do obyczajów polskich przywyknąć; jej ślub miał się odbyć r. 1121 i jest przez tego historyka tak znowu opisany dokładnie, że nie braknie ani listy gości na wesele sproszonych ani nawet wiadomości, w co się ci goście bawili... Dopiero późniejsze (Naruszewicza) badania wykazały, że ta księżna nazywała się nie Krystyna, ale Agnieszka, i że nie była córką Henryka V, który zszedł z świata bezdzietnie. Co do czasu zaręczyn bamberskich, 10-letniego pobytu w Polsce Agnieszki w stanie przedślubnym, i ślubu odbytego w r. 1121: rzecz aż do dziś dnia (r. 1876) ciągle wprawdzie tak stoi, jak ją Długosz postawił; trzeba będzie jednakże i to także uprzątnąć. Co się tyczy tedy zaręczyn — tych w r. 1110, w Bambergu, już dlatego być w żaden sposób nie mogło, ponieważ ani owego zjazdu, ani też księżniczki tej nie było wtedy na świecie. Z tem upada i jej 10-letni w Polsce nowicyat. Aby ocenić zaś wiarogodność weselnej pod r. 1121 daty, wdajmy się w rozgląd metryki księżnej Agnieszki. Jej rodzice, margrabia austryacki Leopold i wdowa po Fryderyku Hohenstaufie, książęciu szwabskim, córka cesarza Henryka IV, imieniem (taksamo jak ta jej córka) Agnieszka, połączyli się ze sobą związkiem małżeńskim dopiero między r. 1106 a 1108. Podaje to syn ich własny, Otto biskup Frisingeński, w swoich *„Gesta Friderici“* (lib. I cap. 10). Jeżeli do tego niewątpliwego faktu dodamy tę okoliczność, że mieli oni ze sobą 18 dzieci, między któremi nasza Agnieszka, w dowiedziony sposób, przynajmniej z liczby córek, wcale nie była najstarszą: to przychodzimy do rezultatu, że w r. 1110 najpewniej nie oglądała ona jeszcze światła dziennego, a w r. 1121 do *matrimonium consummandum* jeszcze nie mogła być sposobną. Natomiast zważmy, czyby rozumny Leopold św. był mógł w r. 1132 i 1133 posyłać wojska swoje i syna swojego Alberta na pomoc Węgrom, przeciwko Polsce, gdyby najstarszy tu syn książęcy, a więc następca tronu w tem państwie, był miał już wtedy za żonę jego córkę rodzoną? Prawda, że Albert miał za sobą siostrę Beli II, a zatem i dola Węgier obchodzić Leopolda musiała. Ale takie powinowactwo jest niczem w porównaniu z interesem, jaki dom rakuski z Polską wiązał po wydaniu za Władysława Agnieszki. Stać się to zatem mogło dopiero w końcu albo po roku 1133.

lub 8 od swego narzeczonego młodszą [1]). Przy sposobności tejto familijnej ugody mógł się spór między tymi dwowa rządami o ziemię spiską (jeżeli to rzeczywiście było przyczyną dotychczasowych zatargów) załatwić w sposób bliżej nam wprawdzie nieznany, lecz z takim skutkiem, iż kraik ów i nadal w większej połowie przy Węgrach pozostawiono. W każdym razie tyle pewne, że Borys z uroszczeniami swemi musiał się już gdzieindziej potem awanturować, przez Polskę wypuszczony z opieki. (Zginął on w kilkadzie-

[1]) Naprowadza mię na ten wniosek dana w kilku rocznikach naszych pod r. 1136 zapiska, jakoby był w tym roku wydał Bolesław III córkę swoję za syna króla węgierskiego (»Mon. Pol.« T. II str. 832, III 152). Imion odnośnych osób nie podają roczniki. — Żaden z synów Beli II, o ile wiadomo, nie miał za sobą polskiej księżniczki, lecz zachodził zato odwrotny stosunek; byćby zatem snadnie mogło, że dana tu data chronologiczna (r. 1136) jest trafną, a nieporozumienie zachodzi jedynie co do płci tej ślubnej pary. (Podobne *qui-pro-quo* znachodzimy u Długosza i co do małżeństwa w r. 1129 umówionego między duńskim królem Magnusem a córką Krzywoustego Ryksą, której ten historyk każe być małżonkiem, a jemu żoną). — Prawdopodobieństwo czasu zaręczyn Mieszka z Elżbietą w r. 1136 tem się stwierdza, że jak się to niżej powie, już w r. 1140/41 była ta para z sobą po ślubie.

Prof. Balzer w »Genealogii Piastów« nie przyjmuje powyższego mego wykładu. Bierze tę pod r. 1136 daną w rocznikach zapiskę w sensie dosłownym co do płci odnośnej pary; co do osób — podkłada zapisce takie znaczenie, że ma tu być mowa o najstarszym synu Beli II Gejzie, w owym roku 6 lub 7-letnim, i o jeszcze mniej lat wtedy mającej księżniczce polskiej, jednej z najmłodszych, o zrodzonej z drugiej żony Bolesława III córce, imieniem Judycie. Te zaręczyny wszelako miały się później rozchwiać, a to z przyczyny że Mieszko w r. 1140 zaślubił Elżbietę, zdaniem Balzera siostrę (a nie córkę) Beli II. Z powodu tegoto zatem związku miała później upaść powzięta w r. 1136 myśl połączenia tamtej pary, tak iż Gejza w r. 1147 pojmuje za żonę inną osobę, Eufrozynę ruską, jak to z dziejów wiadomo, a i Judyta w rok potem wychodzi za innego męża, za Ottona I brandeburskiego (Genealogia Piastów, str. 164 i 172—176). — Nie podzielam tego zapatrywania dla następujących przyczyn: 1. dlatego, że o zaręczynach Gejzy z Judytą, drugą tego imienia Bolesławówną,

siąt lat później, na wojnie jakiejś z Węgrami około r. 1156).

Na samym ostatku podali sobie ręce, na stałą zgodę, obydwaj cioteczni bracia, poróżnieni w r. 1132. Pokój ten ze Sobiesławem stanął dopiero r. 1137 w Kłocku, przy osobistej tam naszego Bolesława bytności zawarty w same Zielone-świątki. Młody Władysław Krzywoustowicz zaraz potem trzymał do chrztu narodzonego w tych właśnie czasach syna ks. czeskiego —

historyografia nic nie wie; 2. że ślub Mieszka w r. 1140 z Elżbietą zawarty, nie byłby stanowił żadnej przeszkody połączenia się tamtej pary, gdyby tak było rzeczywiście dawniej postanowione; 3. nie mogę także przyswoić sobie tej hypotezy, że Elżbieta była siostrą Beli II, a więc córką Almusa, a nie córką Beli, jak to powszechnie podaje historyografia. Mnie się zdaje, że jako siostra Beli, a córka Almusa, któryto brat Kolomana i wygnaniec z ojczyzny nigdy królem nie był, nie mogłaby Elżbieta w źródłach dziejowych być stale zwana »królewną«, »córką króla węgierskiego«. Co ważniejsza, byłaby też wiekiem nieodpowiednią, bo starszą od Mieczysława. Almus bowiem, zmarły r. 1129 mając około 53 lat wieku, był ojcem zrodzonego jeszcze około r. 1111 Beli, tudzież córek, które już w r. 1122 i 1132 wychodziły za mąż (Adelaida za Sobiesława I księcia czeskiego, a Jadwiga za Alberta rakuskiego), zatem około 1108 i 1118 r. urodzić się musiały co najpóźniej! Gdyby zaślubiona w r. 1140 Mieczysławowi Elżbieta była tamtych siostrą, toć musiałaby się rodzić w czasie od r. 1118 nie zbyt odległym. Przypuściwszy np. rok 1120 jako najpóźniejszy czas urodzenia Elżbiety, miałaby w r. 1140 lat 20, podczas gdy Mieszko liczył sobie wtedy według obliczenia autora Genealogii dopiero lat 14, a podług mojej rachuby 18, zatem i tak mniej niż Elżbieta. — Nierównie więcej podobnem do prawdy być sądzę, że Bela II był ojcem Elżbiety. Dochodzę do tego wyniku jednak w ten sposób, że nie stawiam ślubu Beli z Heleną serbską »około r. 1130« ale go cofam do 1126 lub 1127, i nie upatruję w Gejzie najstarszego dziecięcia tego stadła, lecz najstarszego syna. Że się ta para pobrała dobrze przed rokiem 1130, tego już ta okoliczność dowodzi, że na pamiętnym owym sejmie w Aradzie, w końcu r. 1131 odbytym, wystąpiła królowa Helena już co najmniej z dwojgiem dzieci zdolnych do wprowadzenia przed to zgromadzenie, jak to opowiadają źródła węgierskie.

na oznakę przebaczonych i zapomnianych uraz wzajemnych.

Widocznie chodziło w latach życia ostatnich Bolesławowi naszemu, jak gdyby już przeczuwał bliski swój koniec, najwięcej o to, aby nad Polską pogodne polityczne niebo zostawić i drogę do wskazanego aktem merseburskim celu uczynić wolną od ubocznych zawad, przy ustalonej ze wszystkiemi wokół sąsiedniemi państwami zgodzie. Boć i z Rusią za jegoto jeszcze życia, w r. 1137 [1]), zaciśnięty został węzeł podobny, przez ożenienie się drugiego z porządku jego syna, Bolesława Kędzierzawego, ze Zwierzchosławą córką Wsewołoda księcia nowogrodzkiego. Skoro zaś tak pragnął zgody z postronnymi rządami, to jakże jej nie miał życzyć sobie i w własnem państwie? Najściślejsza jedność w rodzinie książęcej stanowiła nieodzowny warunek powodzenia w sprawie zamierzonych, tak trudnych do przeprowadzenia lutyckich podbojów.

Z tejto przyczyny krótko przed śmiercią przystąpił nie tylko do wydzielenia wszystkim swoim męskim potomkom dzielnic spadkowych, ale i do uchylenia raz na zawsze owego w ówczesnem naszem prawie publicznem niedostatku, który tak często dawał powód do osłabienia powagi panujących, a nawet do wojen domowych. Orzekł po raz pierwszy jasno i dobitnie zasady: który z członków rodziny książęcej ma w danych razach zawsze prawo do następstwa na tron; jaki jego tytuł i władza; jaka nakoniec część królestwa pod każdym warunkiem ma zostawać pod bezpośrednim jego zarządem jako naczelnie panującego? Jak wiadomo, orzekł on w obrębie tych trzech pytań, co następuje. Prawo do tronu będzie miał odtąd każdy w danej chwili najstarszy członek dynastyi, bez względu na stopień jego pokrewieństwa z ostatnim panującym

[1]) Latopis Hipac. pod r. 6645 (1137), str. 215.

(Seniorat). Tytuł jego — wielki książę *(maximus dux)* i monarcha Polski. Zakres jego władzy w stosunku do książąt na poszczególnych dzielnicach, jak został przez Krzywoustego opisany? w szczegółach nie jest wiadomo (jak i to, co nam wiadomo, w znacznej części tylko wywnioskowane dopiero być musi z analogii postronnego przykładu, który w tej mierze za wzór mu posłużył). Lecz w każdym razie winni ci książęta być mieli najstarszemu posłuszeństwo, jako głowie rodziny i wyobrazicielowi całości królestwa. Bezpośredniem jego władztwem — Krakowskie łącznie z Łęczycko-Sieradzkiem, a prócz tego niewątpliwie, jak to Baszko podaje [1]), i daniny pomorskie, wraz z innemi służebnościami zawarowanemi Polsce z tej świeżo nabytej prowincyi.

Ponieważ najstarszym z synów Bolesława był Władysław: jemu się przeto dostały wszystkie owe wielkoksiążęce zaszczyty. Przydzielonym do nich został Szląsk jeszcze, może łącznie z ziemią Lubuską, a to jako dziedziczna dzielnica, na niego i potomstwo jego przypadająca. Inni bracia otrzymali działy mniej więcej równe tej ostatniej Władysławowej dzielnicy. Bolesław Mazowsze, Kujawy, Dobrzyń, ziemię Chełmińską i Michałowską. Mieczysław (tak zwaną później) Wielkopolskę t. j. Gniezno, Kalisz i Poznań z przyległościami, w które wchodziło i nadnoteckie Pomorze. Henryk Sandomirskie łącznie z obszarem lubelskim. Dział Kazimierza, wtedy jeszcze małoletniego, miał pozostawać do czasu w rękach Władysława jako jego opiekuna i głowy całej rodziny; bliżej jednak tego działu nie określił wtedy Bolesław (może Łęczycko-Sieradzkie [2]).

---

[1]) »Mon. Pol.« II str. 518.

[2]) Tak tę rzecz co do Kazimierza Sprawiedliwego stawia tradycyjna historya. Nie jest jednak wykluczonem i to przypuszczenie, że Kazimierz narodził się dopiero po śmierci ojca. Rocznik

To był ostatni czyn tego wiekopomnego monarchy. Uzyskawszy uroczyste aktu tego zatwierdzenie ze strony stolicy apostolskiej, umarł d. 28 października r. 1138, lat wieku swojego licząc 53.

W historyografii naszej murem stoi [1]) od dawnych wieków mniemanie, jakoby nieszczęsny podział jednolitej aż dotąd Polski na księstwa spadał na karb tej dyspozycyi Bolesława III; jakoby pomysł takiego podziału w jego dopiero głowie się zrodził; że nakoniec granica między świetną pierwszą dziejów naszych epoką, a tak z nią kontrastującą drugą — przypada na rok zgonu sprawcy tego kontrastu, na rok 1138. Sprawiedliwe ocenienie tego, co Bolesław uczynił, usunie prędzej czy później to z gruntu błędne zapatrywanie.

Kiedy się dostojnicy państwa zapytywali Władysława Hermana pod koniec już jego życia, któremu z młodych książąt on odkazuje władzę naczelną: dał im znaną ową odpowiedź, że jego rzeczą, jako człowieka starego i schorzałego, jest tylko podzielić królestwo pomiędzy synów, a resztę pozostawić wszechmocy bożej [2]). Do tego stopnia było wtedy zakorzenione poczucie, że podział państwa między członków panującej rodziny, jest rzeczą która się sama rozumie! Od pierwszych czasów praktykowała się ta zasada w całej Słowiańszczyźnie, w innych państwach przeróżnych, a mianowicie też w Polsce. Mieczysław I

---

kapitulny krak., najwiarogodniejszy ze wszystkich, pod rokiem 1138 tak się wyraża: *„Boleslaus III obiit V kal. novembris. Kazimirus II nascitur“*. »Mon. Pol.« II 797. Więc tu zgon ojca przyjście na świat syna wyprzedza.

[1]) Do dzieł ostatnich się ta uwaga nie ściąga. Przypominam, że to pisałem w r. 1875.

[2]) Gallus, lib. II cap. 8.

miał pod sobą paragialne książęta. Bolesław I miał ich także aż do r. 995. Wtedy wprawdzie braci wypędził, ale między synów swoich znowu kraj swój jednak przed śmiercią podzielił. Mieczysław II musiał spędzać Bezpryma z przyznanego jemu działu, potem przez niego i sam został wytrącon z kraju. Pod Bolesławem Śmiałym zawiadywali bracia jego młodsi niezawodnie cząstkowemi księstwami. Bolesław Krzywousty dzielił taksamo znowu władzę z Zbigniewem, dopóki go się nie pozbył. A zatem było tak zawsze: i ze wszystkich książąt owej epoki tylko Kazimierz I po swojej restauracyi, Władysław I po upadku Bolesława Śmiałego, i Krzywousty po usunięciu się z widowni Zbigniewa, byli tyle szczęśliwi, że trzymali w rękach swoich spokojnie c a ł e to państwo. Sprawił to zaś tylko prosty przypadek, t. j. ta okoliczność, że ci trzej panujący żadnych braci ani krewnych, jak chyba własne dzieci, już w t e d y nie mieli.

Że przebieg dziejów polskich pomimo tego na każdym takie sprawia wrażenie, jakoby aż do r. 1138 było to królestwo niepodzielne, a wtedy się dopiero na księstwa rozpadło: to tylko wynik przez to spowodowany, że dawniej dynastya ta nie była tyle rozrodna, a właśnie przeto królowie i książęta nasi przed Krzywoustym, przez wypędzanie z kraju krewniaków, albo też przez ich śmierć bezpotomną i wczesną, mogli przywracać rządom swoim niepodzielność władzy na całe państwo. Najstarszy zaś z synów Bolesława III przeciwnie, mając naraz do czynienia aż z trzema braćmi, a w naddatku i z całym narodowym zastępem jak mur za nimi stojącym, uległ prądowi prowadzącemu rzeczy do rozpadu państwa. Panowanie zwycięskie tego separatyzmu poczyna się zatem dopiero w roku jego ustąpienia z ojczyzny, w r. 1146. A było dziełem nie testamentu książęcia, na którego głowę odpowiedzialność zato składamy, lecz po prostu — r e w o l u c y i.

Bezmyślnie obwiniany monarcha ten uczynił ra-

czej wszystko, co tylko było w jego mocy, aby do tego nie przyszło. Ze stanowiska wieku swojego na rzeczy patrząc, mógł on widzieć piekącą konieczność reformy w Polsce tylko w tym punkcie, w którym jej najbardziej było potrzeba, to jest w zakresie prawa co do następstwa na tron. Aż do dni jego wszystko tu było nieokreślonem. Tron wprawdzie uchodził za dziedziczny w rodzinie Piastów; ale który z tej rodziny każdocześnie miał na nim w danych razach zasieść, o tem stanowiła dowolność. Zwykle wprawdzie orzekał schodzący z pola poprzednik, kto będzie jego następcą. Ponieważ jednak i to niezawsze się działo, a w tych najczęstszych razach w których tak było, ani starszeństwo w rodzeństwie ani żadna inna stała zasada nie kierowała wyborem: zostawiała przeto ta patryarchalna z wyżyn tronu dezygnacya otwarte zawsze pole do wichrzeń tym wszystkim, którzy się wydanem ojcowskiem rozporządzeniem w nadziejach swoich widzieli zawiedzionymi. Zgubne następstwa takiego stanu rzeczy miał Bolesław III w licznych już przed sobą przykładach, a i sam osobiście przez te doświadczenia przechodził.

W tejto zatem głównie mierze poczytywał on sobie za obowiązek uzupełnić prawo publiczne, a zniewalała go do tego i sama już ilość synów, których zostawiał, tak różnych i wiekiem i pochodzeniem. Najstarszy syn jego Władysław, zrodzony z Zbysławy ruskiej, miał w r. 1138 już 33 lata skończone[1]). Inni jego synowie byli wszyscy z drugiego małżeństwa i już to jedno czyniło z nich w obec tamtego brata odosobnioną zwartą drużynę. Jeżeli zaś co, to właśnie wiek ich mógł głównie wzniecać obawy o przyszłość w sercu

[1]) Urodził on się r. 1105 (rocznik dawny Śto-krzyski i kapitulny krak.). Długosz i t. zw. rocznik Traski podają r. 1104; Sędziwojowski rocznik r. 1106. Prawdziwą datą będzie więc najprędzej pośrednia.

ojcowskiem: albowiem (z wyjątkiem Kazimierza) byli ci wszyscy książęta dość już dorośli, żeby Władysławowi kłopoty sprawiać, ale dalecy jeszcze od takiej dojrzałości, żeby się nie dać na jego i swoję szkodę wyzyskiwać warcholstwu możnowładztwa, biorącego ich pod swe skrzydła, i żeby nie podkopywać, lecz wspierać starszego brata na jego już i tak aż nadto trudnem stanowisku monarszem [1]).

[1]) Roztrząśnięcie pytania co do wieku tych młodszych książąt, na pozór zdaje się wprawdzie może niepotrzebną i błahą ciekawością. Zważywszy jednak, że i z tego ukuli kronikarze broń przeciwko Władysławowi, w ten sposób że biorąc po sekciarsku stronę tych jego wrogów, ukazują w nich niewinne ofiary jego zakamieniałej ambicyi, dla samego już »pacholęcego wieku swojego« bezbronne: przychodzi się do uznania potrzeby zdemaskowania i tej sztuczki prawdziwie charakterystycznej. Wiadomo zresztą, że utarta historyografia nasza i przy tym fałszu do dziś dnia (t. j. do r. 1876) stoi.

Czas urodzenia synów Bolesławowych podaje w całym prawie komplecie Długosz, niewątpliwie nie w całości wymyślony przez siebie, lecz na podstawie rocznikarskich zapisek, z których jednak tylko kilka dat takich doszło do czasów naszych, a to głównie w Roczniku kapitulnym krakowskim, pochodzącym z XIII stulecia. Otóż wiadomości Długosza, z źródeł tego rodzaju czerpane, przedstawiają się tak: Wie ten historyk, że powtórne ożenienie się Krzywoustego zaszło »r. 1110«, czy jak się dalej poprawia, około r. 1112, co zgodniejsze z prawdą. Ale daje mu za małżonkę Adelaidę siostrę Henryka V cesarza, podczas gdy rzeczywiście była nią Salomea hrabianka von Bergen. Z tego małżeństwa zrodziło się sześciu synów i co najmniej tyleż córek. O córkach źródła polskie zaledwie coś mimochodem przy danej sposobności podają. Synów uwzględniają więcej. Jako najstarszy, o ile wnosić można, zapisany jest w roczniku kapit. krak. (»Mon. Pol.« II 797) Lestek; miał się narodzić r. 1115. Nie wiem dlaczego Długosz zapiski tej nie przyjął, o Lestka istnieniu wcale nie wspomniał, i co większa, każe być Adelaidzie (Salomei) przez »pierwsze lat 10« bezpłodną, gdyż dopiero r. 1122 (zatem właściwie po 12-letniej, a nie 10-letniej bezpłodności) miała urodzić pierwsze swoje dziecię, syna Kazimierza (Hist. I 524). Ci dwaj, Lestek i Kazimierz, zmarli w latach młodocianych. Kiedy? — O śmierci Lestka nic nie zapisały roczniki. Długosz, jak się już powiedziało,

Ażeby takim ewentualnościom zapobiec, skorzystał Bolesław z przykładu, jakiego mu dostarczyły dzieje czeskiego narodu. Tamtejszy książę Brzetysław I, podobnie jak ten nasz panujący, ojciec pięciu synów, zaprowadził był w państwie swojem w r. 1054 t. zw. pragmatyczną ustawę Seniora tu. Ta rozporządzała prawie tosamo, co teraz dla Polski przepisane zostało. Była w Czechach praktykowaną przez lat 45, z naj-

---

wcale go nie zna. O narodzeniu Kazimierza także nic nie podają roczniki. Zapisują tylko rok jego śmierci, 1131, który przyjmuje i Długosz (str. 543). Skąd zaś on wziął wiadomość o czasie jego urodzenia w r. 1122 (co niewątpliwie nie do przyjęcia), niewiadomo. Bądź jak bądź, byli to pewnie najstarsi Krzywoustego synowie. — Przejdźmy teraz do młodszych, którzy jedynie nas tu obchodzą. Bolesław Kędzierzawy miał się narodzić r. 1127 (Hist. I str. 535; tosamo i w roczniku, »Mon. Pol.« II 797). Że to wiadomość niepewna, tego dowodzi już to, że rocznik pod tym r. 1127 stawia trzy fakta: zgon cesarza Heryka V, następstwo po nim Lotara (zdarzenia z r. 1125!) i urodziny Kędzierzawego: Długosz to o tyle tylko zmienia, że te fakta niemieckie z r. 1127 na rok 1126 przesuwa (str. 534), urodzenie Kędzierzawego zaś jakoby w r. 1127 zostawia. — Mieczysław (Stary) miał się rodzić r. 1131 (tak Długosz, str. 543; skąd ta wiadomość, niewiadomo). — Henryk (sandomirski) miał przyjść na świat r. 1132 (tak Długosz, str. 545; i tej daty źródła nie znamy). — Kazimierz (Sprawiedliwy) rodził się r. 1138, zgodnie z prawdą. (Dług. Hist. str. 561, rocznik »Mon. Pol.« II 797).

Tak więc czas urodzenia tych 4 synów z owego niezwykle płodnego małżeństwa przypadałby dopiero na lata od 1127—1138. W roku śmierci ojcowskiej miałby Bolesław lat 11; o 4 lata od niego młodszy Mieczysław miałby ich wtedy 7; Henryk rokiem od tego młodszy, miałby ich 6. Rzeczywiście byłyby to zatem same niedorostki, pacholęta, *„pupilli“*, jak ich Kadłubek nazywa. I nie dziw, że kiedy brat najstarszy, Władysław II chciał ich pokrzywdzić, ujęli się panowie i biskupi za nimi i wygnali »tyrana« z ojczyzny.

Patrzmy teraz, jak się sprawa wieku tych książąt przedstawia w świetle prawdziwej, t. j. współczesnej i niepowodującej się stronniczemi uprzedzeniami historyi. Co do Bolesława Kędzierzawego i Mieczysława (Starego) posiadamy współczesną taką wiadomość w pewnem źródle postronnem, w t. zw. Zwifalteńskiej

pomyślniejszym skutkiem, i uchroniła ten naród przy czterech po sobie idących wstąpieniach na tron od zawieruchy społecznej. W r. 1099 (a więc w oczach naszego już Bolesława) obalił jej nietykalność Brzetysław II, a obalenie to odpokutował na własnej swojej osobie już tensam Borzywoj II, na którego korzyść tamten książę testament przodka swojego zdeptał. I nie dość na tem, że z tego tronu już w r. 1107 Borzywoj

---

kronice, przez Ortlieba rozpoczętej, a przez Bezimiennego dokończonej, któryto ostatni autor, zakonnik jakiś z Zwifalten, bawił w Polsce na dworze owdowiałej księżnej Salomy, od adwentu r. 1140 aż do początku marca 1141, i osobiście był przytomny na zjeździe Łęczyckim, w końcu 1140 albo początku 1141 r. odbytym. Otóż powiada ten naoczny świadek zjazdu owego, że znajdowali się na nim i dwaj najstarsi synowie Salomy z żonami swemi, Bolesław Kędzierzawy zaślubiony z córką w. ks. ruskiego, i Mieczysław małżonek węgierskiej królewny (»Mon. Pol.« T. II str. 4). Skoro Mieczysław w owym czasie (w r. 1140) już był żonaty: toć musiał mieć przynajmniej lat już 18 lub 17 koniecznie, a Bolesław jako starszy miał ich i więcej. Rok urodzenia Mieczysława przypadałby zatem na 1122 albo 1123 co najpóźniej. Byćby mogło, że ów przez Długosza podany rok 1122 jako czas narodzenia Kazimierza (w r. 1131 zmarłego), był rokiem nie jego narodzenia, ale Mieczysława. Bolesława zaś metryka sięgałaby w lata jeszcze wcześniejsze, niż r. 1122. — Drugim punktem oparcia do obliczenia w przybliżeniu wieku tych książąt jest wzmianka, rzucona w pisanym także współcześnie Ebbonowym Żywocie Ottona biskupa bamberskiego. Czytamy tu, że kiedy Otto św. w r. 1124 w miesiącu maju zbliżał się do miasta Gniezna, ażeby stamtąd po wypoczynku na Pomorze się udać: wyszedł na jego przywitanie przed miasto Bolesław Krzywousty w licznej procesyi i rozkazał »synów swoich niemowlęcych *(filios lactantes)* nieść naprzeciwko niego, aby ich pobłogosławił« (»Mon. Pol.« T. II str. 39). To nam dowodzi, że dwóch, a może i trzech nawet synów jego było wtedy w tym wieku. Do którychże może się to stosować? Do Władysława oczywiście nie, gdyż ten w r. 1124 miał już lat 19. Do Lestka (jeżeli wtedy żył jeszcze) także nie, bo miałby wtedy lat 9, skoro się r. 1115 urodził. Do Kazimierza (zmarłego w r. 1131) mogłoby się ściągać tylko wtedy, jeżeli był młodszy od Bolesława Kędzierzawego, co jednak niemożliwe. Najprędzej odnosi się to do Bolesława, do rokiem od niego młodszego Mieszka i do Henryka,

został przez morawskiego Swatopługa na mocy tylko prawa pięści i niemieckiego podmuchu strącony, a później w Hammersteinie nad zmiennoscią losów ludzkich w okowach musiał rozmyślać. Ale poczęły się odtąd i dla całego tego państwa czasy wielkiego nieładu i poniżenia na zewnątrz. Już w r. 1109 pojawia się tam pierwszy wypadek faktycznej elekcyi, a w r. 1125 zmuszony został Sobiesław I elekcyjność tronu czeskiego i jako już zasadę prawną postawić. Poszły za tem, jak wiadomo, najgorsze następstwa.

Takito przykład i przebieg rzeczy mając przed oczyma Bolesław, zaprowadził w kraju swoim Seniorat. Nie można temu zapewne przeczyć, że byłby

---

których narodzenie przypadałoby na r. 1121, 1122 i 1124. — Okazuje się zatem, że tendencyjna historya nasza zepchnęła wymiar wieku braci Władysława II o jakie 6—9 lat na dół. Rzeczywiście miały się rzeczy tak, że w roku śmierci Krzywoustego (1138) liczył Mieczysław co najmniej lat 15 albo 16, starszy od niego Bolesław 17, a Henryk może 14, w każdym razie 12, skoro mu ojciec już dział dziedziczny wyznaczył.

Genealogia Piastów prof. Balzera stawia czas urodzenia tych trzech książąt inaczej, Bolesława na r. 1125, Mieszka na 1126 lub 1127, a Henryka między 1127 a 1136. Opiera się to na tej dacie Rocznika kap. krak., że Bolesław przyszedł na świat w tymsamym roku, w którym cesarz Henryk V życie zakończył, a Lotar na jego miejsce nastąpił. Patrzmy jednak, jaki z tego wynik. Bolesław Kędzierzawy zaślubia Wierzchosławę księżniczkę ruską w r. 1137, w roku zatem wieku swego 12-tym (nie 13-tym! jak to w Genealogii). I usprawiedliwione to jest uwagą (str. 156), że taka była utarta podówczas praktyka wczesnych małżeństw. A przecież sam nasz uczony autor w przedmowie do tego dzieła (str. XIII) skonstatował, że »ukończony rok czternasty był najniższym wiekiem, potrzebnym do zawarcia związków małżeńskich, dla mężczyzn, jak i kobiet«. Skoro dla kobiet tak, toć mężczyźni (choć się w zasadzie mogli i w tym już wieku żenić) zazwyczaj bywali przecież o parę albo o kilka lat starszymi od żon swoich. Na str. 142 nie dowierza też temu autor, żeby Ernest rakuski mógł był w ogóle być żonatym, ponieważ (urodzony r. 1124) zszedł z świata już 1142, w ośmnastym swym roku. Jeżeli tu tak, to co z tego wynika dla tamtego pytania?

lepiej uczynił, gdyby był w swojej reformie poszedł krok dalej jeszcze, stanowiąc niepodzielność królestwa i primogeniturę monarchiczną w tym sensie, jak ją we wszystkich dzisiejszych regularnych monarchiach ustaloną widzimy. Zauważyć jednak należy, że o tej, tak dziś niby prostej politycznej teoryi, w wieku tego książęcia ani w Polsce ani w Słowiańszczyźnie ani w Europie nawet całej nie śniło się jeszcze nikomu. Pomysł, że państwo jest majoratem, byłby wtedy poczytany za wydziedziczenie, tem bardziej niesprawiedliwe, że synowie młodsi Krzywoustego nie dali ojcu powodu do zaprzeczania sobie tych nawet przynależności, które prawnie i najlichszemu z jego poddanych służyły. Taka reforma nie byłaby się w ówczesnej Polsce utrzymała ani 24 godzin. (Zrobiła później to doświadczenie Norwegia, w wieku XIII i XIV Magnus VII (1262—1280) orzekł niepodzielność kraju i stały porządek sukcesyjny. Rozporządzenia jego upadły r. 1319).

Wszystkie tamtoczesne państwa, pod względem dziedziczności tronu, prawie się nie różniły od Polski. Wszędzie tam spotykamy dynastye, które władzę pochwyciwszy, nie puszczają jej już (o ile mogą) z ręki. Tak powstaje dziedziczność faktyczna — z faktycznej wyrabia się z ciągiem czasu i zasadnicza. W myśl takowej, jeden z rodziny, jako król, siedzi na tronie — reszta członków tej rodziny otacza tron królewski w charakterze książąt na pewnych dzielnicach. Ich stosunek do panującej jednostki jest normowany miarą obowiązków feudalnych, jaka każdocześnie przepisaną była wielkim wasalom względem suzerena swojego. W razie opróżnienia tronu, osięgał władzę zazwyczaj syn i to najstarszy syn panującego poprzednio; lecz ją osięgał do bardzo późna tylko faktycznie, a bynajmniej nie dla pierworodztwa swojego, t. j. brał przodek albo w skutek dezygnacyi ze strony poprzednika, albo dzięki elekcyi z dołu, albo nakoniec dlatego tylko,

że jako syn królewski, najstarszy, nie miał ani w rodzeństwie ani w społeczeństwie całem drugiego, coby fizycznie i moralnie tylu rozporządzał środkami do zajęcia tego miejsca i utrzymania się na niem. Tato też właśnie tylko przyczyna sprawiała, że zazwyczaj pierworodzone osobistości dla miłego spokoju bywały dezygnowane. Ilekroć zaszły takie wypadki, że pomimo wszystkich szans, z samej już natury rzeczy służących pierworodzonym, udało się pochwycić władzę nie im, lecz innym, wcale nawet nie będącym niekiedy dziećmi ostatniego panującego: to ci szczęśliwsi albo zmyślniejsi uważani byli w narodzie za równie prawowitych monarchów, jak każdy z ich poprzedników. Brak primogenitury nie czynił tedy żadnej ujmy ich powadze królewskiej — byleby tylko pochodzili z dynastyi.

W takim to stanie rzeczy żył nasz Bolesław. Pojęć dzisiejszych o naturze władzy monarszej nie było mu skąd zaczerpnąć. Nie dostarczała ich ani starożytność ani współczesność — ani prawo świeckie ani kościelne. W starym testamencie i opartej na jego duchu Judei starożytnej, górował ponad wszystkiem pierwiastek teokratyczny. Tam sama już zasada monarchizmu zaledwie potrafiła zdobyć sobie uznanie, a starszeństwo jako podstawa teoryi rządowej, zostawało prawie systematycznie w upośledzeniu. Predylekcya niebios skłaniała się tam najczęściej ku młodszym: już Abel gorszy był od Kaima, a i później myśl ta nie przestaje nurtować; boć ani Izaak, ani Jakób, ani Juda, ani Dawid, ani nawet Salomon nie byli ojców swoich najstarszymi synami. Z tego więc wzoru nie można było Bolesławowi korzystać. Imperatorowie rzymscy nie nadawali się także. Ich władza, w rzeczy wynikająca z gwałtu, rzekomo opierała się na zamianowaniu przez senat i tylko ta sankcya senatu stanowiła dotykalne prawowładności ich znamię. Prawowitości tej nie odmówił im ani Chrystus, a zatem wystarczała ona w czasach swoich zupełnie. Panował wprawdzie i w tem

cesarstwie nieraz syn po ojcu, lecz nie w skutek dziedziczności tronu rzymskiego jako zasady — o pierworodztwie zaś i jego prerogatywach ani tu mówić nie można. W średnich wiekach — obydwie najwyższe władze wynikały z elekcyi. Ani papieże przeto ani cesarzowie niemieccy nie mogli poddać idei, której tu wzoru poszukujemy, nikomu w wieku XII. W innych państwach, jak się wyżej już powiedziało, nawet zarody tej idei podlegały zagmatwaniu chaotycznemu. W jednej Francyi tylko zaczynała się dopiero zasada primogenitury zwolna przecierać, a to w tej formie, że królowie tego narodu dla uniknienia zaburzeń, częstokroć jeszcze za życia swego synów swoich najstarszych kazali na następców swoich obierać. Ale z tym krajem nie miała Polska ówczesna żadnych bliższych styczności, a gdzieindziej tego nie było. Dość np. rzucić okiem na szereg królów węgierskich z owej epoki, by się przeświadczyć, że daleko częściej tam następowali bracia po braciach, niż synowie po ojcach. W domu książąt austryackich, Habsburgów, jeszcze w wieku XIV i XV były wydawane ustawy domowe *(Hausgesetz)*, które się takiejże zasady Senioratu trzymały, jak ją Bolesław III Polsce zalecił. A w Anglii, tym narodzie tak dzisiaj na wskróś przesiąkłym ideami monarchiczności w jej najnormalniejszym okazie, panował aż do XV wieku stan rzeczy taki, że na dziewięciu w ogóle panujących począwszy od Wilhelma Zdobywcy w w. XI aż do Tudorów, dziesięciu królów, a zatem większa połowa, przyszła do władzy z zdeptaniem zasady pierworodztwa monarchicznego. Wilhelm I, Wilhelm II, Henryk I, Stefan, Jan, Henryk IV, Henryk V, Henryk VI, Ryszard III i Henryk VII byli to albo młodsi bracia niedopuszczonych do tronu (lub też z niego strąconych) braci starszych, albo ich jeszcze dalsi krewniacy, albo zgoła dopiero założyciele (i to tylko na mocy oręża) nowej dynastyi. Pomimo tego rządzili oni przecież w oczach swojego narodu tak pra-

wowicie, jak owi dziewięciu, których tu nie wymieniłem. Teorya primogenitury pojawiła się w Anglii jako zasada, i to jako zrazu zbijana i wyśmiewana zasada, dopiero za Stuartów w wieku XVII. A otrzymała urzędowe uznanie nie prędzej, jak w r. 1689.

W naszym kraju do bezwarunkowego uznania tej zasady jak wiadomo nawet później nigdy nie przyszło.

Krótkie a nieszczęśliwe panowanie Władysława II (1138—1146) zamyka ten okres dziejowy.

Idea antymonarchiczna z dawien dawna nurtowała w tem społeczeństwie. Już przy upadku Bolesława Śmiałego poznała ona swoję siłę. Pod rządami jego brata nieraz dyktowała prawa rządowi. Krzywousty trzymał ją ręką potężną w karbach, przez lat bez mała 40. Właśnie sama ta tak przeciągła już długość czasu, przez który pozostawała idea owa bezczynną, pod jednym i tymsamym ciągle rozkazem, pokonywana prądami, zbawczymi dla dobra państwa, lecz niedogodnymi dla jednostek i nie rymującymi ze słowiańską tradycyą, spotęgowała prężność tej tak żywotnej dążności. Natura ludzka lubi zmiany i chętnie porzuca tory, które jej już spowszedniały. Składając zwłoki wielkiego władcy do grobu, zroszono grób ten może łzami wdzięczności i przywiązania, ale zapragnięto odświeżonego powietrza, nowych haseł i »lepszych czasów«.

Władysław II nie podzielał tego usposobienia. Chciał rządzić na warunkach, jakie mu przekazano. W takito sposób mogło przyjść ostatecznie już w ósmym najdalej roku po zgonie Bolesława III do przewrotu, trzeciego z kolei w dziejach tego narodu, z tychsamych pobudek, co za pierwszym (1037) i drugim razem (1079) — tylko że ten trzeci przewrot był niestety fatalniejszy w następstwach.

Jakie były najbliższe powody i jaki w szczegółach przebieg tego ruchu, który potężne aż dotąd państwo w zlep ziem i województw przemienił? to pozostanie tajemnicą dziejową. Nawet nad chronologią tego wypadku trzeba sobie głowę dopiero łamać. Możnowładztwo polskie, tak wymowne w innych razach, nie lubiło się spowiadać z uczynków, przy obronie których choć stało murem nawet i po ich spełnieniu, to widocznie jednak z poczuciem, że nie miało się z czem chwalić przed potomnością. Historyografia z dziwną solidarnością hołdowała w takich razach niewolniczo opinii publicznej. Tylko chyba niedyskrecyi pojedynczych nieostrożnych, zresztą oddanych im głosów, i ostatnim ocalonym strzępom kancelaryjnej działalności dworów postronnych, zawdzięczamy te szczupłe wiadomości o tem, w których posiadaniu jesteśmy.

Zdaje się, że zamęt w głowach od tego się zaczął, że się Władysław podatków i z tych dzielnic domagał, które przeszły w zawiadowanie bezpośrednie jego braci [1]). Może chodziło o jakąś tylko część danin tym książętom świadczonych, może Władysław nałożył na te ziemie dla siebie nowe jakieś ciężary. Jeżeli Polska miała i nadal pozostać państwem europejskiego znaczenia; jeżeli mianowicie miał się dokonać plan zakreślony i rozpoczęty przez jego ojca co do zaodrzańskich plemion, o których losie już w lat dwadzieścia i kilka potem rozstrzygnąć miały obce polityczne potęgi [2]): to rozumie się samo przez się, że zadania tego nie mógł spełnić ani sam postawiony nad ościenną Słowianom tym Wielkopolską Mieczysław, ani nawet i najstarszy brat jego, gdyby miał być pozostawiony

[1]) Ten szczegół pozytywnie podaje Baszko (»Mon. Pol.« T. II str. 519). Kadłubek bardzo dyplomatycznie trzyma się w ogólnikach samych, by nie wypuścić z ust czego niepotrzebnego.

[2]) Upadek narodowy plemion słowiańskich między Elbą a Odrą jak wiadomo zaszedł między r. 1164 a 1168. Przeszły pod panowanie Niemiec i Danii.

przy własnych tylko swoich szląsko-krakowskich zasobach. Sprawę tę mógł przeprowadzić jedynie cały naród, zbiorowemi siłami. Z tego punktu widzenia na rzeczy patrząc, trudno zaprzeczyć Władysławowi słusznego prawa do owych należytości monarszych, jakich wtedy od całego polskiego kraju zażądał. Tych danin odmówiono mu w Henrykowej i Bolesławowej dzielnicy, t. j. w Sandomirskiem, w Mazowszu i Kujawach (r. 1140). Poszły za tem represalia: zajęcie stolic księstw owych przez załogi »wielkiego księcia«. Za plecami książąt swoich jednak stała w tym wypadku, jak się samo rozumie, cała (że tu użyję tego późniejszego wyrazu) szlachta i nieszlachta tych dzielnic: płacić podatki dwom panom — rzecz to nie zbyt ponętna. Łączył więc z nimi każdego jego własny materyalny interes. Tak wszczął się rozruch, szał, opór przeciw centralnemu rządowi, a wreszcie wojna domowa w tej części państwa. Zgniecenie tej opozycyi zależało ostatecznie od zachowania się dostojników, otaczających tron. Otóż ci nie widzieli w tem żadnej dla siebie korzyści, żeby i tym jeszcze razem tryumfowała wola górująca nad ich głowami. Najwyższy urzędnik państwa, *princeps militiae* i palatyn Wszebor, oświadczył się za stroną słabszą — odpadł do przeciwnego obozu. W tymże zapewne już czasie, albo mało co później porzucił stronę Władysława i ów największy z magnatów całego państwa, krewniak przez żonę, ruską księżniczkę, domu panującego, Piotr Włostowicz, pod niewłaściwą nazwą Duńczyka w kronikach naszych słynący, którego główne majętności leżały właśnie na Szląsku, a zatem w bezpośredniej Władysławowej dzielnicy. Łatwo sobie wyobrazić, jaki wyłom w rządowych zastępach sprawić musiał ten krok tak wpływowych i potężnych osobistości. Walna bitwa nad Pilicą przechyliła szale zwycięstwa — na korzyść anarchii. Władysław ujrzał się w konieczności zaciągnięcia posiłków postronnych, gdzie je mógł zna-

leść. Smutna to zapewne ostateczność dla panujących, tłumić ruch narodowy zagranicznem żołnierstwem: bywają wszelako chwile, gdzie i tego sprawa dobra pospolitego wymaga. I Bolesław Krzywousty w r. 1108 przy pomocy dopiero ruskich i węgierskich posiłków zgnieść potrafił Zbigniewa wraz z całym jego — także »narodowym« zastępem... Skąd wziął Władysław wtedy te siły zaciężne? powiedzieć niełatwo. Historya mówi o ruskiej pomocy i jakichciś »Saracenach«. Przez ostatnich chyba Jadźwingów albo Połowców rozumieć musimy, boć innych pogan (takie tylko tu miał znaczenie ten wyraz) nie było wtedy pod ręką, a i tej dziczy ościennej garstka nie mogła zbyt wiele znaczyć. Rusini kijowscy, może rzeczywiście go wspomagali (Wsewołod Olegowic, wielki książę kijowski, przyrzekł córkę Zwinisławę w r. 1142 synowi naszego Władysława, Bolesławowi Wysokiemu w małżeństwo [1]). O zaciągach węgierskich myśleć tu nie można (Mieczysław miał węgierkę, siostrę panującego od 1141—1161 Gejzy).

Przy tych zasobach, poprawiło się powodzenie rządowe — wszystkie znaczniejsze grody dostały się w moc książęcą: wtedy przystępuje do sprawy prawie zachwianej — zmyślny, przezorny, dotąd biernie się zachowujący Mieczysław. Rebelanci gromadzą się do Wielkiej Polski, zamykają w Poznaniu — poczyna się oblężenie tego miasta. Wśród tegoto oblężenia wyrzekła nareszcie słowo swoje, rozstrzygające u nas od tej już pory o wszystkiem — hierarchia. Jej głowa, Jakób z Żnina, arcybiskup gnieźnieński, choć człowiek pospolitego rodu i już nad grobem stojący starzec († 1145), osobiście do namiotu Władysława przybywszy, kiedy go nie mógł prośbą ni groźbą nakłonić do ustępstw na rzecz sprzysiężonej tej przeciwko tronowi roty: jak

---

[1]) Kronika kijowska w Hipatyjskim kodeksie mówi pod r. 1142 o posiłkach, Władysławowi przeciw braciom jego dostarczonych przez tego kijowskiego książęcia.

drugi Stanisław św. rzuca klątwę kościelną na księcia i na jego małżonkę (1145). Pretekstem do klątwy — ta okoliczność, że Władysław na kraj swój chrześcijański naprowadził »saraceńską« chałastrę. W tym sensie poszły na niego skargi i przed papieża... Łatwiej im było zaiste miotać te gromy kościelne na bezbronnego wobec takiej broni człowieka, niż iść czasu swego nawrócić bałwochwalcze Pomorze albo właśnie i tych barbarzyńców ościennych, których pogaństwo, chrztem głównie z ich winy dotąd nie zmyte, tak im teraz wadziło!... Wkrótce po wyrzeczeniu tej klątwy przypadła krwawa porażka pod Poznaniem, zrządzona w skutek niespodzianej z tej warowni wycieczki. A potem... nastąpił zwrot już powszechny opinii w kraju przeciwko władzy centralnej — nawet w Szląsku i krakowskich obszarach [1]).

Do tego zwrotu w usposobieniu całego społeczeństwa — prócz klątwy i porażki poznańskiej — przyczyniły się na dobitek i tradycyjne sztuczne sposoby tumanienia umysłów.

Dostarczało wątku do tych plotek i potwarzy w kurs po całym kraju puszczanych, najprzód »niesłychane barbarzyństwo« chłepcących krew ludzką »Sa-

[1]) Chronologia tych wszystkich zdarzeń, jak się już powiedziało, niepewna i różnie przez różnych podawana. Nieukontentowanie w kraju z dążności naczelnej władzy i podejrzywanie, że się ona do ostateczności posunie, rozwinęło się było jeszcze r. 1140 i zjazd łęczycki, w końcu tego roku albo w początku następnego odbyty, właśnie z tejto przyczyny pewnie przyszedł do skutku. Byli na nim *„primates regni“*, tłum rycerstwa, Bolesław Kędzierzawy i Mieczysław, z żonami swemi, i matka ich Salome. Wielki książę nie był obecny wtedy w Łęczycy; lecz wspominano tam już o nim jako nieżyczliwym młodszemu rodzeństwu. (Ortlieba Zwifalt. kronika, »Mon. Pol.« T. II str. 4). — Oblężenie miasta Poznania przypada niezawodnie na rok 1145. Dowodzi tego to, że arcybiskup gnieźnieński Jakób z Żnina zakończył życie już w tym roku lub samym początku 1146; a zatem później, jak roku owego, być to nie mogło.

racenów« do Polski ściągniętych. Potem niegodziwość żony książęcej, która poczciwego zresztą męża swojego *(princeps humanissimus)* na wszystko złe namówiła [1]). Nakoniec już bezprzykładne okrucieństwo, z jakiem się książę i księżna obeszli z Piotrem »Duńczykiem«. Na ichto rozkaz, podstępnie w Wrocławiu dopadnięty (1145?) fundator ten »70 kościołów«, nie tylko został niewinnie pozbawion wzroku, ale nawet język mu wykrojono! Miało to wszystko być popełnione tylko w skutek prywatnej osobistej zemsty i nienawiści tej z piekła rodem kobiety [2]).

---

[1]) Reputacya księżnej Agnieszki w r. 1145 (na któryto rok podług roczników przypadają przypisywane jej zbrodnie) okazuje się jednak jeszcze bardzo korzystną w porównaniu z tem, co w XV wieku Długosz o niej popisał. I tutaj śledzić można stopniowy w ciągu wieków rozwój tego zniesławienia niewinnej i szlachetnej kobiety. U Kadłubka figuruje ta księżna tylko jako chciwa władzy i potęgi »tygrysica«, która umysłem przywiązanego do niej męża owładła. U Baszka (więc w sto lat później) zaczyna ona już i nienawidzieć wszystkiego, co polskie... Długosz, który ani jej rzeczywistego imienia, ni pochodzenia familijnego, ni wieku nie zna, który o czasie jej przybycia do Polski i ślubie właśnie tyle baśni popełnił, ile szczegółów o tem udzielił: skreślił jej charakterystykę z takiemi malowniczemi już dokładnościami, a tak złośliwie, że widać z tego, jak w tej mierze w ciągu tych kilku wieków nie próżnowała wyobraźnia pokoleń, spychająca winę kowala — na ślusarza.

[2]) Bajka o oślepieniu i urznięciu języka Piotrowi Włostowi, po całej Polsce w r. 1145 tak rozszerzona, że i polskie roczniki i nawet zagraniczne źródła dziejowe pod tym rokiem to zapisały (np. Hypatyjski zwód kronik), należy znowu do jedynych w swoim rodzaju sztuczek. Dziwić się prawdziwie należy, że i tak metodyczny historyk, jak Dr. Grünhagen (w artykule *Die Vertreibung Wladislaws II und die Blendung Peter Wlasts*, zamieszczonym w T. XII Czasopisma Towarzystwa wrocł. *für Geschichte und Alterthum Schlesiens)* w baśń tę uwierzył, gmatwa nią przebieg dziejowy i sili się na domysły, kiedy i dlaczego się to okrucieństwo stało. Niezawodnie były wprawdzie jakieś zajścia między tym magnatem a Władysławem; może go nawet książę i uwięzić rozkazał. Lecz że mu przy tem włos z głowy nie spadł, to pewna. Jest

Pod brzemieniem takich zarzutów potrafił znienawidzony monarcha dociągnąć pobyt swój w kraju tylko do r. 1146. W pierwszym lub drugim już tego roku miesiącu ujrzał się w konieczności ustąpić z Polski. Opuszczał ją w przekonaniu, że pomoc krewnych przywiedzie go wkrótce do niej napowrót: miał bowiem jednego szwagra na czeskim tronie (Władysław II od

---

do dziś dnia zachowany list biskupa krakowskiego Mateusza i tego właśnie komesa Piotra, około r. 1150 pisany do św. Bernarda (»Mon. Pol.« T. II str. 15), w którym go — z kościelnych pobudek — obydwaj proszą, aby przybył do Polski. — Czyż człowiek niemy i ślepy, a zatem co się zowie *caput mortuum*, byłby stosownym towarzyszem dla tego biskupa do pisania podobnych listów i do wysyłania takich zaprosin? Zresztą wszakże już tesame kroniki, które o tem okaleczeniu Piotra donoszą (Baszko w końcu XIII wieku, Długosz i t. d.), same dodają, że przez szczególną łaskę Pana Boga odzyskał ten pobożny człowiek później cudownie i wzrok i mowę. (»Mon. Pol. T. II str. 520. Długosza Hist. T. II str. 14). Oczywiście jeżeli kto, to taki wichrzyciel na tę łaskę nie zasługiwał. Cud zrobili dopiero ci, co tego potrzebowali! Pogłoska takiego kalectwa niezawodnie w r. 1145 musiała być w obieg puszczona. Później jednak żył zdrów i broił językiem ten możnowładca aż do samej śmierci swojej († 1153). Więc trzeba było tę sprzeczność jakoś załatać...

Kiedy weszła ta cała bajka w dziejowość? Kadłubek, o lat tylko kilkadziesiąt późniejszy od tego Piotra, rozumnie milczy jeszcze o wszystkiem. Ten historyk przecież lepiej, niż późniejsi, musiał być powiadomiony o tych potwarzach; a skoro nie zrobił z nich użytku, więc wiedział, że to bezsensa niegodne powtórzenia. Dopiero pod sam koniec XII w. wylągł się, prawdopodobnie w wrocławskim klasztorze św. Wincentego, założonym przez tego Piotra Włosta, jakiś utwór łaciński, podobno poemat (*„carmen Mauri“, „rithmico contextu descripta tragoedia“*), o przygodaeh i cierpieniach tego magnata. Musiało to być zlatynizowanie obnoszonej i wtedy jeszcze po jarmarkach i odpustach klechdy dziadowskiej, zapoczątkowanej w latach 1145 i nast. Bo inaczej trudno pojąć, żeby ktoś z ludzi uczonych, duchowny, niewciągnięty w wir stronnictw, żyjący pod władzą syna potwarzanego tu księcia i księżnej, któryto syn ich najstarszy (Bolesław Wysoki), równie jak i tegoż syn Henryk, miał mir powszechny w swoim kraju — żeby mówię ktoś taki z własnej inwencyi komponował robotę, tak namiętnie

r. 1140 książę czeski miał za sobą rodzoną Agnieszki siostrę Giertrudę), a drugi był cesarzem niemieckim. Dlatego sam tylko z domu ujechał, zostawiając młodą żonę z drobnemi dziećmi w Krakowie, warownie zamkniętym. Zaraz jednak po jego wyjeździe uderzono na tę stolicę, zdobyto ją i splądrowano. Rodzina książęca musiała pójść w tropy wygnańca [1]).

---

a kłamliwie zniesławiającą rodziców tego księcia, dla zwykłego tylko celu i popisu literackiego. W jakiś czas potem zjawiła się w Polsce i druga łacińska przeróbka owej bajdy (*„Gesta Piotrkonis“*). Obydwa te piśmidła nie przeszły do czasów naszych, lecz zostały spożytkowane przez dalsze kroniki. Mianowicie *„Carmen Mauri“* dostarczyło materyi Kronice szląskiej (starszej) w kilku tejże ustępach odnośnych, a *„Gesta Piotrkonis“* Kronice Baszka. Obie te wersye w głównej rzeczy widać że były z sobą zgodne, nie brakło im jednak i na znamiennych różnicach w szczegółowem przeprowadzeniu. — Baszko kończąc swą dygresyę o komesie Piotrze (»Mon. Pol.« II 521), odsyła czytelnika do źródła, z którego czerpał; wyraża się tu *„Piotrkonis gesta, quae per se scripta habentur“*. Chciał on przez to *„per se scripta“* wyrazić, że pismo to tworzyło utwór odrębny, całość dla siebie. Do niedawna niektórzy wszelako inaczej to rozumieli, mianowicie że to była autobiografia tego magnata, pamiętnik przez niego *(per se)* pisany. A w takim razie wszystkie ambaje zawarte w tych *Gesta* miały tem bardziej zasługiwać na wiarę, że pochodziły z pióra samego bohatera tych przygód. Ja na to tylko tyle odpowiadam, że Piotr Włostowicz albo rzeczywiście wzrok i język postradał — albo ich nie postradał. W pierwszym razie, nie byłby on wcale w stanie pamiętników ani pisać ani dyktować — w drugim razie, nie byłby przecież znowu śmiał sam tak wierutnie o sobie kłamać. (O »odprawie« danej mi na to powiedzenie moje, mianowicie że może mu tylko kawałek języka ucięto, więc mógł dyktować — najlepiej będzie sąd pozostawić czytelnikowi).

[1]) Odnosimy ucieczkę Władysława, a potem i jego rodziny z Polski, jako też to spustoszenie Krakowa, do roku 1146, najprzód na podstawie zapisanych pod tymto rokiem wypadków tych w kapitulnym krak. i drugim »krakowskim« roczniku, danym w »Monum. Pol.« II 833 obok t. zw. rocznika Traski; powtóre przyjmujemy tę chronologię z tego powodu, że Otto Frisingeński, szwagier Władysława naszego, wspomina pod koniec swojej kroniki o trwającej i nierozstrzygniętej jeszcze *„miserabilis*

Ujęcie się władzy kościelnej za młodszą bracią wygnańca nie pozostało bez natychmiastowej nagrody. Poznańskiej katedrze przypadł Lusów zaraz po odniesieniu zwycięstwa pod Poznaniem. W kilkadziesiąt tygodni później powstaje opactwo Cystersów w Lędzie: jedno i drugie akt Mieszka. Na klasztor Trzemeszyński zlewa się w tymże r. 1146 cała powódź ziemskich nadań. (Kwieciszewo, Waśniów, Zbar itd. z daru książęcej rodziny — długi szereg innych włości od panów, którzy sprawili ten przewrot i uwiecznili swoje imiona w aktach klasztoru [1]). O podobnych dobrodziejstwach, poza WPolską wyświadczonych wtedy kościołom, nie zachowała się pamięć. Bawiący w Polsce w lutym i marcu tego r. 1146 legat papieski kardynał Humbald, ujęty tym tak powszechnym religijnym zapałem, widocznie stoi po stronie sprawy zwycięskiej [2]). Hierarchia nasza, w przekonaniu że byleby tylko kuć żelazo, póki gorące, to i sam papież pochwali to co się w Polsce stało: posyła do Rzymu skargę na sprawcę wojny domowej wraz z prośbą o zatwierdzenie klątwy na niego rzuconej [3]).

Gdy się to działo, Władysław przez Czechy i Pragę, gdzie był życzliwie wprawdzie, ale bez praktycznego

---

tumultuatio" między polskimi książęty, i mówi o tem wśród wypadków na rok 1145 przed miesiącem wrześniem przypadających.

[1]) Kod. dypl. WPol. N. 8, 12 i 11.

[2]) Widać to z jego dokumentu, co tylko wspomnianego N. 12 z d. 2 marca 1146.

[3]) Arcybiskup Jakób z Żnina już wtedy nie żył. Następcy po nim nie było jeszcze. Ster kościelny zostawał więc w rękach biskupów. Rej między nimi wiedli Mateusz z rodu Cholewa w Krakowie i Jan Świebodzic wrocławski biskup, późniejszy (od r. 1148) arcybiskup gnieźnieński. Rzecz godna zaważenia, że cito dwaj właśnie biskupi są wprowadzeni przez Kadłubka do jego kroniki, gdzie jeden drugiemu opowiada dzieje narodu. Mogliż oni wypadki, w głównej części pod ich wykonane wpływem, inaczej w tej kronice przedstawiać, jak w tem świetle, w którem je tu ukazane widzimy?

skutku przyjęty, podążył na dwór cesarza. Konrad III, choć zatrudniony własnymi kłopotami, postanowił spróbować, coby się dało uczynić dla niego. W wrześniu r. 1146 przyszło do wyprawy zbrojnej na Polskę, skończyła się jednak na niczem. Wojsko niemieckie dotarło tylko do Odry. Kiedy widziano, że ta groźba nie sprawiła w Polsce oczekiwanego wrażenia, zaniechano dalszych kroków wojennych. Rzecz wtedy poszła na drogę dyplomatyczną. Życzono sobie, żeby papież tę sprawę wziął w swoje ręce. Na wysłane doń przez cesarza w tym kierunku orędzie, przyszła w początku roku już 1147 od Eugeniusza III odpowiedź, że kurya oczekuje od książęcia polskiego w ciągu wielkiego postu poselstwa, któreby odpowiedziało na zaniesione na niego użalenia; a wtedy zapadnie wyrok odpowiedni sprawiedliwości [1]). — Tymczasem jednak wzięły rzeczy zaraz potem całkiem inny obrót. Cesarz powziął zamiar wziąć udział w wojnie krzyżowej, drugiej z porządku, która przypadła na lata 1147—1149. Około Zielonych świąt wyruszył z kraju. Władysław, który o ile wnosić należy, zaniechał wysłać swych przedstawicieli do Rzymu w czasie oznaczonym, towarzyszył mu w tej wyprawie. Tak się stało, że w ciągu tego r. 1147, zaocznie stolica apostolska zatwierdziła wiadomą klątwę [2]). Na remonstrancye przeciw temu ze strony kuryi cesarskiej, przychylił się papież w roku następnym do życzenia, żeby tę sprawę wziąć ponownie pod rozpoznanie. Oznajmia w kwietniu (1148), że

---

[1]) Ten list Eugeniusza z d. 31 grudnia (1146) do Konrada III mamy zamieszczony w całości w tomie II »Mon. Pol.« str. 8. Data tu dana (r. 1144) jednak, dołożona z domysłu, jest mylna.

[2]) Wynika to z listu pod koniec r. 1147 do papieża pisanego przez syna i zastępcę cesarza, przez młodego Henryka, w którym prosi o sprawiedliwość dla swej ciotki, z państwa swego wydalonej i przyciśniętej papieską exkomuniką. Mamy ten list w Jaffego »Biblioth. rerum Germ.« I N. 68, i w »Monum. Pol.« II str. 11.

wyśle specyalnie w tym celu na miejsce do Polski swego legata. Spełnienie tej obietnicy nastąpiło dopiero w wrześniu. Godność przedstawiciela stolicy Kościoła w tej kwestyi otrzymał kardynał Gwido, a był mu do pomocy dodany i biskup morawski Henryk. Spędzili w kraju naszym kilka miesięcy zimowych (1148/49), i tym razem ścisłe zbadanie zatargów taki wydało wynik, że całe to przeciwne Władysławowi stronnictwo, książęta, biskupi i panowie, uroczyście zawezwani zostali do posłuszeństwa i pojednania się z prawowitym monarchą. Lecz ten wyrok trafił na niewzruszony opór. Odpowiedziano, że mu się nie poddają, gdyż orzeczenie legata, to nie papieski dekret! Oznajmienie, że ten wyrok właśnie z ramienia stolicy apostolskiej zapadł, nic nie pomogło. Wtedy Gwido na rząd, kler i kraj polski rzucił klątwę w imieniu Eugeniusza III, który niezwłocznie (1149) onę potwierdził, a Władysława od wydanego nań interdyktu poznańskiego uwolnił [1]).

Wszystko to jednak nie wydało żadnego skutku. Nadaremnie ojciec św. jeszcze raz i to w własnej już swojej osobie, biskupów polskich surowym listem (z dnia 23 stycznia 1150) skarcił za te wybiegi i czyniąc arcybiskupa odpowiedzialnym za wszystko, do posłuszeństwa wydanemu nakazowi zawezwał [2]). Nadaremnie przypominał cesarzowi legat papieski, że tu pora i konieczność, żeby się świecka siła upomniała o to lekceważenie woli najwyższej władzy Kościoła. Konrad III

---

[1]) Cały ten przebieg zdarzeń wynika z źródeł, danych u Jaffego pod Nr. 80, 184, 225. Te i inne jeszcze tu należne listy zawiera tom II »Mon. Pol.« str. 12, 9 (z mylną datą r. 1146 zamiast 1149 i 1148), dalej str. 10 w nocie ustęp II, i str. 17. Kod. dypl. WPol. Nr. 14 i 13 (oba z datą mylną), i N. 17.

[2]) »Mon. Pol.« II str. 17. »Kod. dypl. WPol.« N. 16. — Warto tu zauważyć, że o tych wszystkich wkroczeniach stolicy apostolskiej w zajścia powyższe zachowuje nasza dawniejsza historyografia za przykładem Kadłubka jak najgłębsze znowu milczenie. Tak to wszędzie tu jeden i tensam system.

nosił się wprawdzie i w r. 1149 i w następnym z myślą wykonania tego mandatu, ale — »jeżeli okoliczności na to pozwolą«, jeżeli da się to przeprzeć *absque armis*, bez wyruszenia w pole [1]). I wyczekiwał tej sposobności aż do r. 1152, w którym życie zakończył. — W 7 lat później (1159) umarł Władysław, na wygnaniu.

Tak więc młodsi synowie Krzywoustego, a raczej stojące za nimi możnowładztwo, świeckie i duchowne, ostatecznie postawiło na swojem. Dali dowód wielkiej odwagi, poświęcili sumienia swoje »dla miłości ojczyzny«. Ale to nie była miłość ojczyzny. Był to ich własny polityczny interes, ubrany w pozory dobra pospolitego. Ściągnął na kraj poniżenie władzy — i klęski, których po 174 latach nieładu ani koronacya Łokietka powetować nie potrafiła. Utrata Szląska, ziemi Lubuskiej, wszystkich tych dalszych okolic kresowych, z których sąsiad brandeburski sobie t. zw. Nową-marchię utworzył, odpadek zachodniego a nawet i gdańskiego Pomorza, ofiara ziemi Chełmińskiej, i na dobitek wpust Krzyżaków do kraju — niemieckość miast, upadek rodowitego ludu: oto cena zapłacona za owe wszystkie wolności, w posiadanie których klasy uprzywilejowane kosztem władzy monarszej weszły w ciągu tych bez mała dwóch wieków, dzięki przewrotowi owemu.

---

[1]) »Mon. Pol.« II str. 14, na str. 10 w nocie punkt III, i str. 18. U Jaffego N. 182, 186 i 226.

JESZCZE W SPRAWIE TESTAMENTU

BOLESŁAWA KRZYWOUSTEGO.

W pięć lat po ogłoszeniu powyższych moich uwag o znaczeniu przedśmiertnego postanowienia czyli jakem je nazwał, Testamentu Bolesława III w przedmiocie podziału kraju między synów, pojawiła się rozprawa Dra Maksymiliana Kanteckiego p. t. *„Das Testament des Boleslaus Schiefmund. Seniorat und Primogenitur in Polen“. Posen* 1880. Przedstawił w niej autor całkiem inne na rzecz zapatrywanie, w obec którego upadało to wszystko, com ja o tem napisał. Nie byłbym wtedy jednak na nowo podejmował tej sprawy, gdyby ta publikacya młodego uczonego nie była z pewnej poważnej strony w ogłoszonej recenzyi doznała zupełnej aprobaty. To tylko mnie wtedy skłoniło do odpowiedzi. Ponieważ są w niej rzeczy, które uzupełniają wywód mój z r. 1875 i nie są może i dziś jeszcze obojętne dla kwestyi, przeto zamieszczam tu tę moją replikę tak jak była drukowana w »Przewodniku literacko-naukowym« z r. 1881, zeszyt styczniowy.

Do napisania swej rozprawy »O testamencie Bolesława Krzywoustego« nie byłby autor zapewne wcale przystąpił, gdyby był pewne miejsce w kronice Kadłubka należycie, to jest w duchu tego kronikarza rozumiał. Niejasność, a może raczej tylko krótkość zbyteczna owego miejsca, spowodowała pana Kanteckiego do podłożenia mu znaczenia, o jakiem Kadłubek wcale

nie myślał. Z tego wynikła cała prawno-polityczna teorya, z jaką autor tu występuje jako nową a jedynie trafną, i ze stanowiska której chce tłómaczyć nie tylko to wszystko, co w Polsce zaszło po zgonie Bolesława Krzywoustego, ale i co się w niej działo przed jego na tron wstąpieniem. Teorya ta rzeczywiście jest nową, lecz zdaniem mojem nie wytrzymuje krytyki.

Miejscem, o którem mówimy, jest kilka zdań danych w „*Monumentach Poloniae*“ na str. 363, t. II. Opowiada tam kronikarz, że Krzywousty widząc przed sobą śmierć bliską, kazał pisać testament. »W którymto akcie i cnoty dziadów kolejne i królestwa swego spadek czterem synom przekazuje, określając czterech księstw poszczególnych (nadanych owym synom) granice, w ten sposób, ażeby przy starszym i rząd nad prowincyą krakowską zostawał i zwierzchnictwo wielkoksiążęce (nad całą resztą kraju i braćmi). A jakby się temu synowi wydarzyło co ludzkiego (czyli: a po zgonie tego najstarszego z synów), ma zawsze spory o następstwo na tron rozstrzygać starszeństwo i wzgląd na primogeniturę«. (*De quo si quid humanitus obtigisset, semper aetatis maioritas et primogenitorae ratio litem successionis decideret).* A więc: każdy z czterech synów Krzywoustego otrzymuje tu pewną przydzieloną sobie część kraju jako księstwo cząstkowe. Najstarszemu między nimi, t. j. Władysławowi, przypada oprócz tego jeszcze i księstwo krakowskie, z przywiązanem raz na zawsze do tego krakowskiego księstwa zwierzchnictwem monarszem nad całą Polską. Po śmierci zaś Władysława, a taksamo i po zgonie każdego dalszego jego następcy, ma jego miejsce, t. j. rząd nad Krakowem wraz z monarszem zwierzchnictwem nad drugimi braćmi i wszystkimi krewnymi, otrzymywać zawsze ten, który będzie miał w owej chwili po swojej stronie te dwa tytuły do władzy: 1. starszeństwo i 2. pierwszeństwo na mocy primogenitury. — Otóż właśnie te ostatnie wyrazy są ciemne: bo jedno

obok drugiego albo jest (a raczej zdaje się być) zbytecznem i niepotrzebnem, albo wręcz jedno drugie wyklucza. Jeżeli bowiem miał następować zawsze na tron *primogenitus*, to na cóż było dodawać »starszy« *(major natu)*? Primogenitus zawsze jest *eo ipso* i starszy! A jeżeli przeciwnie stanowić o tem miało względne starszeństwo (w obrębie całej rodziny): to najczęściej mogło być tak, że ten lub ów, choć starszy od wszystkich innych krewnych, będących w owej chwili przy życiu, nie był jednak ojca swego synem pierworodzonym. Brak w nim tedy primogenitury mógł go praw do tronu pozbawiać, pomimo jego starszeństwa wiekiem. W takim zaś razie niewiadomo, kogoby ten testament Krzywoustego chciał mieć w przyszłości panem Krakowa i zwierzchnikiem nad drugimi książęty.

Dotychczas miejsce powyższe w Kadłubku tak zawsze pojmowano, że Krzywousty przekazał godność naczelną w narodzie każdoczesnemu najstarszemu wiekiem w całej rodzinie książęcej (bez względu na to, czy tenże był bratem, czy synem, czy jakim innym krewnym ostatniego panującego). Tem orzeczeniem podniesiony zatem został na wysokość zasady, jedynie decydować odtąd mającej o sukcesyi tronu, tak zwany *Seniorat*. Ta zasada senioratu nie była wprawdzie bynajmniej dopiero Krzywoustego pomysłem. Praktykowała się ona bowiem i w Polsce i w innych słowiańskich krajach i w dalszym świecie bardzo często i przedtem, i to od niepamiętnych już czasów. Jednakże w tamtoczesnych niepewnych, to jest nie ujętych w stałe prawne formy okolicznościach, przychodziły do zastosowania w państwach rzeczonych nieraz i inne zasady, n. p. pierwszeństwo s y n a ostatniego panującego (jeżeli tenże go pozostawiał w sile już wieku) przed jego stryjami, choć ci byli starsi wiekiem od niego — zatem właśnie zasada primogenitury; albo wzgląd na czyją największą d z i e l n o ś ć z pomiędzy wszystkich członków dynastyi, bez względu na jego wiek i stopień

krewieństwa, o którejto dzielności orzekał znowu albo schodzący z świata poprzedni monarcha (a zatem d e z y g n a c y a z góry), albo niekiedy podwładni, dostojnicy itp. (więc w y b ó r z dołu, choć to zrazu mniej często się zdarzało). Primogenitura, seniorat, dezygnacya, elekcya, dodajmy do tego nareszcie i uzurpacya — wszystko to były zatem zasady, praktykowane jedna obok drugiej wedle chwilowych okoliczności w pierwotnej epoce słowiańskich i niesłowiańskich państw, a także i w Polsce. A Krzywoustego zasługą i właściwą innowacyą w jego testamencie to tylko było, że 1. usuwając ów zamęt, raz na zawsze postawił, jako jedynie odtąd rozstrzygać mającą, zasadę względnego starszeństwa czyli t. zw. seniorat *(majoritas natu)*; powtóre, że przysądził naczelnemu w Polsce monarsze czyli takiemu najstarszemu wiekiem, jako stałą atrybucyę jego monarszego zwierzchnictwa, bezpośrednią władzę nad księstwem krakowskiem, któreto księstwo w połączeniu z tegoż drugą, t. j. dziedziczną dzielnicą (np. co do Władysława w połączeniu ze Szląskiem) zdawało się dostarczać mu dosyć siły, aby nie tylko moralnie, ale także i fizycznie dzierżył przewagę nad każdym drugim, na swojej spadkowej schedzie siedzącym bratem albo krewniakiem.

Rozumiejąc w powyższy zatem sposób ostatnią wolę Bolesława Krzywoustego i odnośne (powyżej przytoczone) miejsce w Kadłubku ci wszyscy, którzy dotąd o tem pisali, opierali się jak widzimy, przedewszystkiem na owych na pierwszem miejscu położonych wyrazach kronikarza *aetatis majoritas*, a dodane dopiero po nich słowa *et primogenitурae ratio* zostawiali bez żadnego wykładu. Snać mało do tych ostatnich słów przywięzywano znaczenia — czy to z tego powodu, że nie widząc między jednem a drugiem żadnej sprzeczności, te wyrazy z sobą (jak należy) godzić umieli, a tylko nie chcieli się o tej sprawie rozpisywać w najdrobniejszych szczegółach — czy też może, że utykając na po-

zornej między jednem a drugiem sprzeczności, puszczali to „*et primogenitурae ratio*“, jak się to mówi, *per non sunt*, i nie widzieli w tym dodatku nic więcej, jak niezręczny tylko pleonazm, oratorską tautologię pisarza, czy jakąś wreszcie bałamutną konfuzyę, której niewarto podnosić. Ten drugi sposób pojmowania tego miejsca jednakże byłby w każdym razie mylnym. Zauważyć bowiem należy, że wyraził się Kadłubek zupełnie w takisam sposób i w drugiem jeszcze, i to od tamtego dosyć odległem miejscu, t. j. na str. 401 »Monumentów«. Opowiadając tam o uchwałach na synodzie Łęczyckim za Kazimierza Sprawiedliwego zapadłych, a następnie zatwierdzonych przez papieża Aleksandra III, dodaje: że otrzymał przy owej sposobności Kazimierz od rzeczonego papieża potwierdzenie swej władzy nad krakowskiem księstwem, jakkolwiek wobec testamentu Krzywoustego i wobec żyjącego jeszcze wtedy Mieczysława III, starszego brata aniżeli Kazimierz, najzupełniej była nieprawną. Przytaczam tu własne słowa Kadłubka z tego miejsca jego kroniki: „*Cujus (papae) divino oraculo principatus Casimiri confirmatur: ne paterna illi voluntas ullum pariat praejudicium, qua cautum fuerat, ut penes majorem natu principandi resideret auctoritas, et in principatu litem successionis ratio primogenitурae dirimeret*“. Ani więc wątpić, że te dwie, tak od siebie odległe wzmianki, i te dwie w nich obydwóch zawarte klauzule o *majoritas natu* i o *primogenitурae ratio*, musiały rzeczywiście być przez Kadłubka wzięte z jakiegoś aktu urzędowego i nie mogą w żaden sposób być poczytywane za coś tylko przypadkowego, naprzykład za jego tylko floskuły stylu i t. p.

Zdaniem mojem rzecz tę pojmować należy, jak następuje: Testament Krzywoustego zrobiony być musiał piśmiennie, tak iż wyrazy Kadłubka *testamentales mandat conscribi codicillos* (p. 363), brać nam należy w dosłownym sensie. Na wniosek ten naprowadza ta okoliczność, że to jego rozporządzenie zostało zatwier-

dzone przez papieża za jego (Krzywoustego) jeszcze życia, o czem nas powiadamia pismo Innocentego III z r. 1210 do biskupów polskich, orzekające ten fakt jako rzecz wiadomą (Kod. dypl. MPolski N. 6). Ten testament z r. 1138 posłużył następnie kancelaryi Kazimierzowej i w r. 1180 po synodzie łęczyckim do ułożenia stylizacyjnego osnowy owego przywileju, jakiego się ten książę od papieża Aleksandra III wtedy dopraszał, w skutek czego przyszedł też w tychsamych znowu wyrazach i sam ów przywilej z Rzymu, przyznany Kazimierzowi. Kadłubek jeden z tych aktów publicznych, najpewniej ten późniejszy, lecz być może że i obydwa, musiał znać z naocznego widzenia i spożytkował je w swej kronice mniej więcej dosłownie w obydwóch miejscach. Co więc tam daje, ma wszelką wagę nie tylko co do *majoritas natu*, ale i co do *primogeniturae ratio*. Myślą zaś Krzywoustego było pokrótce to: Panującym monarchą Polski ma być każdoczesny właśnie najstarszy w całej rodzinie. Gdyby się jednak kiedy przypadkiem tak rzeczy złożyły, iżby dwaj najstarsi właśnie w całej rodzinie książęta, dajmy na to np. syn zmarłego już wtedy Władysława, i syn którego z jego młodszych braci, także wszystkich już zmarłych, byli między sobą jednego obydwaj wieku: w takim razie ma tę wątpliwość i trudność, tę *lis successionis, dirimerae primogeniturae ratio*, t. j. ten z tych dwóch wtedy rówieników wiekiem do naczelnej przychodzi władzy, za którym przemawia wzgląd na rychlejsze urodzenie czyli na pierworództwo jego ojca, więc wzgląd na primogeniturę linii, z której on idzie.— Ten wykład tego miejsca w Kadłubku zdaje mi się tak prostym, że prawdziwie nie pojmuję, jak w niem kto może upatrywać trudności. Krzywousty postawił w pierwszej linii jako sukcesyjną zasadę: Seniorat. Że zaś ten sprawiać czasem mógłby zawiłość, więc na rozstrzygnienie możliwych w takim wypadku zatargów,

postawił obok tamtej i drugą jeszcze zasadę — seniorat całej linii czyli »Primogeniturę«.

Przystąpmy teraz do dyssertacyi pana Kanteckiego i zobaczmy do jakich on rezultatów na mocy owego w Kadłubku miejsca przychodzi. Zdaniem szanownego autora *aetatis majoritas* i *primogeniturae ratio* mają to być pojęcia wykluczające się wzajemnie, mianowicie *„kann mit dem Ausdruck primogenitura der Begriff der Seniorat serbfolge absolut nicht in Verbindung gebracht werden“* (str. 88). Trzeba się tedy za pierwszem albo za drugiem oświadczyć. Z powodów o których niżej pomówimy osobno, oświadcza się autor nasz jedynie za drugiem. Cały przycisk kładzie zatem na primogeniturze; w położonej zaś u Kadłubka przed tym wyrazem *majoritas natu* widzi wyrażone innemi tylko słowami powtórnie a mniej potrzebnie tosamo pojęcie — boć *primogenitus* (powiada) jest zawsze i *major natu*. I wyprowadza z tego ten wniosek, że owo rozporządzenie Bolesława Krzywoustego usunęło więc seniorat dotąd w Polsce praktykowany, a na jego miejsce stawiło primogeniturę jako jedyną zasadę, na mocy której miała odtąd godność monarsza czyli wielkoksiążęca być nabywaną. Tak więc przydzielone zostało to prawo wtedy Władysławowi i jego linii, jako pierworodzonemu synowi Krzywoustego; po Władysławie znowuż jego najstarszemu synowi itd. W skutek czego wszyscy inni Krzywoustego synowie, nie tylko co do swej własnej osoby, ale i co do dalszego potomstwa swego, zostali raz na zawsze wykluczeni od widoków przyjścia kiedy do władzy zwierzchniczej, a sama tylko linia Władysławowa otrzymała uznanie panującej dynastyi.

To założenie stara się p. Kantecki udowodnić różnymi sposobami mianowicie: anteriorami w dziejach naszych, i innemi miejscami z kronik. Dowody jego tej drugiej kategoryi polegają znowu tylko na nierozumieniu świadectw dziejowych, na nieprzytoczeniu ich

w całości i w skutek tego na przekręceniu ich sensu, na podkładaniu im takich znaczeń, jakich one nie znoszą. Trudno mi tutaj zbijać wszystkie te jego dowody, urośćby bowiem musiało wtedy to sprawozdanie do rozmiarów prawie równych z jego broszurą; wreszcie po obaleniu głównej rzeczy, to jest wykładu, jaki podłożył p. K. rozebranemu powyżej miejscu w Kadłubkowej kronice, upada w gruncie i cała jego wysnuta z tego źródła teorya. Z obowiązku mego jednak jako krytyka, dotknę tu niektórych przynajmniej takich punktów, oczywiście najważniejszych w tej książce.

I tak na str. 90 powołuje się autor na miejsce pewne w starszej kronice szląskiej, t. zw. *Chronicon Polonorum* (mamy to w t. III »Monumentów« na str. 629) i upatruje w niem wymowne stwierdzenie swego domysłu. Miejsce to brzmi: „*Iste Boleslaus* (Krzywousty) *5 filios habuit, Wladislaum, Boleslaum* itd. *Quatuor ergo primis terram divisit; seniori Slesiam et ad praeessendum aliis Cracoviam disponit, et post illum seniori semper ducum Cracoviae gubernacula consignat*“ itd. Każdy nieuprzedzony czytelnik tego opowiadania będzie wyrazy rozstrzelonemi tutaj dane czcionkami rozumiał tak, że *seniori semper ducum consignat Cracoviae gubernacula* (dla każdego najstarszego z pomiędzy książąt przeznacza rząd nad Krakowem). Samo to bowiem *gubernacula* bez *Cracoviae* (w razie gdyby to *Cracoviae* miało należeć do *ducum)* byłoby po pierwsze niezwyczajne w łacinie, powtóre i niejasne w tem miejscu; nie byłoby wtedy wiadomem, o jakim sterze jest mowa? nad czem takiem najstarszemu z książąt krakowskich rząd zostaje przyznany? Tymczasem autor nasz wręcz przeciwnie obstaje właśnie przy tym drugim wykładzie, łącząc wyraz *Cracoviae* nie ze słowem *gubernacula,* lecz *ducum,* i wyciągając z tego sens taki, że rząd najwyższy nad Polską samej tylko linii Władysławowej, t. j. krakowskiej przyznano. Za taką wersyą, za tem mówię łączeniem słów *ducum* i *Cracoviae* z sobą, ma

ta okoliczność przemawiać, ponieważ to jest *constante Schreibweise des Autors des „Chronicon Polonorum", der niemals (!) die Worte umstellt, sondern immer einfach sich ausdrückt und z. B. nicht „regni patronus", sondern „patronus regni", „tutor filiorum" und nicht umgekehrt, „filia regis Ruthenorum" und nicht „Ruthenorum regis filia" schreibt* (str. 91). Dziwić się prawdziwie można, jak pan K. mógł postawić takie lekkomyślne twierdzenie. Autor kroniki tej szląskiej, tak samo jak i każdy inny po łacinie piszący, ustawia wyrazy i tak i owak. Na samym np. zaraz początku tej swej kroniki (»Monum.« t. III p. 604) położył on w obrębie nie więcej jak sześciu wierszy (!) genitivus przed głównym rzeczownikiem 5 razy *(cronicarum conscriptores — propriae gentis commendationem — gentium sive terrarum detestationem — suorum memoriam — dictorum utilitatem)*, podczas gdy po głównym rzeczowniku genitivus użyty tu jest tylko trzy razy. Podobnie i na dalszych kartach bezlik jest takich konstrukcyi, zdaniem pana K. obcych temu kronikarzowi.

»Dalszy dowód (powiada nasz autor na str. 91) zaprowadzenia primogenitury przez Bolesława Krzywoustego mamy w następującem miejscu kroniki Kadłubka, traktującem o uroszczeniach synów Władysława II, kiedy ich już przywrócono do władzy nad dziedzicznym Szląskiem«. Zanim przytoczę to miejsce, nadmieniam tu nawiasowo, aby czytelnik odnośną sytuacyę rozumiał, że rzeczy miały się wtedy tak: Wypędzony przez braci Władysław II schodzi z świata w roku 1159. Zajmujący jego miejsce w Polsce Bolesław Kędzierzawy, już to z litości nad synowcami, już ulegając moralnej presyi cesarza, który się za nimi ujmował, skłania się wtedy do zwrócenia synom Władysławowym, aż do tej pory także na wygnaniu żyjącym, dziedzicznego ich działu po ojcu, to jest szląskiej dzielnicy. Przyzywa ich tedy do kraju w r. 1163, zawiera z nimi umowę, że poprzestaną na tem, co im

przydzieli, i oddaje im Szląsk uszczuplony o kilka miast i powiatów, które Kędzierzawy dla siebie zatrzymał i zastrzegł, powodując się ostrożnością, by mu ci synowcy nie byli zanadto silni. To zatrzymanie miast dla siebie jak najdobitniej wypowiada Kadłubek na początku zacytowanego tu przez pana Kanteckiego ustępu (»Monumenta« t. II p. 372): *Quia vero quasdam illius provinciae urbes ad abundantiorem cautelam donationi exceperat, multorum ea res malorum peperit occasionem* itd. Otóż o tej całej okoliczności co do zatrzymania niektórych okolic i grodów szląskich i wynikłych z tego zatargów, podanej tak dobitnie przez kronikarza w tem miejscu, milczy (na str. 91) nie wiem dlaczego nasz autor, i przytacza to jedynie z Kadłubka, co dopiero idzie u niego potem, a co oderwane od początku tamtego, oczywiście nikomu, a więc i panu K. w żaden sposób nie może być zrozumiałem. Słowa te dalsze Kadłubka zaś dają, co oto następuje: »Synowie Władysławowi, ledwie stanęli na progu ziemi rodzinnej, już utrzymywać zaczynają, że otrzymali tę prowincyę nie z daru, nie z łaski, lecz jako przynależny sobie i dziedziczny swój spadek. Co większa, na podobieństwo brańców wracających do ojczyzny z niewoli, reklamują zupełny zwrot praw swoich« (co stosować oczywiście należy do całości Szląska a nie części tylko jego, jaką im dano, okrojonej z miast, które Kędzierzawy zatrzymał). »Temu żądaniu synowców, są dalsze słowa Kadłubka, przeciwstawia Kędzierzawy uwagę: Wszak wy się zrzekliście pod tym względem prawa waszego! A oni na to: To prawda, żeśmy się zrzekli; ale byliśmy zrabowani, ogołoceni, zmuszeni: dlatego prawo rystytucyi (całej ojcowizny) niewzruszenie nam służy, jakkolwiek pod przymusem zostając, zrzekaliśmy się tejże«.

Zdaje mi się, że kiedy się cały ten ustęp, tak jak go w kronice mamy, bez uprzedzenia odczyta: trudno mu zarzucać niejasność, a istne już chyba niepodobień-

stwo, chcieć w nim widzieć dowód na rzecz przedstawionej przez pana K. teoryi. Jeżeli nasz autor zaś sądzi przeciwnie, jeżeli miejsce to *ein wenig dunkel*, a język Kadłubka w tem miejscu *orakelartig* nazywa i podejrzywa kronikarza, że on coś więcej wie, a tylko się boi czy nie chce tego powiedzieć, mianowicie że ów zwrot praw wtedy reklamowanych miał dotyczyć *Ansprüche der Söhne Władysław's auf Krakau* (str. 92), a to na mocy zaprowadzonej przez ich dziada (Krzywoustego) primogenitury: to mogłoby to wszystko mieć pozór czegoś możliwego tylko dopóty, dopóki komu niewiadomo, co kronikarz na samem czele tego ustępu powiedział, mianowicie że nie cały Szląsk zwrócił wtedy Kędzierzawy swoim synowcom i że to potem *multorum malorum peperit occasionem et fovit incendium.*

Podejmuję teraz inny taki mniemany dowód w samych kronikach zawarty i to dowód, najwięcej ze wszystkich pozoru mający świadectwa, przemawiającego za hipotezą pana K., to jest sprawę, do której on przystępuje w swej dysertacyi na str. 93. *Dass aber die Ansprüche der Wladislaiden wirklich auf Krakau und die Grossfürstenwürde abzielten, das können wir wieder aus dem „Chronicon Polonorum" ersehen, dessen Verfasser einerseits kein Interesse daran hatte, die Verhältnisse absichtlich, wie Kadłubek (?!) in Dunkel einzuhüllen (!), andererseits gerade über diesen Gegenstand gut informirt sein konnte* itd. Otóż owym ostatecznym dowodem ma być następujące miejsce w *„Chronicon Polonorum"* (»Monumenta« t. III p. 634): *Tandem hi duo fratres, Boleslaus et Mesico* (synowie Władysława II) *municipia praeparantes, a patruo* (od Bolesława Kędzierzawego) *monarchiam* (wielkorządztwo nad całą Polską) *repetunt. Quos cum juri primogenitiurae abrenunciasse allegaret, multociens cum illis pugnavit, sed minus valuit.* Że miejsce to rzeczywiście wiele daje do myślenia, to chętnie panu Kanteckiemu przyznaję. Zgodzić się jednak z nim na konkluzyę jaką z tego wyciąga, nie mogę. Rozu-

miem o tej zapisce kronikarskiej jedno z dwojga. Albo autor tej kroniki (w końcu XIII lub na początku XIV wieku żyjący) podając ten szczegół, zaczerpnął go z Kadłubka i osnowę jego opowiadania po swojemu a źle przedstawił, to jest pojmował cały ten stosunek zatargów i uroszczeń między Kędzierzawym a synami Władysława i samym już Władysławem II mniej więcej w takisam sposób, jak pan K. przywiedzione wyżej miejsca z Kadłubka sobie tłómaczy — bo przecież nie jest to żadnem niepodobieństwem, żeby stylizacyi nieco zawiłej, dla światłego autora w wieku XIX niejasnej, nie miał równie mylnie sobie wykładać już i jaki średniowieczny erudyt. (W takim razie cały ten ustęp w *„Chronicon Polonorum“* nie miałby oczywiście żadnej wagi, jako rzecz na nieporozumieniu tylko oparta). Albo też przeciwnie autor tej szląskiej kroniki miał przed sobą co do tego ustępu jakieś źródła osobne, i to co daje, miało swoję dobrą podstawę, chociaż w Kadłubku niczego o tem nie znaleść. W takim razie jednakże naszą jest rzeczą uprzytomnić sobie całą tę sytuacyę i w duchu wszystkich okoliczności chwilowych tak pojąć kronikarza opowiadanie, w jakim sensie on je daje, choć co prawda bardzo krótkiemi słowami. Ja sobie owę sytuacyę przedstawiam w następujący sposób. Zanim Kędzierzawy w roku 1163 synowców do Szląska przywrócił, były między nimi poprzednio jakieś układy, o których wiadomo i Kadłubkowi. Wynikiem tychże było: 1) zrzeczenie się przez synowców owych kilku miast szląskich, których im zrazu nie oddano, a które oni później reklamowali (co i Kadłubek podaje); 2) zrzeczenie się przez tychże Władysława II synów także i prawa, jakie im służyło na mocy testamentu ich dziada, to jest prawa wyrażonego owemi słowami *majoritas natu et primogenitурae ratio*, a które stawiało i przed nimi w oddali widok przyjścia kiedyś do naczelnej w Polsce władzy i do rządów w księstwie krakowskiem. Wszystkie szanse składały się w r. 1163

na to, że po najdłuższem życiu wszystkich stryjów, najstarszy z tych synów Władysławowych, to jest Bolesław Wysoki, lub gdyby ten nie żył już wtedy, jeden z młodszych tegoż braci, będzie jedynym do tronu wielkoksiążęcego prawowitym pretendentem, jako i starszy wiekiem od wszystkich stryjecznych braci i idący z najstarszej linii. W takim wypadku jednakże los tych wszystkich młodszych Piastów byłby nader krytyczny. Bo gdyby nawet ów do rządów dopuszczony wtedy Władysławowicz postępował sobie szlachetnie i nie mścił się na nich za krzywdy ojcu swemu wyrządzone: to i tak miłem to być nie mogło Bolesławowi Kędzierzawemu w roku 1163, że umożebnia taką przyszłość dla przyrodnich i nielubionych synowców, na niekorzyść potomstwa własnego i rodzonych swych braci — i to wszystko po katastrofie raz już przebytej, dzięki której cała ta znienawidzona linia starsza wyrzucona została z kraju, tak iż już w nim zawadzać drugim nigdy nie miała. Otóż z tych wszystkich powodów mógł bardzo snadnie Kędzierzawy, przed zwróceniem synowcom Szląska, wymóc na nich nie tylko zrzeczenie się owych miast kilku, lecz i pretensyi kiedykolwiek zmierzających do osiągnięcia w Polsce naczelnej władzy *(monarchiam)*. Młodzi książęta ci, pod przymusem i na razie, przystali niby wtedy na te warunki; ale potem reklamowali jedno i drugie — tak miasta, jak i prawo do owego pojęcia *„monarchia“*, rozumianego w sensie powyższym.

Ja nie twierdzę oczywiście bynajmniej, żeby to wszystko było faktem, com tu rozwinął. Ale rozumiem, że to jest chyba jedyny możliwy i prawdopodobny sens tego miejsca w kronice, jeżeli autor jej rzeczywiście mówi na podstawie jakich osobnych źródeł, a nie za Kadłubkiem źle pojętym i bałamutnie parafrazowanym.

Pan Kantecki zaś tak to miejsce przedstawia: Krzywousty zaprowadził primogeniturę. Więc Władys-

sław II, a po jego śmierci Bolesław Wysoki, jako syn jego pierworodzony, był sam jeden prawowitym dziedzicem władzy w Polsce wielkoksiążęcej. W ciągu targów o przywrócenie Szląska, wymógł wprawdzie Bolesław Kędzierzawy na Bolesławie Wysokim zrzeczenie się tego prawa do tronu jako *primogenitus;* ale później reklamował jednak Bolesław Wysoki to prawo, to jest zażądał od Kędzierzawego, aby mu (za życia jeszcze swego, natychmiast) władzę naczelną wraz z księstwem krakowskiem zwrócił. Takieto znaczenie mają mieć owe w tej kronice słowa *monarchiam repetunt.*

Mnie się zdaje, że w razie gdyby w samej istocie tak było, to po pierwsze nie byłby Kędzierzawy synowca z takiemi prawami pod żadnym warunkiem do kraju wpuszczał; powtóre, byłoby to po prostu śmiesznością lub szaleństwem Bolesława Wysokiego i jego braci, gdyby siedząc na Szląsku niecałym, byli sobie uroili, że potrafią stryja zmusić do natychmiastowego wyrzeczenia się władzy monarszej i księstwa krakowskiego, które dzierżył jak najsilniej, mając za sobą cały naród i siły wszystkich swych braci. Powiedzieć mu w takich okolicznościach: idź precz, wynoś się z Krakowa, zwróć mi monarchię, bo to wszystko jest moje — byłoby naiwnością bez granic, gdyby nawet miał był Bolesław Wysoki rzeczywiście jakie prawo do tego. Po trzecie: wszakże kronika powiada, że Bolesław Kędzierzawy, który tego czego synowcowie chcieli zaprzeczał, *pugnavit cum illis multociens, sed minus valuit.* Jeżelić *minus valuit,* więc przegrywał i nie mógł zabronić im, żeby sobie odebrali, co im się należało. Jakoż istotnie odebrali oni sobie owe miasta szląskie, na razie wstrzymane. Ale czy mu odebrali i Kraków? albo władzę monarszą? Bynajmniej. Więc z tego wynika, że to też wcale nie wchodziło w zakres sporów.

Druga kronika szląska, późniejsza, t. zw. *„Chronicon Principum Pol.“,* mniej więcej tosamo co i tamta o tych rzeczach podaje (»Monumenta« t. III p. 479).

Pan Kantecki skwapliwie z tego korzysta jako z nowego niby świadectwa. Nie jest ono jednak wcale nowem, lecz tylko wypisem z tamtej kroniki, wskutek mylnego rozumienia opacznie stylizowanym.

Otóż takieto są owe pozytywne dowody, owe miejsca z różnych kronik, któremi autor hipotezy swej dowieść spodziewał się. Przy trzeźwem rozpatrzeniu wszystkiego, nie widzę, coby w nich mogło przemawiać za tem. A ileżto napomknięć, nawet najwyraźniejszych wywodów mamy w naszych najdawniejszych kronikach, które się wręcz sprzeciwiają twierdzeniom rozwiniętym w tej dysertacyi. Nie mogę tu przemilczeć o dziwnej metodzie, z jaką p. K. jedno z takich właśnie miejsc z pola uprząta. W pewnym ustępie Kadłubkowego dzieła (»Monumenta« II p. 430) jest mowa o rozporządzeniu Krzywoustego w taki już sposób, że seniorat, jako wyłączna sukcesyjna tego księcia zasada, leży jakby na dłoni. Cóż o tym ustępie mówi nasz autor? — Oto to, że *aus gewichtigen Gründen dieser ganze Passus höchst verdächtig ist und vielmehr als eine spätere Interpolation erscheint; es ist jedoch hier nicht der geeignete Ort dies näher nachzuweisen* (str. 97). Prawdziwie wielka szkoda, gdyż byłoby to ze wszech miar nader ciekawe dowodzenie.

W pierwszej połowie swej dysertacyi rozwija p. K. różne materye przedwstępne, których ogół ma być drugim, niejako wewnętrznym i pośrednim dowodem hipotezy, że Krzywousty w r. 1138 seniorat uchylił, a primogeniturę na jego miejscu postawił. Rozumowanie bowiem szanownego autora jest mniej więcej następujące: Że ten monarcha nasz przede śmiercią jakieś n o w e rozporządzenia co do następstwa na tron zalecił, jest rzeczą wiadomą. Powszechne zdanie dzisiejszych historyków jest takie, że na te rozporządzenia złożyły się różne (powyżej określone) zasady, a główną ich podstawą był seniorat. Otóż to jest mylne zapatrywanie, bo ja okażę (mówię tu w myśl autora dysertacyi),

że Seniorat w całej Słowiańszczyźnie, a zatem i w Polsce, stanowił stałą, jedyną i od niepamiętnych już czasów niewzruszenie obserwowaną zasadę sukcesyi tronu. Jeżeli mi się zaś uda przeprowadzić ten dowód, natenczas wyniknie z tego, że np. takie zdanie: »Aż do dni Bolesława Krzywoustego wszystko w Polsce w zakresie prawa co do następstwa na tron było nieokreślonem«, jest mniemaniem, które *jeder Grundlage entbehrt* i *ohne wissenschaftliche Belege angeführt wird* (str. 73); powtóre wyniknie z tego i ten jeszcze wniosek, że Krzywousty musiał więc coś innego zalecić, jak seniorat — a tą nowością była primogenitura.

Jakże tedy pan K. dowodzi owego zdania, że cała sukcesya tronu w Polsce i w dalszej Słowiańszczyźnie wyłącznie i od najdawniejszych już czasów polegała na senioracie? — Na pozór bardzo gruntownie, bo towarzysząc krok w krok wszystkim wstąpieniom na tron przez nowych panujących na Rusi (zaraz od zgonu Ruryka w r. 882) i w Czechach (od śmierci Borzywoja w r. 895). Ale ten wywód przeprowadza nasz uczony z taką dowolnością, i tak z jednej strony posługując się domysłami, których ani zbić ani też stwierdzić nie można, a z drugiej znowu biorąc w pomoc t. zw. *argumentum a silentio*, które jak wiadomo *non valet*, że w oczach uważnego czytelnika wyniki tej procedury albo zgoła nie dowodzą niczego albo nawet tu i ówdzie wręcz przeciw autorowi się obracają.

Na próbkę przytoczę tu tylko jednę taką argumentacyę, to jest ową wziętą z relacyi dotyczącej Lutyków, podanej przez Einhardta (»Mon. Germ.« SS. I 210). Mówiąc pisarz ten o książętach lutyckich Milegaście i Cealadragu, powiada, że byli oni sobie bracią, a synami Luba, króla Lutyków, *qui* (Lub) *licet cum fratribus suis regnum divisum teneret, tamen propterea, quod major natu erat, ad eum totius regni summa pertinebat.* Więc był Lub naczelnym między braćmi swymi księciem dlatego, że był od nich starszy. To rzeczywiście

byłby dowód, jak to pan K. na str. 27 swej dysertacyi postawił, że u Lutyków zasada starszeństwa więc popłacała. Ale cóż dalej? Dalej tak zaraz potem mówi Einhardt: *Qui Lub quum commisso cum Abotritis proelio interisset, populus Wiltzorum* (czyli Lutyków) *filium ejus Milegastum, quia major natu erat, regem sibi constituit.* Więc następuje po Lubie — nie brat jego, których miał kilku, a którzy przecież byli starsi wiekiem od Milegasta — lecz syn Luba Milegast i to jeszcze na mocy wyboru przez *populus.* To przecie już nie przykład senioratu, ale okaz uwzględnionej w owym wypadku raczej primogenitury i w części także elekcyi — wbrew zasadzie senioratu, któryby był przemawiał za najstarszym z braci Luba, a stryjów Milegasta! A jeszcze dalej następują u Einhardta te słowa: *Sed quum is (Milegastus) secundum ritum gentis commissum sibi regnum parum digne administraret, illo abjecto, juniori fratri regium honorem deferunt.* Otóż okaz i trzeciej zasady sukcesyjnej — elekcyi, wykonanej tak wbrew senioratowi, jak i primogeniturze! — Z całego tego ustępu wynika, że Lutycy nie mieli tedy żadnej stałej zasady u siebie co do następstwa na tron, choć znali wszystkie. Dając raz tej, drugi raz owej, a potem znowu jeszcze innej zasadzie przewagę nad drugiemi, postępowali w ogólności w ten sposób, że nie szanowali żadnej z nich jako jedynie uświęconej i nietykalnej. Tosamo było na Rusi, tosamo w Czechach aż do Brzetysława I, tosamo wreszcie i u nas aż do r. 1138. Seniorat był tutaj znany, lecz nie tworzył jedynej normy. Wszakże Mieczysław II był młodszym od Bezbraima, a został przeniesiony nad niego. I sam nawet Krzywousty był młodszym od Zbigniewa. Bo okoliczność, iż to był naturalny syn Władysława Hermana, nie może być poczytywaną za właściwy powód jego upośledzenia w porównaniu z Bolesławem, lecz były tego raczej przyczyną osobiste tych dwóch książąt przymioty. (Porównaj Galla dwa miejsca: »Monumenta« t. I p. 434, cap. 8;

i p. 452). A z tego wszystkiego wynika, że w rozporządzeniach Krzywoustego w r. 1138 to więc najgłówniej było nowem, że seniorat miał odtąd jedyną tutaj i stałą stanowić zasadę sukcesyjną, jaką aż dotąd nie był, choć się faktycznie (z przyczyn w samej naturze rzeczy leżących) najzwyklej praktykował.

WOLNA LUDNOŚĆ WŁOŚCIAŃSKA

w pierwszej dziejów polskich epoce.

Rzecz pisana w r. 1894. Była publikowana w »Kwartalniku historycznym« z tegoż roku.

Ani o historyi szlachty w Polsce ani o historyi ludu polskiego, trafnie przeprowadzonej, tak długo u nas myśleć nie można, dopóki nie stanie nam przed oczyma jasny obraz położenia prostej wieśniaczej ludności w pierwszych wiekach naszej historycznej doby. Tak jak bowiem w każdym innym narodzie, tak też i w naszym tato ludność musiała stanowić początkowy pień społeczności, ową rdzeń najpierwotniejszą, z której wszystkie inne stany wynikły i potem w kolei czasów, odpowiednio okolicznościom, odrębne swoje formy przybierały i rozwinęły. Problemat ten jednakże u nas należy do najzawilszych i jak żadne drugie historyczne pytanie, do najsporniejszych, pomimo że od siedmdziesięciu lat z górą umysły nasze zaprząta. Cała skala możliwych o tym przedmiocie pojęć — od najskrajniejszej ostateczności w kierunku sielankowej r ó w n o ś c i i swobody, do drugiej takiejże ostateczności w duchu n i e w o l i i pognębienia — cała ta skala przez wszystkie swoje gammy i tony ma lub miała swoich w literaturze z tych lat wyobrazicieli.

Materyałem, zapomocą którego pytanie to może i musi być rozstrzygnięte, są nadewszystko źródła nasze dziejowe z XII stulecia. Dawniejszych nie posiadamy. A zatem dwie kroniki: Galla i Kadłubka; prócz nich archiwalne zabytki z tego wieku: dokumenta. Kroniki, znane są od dawna, lecz stosunkowo mało w nich miejsc, rzucających jasne światło na wewnętrzne sto-

sunki kraju. Wydawnictwo dokumentów, krytyczne i świadome swego zadania, poczęło się u nas właściwie dopiero z rokiem 1847. Takie zaś dyplomataryusze, któreby przynosiły nie tylko niezachwaszczony nieumiejętnem opracowaniem, ale i w znaczniejszej masie materyał, o jaki nam tu chodzi, jawić się zaczęły dopiero około r. 1874 [1]).

Wobec takiego stanu rzeczy dziwić się temu nie można, że prace w tym przedmiocie z przed r. 1870, a szczególnie wysiłki Lelewela, który w literaturze naszej właściwie zapoczątkował badania tego rodzaju, znaczną część życia im poświęcił i tyle dzieł w tej materyi zostawił, mało wydały rzeczywistego pożytku. Jakże mogło być inaczej, kiedy ten bystry i głęboki skądinąd badacz żył w takich okolicznościach, że nad stanem pierwotnym społeczeństwa polskiego właściwie nie studya, ale medytacye odbywał, nie wnioski z autentycznych czerpane źródeł, ale rojenia na temat np. Sądu Libuszy lub na tle innych, po większej czę-

---

[1]) Dyplomaty w I tomie zbioru Sommersberga (1729) zawarte, pomijając nieudolność wydania, poczynają się dopiero od r. 1203. Stronczyńskiego »Wzory pism dawnych« (1839), z wszelką starannością opracowane, dopiero od 1228. Raczyńskiego „*Codex Majoris Poloniae*“ (1840), najniedbalej obrobiony, choć w nim już i nieco najdawniejszych dokumentów, trudno powiedzieć żeby stanowił epokę. Ta zasługa przynależy dopiero dziełu zapoczątkowanemu przez Helcla, Kodeksowi dypl. imienia Rzyszczewskiego (1847—58), lecz i tu XII-wiekowych zabytków stosunkowo niewiele. Dalsze publikacye: Mosbacha zbiorki (1860), Mazowiecki Kodeks (1863), Mogilski (1865), Liskego dyplomataryusz (od r. 1868 począwszy tom za tomem wydawany), choć po największej części (boć nie wszystkie) wytrzymują chlubnie wszelką krytykę, nie przynoszą materyału z stulecia, o które chodzi. Dopiero zbiory dyplomatów, pod biegłą ręką Dra Piekosińskiego i auspicyami krakowskiej Akademii umiej. w r. 1874 wychodzić zaczynające, niemniej Kodeks Tyniecki (1875), i Zakrzewskiego Wielkopolski (1877) rozpoczęły na dobre szereg wydawnictw, otwierających prawdziwą kopalnię dla badań społeczno-dziejowych w naszej najdawniejszej epoce.

ści równie niewiarogodnych robót rozsnuwał i z dobrą wiarą za rzecz dowiedzioną ogłaszał [1]). — Drugi jemu współczesny, na temże polu pracujący pisarz (Maciejowski), choć i żył dłużej i w kraju i wśród obfitości potrzebnego aparatu do takich badań, na którym tamtemu zupełnie w drugiej połowie życia zbywało, nie posiadał pomimo całej swej erudycyi ani daru źródła rozumieć ani zręczności własne myśli logicznie związać i coś, coby i drudzy przyjąć mogli, jasno, spójnie i przekonywająco postawić.

Co jednak dziwne, to że i dalsze prace nasze nad położeniem ludu wieków pierwotnych nie postępują tak

---

[1]) Jesteśmy w stanie najdokładniejsze utworzyć sobie o tem wyobrażenie, jakim materyałem źródłowym operował Lelewel, rozwijając swoje pomysły o pierwotnej organizacyi rządu i ludu polskiego. Przedewszystkiem oświecał tu drogi jego... Sąd Libuszy, niby pomnik z IX stulecia. Obok tego ustawodawstwo wiślickie, wiekiem i duchem tak oddalone od przedmiotu podjętego tutaj zadania. Wreszcie ów zbiorek dokumentów, które L. dołączył do swego dzieła z r. 1827 »Początkowe prawodawstwo polskie«. Składa on się z 33 sztuk, które z jak największym, jak na tamte czasy, mozołem zgromadził sobie ten skrzętny badacz głównie z dzieł tak nierównej wartości, jak Paprockiego i Okolskiego herbarze, Nakielskiego Miechowia, Szczygielskiego Tinecia, Damalewicza Żywoty arcybiskupów i t. d., a w części także i z Metryki czyli Archiwum warszawskiego. Z tych 33 dokumentów przypada na wiek XII tylko sześć (wszystkie sfałszowane, czego L. nie dostrzegał), a i te, co mu pokrywały dalsze czasy aż do rządów Wład. Łokietka, w znacznej części nieautentyczne. W 20 lat później wyszło to dzieło ponownie, w mało zmienionej redakcyi. Przybyło tu i do dyplomatarzyka cokolwiek — 12 sztuk autorowi dawniej nieznanych, wziętych z Raczyńskiego i z I tomu Rzyszczewskiego, więc razem 45 dokumentów. Z tych przypada na wiek XIV 13 sztuk, na drugą połowę XIII 18, na pierwszą XIII wieku połowę tylko 6 (między nimi i falsyfikaty), a na XII stulecie 8 (między nimi tylko 2 autentyczne, ale z tekstu Raczyńskiego wzięte, więc np. bulla gnieźnieńska z r. 1136 z takiemi tekstu przekręceniami, że o rozumieniu na wskróś tego tak ważnego pomnika wcale nie mogło być mowy). W tym stanie rzeczy pozostało to wszystko i w edycyi III (»Polska wieków średnich«, T. III z r. 1857).

pomyślnie, jakby się tego można było spodziewać. Nie bałamucą nas tu już fałszerstwa, gdyż je umiemy odróżnić od prawdziwych świadectw przeszłości. Skarżyć się też nie możemy na brak tych ostatnich. Wiele ich nie jest, to prawda. Ale i ten szczupły zasób może i powinien wystarczać, zwłaszcza że mała nadzieja, żeby dalsze odkrycia przyniosły wiele nowego do materyałów, już wydobytych na jaw i dla każdego przystępnych. Nie zbywa też i na szczerej woli korzystania z tych danych. Pochlubić się możemy całym szeregiem publikacyi w tej materyi. Cóż jednak z tego, kiedy nie potrafilibyśmy wskazać dwóch pisarzy, którzyby się w rezultatach swych poszukiwań zgadzali z sobą. Opracowują tensam materyał — i dochodzą każdy do innych wyników! Ta niezgodność już sama przez się dowodzi, że coś tu jest, co utrudnia tę pracę: jakiś brak, jakaś zawada, dla której albo wszyscy albo prawie wszyscy iść musimy błędną drogą do celu. Czyby ten brak dotyczył osób? Nie sądzę. Uczestniczą w tej pracy mężowie, którzy zdolnością, przygotowaniem, gruntownością, trzeźwą metodą, stoją bezwarunkowo na wysokości zadania. Nie ja pierwszy zadaję sobie pytanie, co tu rzecz psuje. Między innemi rozumiano, że chybiały te dociekania z tego powodu, ponieważ mając do zbadania stan rzeczy, który nie przekracza poza koniec XII stulecia, posiłkowano się jednak nie samemi tylko z tego wieku źródłami i przybierano sobie w pomoc i dalsze. To mieszanie późniejszych świadectw z materyałem uprzednim miało zaciemniać jasny pogląd na przedmiot. Próbowano stawić wynik roztrząsań, odbytych tylko w obrębie tak rygorystycznie zakreślonego czasu. Ale i ten wynik nie zniewolił drugich do uznania go za jedynie prawdziwy. Stanął obok innych hypotez, a nie połączył ich w sobie, nie zapanował nad niemi.

Mnie się zdaje, że rzeczywisty powód tej niezgodności pojęć naszych ani nie dotyczy metody ani tego,

żebyśmy z pewnemi z góry powziętemi uprzedzeniami przystępowali do pracy. Tkwi on chyba w samym przedmiocie, w dokumentach tej odległej epoki, w ich zbyt krótkiej i po swojemu tłómaczącej się stylizacyi. Szczególnie w miejscach, niestety nader, jak wiadomo, nielicznych, na których opieramy nasze domysły dotyczące wiejskiej ludności, tak ogólnie one zawsze i półsłówkowo się wyrażają, że to dla nas niezrozumiałe, niejasne, że daje się wykładać, jak się komu podoba. Dyplomaty wydawano zawsze z okazyi zajść poszczególnych. Chodziło w nich o zanotowanie rzeczy tak, ażeby to wystarczało osobom, których ta rzecz dotyczyła, współczesnym, ludziom i skądinąd obeznanym z zdarzeniem. O rozpisywaniu się wyczerpującem, jak się miała cała taka sprawa od początku do końca, nie myślał wcale taki notaryusz książęcy. Nie zawsze je też układał notaryusz. Pisał je nieraz, kto właśnie był pod ręką. Tak jak imię panującego, wydającego przywilej, zastępowano bardzo często początkową tylko literą, taksamo poczynano sobie i z imionami osób, których dyplomat dotyczył: taksamo też poprzestawano na jak najzwięźlejszem tylko naznaczeniu przedmiotu aktu, czy nim była wieś jaka (niekiedy tak wspomniana, jak gdyby nie miała nazwiska), czy ludność w niej. Dodajmy do tego i brak wprawy pisarskiej. Dodajmy tamtoczesne niewyrobienie pojęć prawnych, o ile pod nie miały być podciągane stosunki krajowe, tak trudne do wyrażenia ich po łacinie. Specyalne położenia społeczne otrzymywały często nazwę, półsłówkiem określoną, która miała ogólniejsze znaczenie. Tamtocześni się rozumieli; czyniła taka stylizacya zupełnie zadość chwilowej potrzebie. Ale ogólnik taki dopuszcza i innego wykładu, a nieraz i kilka różnych wykładów — i niechże dzisiejszy człowiek odgadnie, co właśnie w owej chwili chciał powiedzieć redaktor aktu. W tym dokumencie tak go użył — jutro może tensam pisarz całkiem co innego przez tosamo słowo wyrazi. Nawet

i kronikarskie relacye, tak nieraz gadatliwe co do zdarzeń, które autorowi dzieła zdawały się nadzwyczajnemi, bywają w zakresie wzmianek o codziennych, aż do zbytku wszystkim tamtoczesnym znanych stosunkach, zarówno urywkowe. *Milites bellicosi, rustici laboriosi,* powiada o całej ludności polskiej z pochwałą Gallus. Co są *milites,* wie każdy, ale co *rustici* tu znaczą? Jużciż pewnie nie co innego, jak chłopstwo, bo dziś nazywamy chłopem każdego, co na wsi chodzi za pługiem, a po łacinie nie mamy lepszego na to wyrazu, jak *rusticus.* Jeżeli jeszcze w jakim dawnym tekście do tego *rusticus* przybędzie *ducis* albo *ducalis:* toć rzecz jawna, że to poddany *(Leibeigener)* książęcy, którego trzeba było chyba wyzwolić z poddaństwa, żeby stał się niezawisłym człowiekiem. Wnioskowanie niby bardzo logiczne i proste — a przecie to wszystko nieprawda...

Więc cóż robić ostatecznie, ażeby raz wyjść z tego labiryntu? Mnie się zdaje, że tu niema innej rady, jak poszukać sobie klucza do rozumienia najdawniejszych archiwalnych zabytków, choćby ten klucz, ta pomoc była pismem nieco późniejszem, np. z XIII stulecia; poszukać takiego piśmienniczego pomnika, któryby obok dokumentów dawał i komentarz do nich, któryby w formie swobodnej, powszedniej, najpotoczniejszej gawędki, rozgadywał się o doli, o stosunkach rodzinnych, o położeniu towarzyskiem i o całym trybie życia tych właśnie osób, które w odnośnych dokumentach, na poparcie opowiadania tu w całości zazwyczaj przywiedzionych, występują jako działające. Wyrozumieć z tej gawędy, czem rzeczywiście byli ci wszyscy ludzie, a z dokumentów powziąć wiadomość, jak ich zwały kancelarye książęce. Tak jedno z drugiem złączywszy, nie spuszczając zresztą z oka i możliwych różnic epoki, odnieść to potem i do wypadków, które będąc zgoła analogiczne, doszły nas w całej swej masie tylko w sa-

mych tekstach dyplomatycznych — bez podobnych objaśnień...

Czy posiadamy taki piśmienny zabytek? — Niewątpliwie posiadamy, jeden jedyny w całem piśmiennictwie, a nieobliczonej ważności. Wie o nim każdy z naszych uczonych, zajmujących się dawniejszemi dziejami; każdy go czytał, niejeden o nim wspomina jako o »nieocenionem źródle do poznania stosunków społecznych w Polsce XII i XIII w.« Pomimo tego jednak nikt dotąd tego źródła w kierunku tu określonym nie wyzyskał w takiej mierze, jak na to zasługuje i nalegliwie samo się tego domaga. Mówię o publikowanym przez Stenzla jeszcze w r. 1854 *Liber fundationis claustri s. Mariae virginis in Heinrichow.*

Klasztor Cystersów w Henrykowie nad rz. Oławą na Szląsku, około 10 mil z południa od Wrocławia, w Münsterberskim (dawniej Ziębickim) powiecie, został założony w r. 1227. Trzeci z kolei opat tego klasztoru, imieniem Piotr, który za młodu patrzał na jego założenie i był jednym z pierwszych zakonników, z Lubiąża przysłanych na objęcie go w posiadanie w roku rzeczonym, zostawił rodzaj pamiętnika w przedmiocie uposażenia tego kościoła. Ten pamiętnik, kontynuowany po jego śmierci (zaszłej r. 1269) przez innych henrykowskich księży, ocalał do czasów naszych. Wydobył go Stencel z ukrycia między różnymi papierami w miejscowym poklasztornym kościele. Jest to książka pergaminowa niewielkich co do formatu rozmiarów, obejmująca 52 karty. Pierwsza jej część, pisana przez tego opata Piotra, mogła powstać w latach 1266—1269. Dalsze partye pochodzą z XIV już wieku i te nas tu już obchodzić nie będą. Tak Piotr, jak i dalsi autorowie, byli narodowości niemieckiej.

O wypadkach historycznych, o zajściach, które na los całego kraju wpływ wywierały, nie znajdziemy ani słowa w tej książce. Uwzględnia ona wyłącznie sprawy klasztoru, a w szczególnosci kwestyę jego majątkową.

O każdej wiosce, o każdym łanie pola lub lasu rozpisuje się najdokładniej, kiedy i w jaki sposób nabyło go zgromadzenie zakonne, kto go dawniej posiadał, jak się nazywał, co to był za człowiek, za jaką kwotę sprzedał go kościołowi, jeżeli to był kupny nabytek, a w jakich okolicznościach go podarował, jeśli to była ofiara. Wszystkie dalsze potem o te kupna lub dary zatargi, reklamacye, procesy, bądź to z dobrym skutkiem przeprowadzone, bądź z stratą, odprzedaże, zamiany dobrowolne i przymusowe — słowem dzieje całe tych wszystkich, mniej więcej w obrębie jednej mili kwadratowej w okół Henrykowa leżących osad, posiadanych przez konwent, wszystko to z najdrobniejszymi szczegółami nie tylko tu opisane, ale po największej części i obłożone dokumentami. A cel tej całej pracy ten, ażeby bracia zakonni i w przyszłych generacyach dokładnie znali te wszystkie antecedencye i mieli w ręku każdej chwili gotowe środki obrony swego majątku, ilekroć zajdzie jaka tego potrzeba. Opowiadanie sięga nieraz aż w czasy rządów Bolesława Wysokiego, a nawet przed nim, więc głęboko w wiek XII, a opiera się na tradycyi, wziętej z ust ludzi, którzy pamiętali te czasy i w wieku już swoim sędziwym należeli do codziennych gości refektarza henrykowskiego. Dalsze koleje opowiada nam nasz opat na podstawie własnej osobistej już znajomości stosunków i zdarzeń, z dyplomatyczną ścisłością, a jak ze wszystkiego widać, i z rzadką w takich pismach miłością prawdy. Chodziło bo też autorowi nie o wprowadzanie w błąd swoich braci, ale o praktyczne cele.

Przewijają się w tym całym wątku egzystencye najrozmaitszego stanu. Panujący książęta, biskupi, księża, komesowie, *milites*, *militelli* (jak ich nazywa), a i na takich nie zbywa, którym się zdawało, że są milesami; dalej sołtysi — i zwykłego potulnego usposobienia i tacy, co się już wdzierali w atrybucye rycerskie; niemniej *rustici* wszelakiego odcienia, więc

rustici na całej wiosce, na żrebiu, na niewielu morgach; *heredes*, to żyjący we wspólności majątku, to wydzieleni; *coloni, camerarii* i wszystka niższa hołota. Ludzie rządni i utracyusze. Tych niestety między Polakami już i wtedy było najwięcej. Dobre słowo daje autor mało której z tych wszystkich osób. Nie czyni tego jednak dlatego, że sam jest Niemiec. Mówi nieraz i o osadnikach niemieckich, wszelako ci w pewnych razach jeszcze gorzej niż Polacy na tem wychodzą. W ogólności widać z wszystkiego, że jeżeli chodzi o poziom obyczajowy, to niewesołe to były czasy...

Otóż sądzę, że nie będzie bez interesu naukowego, jeżeli niektórym z tych tak różnych figur nieco uważniej się przypatrzymy. Wyższe stany tu pominę — zajmę się tylko okazami z tej klasy, o którą jedynie mi dzisiaj chodzi.

Kwiatek. Zacznijmy rzecz od samej rezydencyi klasztoru, od Henrykowa — i od człowieka, z którego opowiadań większa część tego wszystkiego pochodziła, co tu o najdawniejszych czasach tej okolicy czytamy.

Miejscowość Henrykowo istniała jeszcze przed sprowadzeniem konwentu w to miejsce, obejmowała jednakże z razu mały tylko działek *(sors)* niejakiego Henryka, zapewne włodyki, a może człeka dopiero wchodzącego w ten zawód; raz go bowiem księga nasza zowie *militellus*, drugi raz »takim, co się miał za rycerza« [1]), któremu się zdało, że jest rycerzem. Między r. 1210 a 1220 kupił od niego te grunta tamtoczesny kanclerz księcia Henryka Brodatego, imieniem Mikołaj, człowiek stanu duchownego, wtedy jeszcze bardzo małej fortuny, i następnie poprzyłączał do tej parceli, od owego Henryka nabytej, różne inne posiadłości sąsiednie, stojące wtedy po największej części pustką lub też pomimo znacznego nieraz obszaru zostające w ręku rodzin tak podupadłych, że te grunta można było star-

[1]) Qui se pro milite habebat. Liber fundat. str. 16.

gować za bezcen. Od tego czasu cały kompleks tych parcel, skomasowanych w jednę wieś z parafialnym kościołkiem *(Lib. fund.* str. 27), otrzymał nazwę Henrykowo, od owej pierwotnej szczupłej posiadłości przybraną. W r. 1227 stanie tu klasztor, założony przez właśnie tego Mikołaja kanclerza.

Jedną z owych przedtem osobnych, a teraz do terrytoryum henrykowskiego wcielonych ziem, była pustka, a kiedyś osada, która się zwała Głąbowice. Należała do rodziny z stanu t. zw. dziedziców *(heredes)*, t. j. do wnuków i prawnuków niejakiego »włościanina książęcego« *(rusticus ducis*, str. 40) imieniem Głąba. Pod koniec wieku XII rej wodził i ton nadawał w tych Głąbowicach *quidam rusticus ceteris potentia eminentior* (str. 41), który był w prostej linii wnukiem owego Głąba, a zwał się Kwiatek. Ten z powodów, o których niżej, porzucił wraz z całą rodziną owę osadę i przeniósł ją w inne miejsce głąbowickiego obszaru, t. j. założył nową wioskę, która w mowie okolicznej ludności, a i w księdze niniejszej miewa nazwę dwojaką: po dawnemu Głąbowice (bo w niej potomki Głąba osiadły) i Kwiatkowice, gdyż pod przewodem owego Kwiatka powstała. Otóż postać tego Kwiatka warta bliższej znajomości. W młodszych latach działo mu się niezgorzej. Musiał to być człowiek, który nie z jednego pieca chleb jadał i (choć *rusticus)* nie samym tylko pługiem się parał, skoro na starość nie tylko u niemieckich księży w klasztorze henrykowskim, ale i na dworze książęcym był zawsze mile widziany, a facecyami swojemi i sowizdrzalstwem rozweselał Henryka Brodatego: w skutek też czego był przez dwór cały książęcy »nade wszystkich krewnych swoich lubiony« *(diligebatur)*. Nazywano go wtedy już Kika; był bo też istnym kikutem: jednę rękę miał do szczętu odciętą, a drugą tak mieczem skiereszowaną, że całkiem władzę straciła. To też nie dziw, że ten za cza-

sów jeszcze pierwszego henrykowskiego opata [1]) już »bardzo stary« człowiek, spędzał ostatnie dni swego życia w wielkim niedostatku. Żył prawie tylko z miłosierdzia klasztoru. Animuszu mu jednak ani wiek ani bieda nie umniejszyła. Za gościnność doznawaną odwdzięczał się Cystersom niewyczerpanem opowiadaniem o najdawniejszych stosunkach całej tej okolicy, której każdy punkt i to co się na nim działo, było mu wiadome i w pamięci przytomne. Ale i czemś innem jeszcze zostawił on po sobie wdzięczne i trwałe w klasztorze wspomnienie. »Módlcie się następcy nasi za tego rustika Kwiatka« — pisze Piotr opat w tej swej księdze, a pisze to miejsce pismem wybitnem, czerwonem (p. 42). »Albowiem wiedzieć wam należy, że ta cząstka Głąbowic, gdzie teraz nasz dworzec stoi, i cały las Bukowiną zwany, przez niegoto *(per eum)* po napadzie pogan dostały się w posiadanie klasztoru«. — A więc po roku już 1241 a przed 1245, w którym ten Kwiatek zszedł z świata (str. 41), musiały Kwiatkowice z jego ręki albo pośrednio za jego sprawą przejść na własność zakonu. Bo że przez »cząstkę Głąbowic« nie co innego tu rozumiano, jak Kwiatkowice, to nie podlega wątpliwości. O jednę stronicę wyżej (p. 41) dokładnie powiedziano, że właśnie na miejscu Kwiatkowickiej osady stanęła *curia claustri.* Szkoda wielka, że się nie dowiadujemy, w jakiej formie się dokonało to zaokrąglenie posiadłości klasztornych i jaki w tem osobisty udział miał Kwiatek. Miało to być w innem miejscu osobno opowiedziane w tej księdze, ale do tego nie przyszło [2]). Tyle jednak będzie pewnem,

[1]) Nazywał się ten pierwszy opat Henryk; zszedł z świata około r. 1238.

[2]) Na str. 46, poczynając nowy rozdział nasz autor, zapowiada, że będzie w nim mówił o trzech nabytkach. *De particula Glambowicz, quae data est post paganos,* miało stanowić przedmiot z kolei drugi w tej trójce nowych akwizycyi. Po wyczerpnięciu rzeczy o pierwszym nabytku (p. 59) pozostawiono więcej niż całą

że Kwiatek co najmniej był darodawcą swej własnej tam cząstki gruntów i że więc miał pełne prawo nią rozporządzać. A jeśli z tem porównamy tę jego sowizdrzalską swobodę w obec samego księcia Henryka i tę pewną ogładę i względną intelligencyę, niemniej jego okaleczenie z pewnością nie z bójki w karczmie wynikłe, skoro ręka mieczem była zrąbana *(gladio laesa)*, nakoniec i owę *potentia*, jaką za lepszych swych czasów nad drugimi wywierał w całej osadzie: to się zapewne niejeden z mych czytelników na to zgodzi, że ten *rusticus*, ten wieśniak, jakoś bynajmniej na chłopa będącego czyjąś własnością, przywiązanego do gleby, pozbawionego pełnej wolności, skazanego tylko na rolną pracę na obcym gruncie, nie patrzy.

Głąbowicowie. Lecz idźmy dalej. Powiedziałem wyżej, że osada czasem Głąbowicami, zwyklej Kwiatkowice zwana, na miejscu której później (po roku 1241) stanął dworzec klasztorny, została tu założona dopiero przez Kwiatka, poprzód zaś leżały Głąbowice gdzieindziej. I ta rzecz warta, żeby jej się bliżej przypatrzyć. Właściwie zwano z dawien dawna Głąbowicami nieokreślony dokładnie, ale bardzo rozległy obszar bukowego lasu w tej okolicy [1]), nadany, jak ta księga powiada, przez Bolesława Wysokiego *rustico suo proprio*, więc włościaninowi książęcemu, Głąbowi (str. 40). Od imienia tego Głąba otrzymał ów las tę nazwę. Szląsk bowiem w owych czasach, przynajmniej w tych tu nad czeską granicą położonych powiatach, miał tworzyć jednę ciągłą puszczę lesistą, zaledwie tu i owdzie ożyjednę stronicę w księdze próżną, oczywiście dla opisu, w jaki sposób klasztor dostał Kwiatkowice. Na dalszej zaś poczyna się już wykład o trzeciej materyi. Dlaczego tamtej karty już nigdy później nie zapisano — nie wiedzieć.

[1]) Zliczywszy wszystkie, później wykrojone z tego lasu posiadłości i jako takie wspomniane w niniejszej księdze, śmiało oszacować można cały obszar posiadanego przez Głąba gruntu na jakie 20 włók czyli łanów.

wioną siedzibami mieszkańców. Więc książęta w owych latach hojną ręką wydzielali na folwarki *(praedia)* i na dziedziny *(hereditates)* przestrzenie całe, a to tak znaczniejszym osobom, jak i ludziom pośredniego staniku *(mediocribus*, str. 60). — Nie od rzeczy będzie zrobić tutaj uwagę, że występujący tu Głąb, jeżeli rzeczywiście jemu to dopiero była nadana własność owego lasu, to go musiał chyba dostać od którego z poprzednich panujących, a nie dopiero »od Bolesława Wysokiego«, był bowiem o całą jednę generacyę dawniejszym od tego książęcia [1]). Lecz to uwaga uboczna, która głównej rzeczy nie zmienia. — O ile wnosić, prowadził Głąb w tym swym lesie gospodarstwo przewa-

---

[1]) Dla autora tej księgi najdawniejszą, do jakiej zdołał się cofnąć, epoką wstecz, było panowanie Bolesława Wysokiego (1163—1201 r.). Poprzednie czasy leżą dla niego już poza widnokręgiem pamięci i wiedzy. Taki też powód i tego odniesienia Głąba do rzeczonego książęcia. Czas życia tego wieśniaka przypada niewątpliwie na rządy jeszcze Bolesława Krzywoustego i nietrudno tego dowieść. Wiemy na pewno o Kwiatku, że był wnukiem Głąba i że umarł w czwartym roku po napadzie Mongołów, a więc w r. 1245 — w bardzo już późnym wieku *(valde antiquus)*. Powiada to opat Piotr, który i sam wtedy, kiedy to pisał, miał już jakie 60 lat. Skoro bowiem w roku fundacyi klasztoru t. j. 1227, był już księdzem, z lubiąskiego konwentu Cystersów przysłanym z kilku innymi do objęcia zarządu nad tym świeżo powstałym klasztorem, więc rok jego urodzenia przypaść musiał co najmniej na sam początek XIII stulecia. A pisał ten swój pamiętnik między r. 1266 a 1269, w którym umarł. Ludziom młodym wydaje się nieraz i człowiek np. 60-letni już bardzo podeszłym starcem. Jeżeli jednak nasz autor, sam tak sędziwy, w taki się sposób o Kwiatku wyraził, to musiał tenże umierając liczyć około siedmdziesiątki. Jeżeli tak, to się urodził Kwiatek około r. 1175. Jego ojciec, nieznany nam z imienia, być może że się nazywał Konkoder, niechby w czasie narodzenia Kwiatka był miał lat około 30, to się urodził w roku w przybliżeniu biorąc 1145. Tego zaś ojciec (Głąb), jeżelibyśmy nawet przypuścili, że już w swym 25 roku chrzciny synowi swemu wyprawiał, rodzić się musiał co najpóźniej około r. 1120. Tak więc najlepszą część życia było dano Głąbowi spędzić za rządów jeszcze Bolesława Krzywoustego. I jeżeli Głąb dopiero, a nie jaki

żnie pasterskie. Wykarczował sobie spory w nim kawał gruntu, jednakże nie na pole pod siew, ale na łąkę, i nazywała się ta parcela wtedy Wielałąka (p. 40). Przy tej zatem Wielejłące musiała leżeć gdzieś siedziba ówczesna Głąba i jego rodziny — Głąbowice w ściślejszem znaczeniu. — Po zgonie ojca gospodarzyli na temże miejscu czas jakiś jego synowie, a po nich wnuki; potem jednak nastąpiły przykre dla nas okoliczności. Dokuczał im niepomiernie jakiś możnowładny sąsiad. Kwiatek tego już nie pamiętał, jak on się zwał — miał to być »dziad niejakiego Mojka« (str. 41). Opresyi tego napastnika nie chcąc znosić dłużej ci ludzie, wynieśli się z ruchomościami swemi, a pewnie i z budynkami z tej okolicy [1]), i pod przewodnictwem Kwiatka poszukali sobie siedziby w pobliżu gdzieindziej, założyli ową osadę, której położenie i nazwa już nam są znane. To przesiedlenie, o ile z opowiadania wnosić możemy, odbyło się zupełnie samowolnie, a bez niczyjego zaprzeczenia im prawa do tego. Przynajmniej nie wzmiankuje nic o tem księga, żeby czy to na porzucenie dawnej siedziby, czy na założenie nowej, było od księcia lub od kogokolwiek innego zezwolenie potrzebne i otrzymane [2]). — Opustoszałe w ten sposób miejsce (fakt ten

---

już przodek jego tegosamego imienia był pierwszym posiedzicielem owego lasu, to go chyba dostał od tego monarchy albo od jego syna Władysława Wygnańca (więc przed 1146), a nie od Bolesława Wysokiego, który dopiero r. 1163 wstąpił na tron.

[1]) Że w owym czasie było zwyczajem uskuteczniać takie przenosiny wraz z budynkami, opowiada nasza księga z okazyi innego zajścia, zdarzonego w r. 1305, na str. 102.

[2]) Ostrzec tu muszę jednakże czytelnika, że jeżeli powiadam, iż to »sąsiad« Głąbowiców ciemiężył, to tylko z mego domysłu. Księga bardzo lakonicznie się o tem wyraża. *Postmodum vero heredes ejusdem rustici, ab avo cujusdam Moykonis in illo loco oppressi, transtulerunt se ad montem, ubi nunc pomerium juxta curiam claustri consistit.* To już wszystko. Byćby więc mogło, że stosunek Głąbowiców do tego ciemiężcy był całkiem inny, że to był *comes* nad owym powiatem: a w takim razie wzmianka niniejsza pod względ-

mógł zajść w ostatnich 10 lub 20 latach XII stulecia) stało przez czas długi pustkowiem. Między rokiem 1215 a 1220 zajął je za zezwoleniem Henryka Brodatego jako niczyją własność kanclerz książęcy Mikołaj i wcielił je do swojej, już wtedy skommasowanej wsi, w której w r. 1227 osadził Cystersów. — Dopóki żył ten fundator klasztoru, nikt nie śmiał ani jemu ani zakonnikom zaprzeczać prawa do Głąbowic, bo to był człowiek potężny. Ale już w kilka miesięcy po dokonanej fundacyi zakończył kanclerz Mikołaj życie. — Mieszkał wtedy w pobliżu, o dobrą milę od Henrykowa, pewien rycerz *(miles)*, Stefan zwany Kobyla-głowa, a to od wsi tego nazwiska, którą posiadał. Pożądliwem on okiem nie od dzisiaj spoglądał na ten las, posiadany przez mnichów, i tylko czyhał na sposobność, żeby go sobie przywłaszczyć. Ta sposobność się nadarzyła z śmiercią kanclerza. Cóż tedy robi nasz Stefan? Podbechtuje osiadłych tuż przy jego Kobylej-głowie »dziedziców« cienkowickich *(heredes de Cenkowitz)*, którzy się zwali Piroszewice, a to od dziada swego Pirosza, ażeby ten las jako dziedziczną swoję własność odebrali Cystersom. Jakoż już w roku następnym (1228) występuje przed księciem Henrykiem Brodatym cała ta rodzina gromadnie, i »jako właśni książęcy *rustici*, a i bogaci i dziedzicami cienkowickimi będący«, zagadują go temi słowy: »Książę panie *(domine dux)!* Ten las został nam wydarty przez prepotencyą księdza Mikołaja, twego pisarza! Myto jesteśmy, którzy dziedzicznem prawem powinniśmy, *si est gratia tua*, odzyskać tę naszą własność! Bo stary Głąb był brat rodzony Pirosza, a Pirosz był naszym dziadem«. — Twierdzenie to albo musiało być (co do braterstwa Pirosza z Głąbem) kłamliwe, albo

---

dem społeczno-historycznym miałaby nierównie więcej znaczenia. — Kto zaś był ten *„quidam Moyko“*? — Za Henryka Brodatego piastował jakiś *„comes Moyco“* kasztelanię głogowską (»Lib. fund.« dokum. z r. 1239, nr. VI). Może to ten?

nieuzasadnione — nieuzasadnione o tyle, że skoro Głąb, a nie brat jego Pirosz, został obdarzony tym lasem, zatem nie Piroszewicowie mogli uchodzić za spadkobierców po Głąbie, lecz Głąbowicowie kwiatkowiccy tuż przy Henrykowie osiadli, którzy wszelako wcale wtedy nie dbali o ten swój spadek. — Książę jednak, jak sam później rzecz tę przedstawia w dokumencie odnośnym (*L. f.*, nr. III na str. 150), dał się otumanić obcesową tą reklamacyą. Uwierzył Piroszewicom »jako swoim własnym rustikom«[1]), i oświadczył, że las ów jako nieprawnie posiadany klasztorowi odbiera i przyznaje go prawym Głąba potomkom. — Na to tylko czekał Kobyla-głowa. Staje przed księciem i przyprowadza mu cudnego rumaka, wartującego dobrze jakie 28 grzywien srebra. Książę uradowany tym darem, »żądaj odemnie, zawołał, czego chcesz, a niczego ci nie odmówię«. Na to Stefan: »O panie! Ty wiesz, że ci zawsze chętnie służę, ale mam posiadłość szczupłą! Gdybyś ten las, który teraz przeszedł w twoje ręce, mnie podarował, toż dopiero zacząłbym ci wybornie służyć!« (Zdaje się, że równocześnie otworzył też oczy księciu na to, że uroszczenia Piroszewiców nie miały żadnej prawnej podstawy). Zaczem książę przyzwał przed siebie owych wieśniaków i oświadczył im bez ogródek, że las nie im, ale Kobylej-głowie daje. — Pomijam dalsze dość szczegółowe opowiadanie o kolejach, jakie przechodziła ta sprawa. Poprzestanę na naznaczeniu, że ostatecznie zakończyła się po słuszności. Z jednej bowiem strony klasztor nie mógł przeboleć swej krzy-

[1]) Zwracam tu czytelnika uwagę na to dwa razy na str. 42 powtarzające się, z widocznym przyciskiem powiedziane *rustici proprii ducis*. Ten ich do księcia stosunek ośmielał ich do reklamacyi, w tak śmiałych słowach wyrzeczonej. Ten stosunek zjednał im u księcia wiarę... Autor niezaprzeczenie podnosi przez ten epitet *proprii*, położenie społeczne tych ludzi, a nie żeby ich zniżał na coś gorszego, na poddańców książęcych, jakby się to zdawać dziś mogło ze znaczenia tego wyrazu *proprius*.

wdy. Z drugiej strony nie miał i Stefan pożytku z tej darowizny. Jeżeli ów las miał przynosić jakie korzyści, to trzeba się było w nim rozgospodarzyć, zaludnić go siłą roboczą, a nasz *miles* nie miał na to potrzebnych środków, »bo biedny był«. Stał więc ów obszar przez lat kilka pustkowiem — szukano na niego kupca, lecz w owych czasach o takie rozłogi bezludne nikt nie dbał (p. 42). Skończyło się ostatecznie więc na tem, że za przyzwoleniem książęcia w r. 1234 klasztor zwrócił Kobylej-głowie owe 28 grzywien za konia darowanego księciu i powrócił w posiadanie swej prawowitej własności, zwanej odtąd Bukowiną (str. 44). — Ale i na tem nie koniec! W przeszło 60 lat później, w r. 1296, pojawił się pewien tym razem już rzeczywisty potomek starego Głąba, jego praprawnuk w prostej linii, imieniem Mikołaj. Albowiem pradziadem tego Mikołaja, a synem Głąba był Konkoder, a Konkodra syn zwał się Michał, a ten był dziadem tegoto Mikołaja. Ten tedy człek, pomimo że był (jak to księga podnosi) ubogi i bez żadnych środków na prowadzenie procesu, i nie zważając ni na to, że w posiadaniu Bukowiny przez klasztor dawno zaszło przedawnienie, zaczął się przed urzędami odgrażać, że będzie przeciw klasztorowi dochodził praw do tej swej ojcowizny. Dla świętego spokoju i z uwagi, że lepsza słomiana zgoda, niż złoty proces, wypłacono reklamantowi tytułem odczepnego 2 grzywny srebra i tą kwotą umorzono jego pretensye. Zezwolił wtedy dopiero ów wieśniak na wystawienie publicznego w kuryi książęcej dokumentu, mocą którego w swojem własnem i spadkobierców swoich imieniu zrzekł się praw wszelkich na przyszłość do niepokojenia Cystersów o tę posiadłość. (*Lib. fund.* str. 192, dyplomat z r. 1296 nr. 42).

Po tem wszystkiem niech mi się godzi zapytać, czy to może uchodzić za prawdę, że t. zw. *rustici ducis*, inaczej nazywani »dziedzicami«, nie byli niczem więcej, jak tylko dziedzicznymi ze swych gruntów czynszo-

wnikami, a rzeczywistego prawa własności do swych dziedzictw nie posiadali? A cóż dopiero powiedzieć o owych innych w obiegu będących teoryach i hypotezach co do położenia społecznego ludzi tej klasy.

Żukowicowie. Do tychsamych dochodzimy wyników i wobec wszystkich innych, tej klasy ludzi dotyczących miejsc w tym pamiętniku klasztornym. Nie wszystkie wprawdzie mają tyle dla nas interesu, co tamten wywód, warto jednak i mniej ważne omówić choćby pokrótce.

Tak np. osada *Sucowiz* (Żukowice?), wspomniana tu na str. 16. Dziś ona już nie istnieje i niewiadomo, jak się zwała: Żukowice, Zuchowice czy Suchowice. Leżała właśnie w miejscu, gdzie zbudowano sam gmach klasztorny, kościół. W owych czasach, kiedy znany nam już kanclerz Mikołaj zaokrąglał swoje Henrykowo, stały Żukowice już pustką i to był powód, że przyłączył on za przyzwoleniem książęcem i tę miejscowość do swej wsi. Kiedyś dawno jednakże roiła się i ta dziedzina ludnością. Siedzieli w niej wieśniacy, znowuż nazwani *rustici ducis*, i posiadali sporą przestrzeń ziemi *(bonam terrae quantitatem)*, a dwaj z nich, Krzepisz i »Such« (może Żuk? Zuch?), »górowali nad drugimi potencyą«. Trzeba było, że właśnie ci dwaj prewodyrowie osady pokłócili się ze sobą. W bójce zabił jeden drugiego, tak iż zginęli obydwa. Po tem zajściu cała reszta osady rozpierzchła się *(dispersi sunt)* w różne strony. Zostało tylko niebo i ziemia. — A zatem, choć *rustici ducis*, nie byli to poddańcy przytwierdzeni do gleby. Poszli, gdzie im się podobało i nikt im tego nie bronił. Księga nie użyła tu wyrazu »zbiegli, uciekli«, owszem mówi o tem zdarzeniu jako o rzeczy powszedniej, codziennie praktykowanej.

Kołaczowicowie. Wspomnę jeszcze o Kołaczowie (str. 17). I tej osady niema już z dawien dawna. Nazywano tak »w starych czasach«, powiada nasz opat,

rozległy obszar leśny, w obrębie którego później (jeszcze w wieku pewnie XII) powstały aż 4 wsi: Skalica, Radzice, Witostowice i Jaworowo — wszystkie nie bardzo od Henrykowa odległe. Otóż nad tym całym kompleksem, *per multa nemora in circuitu et silvas*, panował *(dominabatur)* czasu swego stary *rusticus ducis* nazwiskiem Kołacz, i siedział w grodzie *(castellum)* po za rzeką Oławą. (Pytam się, czy ten Kołacz, rezydujący w grodzie i dominujący nad takim obszarem, wygląda na książęcego poddańca, na niewolnego człowieka). Zszedł z świata w bardzo późnej starości. — Za czasów kanclerstwa Mikołaja, późniejszego fundatora Cystersów, mieszkało jeszcze potomstwo Kołacza, oczywiście nie synowie jego, lecz generacye już dalsze, w rzeczonym grodzie, lecz wiodło im się już wtedy źle: zubożeli, podupadli, z dawnej własności też ziemskiej niewielka już wtedy ilość zostawała w ich rękach. A że kanclerz i tej części dawnej Kołaczowszczyzny potrzebował do zaokrąglenia swego majątku, więc bez wielkiego trudu, »z ich dobrą wolą, dawszy im odpowiednie wynagrodzenie«, e l i m i n o w a ł ich z tego miejsca i przyłączył te grunta do Henrykowa [1]).

Bobolice. Do tejsamej klasy ludzi należeli i b o b o l i c c y d z i e d z i c e *(heredes de Bobolic*, str. 24). Wieś Bobolice leżała także gdzieś w pobliżu Henrykowa, obecnie ani śladu po niej. Siedziała tam cała gromada rodzin, złączonych z sobą rodowym węzłem *(cognatio)*. W pierwszym roku panowania Henryka Pobożnego (1239—41) dopuściło się czterech z pomiędzy

---

) Eliminacyą zwie nasza księga to, co ten wyraz właściwie znaczy: spowodowanie kogo, żeby się przeniósł gdzieindziej, ale bez krzywdy, bez gwałtu i za odpowiedniem wynagrodzeniem. Porównaj np. str. 37 i nast., fakt z r. 1254. Nazywają jednak źródła późniejsze eliminacyą niekiedy i brutalne, nieprawe wywłaszczanie włościan. Jest to w takich razach eufemizm i tylko upozorowanie bezprawia, którego przykładów w wieku zwłaszcza XV nie brak.

tych krewnych: Przybysław, Wojsław, Boguchwał i Gostach — rozboju. Oskarżeni i przekonani o zbrodnię, zostali skazani na szubienicę. Na mocy prawa polskiego mogli się oni wprawdzie wykupić od śmierci karą pieniężną, ale cóż, kiedy nie mieli pieniędzy. Zatem zadecydował książę Henryk, żeby ich dziedzictwa wystawić na sprzedaż i ceną kupna tę karę pokryć. Najbliższe prawo do nabycia tych gruntów służyło krewnym skazańców; ci atoli oświadczyli, że nie mają ich za co kupić i że niech je sobie kupi, kto zechce. (Więc zrzekli się swego prawa). Wtedy sam książę namówił zwierzchność klasztorną, by te ziemie, tak blizkie Henrykowa nabyła. Tak się też stało, kupił klasztor tę część Bobolic za 19 grzywien sr.[1]). Tą kwotą zostali wykupieni owi zbrodniarze od śmierci. Dokument z roku 1239, wystawiony z okazyi tego zdarzenia, dołączył autor księgi w autentycznem i całkowitem brzmieniu do niniejszego wywodu (str. 24 i nast.). — W niewięcej jak 8 lat później, żal się zrobiło pozostałym dziedzicom bobolickim, że taki ta rzecz wzięła obrót, i zapozwali Cystersów przed sądy o ten nabytek jakoby posiadany nieprawnie, albowiem oni mają bliższe prawo do niego, będąc »braćmi« owych skazańców. Rzecz przyszła przed sąd baronów — obronę zaczepionego zakonu wziął na siebie sam książę już wtedy panujący, Bolesław Łysy, zdawszy rezydencyę sądu przez tę chwilę komu innemu. Wygrał proces, ale tylko z tego tytułu, że wtedy, kiedy te grunta były wystawione na sprzedaż, bobolicey heresowie nie chcieli ich kupić, zatem za ich przyzwoleniem wszedł klasztor w ich po-

[1]) W owym czasie wartość łanu w tej okolicy, jak z różnych miejsc *Libri fundationis* wynika, wynosiła odpowiednio do dobroci gleby od 7 do 12 grzywien srebra. W najlepszym zatem razie część ta Bobolic kupiona wtedy za 19 grz. mogła trzymać dwa a najwięcej trzy łany.

siadanie. Dyplomat urzędowy na to wystawiony z r. 1247 także tu jest dołożony do tekstu (str. 26).

Nastręczają się tu następujące uwagi. 1. Gdyby owi czterej *heredes de Bobolic* byli mieli na swych gruntach (rzekomo prawno-prywatnie książęcych) tylko czynszową »osiadłość«, a nie istotnie dziedziczne prawo własności, a cóż dopiero, gdyby to byli niewolni poddańcy książęcy: w takim razie byłby książę zrobił krótki z nimi proceder i nie byłby potrzebował sam szukać kupca na grunta s w o j e, lecz byłby je skonfiskował i osadził kim innym. 2. Gdybyśmy sobie wystawiali, że to były grunta właściwie książęce i czynszowe, to klasztor nabywając takowe, byłby co do nich zajął takiesamo położenie względem księcia Henryka, w jakiem aż dotąd zostawali dawniejsi posiedziciele. Tak się wszelako nie stało. Ta część Bobolic stanowiła w rękach klasztoru równie dobrą jego własność, jak wszystkie inne wsi do Henrykowa należne. A zatem i owi skazańcy byli prawdziwymi onych właścicielami. Żeby zaś było to skutkiem jakiejś może prerogatywy pozyskanej przy kupnie, o tem nie mówi dokument, a z pewnością nie pominiętoby tego milczeniem. 3. Reklamacya podniesiona później przez »braci« owych szubieniczników nie byłaby mogła być przedmiotem rozpatrywania przed sądem baronów i to tak, że aż sam monarcha w roli tu adwokata wystąpił, gdyby strona pozywająca była należała do klasy ludzi w prywatno-prawnym sensie księciu podwładnych, a nieposiadających właściwego w pełnym sensie prawa własności. — Te wszystkie okoliczności tak biją w oczy, tak obalają całą teoryę obiegową co do znaczenia »heresów«, że ażeby trudność obejść, chciano w tych bobolickich zbójach upatrywać szlachtę, a już co najmniej włodyków [1]). Na to jednak nie dostarcza nasza księga ani cienia dowodu. A to, że ich do klasy *heredes* zwanej zalicza, i cały przebieg

[1]) Dr. Piekosiński, Obrona hypotezy najazdu, str. 125.

wypadku, niemniej i ton w jakim to opowiedziane — dowodzi rzeczy przeciwnej. »Prawo bliższości« w sprawach spadkowych, do którego się tu odwoływano, niczego nie dowodzi na korzyść tego wybiegu. Prawo bliższości było tak dobrze prawem szlachcica albo włodyki, jak i prostego człowieka, jeżeli tylko był wolnym i od nikogo w prywatno-prawnym sensie niezawisłym krajowcem. Widzieliśmy to na Piroszewicach, widzieliśmy na owym Mikołaju, potomku Głąba, który w r. 1296 niepokoił Cystersów o część Głąbowic, a niżej ujrzymy i więcej takich przykładów.

Skalice. Ażeby na nie długo nie czekać, zróbmy już tutaj znajomość z dziedzicami skalickimi *(heredes de Skaliz*, str. 27 i nast.). — Nadmieniłem gdzieś wyżej, że w obrębie owych borów i lasów, nad którymi stary Kołacz niegdyś »panował«, a zwały się Kołaczowo, stanęły w dalszych po nich pokoleniach aż cztery osobne wioski: Witostowice, Jaworowo, Skalica (może raczej Skalice) i Radzice (sr. 17). Co do Witostowic tyle tylko wynika z tej księgi, że tę nazwę później zmieniono na Jansdorf (str. 145). Jaworowo, miejscami zwane Jaworowice, dziś podobno Jaurowitz, było w środku XIII w. książęcym folwarkiem *(praedium)* i obejmowało 16 małych łanów gruntu (str. 32 i 36). Wieś Radzice była ojcowizną »dziedziców« i poznamy się z nimi niżej. Do tejże kategoryi »dziedzin« należały i Skalice, o których tu mówić mamy, nazywane w księdze Skaliz, w dokumentach z środka XIV w. już przechrzcone na Stein, a później nie wiem dlaczego na Reumen (pod Münsterbergiem). W owych latach, kiedy Henrykowo było jeszcze zwykłą wioską z prostym parafialnym kościołem, żył przy tym kościele jako pleban ksiądz — i ten imieniem Mikołaj, rodem ze Skalic. Posiadał on tam w Skalicach wespół z bratem swoim rodzonym Stefanem dziedzicznem prawem spory kawał ($^1/_3$) skalickiego obszaru, podczas gdy reszta gruntów należała do jakiej może

piętnastki osobnych rodzin, które i pomiędzy sobą i z tymi dwoma braćmi były rodowo spokrewnione (str. 30). Na pytanie, które się tu samo nastręcza: czy te rodziny pochodziły z pokolenia pierwotnego właściciela tych dóbr, t. j. Kołacza? księga nasza nie daje odpowiedzi. — Całe terrytoryum skalickie, jak się to niżej okaże, mogło trzymać około 25 łanów. Trzecia część tej przestrzeni, a więc jakie 8 włók, należała do rzeczonych dwóch braci; pomimo tego powodzenie ich majątkowe niedomagało. Pleban Mikołaj wprawdzie miał się jako tako, bo pobierał dziesięcinę z całej niegdyś Kołaczowszczyzny i z Henrykowa; ale Stefan, człowiek świecki, żył w biedzie *(rebus temporalibus valde modicus fuit)*. Stan społeczny naszych braci określa dostatecznie stały im tu nadawany tytuł *heredes*. Żeby zaś komu nie przychodziło na myśl upatrywać w nich przecie szlachciców albo włodyków, nadmieniam już tu, choć to do późniejszych czasów należy, że potomkom tych ludzi ze Skalic służył w początku XIV wieku (wtedy dopiero zdarzają się częściej takie przy imionach osób dodatki) — tylko epitet s ł a w e t n y i r o z t r o p n y *(discretus, providus)*, nie przystający jak wiadomo do innej klasy, jak do mieszczańskiej, a po za obrębem mieszczaństwa do tej właśnie warstwy, pomierny środek w społeczeństwie zajmującej. — Powstającą w r. 1227 w Henrykowie fundacyę kanclerza Mikołaja powitał nasz ksiądz Mikołaj z radością. Dziesięcina od wszystkich gruntów klasztornych spływała do jego stodoły. A ponieważ ziemski majątek tych zakonników, szczególnie w pierwszych czasach, rósł jak na drożdżach, więc i co do dziesięciny otwierały się przed naszym plebanem jak najpomyślniejsze widoki. Rzecze on tedy pewnego razu do brata Stefana: Prebenda moja od czasu przybycia tu mnichów tak tłuścieje, że zbiera mnie ochota darować moję schedę w Skalicach temu zakonowi na wieczną własność. Stefan częścią z nabożeństwa, częścią z rachuby, przystał na to po-

stanowienie brata, a nawet dodał do tej ofiary i coś ze swego. W takichto okolicznościach stały się własnością Cystersów dwie trzecie części gruntów posiadanych przez tych dwóch braci w Skalicach, mniej więcej $5^1/_2$ łanów, a reszta tego dziedzictwa została przy Stefanie. Ofiara ta, po dokonaniu już rzeczy, została notyfikowana w r. 1233 księciu panującemu Henrykowi Brodatemu, bawiącemu podówczas w Niemczy; dokumentu na to jednak nie wystawiono, gdyż go klasztor wtedy nie żądał (str. 28). — Już w kilka dni po tem zdarzeniu spotkał naszych dobrodziejów klasztoru nieprzewidziany zawód i kłopot. Tak się bowiem rzeczy złożyły, że wizytujący właśnie swą dyecezyę biskup wrocławski Tomasz I, świeżo wtedy wyniesiony na tę katedrę i niebardzo obeznany ze stosunkami prowincyi (pono pochodził z Wielkopolski, z rodu Jelitów), zajrzał po drodze i do Henrykowa. A kiedy zakonnicy, jak to zawsze u nich było zwyczajem, zaczęli przed nim na swój wielki niedostatek wyrzekać i wygadali się z tem, że z swej chudoby uiszczają dziesięcinę swemu kapelanowi, przyzwał biskup księdza Mikołaja przed siebie, zgromił go zato, że śmie tak ubogi konwent obdzierać, i oświadczył, że od tej chwili musi to ustać. Biedny pleban zapomniał języka w gębie — nie odpowiedział na to nic. Ogołocony z dochodów, biedował tam tylko jeszcze dwa lata. Wreszcie zaniósł opatowi klucze od swej kaplicy, zrezygnował ze wszystkiego i poszedł w świat. Znalazł ostoję w Kamieńcu (dzisiejszy Camenz), gdzie wstąpił do zgromadzenia Kanoników reguły świętego Augustyna. — Ten obrót rzeczy oddziałał oczywiście niedobrze i na dolę siedzącego na swoich $2^1/_2$ łankach w Skalicy brata plebanowego Stefana. Wyżyć mu z tej dziedzicznej parceli już było ciężko, walczył z losem przez parę lat — wreszcie zdecydował się sprzedać tę ziemię. Nabywcą — był znowu klasztor: dano mu za to 27 grzywien. To zaszło w r. 1239. Ale rządzący już wtedy konwentem

drugi z kolei opat, imieniem Bodo, uznał tym razem za potrzebne, postarać się tak na to kupno, jak i na dawniejszą darowiznę o urzędowy akt. Wyprawił więc do Oleśnicy, gdzie wtedy młody władca tej części Szląska, Henryk II, właśnie przebywał, zakonnika swego Piotra (późniejszy opat i autor naszego źródła), wraz z owym Stefanem do księcia, by tam wszystko, jak się odbyło, po formie i zwyczaju zeznali i »notyfikując« rzecz urzędownie, zatwierdzenie na to dostali. Relator nasz, jako świadek naoczny i główna działająca osoba, opowiada przebieg tej audyencyi nie tylko z wszelkiemi szczegółami, ale i dosłownie przytacza, co i jak tam przemawiali do księcia. Wynika z tego najniewątpliwiej, że nie chodziło im bynajmniej o to, by monarcha udzielił pozwolenie na tę alienacyę własności, ale żeby kupno już zapłacone i darowiznę od lat już w posiadanie klasztoru wziętą do wiadomości przyjął, w sensie publiczno-prawnym zatwierdził i dokumentem urzędowym na wieki wieków umocnił. Do czego się też Henryk bez żadnej trudności przychylił i »tejże godziny« kazał wystawić dyplomat, włożony w to opowiadanie w całej swojej osnowie (str. 30).

Jeżeti z tem porównamy, jakichto zabiegów, jakich forteli, jakich protekcyi wysokich czasu swego trzeba było zażyć kanclerzowi Mikołajowi, kiedy się nosił z zamiarem swojej fundacyi, żeby w szczęśliwej godzinie, przy dobrym humorze i po sutej biesiadzie skłonić księcia i pana swego do zezwolenia na tę fundacyę i na wyposażenie jej dobrami, które posiadał, co wszystko jak najdokładniej w odnośnem miejscu opowiada nasza księga (str. 5 i nast.): to przyjdziemy do przeświadczenia, że prawo tych »sławetnych«, jak ich później tytułowano, dziedziców do swych drobnych »dziedzictw« chyba jeszcze było warowniejsze, aniżeli prawo do dóbr sobie nadanych takiego dostojnika i potentata i ulubieńca książęcego, jakim był pod ko-

niec życia fundator henrykowski. Lecz wróćmy do głównej materyi.

Pomimo że w przywileju co tylko tu wspmnianym z roku 1239 nie pominięto klauzuli, że alienacya tych gruntów w takich się dokonała okolicznościach, że raz na zawsze odjęte jest prawo krewnym pozbywców do odkupienia napowrót tej posiadłości: stało się jednak, że w 20 lat później, w r. 1259, syn jedynak owego Stefana, imieniem Jan, pokusił się o obalenie tego wszystkiego, co nieboszczyk ojciec i stryj jego zrobili. Tę reklamacyę swoję uzasadniał ten syn Stefana tym argumentem, że kiedy ojciec jego odprzedawał swój grunt Cystersom, on był maleńki *(parvulus)*, więc nie dał i nie mógł dać na tę sprzedaż przyzwolenia swego (str. 31). Zamiaru odebrania ojcowizny wprawdzie nie dopiął, albowiem, jak sama ta księga nadmienia, był to niezasobny i mały człowieczek *(exiguus et rebus modicus fuit)*. Opat jednak, pomimo tego stanu rzeczy, uznał za rzecz najmędrszą, nie wywoływać wilka z lasu i bez wrzawy zgodnie sprawę zakończyć. Przydzielił rzeczonemu Janowi na wieczną dziedziczną własność dwie małe włoki k m i e c e w innej wsi swego klasztoru, w lokowanym na prawie niemieckiem Schönwalde, jednakże zastrzegając w dokumencie odnośnym, że to są włoki wolne od czynszu i od wszelkich innych na rzecz klasztoru prestacyi [1]). Po takiej dopiero odprawie przyzwolił ów syn Stefana na umieszczenie w tym akcie klauzuli, że »w obec księcia i jego baronów, w swojem własnem i dziedziców swoich i współrodowych *(cognati)* swoich imieniu, zrzeka się wszelkiego prawa, jakie na dziedzictwie tem w Skalicach miał i mieć mógł« — formuła dosłownie tasama, jakiej szlachta używała alienując swe dobra.— Inne działki wsi Skalic, ale nie wszystkie, ponabywał

[1]) Dokument z r. 1259 p. 31 i nr. 14 na str. 101. Porówn. dokument z r. 1272 nr. 24 na str. 172.

klasztor od innych »dziedziców« z tej wsi przed rokiem i w roku 1250: dotyczący tego dyplomat z tegosamego roku (nr. 9 na str. 156) podaje imiona tych pozbywców — było ich wszystkich dziewięciu. Ostatnie reszty skalickich gruntów zostawały w posiadaniu pierwotnych właścicieli jeszcze w początku XIV stulecia. Tak np. opiewa przywilej z r. 1310, oddrukowany tu pod nr. 59 na str. 210, że *vir discretus* Jaśko ze Skalic odprzedaje *provido viro* Racławowi ze Skalic półtrzecia łanu, z którychto łanów jeden leży w Skalicach, a półtora w sąsiedztwie. W lat 11 później wyszła jednak i ta cząstka z posiadania Racława, co do której akt odnośny i o tem jeszcze nas powiadamia, że był to wolny łan (str. 211, nota).

Radzice. Szczególnie pouczający jest rozdział, który traktuje o osadzie Radzice (pag. 97 i nast.) i o »dziedzicach radzickich«, nazwanych w dyplomacie urzędowym i dziedzicznymi właścicielami (*hereditarii possessores praedictae villae*, str. 101), więc tak, jak tę klasę ludzi zowie bulla papieska dla Gniezna z r. 1136. Nadmieniłem o Radzicach już wyżej, że była to jedna z owych czterech wsi, które stanęły na pniu dawnej Kołaczowszczyzny. Wioska drobna (*villula*, str. 106 i n.) z areałem co najwyżej 13 łanów. Dziś zwie się Rätsch, ćwierć mili od Henrykowa — kiedyś zapewne Radzice, w księdze bowiem przeróżnie tę nazwę kaleczą: Ratiz, Ratschitz, Rathschitz, nawet Rascihci. Pierwotny posiadacz tej dziedziny, nienazwany z imienia (zapewne Rad), przypada życiem swojem jeszcze na wiek XII. Czy szedł z pokolenia Kołacza, czy z innego jakiego rodu, tego pytania źródło nasze nie wyjaśnia. Czterej jego synowie zwali się Gniewko Woda, Jan Rzeźnik, Czesko (Czesław) i »Supzi«, który pewnie najstarszy był między nimi (w dokumencie pewnym późniejszym wspomniano go pod imieniem Zupitus, str. 181); a żyli oni za panowania Henryka Brodatego i posiadali urzędzik t. zw. komorników, t. j.

woźnych i poborców podatkowych, z któregoto powodu uchodzili za dręczycieli ludzi biednych, którym się dawali w znaki [1]). Tak jak wszyscy razem wykonywali tę funkcyę, tak też i w domu żyli w wspólności. Wszelako po niejakim czasie zażądał Supcy dla siebie osobnego działu i osobnego mieszkania. Więc wystąpił ze spółki z swoją jedną czwartą dziedzictwa, podczas gdy trzej inni bracia i nadal do samej śmierci zostali ze sobą »w jednym domu, na jednym chlebie«. Czas okazał, że te działy nie miały wyjść Supcemu na dobre. Kiedy bowiem niedługo potem zaszła ta okoliczność nieprzewidziana, że dwóch z owej trójki niepodzielnie żyjących braci zeszło bezdzietnie: zagarnął trzeci (Gniewko) całe trzy czwarte części dla siebie, a Supcy musiał poprzestawać na jednej czwartej. Takie bowiem było ustanowienie i prawo wspólności majątkowej. — Pod względem położenia towarzyskiego, wątpliwości nie podlega, że to byli tacy sami *rustici*, jak reszta omawianych powyżej osób. Wskazuje na to dawana im nie tylko w tekście księgi, ale i w dokumentach nazwa *heredes*. A stwierdzają to i uboczne okoliczności, np. sposób życia i jaką śmiercią pomarli. Tylko Supcy skończył zgonem odpowiednim swej urzędowej godności. Występując jako woźny przed sądem w Niemczy przy jakimś procesie, padł paraliżem ruszony. Inni poginęli marnie. Jan Rzeźnik z przeziębienia, którego się nabawił leżąc na przemokłej murawie, na pastwisku za dworzyszczem swojem, gdzie pasał konie. Czesko zginął na trąd. A i Gniewko Woda, który ich wszystkich przeżył, zakończył życie nagłą śmiercią w kuchni klasztoru henrykowskiego, gdy raz tam zaszedł i razem z czeladzią obiad w tej kuchni

[1]) L. f. p. 98: Habebant officium in curia principis, quod erant camerarii et suis calumniis pauperes crebrius molestabant.

spożywał (str. 98). Włodykę byliby przecie pewnie zaprosili zakonnicy do refektarza [1]).

Już w następnej generacyi familia tych radzickich dziedziców niepomiernie była rozrodna. Po Supcym zostało pięciu synów; tyluż ich spłodził i Gniewko: pomijam ich imiona, lecz są w księdze podane. Do tej dziesiątki głów męskich doliczyć pewnie trzeba i jakąś gromadkę sióstr: więc wyżywienie tych ludzi, ile że niemal każdy z nich i sam był ożeniony i dzietny, na szczupłej 13-łanowej wiosce, nie byłoby należało do łatwych zadań, gdyby im nie był przychodził w pomoc ów komornicki dochodzik.

W takich stosunkach dożyła ta rodzina roku 1290, w którym nastały jeszcze gorsze czasy. Dnia 23 czerwca rzeczonego roku zszedł ze świata książę wrocławski Henryk IV Probus. Umarł nagle i bezpotomnie. Dobijało się spadku po nim trzech książąt: dwaj synowie Bolesława Łysego, Henryk V Tłusty i Bolko, jakkolwiek bracia rodzeni, jeden drugiemu wróg; oprócz tego i brat tychże stryjeczny, Henryk głogowski. Udało się wprawdzie Tłustemu zająć Wrocław już w sierpniu, ale bój dalej wrzał i dawało się przewidywać, że te rządy Henryka V nie będą trwałe, i że nieprzebierający w środkach brat jego Bolko, człowiek twardy dla podwładnych, dotąd pan tylko na Fürstenbergu, jeżeli nie całem księstwem wrocławskiem, to jakąś jego częścią zawładnie. Jakoż już w październiku (1290) dobił się Bolko władzy nad tą właśnie dzielnicą Szląska, w której Henrykowo i Radzice są położone. Otóż w przewidywaniu zapewne takiego obrotu rzeczy, uznali ci dziedzice radziccy za rzecz potrzebną zabezpieczyć na

---

[1]) Że do funkcyi komorników i woźnych sądowych w dawnych wiekach przypuszczano pospolitych włościan *(rusticos)*, jest rzeczą powszechnie wiadomą. Między innemi dostarcza na to dowodu nr. 33 Kod. WPol., odnoszący się do r. 1176 albo do najbliższych lat po nim.

każdy wypadek swą przyszłość, dopóki była pora po temu. Wyprawili jeszcze w sierpniu czterech członków rodziny, dwóch synów Supcego i dwóch Gniewkowych, do Henryka V z prośbą o dokument, któryby stwierdzał ich dziedziczne prawo do Radzic. Krok ten uwieńczony został pomyślnym skutkiem. Z uwagi, jak opiewa przywilej, że *nihil firmum nec stabile* na świecie, czego nie zawaruje *littera scripta*, na zeznaniu świadków oparta — wydano petentom stwierdzone powagą księcia i rycerstwa przytomnego na sądach świadectwo, że Radzice na mocy prawa dziedzicznego do nich należą. Odnośny dokument z dnia 25 sierpnia 1290 r. zachował się w autentyku i z nienaruszoną pieczęcią, i mamy go w księdze jako nr. 34 na str. 181.

W niewiele tygodni potem przeszły rządy nad tą okolicą w ręce Bolka. Od tego je zaczął, że nakazał przeprowadzić rozgraniczenie między takiemi posiadłościami, które miały uchodzić za jego stołowe dobra, a resztą wsi stanowiących jego *dominium* (w publiczno-prawnem znaczeniu). Przy tej regulacyi stosunków okazała się istotna czy rzekoma »konieczność« zaliczenia Radzic do dóbr stołowych. W następstwie tego oświadczono naszym dziedzicom, że ich »eliminuje« książę z tej wsi [1]). Rozporządzenie to wprawdzie nie weszło w wykonanie w tej formie. Może w części zapobiegł temu ów świeżo otrzymany przywilej — może w większej jeszcze mierze uchroniło ich od tej krzywdy usilne ujęcie się za biedakami »wielu z pomiędzy rycerstwa«, którąto okoliczność księga jako główny powód podnosi; dość że o tyle złagodzono owo postanowienie, iż je zastąpiono żądaniem, »ażeby się nasi ludzie zobowiązali służyć księciu jednym koniem bo-

[1]) Co znaczyła eliminacya, objaśniłem wyżej na str. 211. Żadną miarą przeto nie można i tu rozumieć przez to prostego wywłaszczenia. Zawsze jednak niemiła rzecz.

jowym i żeby na tych warunkach dziedzictwo swoje przyjęli z rąk jego jako *feudum*« [1]).

Sens tego miejsca, sam przez się jak dla nas nie dość jasny, tłómaczę sobie tak: Zamiast tego, że aż dotąd rodzina ta wypełniała obowiązki około grodu książęcego służebne, komornickie, i w tej formie czy to w części czy może w całości wywięzywała się z tego, co inne wsi tej klasy ludzi rządowi świadczyły w zwykłych podatkowych protestacyach — zamiast tego nakazano im obecnie uiszczać natomiast służbę wojenną. Wszyscy razem, wspólnym kosztem, jednego zbrojnego jeźdźca na każde zawezwanie do boju mieli dostawiać, i pod tym tylko warunkiem zostawiono ich w posiadaniu swego dziedzictwa.

Było to zatem przymusowe przesunięcie tej wioski z szeregu wsi prestacyjnych do kategoryi rycerskich, które książę Bolko, jak z tego miejsca wynika, nazywał »posiadanemi *in feudo*« czyli feudalnemi. Tu uprzedzić mi jednak czytelnika należy, że ten wyraz *feudum* ma w henrykowskiej księdze i drugie jeszcze znaczenie. W powyższem miejscu znaczy wieś obarczoną obowiązkiem służby wojennej. W dalszych ustępach niniejszego opowiadania, a nawet w dokumentach odnośnych, rozumieć trzeba przez *feudum* nie już grunt, ale i sam w sobie wojenny ten obowiązek. W tym drugim sensie znaczyło *feudum* zarówno *passivum* na pewnej wsi (więc obciążenie własności w odniesieniu do jej dziedzica), jak i prawo, więc *activum* na niej publiczne (w odniesieniu do panującego). I w biernem i w czynnem znaczeniu przedstawia w takim razie *feudum* pewną wartość, którą, jak to zaraz zobaczymy, można było przenieść (odce-

[1]) Lib. fund. p. 99: Tandem (res) ad hoc devenit, quod ipsi de praedicta hereditate obligaverunt se ad serviendum duci in uno dextrario et sic hereditatem praedictam in feudo de manu principis receperunt.

dować) i na trzecią osobę, jeśli tego wymagały okoliczności. Ale wróćmy do rzeczy.

Powyższe zarządzenie Bolka co do radzickich dziedziców wkładało na nich wprawdzie na razie może większy i kłopotliwszy niż dawniej ciężar; byłoby im jednak mogło z czasem i na korzyść posłużyć. Niewątpliwie wynikało bowiem z niego uprawnienie tej rodziny do przejścia po jakimś czasie w stan z zawodu rycerski, w stan włodyków. Do tego jednakże nie przyszło, a to z następujących powodów.

W orszaku Bolka znajdował się pewien rycerz, imieniem Rudger z Hugowic, względem którego od dość już dawnego czasu znajdował się książę w położeniu dłużnika. Chodziło o wynagrodzenie strat, poniesionych przez tego rycerza na pewnej postronnej wojnie [1]), w którą się Bolko niefortunnie był wmieszał. Syn Rudgera dostał się tam w niewolę, postradał różne cenne przybory wojenne, a co z wszystkiego najgorsze, ubito pod nim konia takiej wartości, że sam książę Bolko przed wyruszeniem na tę wyprawę dawał mu za tego rumaka 80 grzywien srebra, lecz nie chciano go sprzedać. Te wszystkie dłużne pretensye zostały oszacowane na 100 grzywien srebra. Książę tę należytość przyznawał, ale się z jej wypłaceniem nie kwapił. Obecnie przypomniał mu to znowu Rudger. Otóż Bolko spłaca mu teraz ten dług, a spłaca go w taki sposób, że przelewa na tego rycerza owo swoje na Radzicach *activum* i jako ekwiwalent kwoty 100 grz. konferuje Rudgerowi i jego potomkom dziedzicznem prawem owo *feudum et servitium dextrarii* z tej wsi [1]).

---

[1]) Podkreślam to słowo postronnej. Gdyby był te straty poniósł na wojnie w granicach kraju, nie byłby miał żadnego prawa do ich odszkodowania. Tamta wojna była prowadzona w Brandeburskiem.

[2]) Lib. fund. str. 100: Dux feudum et servitium dextrarii de Radzic eidem Rudgero et omnibus suis posteris pro dam-

W następstwie tego wytworzył się teraz taki co do dziedziców radzickich stosunek, że wprawdzie »właścicielami« swej wsi pozostaną oni i nadal; nawet i dokumenta urzędowe, p o t e m j u ż z a j ś c i u s p i s a n e, nie szczędzą im nazwy *heredes:* ale *servitium dextrarii* będzie miał z nich już nie książę, lecz Rudger, który się właśnie przeto staje odtąd bezpośrednim onych zwierzchnikiem. Nazywa on siebie odtąd *hereditarius patronus* owej osady (str. 109, dokument); powiada przy innej sposobności, że *feudum villae Radzic* prawem kupna od księcia na niego i na jego *posteros est devolutum* (str. 101, dokument). *Servitium dextrarii* w odniesieniu do tych włościan straciło też pewnie odtąd swoje dosłowne znaczenie; gdyż nie wątpić, że zaczęto je Rudgerowi uiszczać w pewnej stałej corocznej reluicyi pieniężnej lub w naturaliach zbożowych, tak na wszystkie te jednostki odpowiednio do gruntów każdego wymierzonej i rozłożonej, że suma tej rocznej prestacyi, razem wzięta, równała się procentowi od kapitału 100 grzywien (jeżeli się obywało bez wyższych może jeszcze, nieprawych od nich z tego tytułu wymuszeń). Nie wątpić także, że i juryzdykcya nad tymi ludźmi przeszła w ręce Rudgera; nie zapominajmy bowiem, że dzieje się to już w końcu XIII stulecia, między rokiem 1291 a 1293, gdzie sądy patrymonialne nawet i nad wolnymi włościanami w takich okolicznościach stawały się w Polsce i na Szląsku już panującą zasadą.

To nowe położenie oczywiście nie szło w smak naszym dziedzicom. Około r. 1305 było członków tej rodziny już całe mnóstwo. Z linii Supcego miał tam grunt, oprócz dwóch jego synów, jeszcze żyjących, i jeden wnuk tego dziada, imieniem Mikołaj. Obok pięciu synów Gniewka Wody, którzy także jeszcze wszyscy czerstwem się zdrowiem cieszyli, siedziało na gruncie

---

nis praedictis dedit jure proprietario et sic damna Rudgero, quae perceperat, resarcivit.

już i siedmiu wnuków Gniewkowych — wszyscy pełnoletni. Ci piętnastu nie stanowili jeszcze całego kompletu gąb do jedzenia. Nie wchodzą w to kobiety; nie wchodzą różne jednostki dorosłe, które gdzieindziej, jak księga powiada, zostawały na służbie, wszelako z prawem do udziału w spadku — a cóż dopiero cała rzesza małoletnich! Byli to zatem bardzo ubodzy i biedni ludzie. Najzamożniejszy między nimi miał wprawdzie jeszcze jakie półtrzecia łanu, a drugi niecałe 2: ale reszta nie posiadała, jak po jednym, po pół-łanku, po $^3/_4$ albo po $^1/_4$ łana. A na dobitek wszystko to pozadłużane, pozaplątane w najrozmaitsze zobowiązania względem różnych wokół sąsiadów (str. 103 i nast.). Klasztorowi henrykowskiemu bardzo się też już uprzykrzyło to sąsiedztwo hołyszów. »Wreszcie spodobało się Panu Bogu, powiada nasza księga, wyprowadzić tych opryszków *(latrunculos)* z tej okolicy«. A stało się to w ten sposób, że i oni za rzecz najlepszą uznali nie biedować w tej swej wsi dłużej i posprzedawać wszystkie swoje działki Cystersom. Zaszło to r. 1305. Za całe owo dziedzictwo miał im dać klasztor razem 212 grzywien (łan po niespełna 18 grz.). Gdy jednak przyszło do ostatecznej wypłaty, musiał opat od tej ceny umówionej do 230 grz. postąpić, żeby rozwikłać różne zaplątania dłużne, o których nie było mowy na razie. Pozabierali ze sobą, z wiedzą i zgodą klasztoru, nawet i budynki swoje (str. 102, dokument). I poszli w świat, gdzie ich oczy poniosły — jeden z kwotą 40, drugi 30, inni z 27, 18, 14, 9, 6, 4, 3, $2^1/_2$ grzywien, z których jednak powinien każdy był dać coś jeszcze i drugim krewnym. Co się dalej z nimi działo, nie wiedzieć [1]).

Urzędowy akt tej sprzedaży, spisany już po wy-

[1]) Gdyby byli pozostali na gruncie, byliby przeszli w stan t. zw. kmieci, a potem w stan zupełnie podległy panu swemu, w stan chłopów, jak cała większość wtedy podobnych osad.

płaceniu kwoty każdemu należnej, opiewa: że ta czynność została dokonaną »w przytomności i za przyzwoleniem Rudgera«. Zaznaczyć tu należy tę już odmienność formy. Wszystkie dawniejsze, w powyżej opowiedzianych wypadkach dokonane alienacye gruntów tej klasy ludzi, zatwierdzał, jakeśmy to widzieli, zawsze panujący monarcha. Tu wykonało się to inaczej, ponieważ wieś ta była wyszła z pod bezpośredniej władzy publicznej i w Rudgerze otrzymała swego »patrona«. W jego więc ręce, jak się dokument z r. 1305 wyraża, złożyli dziedzice Radzic »wieś swoję, klasztorowi sprzedaną na wieczną własność, z pełnem prawem i całkowitym użytkiem *(utilitas)*, jaki z niej mieli sami« — a on dopiero urzędownie ją oddał w posiadanie nowonabywcy, zatwierdzając całą tę czynność herbową swoją pieczęcią (str. 101). Równocześnie dokonano tam wtedy i drugiej jeszcze czynności. Gdyby był klasztor na tem co dotąd powiedziano poprzestał, byłby zajął takisam co do tej świeżo nabytej wioski względem Rudgera stosunek, w jakim pod nim zostawali owi dziedzice. Tego opat nie chciał, a i dla drugiej strony nie było to pożądanem. Więc zaszła druga umowa, mocą której klasztor skupił ów ciężący na Radzicach obowiązek wojenny, owo *feudum*. Dokonano tego w ten sposób, że to *feudum et servitium dextrarii*, w wartości 100 grz. dziedzicznie służące Rudgerowi, przez rodzinę tego rycerza przelane zostało na klasztor, za zwrotem tejsamej ceny. Rzeczywiście wypłacił im klasztor za to wprawdzie tylko 50 grz., ale to tylko dlatego, że druga połowa należnej spłaty została mu przez tę rodzinę po zgonie ojca darowana w jałmużnie (str. 108). Na dokonanie tej drugiej alienacyi trzeba było już książęcego przyzwolenia i zatwierdzenia. Otrzymały je obydwie strony, synowie Rudgera i klasztor, przywilejem r. 1309, który w tekst księgi włożono na str. 108.

Tak więc przejął klasztor ten cały nowy nabytek

za cenę 230 + 50 (właściwie + 100), razem za 280 grz. łan po $21^1/_2$ grz. *Hereditas* wsi kosztowała i wartowała 230 — *feudum* na niej 100 (względnie 50) grzywien. Miały się tu zatem prawa dziedziców do prawa patrona (a poprzednio do prawa książęcego), jak 230 do 100, czyli w przybliżeniu jak 2 do 1. I otóż najdobitniejszy, bo w formułę arytmetyczną ujęty okaz istoty całego tego pod względem prywatno- a publiczno-prawnym tak skomplikowanego stosunku [1]).

Cienkowice. Powyższy przekaz (odprzedaż) praw publicznych rządowych na posiadłości prywatnej, do rąk trzeciej równie prywatnej osoby, nie stanowi odosobnionego w tej księdze zdarzenia tego rodzaju. Podobne fakta w połowie XIII w. stać tam musiały na porządku już dziennym. O jednym powiada źródło nasze w następujący sposób (str. 20 i 32).

»Kiedy poganie najechali tę ziemię (Mongołowie w r. 1241) i księcia panującego usiekli, a młodzi nasi książęta sprawowali swe pierwsze rządy, działy się tu

---

[1]) Miał klasztor henrykowski i na innej jeszcze wsi swojej ciężące takie *servitium ducale*, a to z następującej przyczyny. Między owemi kilku wsiami, któremi tenże uposażony został przez założyciela swego w chwili samej fundacyi, znajdował się i Rychnów (dzisiejsze Reichenau). W owym czasie (r. 1227) był ten Rychnów, równie jak i wszystkie inne dobra klasztorne, wolny od wojennej służby książęcej. Ale w kilkadziesiąt lat później, za rządów już Bolesława Łysego, sołtys rychnowski, nazywał się Sigfried Rindfleisch, człowiek ambitny i próżny, żeby dumie swojej dogodzić, nieproszony, niezmuszony, z własnej ochoty, zaczął księciu służbę *cum uno dextrario* pełnić. Bardzo się to zakonnikom niepodobało i wnet potem pozbyli go się z sołectwa niemałym kosztem. Postarali się o innego sołtysa, który wcale nie pożądał tych zaszczytów niby-rycerskich. To im jednak nic nie pomogło. Ciężar raz przyjęty, pozostał już na tej wsi, i dopiero za złożeniem Bolesławowi kwoty 40 grz. srebra uwolnił się klasztor od tego *servitium*. Zaszło to kiedyś przed rokiem 1278, w którym ten książę umarł (str. 95).

takie rzeczy, które za starych książąt byłyby niesłychane! Szczególnie *dominus Boleslaus* (Łysy) dopuszczał się w swej młodości wielu rzeczy niemądrych *(puerilia)*. Rycerstwo wtedy przemożnie panowało nad krajem tym i każdy grabił z dziedzictw książęcych, co mu się podobało«. Illustruje te bezprawia następujący wypadek. Mieszkał wtedy w pobliżu Henrykowa we wsi swojej Ciepłej-wodzie pewien rycerz dosyć potężny, imieniem Albert, a nazywano go Łyk. Ten w r. 1242 wyłudził od Bolesława za 30 grzywien sr. dwie wsi graniczące z jego własnością, Cienkowice i Kubice, obejmujące obszar 30 wielkich łanów. (Co do Kubic, nie wiemy, jakie tam zachodziły stosunki. Cienkowice były dziedzictwem znanych nam już *rustici ducis*, owych Piroszewiców, którzyto w r. 1228 tak śmiało rzekome swoje prawa reklamowali co do Głąbowic przed księciem Henrykiem Brodatym, ob. wyżej str. 207). Dorwał się zatem ów rycerz czy komes, bo tak i tak go autor nazywa, rzeczonych posiadłości za bezcen, a skoro cena wielkiego łanu nie wynosiła tu więcej, jak grzywnę, to rzecz jasna, że mu zato przekazano tylko chyba patronat nad temi wsiami, więc pewien tylko dochód z nich, a nie pełne całkowite prawo własności. Wszedłszy w położenie takie, powinien był ów pan Łyk poszanować prawa »dziedziców«. Lecz on postąpił sobie inaczej. »Eliminował« ludzi z tych wsi (można się domyślić, za jakiem wynagrodzeniem), wcielił obydwie do swojej Ciepłej-wody, a potem osadził to wszystko razem kolonistami niemieckimi. Sama dziesięcina kościelna z tych łanów potem przynosiła biskupowi 10 grzywien corocznie (str. 21). Ta kwota 10 grz. reprezentuje więc 10% od całkowitej z nich intraty, dochodzącej zatem sumy 100 grz. corocznie! A Łyk za 30 posiadł na wieki »tę całą substancyę«. — Nie wątpić, że nazywa tu autor »bezprawiem« właśnie to przymusowe eliminowanie prawych dziedziców z swych gruntów, które w danych okolicznościach równać się musiało

bez mała z wyrzuceniem. Sama eliminacya, po słuszności wykonana, nie byłaby go raziła, boć i klasztor uskuteczniał czasem takie czynności, jeżeli je bez krzywdy niczyjej można było przeprowadzić [1]).

Konkluzya.

Powyższe zestawienie różnych faktów, opowiedzianych w tej księdze w odniesieniu do wieśniaków wolnego stanu, nazywanych *heredes*, a ogólniejszem mianem *rustici ducales*, nie określającem dobitnie ich położenia, zdaje mi się, że wystarcza na dowód, iż bynajmniej nie była to klasa pod względem zasad posiadania tak ograniczona, iżby nie mogła swobodnie rozporządzać swoją osobą, iżby była przykutą do (cudzej) gleby, przywaloną *jugo servitutis*, słowem oddzieloną taką przepaścią od klas tworzących wyższą warstwę narodu, jak to sobie niejeden wyobraża. Byli takimi *ascripticii*. Siedzieli także na cudzych gruntach za czynszem t. zw. *hospites*. Ale to całkiem inne rodzaje wieśniactwa.

Autochtoniczni wolni dziedzice swych ojcowizn, swych po dziadach i pradziadach odziedziczonych »dziedzin«, mieli wprawdzie inne zadanie, jak włodycy

---

[1]) Raz nawet pewnego komesa klasztor usunął w taki sposób z swego sąsiedztwa. Stało się to około r. 1254. Niejaki Michał Daleborowic, komes, osadził był wieś swoję, tuż położoną przy ogrodzie klasztornym, niemieckimi przybłędami, którzy potem wyprawiali u siebie gorszące braciszków zakonnych sceny, tak iż ich tam w żaden sposób cierpieć nie było można. Otóż udało się opatowi skłonić Daleborowica do przyjęcia za tę wieś tyluż gruntów wraz z dworem gdzieindziej, we wsi klasztornej Niklawicach, do czego mu jeszcze dodano cały tak żywy, jak i martwy inwentarz. A swoją drogą musiał opat i od tych osadników poodkupować ponadawane im łany, na co wydał (razem zliczywszy) sumę 80 grzywien. Opowiada to szczegółowo przywilej Henryka III z r. 1254, z powodu tej eliminacyi wydany i przywiedziony na str. 38.

i szlachta. Ale pod względem wolności osobistej, i pod względem stosunku swego do ziemi, którą nazywali własną, nie widzę, żeby w czasach aż w wiek XIII różnić się mieli od szlachty. Była tu bijąca w oczy różnica co do obowiązków: tam prestacye na rzecz wyobraziciela państwa i jego organów — a tu obowiązek służby wojennej. Mówię obowiązek, bo rozumiem, dla czego to koniecznie prawem, a nie obowiązkiem, ciężkim i krwawym obowiązkiem nazywać. Pośrednie korzyści, obłowienie się zdobyczą, łaska książęca, sława, awans, donacye i t. d. wynikały z tego obowiązku — nie przeczę. Ale w zasadzie był to obowiązek, nie prawo [1]). Były i inne różnice: majątkowa zamożność, polor i ogłada, położenie towarzyskie, intelligencya, swoboda życia i lekki chleb między wojną a wojną, wolność od danin i powszednich usług, zupełnie uzasadniona, skoro się kto oddał cały na usługi ojczyzny. Ale pod względem tamtych dwóch, najkardynalniejszych w życiu zasad, nie było różnicy.

---

[1]) Z prawa swego wolno każdemu robić użytek albo też go nie robić. A czyż tak było z rzekomem »prawem« służby wojennej? Nasza księga (str. 89) daje na to odpowiedź. Posiadał w drugiej połowie XIII wieku pewien znacznego rodu rycerz, Polcko z Schnellenwalde w okolicy Ziębicy (Münsterberg) trzy wsi: Wiesenthal, Słuszów (dziś Schlause) i Bärenwalde. Z tych wsi powinien był miejscowemu książęciu na każde zawołanie uiszczać służbę *cum tribus dextrariis*. Kiedy w r. 1290 przeszła ta dzielnica pod rządy Bolka świdnickiego i tenże niedługo potem pospolite ruszenie ogłosił, a ów Polcko omieszkał stawić się na niem: nałożono na niego za to zaniedbanie służebności na wsiach jego ciężącej karę pieniężną w wysokości 30 grzywien — po 10 za każdego konia, a to (jak księga powiada) w myśl statutu wydanego przez tego księcia. Ściągnięcie niezwłoczne bez pardonu tej kary tak zgniewało tego rycerza, że się z dóbr w tym powiecie wyprzedał. — Ani myśleć, żeby dopiero wspomniany tu statut księcia Bolka był nałożył na dobra rycerskie te służby jako nowe jakieś niebywałe przedtem ciężały, przeciwne zwyczajom i tradycyi. On tylko rygor nałożył na ścisłe dopełnianie takowych i surowo go wykonywał. I to się tak niepodobało owemu panu.

Nawet t. zw. prawo bliższości w sprawach spadkowych służyło obydwom stanom zarówno, jakeśmy to wyżej widzieli. A zatem cała istotna różnica—w naturze obowiązków, przywiązanych do tego kawałka ziemi, jaki kto posiadał. Ci spłacali te ciężary osobistym na każde zawołanie trudem i krwią — tamci pracą w pocie czoła na ojcowiznach swoich, t. j. częścią pewną owoców tej pracy i innemi usługami na rzecz sprawy publicznej. Osobą, której się to wszystko świadczyło, był książę, ale był nią jako monarcha kraju, a nie jako pan w prywatno-prawnem tego słowa znaczeniu. Zna wprawdzie księga nasza i takich ludzi, dla których panujący był panem w tem znaczeniu. Przy sposobności darowizny Cystersom henrykowskim folwarku Jaworowa w r. 1243, darował Bolesław Łysy i dwóch kołodziejów w tej wsi książęcej klasztorowi w dodatku [1]). W tych trzeba widzieć oczywiście niewolnych ludzi. Ale o tamtych nigdy się tak nie wyraża ta księga. A że ich w granicach okolicy stosunkowo tak szczupłej, i że ich tylu przywodzi, i tak gęsto osiadłych: w tem dowód, że stanowiła ta klasa nawet i wtedy jeszcze rdzeń zaludnienia, najliczniejszy żywioł w składzie społeczeństwa szląskiego. To że tu mowa jedynie o Szląsku, to że *Liber fundationis* układano dopiero w połowie XIII stulecia, nie może osłabiać znaczenia tego świadectwa. Szląsk wtedy nie różnił się jeszcze od reszty Polski. Stosunki opisane w tej księdze w znacznej części sięgają aż w wiek XII. A jeżeli oprócz tego zważymy, że dola naszej wolnej ludności krok za krokiem pogorszała się w całym kraju w owych czasach, kiedy tę księgę pisano; jeżeli uwzględnimy, że pod koniec tego właśnie XIII wieku zaczęła znikać z widowni ta klasa jako odrębna: to z całym spokojem

---

[1]) *Dedimus etiam eidem claustro duos charpentarios ejusdem villae, Dobrossam cum suo fratre* — słowa księcia Bolesława w dokumencie z r. 1243 na str. 34.

godzi się twierdzić, że stan rzeczy tu przedstawiony nie tylko i dawniej istniał, ale nawet miał w wiekach poprzednich silniejszą konsystencyę, niż teraz, gdzie w nim tacy Łykowie z Ciepłej-wody i Rudgerowie z Hugowic nieobojętne wyłamywali już szczerby.

Chodzi mi teraz o wydobycie na jaw właściwej nazwy tej klasy. Nasza księga ma na to kilka określeń, które choć różne, w danych miejscach jednak tosamo znaczą: *heredes, possessores hereditarii, mediocres, rustici ducis, proprii rustici ducis.* W innych źródłach przybywa do tego jeszcze cały szereg innych nomenklatur: *agricolae, homines, simplices, pauperes, ingenui, incolae, terrigenae, liberi* i t. d. Każdy z wyrazów tych miewa jednak tak w henrykowskiej księdze, jak i gdzieindziej, niejednostajne znaczenia. A z tego zamętu nazwań, zdaniem mojem, to jedno tylko wynika, że co najmniej aż do końca XII stulecia żadnej stałej nazwy odrębnej dla tej warstwy ludu nie było. I rzecz to całkiem naturalna. Ta klasa wolnych stanowiła rdzeń społeczeństwa. Z niej się składał cały ogół pierwotnych mieszkańców kraju. Obok niej, w swoim czasie, nie istniały żadne inne prawnie odosobnione odcienie ludu. W ogólności, wszędzie i po wszystkie czasy, nadają się nazwy rzeczom wtedy dopiero, kiedy z konieczności chodzi o odróżnienie ich od czegoś drugiego. Pierwotna tubylcza ludność miała wprawdzie świadomość swej odrębności od cudzoziemców, których zwała niemymi, a siebie ludźmi, ludem, narodem. Określała też swą osobność w ten lub ów sposób wobec pobratymczych sąsiadów. Ale wewnętrzny społeczny ustrój nie dawał jej do tego powodu, żeby sobie nadawała jakie nazwisko. Jej położenie, jedno i równe dla wszystkich (choć przez to nie rozumiem równości w sensie np. Lelewela albo Maciejowskiego), nie potrzebowało nazwiska. Dopiero w dalszym roztoku stosunków zaczęły się w łonie tej jednoty wyosobniać prawne różnice. Od tej chwili, te egzystencye nowe,

każda od razu z swą nazwą, pociągały za sobą potrzebę odrębnej nazwy i dla owego tła społeczeństwa, na którem tamte się pojawiały. A że te nazwy dla narodowego ogółu dobierano każdocześnie wedle tego jedynie, co właśnie wyrażało miano owej świeżo zjawionej odrębności, więc stądto taka ich mnogość i różność. Tak np. w przeciwstawieniu do świeżo wytwarzającego się stanu *militum* — nie wchodzę w to, czy ich na razie zwano rycerstwem, włodykami, wojami, czy jak: przedstawiali się tamci jako rolnicy *(agricolae, aratores* i t. p.). Wojowie w swym domu byli gościem, przebywali w obozach — tamci tworzyli zwartą, stałą ludność sielską: więc byli to wieśniacy *(rustici)*, włościanie. Wojowie tworzyli przednią i zamożniejszą w narodzie warstwę: więc się mówiło o tamtych, jako o średnich, o prostych *(mediocres, simplices)*. Od czasu napływu do kraju »łazęgów« czyli hospitów, którzy także osiadali na gruntach, lecz nie na własnych, ani na dziedzicznych: biło w oczy jako znamię tamtych, odwieczne posiadanie swych dziedzin, i stąd nazwa *heredes, possessores hereditarii, terrigenae*. Kiedy nakoniec do tego przyszło, że powstał w społeczeństwie naszem ów prąd ku temu dążący, by różnice egzystencyi nie dość wybitne, a dla wielu niedogodne zacierać; kiedy się zaczął, powtarzam, prąd nieuznawania w narodzie innych różnic, jak tylko z jednej strony rycerstwa (i duchowieństwa), a z drugiej ludu, i zaczęto w to pojęcie »ludu« wtłaczać tak dotychczasową niewolną ludność wraz z hospitami, jak i tych z pomiędzy »dziedziców«, którzy czyto z braku chęci, czy z braku środków na to potrzebnych a niełatwych do nabycia, nie przyjęli na się, dopóki była pora po temu, zobowiązań rycerskich, i woleli po dawnemu, w miłym spokoju, bez krwi rozlewu *paterna rura colere* — od tej pory nastaje u nas dla tych ostatnich nazwa wolni, *liberi*. Przypada prądu tego początek na wiek XIII i w tym też czasie dopiero spo-

tykamy się w dokumentach z tą nazwą *liberi*. Właśnie walka o zachowanie im tej wolności — nie z ich strony walka, bo nie mieli oni wtedy już siły po temu, lecz walka o nich, ze strony panujących książąt, ku temu zmierzająca, żeby im prerogatywę osobistej niezawisłości nawet w takich włościach zachować, które kościołowi lub rycerstwu były nadane — przeciwnie zaś ze strony hierarchii i rycerstwa walka z wytrwałością, godną lepszego celu, ku temu wytężona, żeby i ten odcień włościaństwa porówno z innymi pod własną wziąć juryzdykcyę, a potem i dalsze z tego następstwa krok za krokiem na swoję wyzyskać korzyść, — właśnie ta walka powtarzam wydobyła na jaw tę ich znamienną od askryptów i od hospitów różnicę: wolność. Napór ten lat kilkadziesiąt trwający zakończył się niestety, jak wszystkie inne w naszym kraju między uprzywilejowanymi stanami a naczelną władzą prowadzone zatargi, zwycięstwem pierwszych. Wynikiem jego to było, że z wolnych dotąd »dziedziców« wytwarza się w dobrach kościoła i szlachty stan kmieci, więc już poddani *(subditi)* panów swoich, choć na razie z pewnemi jeszcze atrybucyami, które im wśród reszty gminu wiejskiego nadawały pewne piętno odrębne. Upadek ten wolnych włościan w dobrach prywatnych nie mógł nie oddziałać z czasem i na dolę tejże warstwy w dobrach rządowych. Zarząd domen książęcych spoczywał w rękach starostów, z tejsamej wybieranych klasy, która u siebie tamtę przeparła reformę. Postarali się oni o to, żeby kontrast położenia tych ludzi w obrębie starostw nie odbijał zbyt jaskrawie od doli kmieci gdzieindziej.

Teorye upatrujące w ludzie wolnym już od najpierwszej doby dziejowej coś tylko względnie lepszego nad pospolitych niewolników rządowych, głównie na tem się opierają, że ich źródła zowią *homines ducales, rustici ducis* i t. p., a panującemu względnie do jednostek tej klasy dają miano pana, *dominus*.

Nie przeczę, że z dzisiejszego stanowiska rzecz biorąc, można takie wyrażenia w tym sensie rozumieć. Lecz czy miały one i wtedy takie znaczenie? W kronice Galla *(Monum. Pol.* I str. 396 i nast.) występuje Piast pod nazwą rolnika książęcego *(arator ducis)*, a Popiel figuruje jako *suus dominus*. I ten *dominus*, ten pan wyniosły, zaproszony przez swojego rataja na ucztę, zstępuje do jego przedmiejskiej chaty wraz z całym orszakiem swych dostojników. Daje się gościć i raczyć, czem ta chata bogata. A po upadku tego tyrana sadzi wola całego narodu syna owego rzekomo poddańca książęcego na tronie! Pytam się, czy autor kroniki, dla tego że Piasta nazwał *arator ducis*, mógł w nim upatrywać niewolnego człowieka? Widział w nim wprawdzie w porównaniu z dworem książęcym biedaka *(pauperculus)*, rolnika *(agricola)*, ubogiego gazdę *(rusticus pauper)*. Ale za książęcą własność ani Gallus ani odwieczna tradycya nie poczytywała go nigdy. W innem miejscu (str. 408) sławi taż kronika Bolesława Chrobrego zato, że się z swymi wieśniakami nie jak pan, lecz jak ojciec obchodził. *Suos quoque rusticos non ut dominus in angariam coërcebat, sed ut pius pater quiete eos vivere permittebat.* Ani to *suos* przy wyrazie *rusticos*, ani też słowo *dominus* zdaniem mojem niczego nie dowodzi na korzyść wniosków, jakie stąd wyciągano. Kilka tylko wierszy dalej, na tejże stronicy, znajduje się takie oto miejsce: *Duces vero suosque comites ac principes acsi fratres vel filios diligebat eosque salva reverentia sicut sapiens dominus honorabat.* Jeżeli tu samo czoło społeczeństwa, *comites* i *principes*, nazwani *sui*, bez żadnej ujmy dla siebie: toć i tamtych tensam zaimek nie piętnuje na niewolników. A to słowo *dominus* widzimy zarówno tu użyte w odniesieniu do jednych i do drugich. Co tu wypisuję z Galla, znachodzimy w niezliczonych miejscach i w archiwalnych zabytkach, tak bliskoczesnych temu kronikarzowi, jak dalszych. Gdzie tylko spojrzeć, spostrzeżemy przy wy-

razach *comites, barones, milites, nobiles* i t. d. dołożone *mei, nostri,* a *ejus* albo *sui,* gdzie mowa o księciu w trzeciej osobie: a więc *mei comites, barones mei* lub *nostri, coram nobis et nostris nobilibus, coram duce et nobilibus suis* i t. d. Fundator klasztoru miechowskiego, pan z panów i jeden z pierwszych magnatów za panowania synów Bol. Krzywoustego, słowem ów Jaksa, w którym niektórzy chcą upatrywać jakiegoś księcia z za Odry, chociaż to bajka — kiedy stanie w obec Bol. Kędzierzawego, to przemawia do niego nie tylko jako do »pana«, ale do »swojego pana« *(ducem Boleslaum dominum suum familiariter adiit* i t. d. w dokumencie z r. 1198, *Kod. MPol.* nr. 375). Takiesame określenia książąt i w stosunku do duchowieństwa, do opatów i do biskupów. Ów opat polski, międzyrzecki czy trzemeszyński, imieniem Tuni za Bolesława Chrobrego, którego ten król nieraz w poselstwie do cesarza wyprawiał w czasie swej wojny z Niemcami, nie występuje we współczesnej Dithmarowskiej kronice prawie nigdy inaczej, jak z tymże zaimkiem: *abbatem suum Tuni nomine ad caesarem mittit..., post hoc abbatem suum Tuni ad nostrum imperatorem mittit...,* a Chrobry względem niego jest *eius dominus. (Monum. Pol.* I. 300, 318 i t. d.). Zaszczytną dla tych wszystkich dostojników duchownych w ustach książąt intytulacyą było *capellanus,* choć w dosłownym sensie brać tego nie należy, boć z nich żaden kapelanem książęcym nie był; zaimka *meus, noster* i t. p. nigdy im przy tym tytule nie braknie i to przez ciąg całej Piastowskiej epoki. *Capellani mei de Sulejów,* mówi w r. 1178 Kazimierz Sprawiedliwy o Cystersach tego klasztoru *(Kod. MPol.* nr. 1). *Religiosus et discretus dominus Petrus, abbas de Wąchocko, noster specialis capellanus,* wyraża się Władysław Łokietek w r. 1318 o tym przełożonym zakonu *(Kod. kat. kr.* nr. 120). O biskupie krakowskim powiada tenże Władysław w r. 1320, jeszcze przed swoją koronacyą: *sedebat circa me* (na wiecu) *episcopus capellanus meus Johannes Mu-*

scata (ibid. nr. 121). Biskupa poznańskiego Jana V obdarza regentka państwa Elżbieta w r. 1372 tymsamym tytułem *(capellanus noster specialis)*, a kilkanaście lat rychlej, w r. 1358, brat jej Kazimierz W. nazwał sam siebie p a n e m *(dominus feodali ratione)* tegoż biskupa *(Kod. W. Pol.* nr. 1663 i 1369). Podobne wyrażenia nawet i w stosunku do instytucyi, do kościołów, biskupstw i opactw. Tynieckie, w przywileju Bolesława Wstydl. z r. 1234, aż 3 razy nazwane *nostrum monasterium*, a Leszek Czarny w r. 1288 mieni siebie *heres verus et dominus specialis* tejże fundacyi *(Kod. Tyn.* nr. 17 i 36). Jego brat Władysław Łokietek, książę wtedy sieradzki, użył o sobie tejże nazwy odnośnie do kościoła w Pajęcznie *(dominus et patronus ecclesiae, Kod. Rzyszcz.* II nr. 154 z r. 1295). Klasztor lubiąskich Cystersów poczytuje w r. 1201 książę szląski Bolesław za s w o j e *coenobium* (Büsching p. 27). A i Mieszko Stary w takiż sposób swój stosunek pojmuje względem opactwa w Mogilnie (»zawezwałem przed siebie opata tego m e g o klasztoru, zapytując« itd. nr. 33 *Kod. W. Pol.*). O księciu Bolesławie Wysokim możnaby wprawdzie rozumieć, że ponieważ był założycielem lubiąskiego opactwa, z tego tedy tytułu mógł je za s w o j e uważać. Lecz ani Mieszko Stary nie fundował mogilnickich Benedyktynów, ani Bolesław Wstydl., a tem mniej Leszek Czarny, nie położyli zasługi tej względem Tyńca, ani wreszcie kościół w Pajęcznie nie zawdzięczał Łokietkowi swego początku, bo istniał on tam jakie dwa wieki już przed nim. Cały przeto powód tego niby-właścicielstwa na tem polegał, że te instytucye kościelne leżały w obrębie kraju tych książąt. Jeżeli rozbierane tu powiedzenia nie ubliżały ni fundacyom ni osobom, których to dotyczyło: to w tymże sensie brać należy te wyrażenia i w stosunku do klasy ludu, którą się zajmujemy.

Ale pójść możemy i dalej jeszcze. W jednem z nadań księżnej Kunegundy sandeckich, w dokumencie

z r. 1268, wystawionym dla niejakiego Pysza, sołtysa dwóch mających prawo niemieckie otrzymać wiosek, czytamy następujący ustęp (*Kod. M. Pol.* nr. 475): *Item scoltetus de quolibet laneo suorum hominum marcam argenti (mihi) solvere non obmittat.* Z całego kontekstu wynika najniewątpliwiej, że stosuje to owa księżna nie do sołeckich łanów, ale do łanów swoich, do gruntów po za sołectwem, i do osadników, którzy na całym wsi owych areale osiędą. Od każdego z tych osadników będzie sołtys ściągał po grzywnie czynszu — dla księżnej. Ona więc panią wsi i ludzi, a nie ów sołtys. I skądinąd także wiadomo, że osadnicy po wsiach takich zatrzymywali samoistność gospodarską, a cóż dopiero osobistą swoję wolność nawet w obec pana osady, a cóż dopiero sołtysa. I mimo tego wszystkiego widzimy tych ludzi tutaj, w dokumencie regulującym na całą dalszą przyszłość ich stosunek do rzeczonego Pysza, nazwanymi »sołtysimi«, *sui homines.* Otóż przykład, jak giętkie i jak od dosłowności dalekie bywało wtedy znaczenie takich wyrażeń.

Nie wiemy wprawdzie, od jak dawnego czasu, lecz w każdym razie już za pierwszych naszych chrześcijańskich książąt zdarzały się takie wypadki, że monarcha darząc kogo posiadłościami ziemskiemi, przydzielał mu nie same tylko czynszowe albo niewolnikami osadzone grunta, lecz i włości dziedziczne wolnej ludności. W początkach mogły zdarzenia takie być wyjątkowe: z czasem coraz bardziej w zwyczaj wchodziły. W razach takich nie była to oczywiście darowizna ludzi ani donacya ich dziedzictw, ale jedynie przelew, cesya p o ż y t k u, jaki aż dotąd miał z tych gruntów skarb publiczny, na tę trzecią osobę. Czy i prywatne osoby, rycerstwo, tak już wcześnie otrzymywało nadania tego rodzaju—na to źródła żadnej odpowiedzi nie dają [1]).

[1]) Nie posiadamy z tej epoki ani jednego dokumentu, któryby dotyczył świeckiej osoby. Wszystkie tylko dla fundacyi kościelnych.

Ale że biskupstwa i w ogólności duchowne fundacye zaliczały od niepamiętnych czasów do swego uposażenia i takie źródła dochodu, uważam za rzecz udowodnioną. Dostarcza takich przykładów już protekcyjna bulla papieska dla kościoła gnieźnieńskiego z r. 1136, przedstawiająca stosunki sięgające aż w czasy założenia tego arcybiskupstwa. Otóż: od chwili takiego przejścia dziedziny wolnego dziedzica z pod książęcej kamery w stosunek do instytucyi kościelnej, zaczęto onę dziedzinę za kościelną uważać. Tak jak owi mieszkańcy wiosek pod Sączem w dokumencie co tylko wspomnianym występują pod nazwą »ludzi sołtysa« *(sui homines)*: w tymsamym sensie, a z pewnością z jeszcze lepszem do tego prawem, nazywa gnieźnieńska bulla z r. 1136 wszystkich dziedziców wsi opola żnińskiego »arcybiskupimi« *(hi omnes possessores... archiepiscopales sunt)*, albo jak dalej, »do arcybiskupa należącymi« *(archiepiscopo pertinent)*. Taksamo rzecz ta się miała i z dziedzictwami konferowanemi klasztorom, a następnie — prędzej czy później — i świeckim panom. Z tego wynikał w najprostszej konsekwencyi taki stan rzeczy, że cała reszta, cały ogół włościan, którzy w stosunek taki nie weszli, którzy po dawnemu bezpośrednio podlegali monarsze i jego grodowi, zwali się ludźmi książęcymi, *rustici ducis*.

Człowiek mówiący o sobie: »jestem *rusticus ducis*«, a z naciskiem »jestem *proprius rusticus ducis*«, nie tylko nie wygłaszał przez to swego poddaństwa, ale przeciwnie z chlubą o sobie to wypowiadał[1]). Dawał przez

[1]) Przypominam owo miejsce z henrykowskiej księgi, dotyczące Piroszewiców (p. 42). »*Sed quia hi rustici erant proprii ducis et erant divites et erant heredes de Cienkowic, dixerunt ad ducem: Domine dux, haec silva est nobis per potentiam notarii tui violenter ablata! Nos tenemur eam possidere!*« A kilka wierszy niżej: »*Quibus dux ut suis propriis rusticis credidit et dedit silvam eisdem rusticis*«. Otóż takie prawie zuchwałe wystąpienie przed księciem owych włościan i tak skore uwierzenie ze strony księcia w pra-

to do rozumienia, że nikogo nie ma nad sobą, jak tylko wyobraziciela władzy publicznej, którego własnością w myśl pojęć tamtoczesnych był cały kraj, z wszystkiemi wsiami bezpośrednio czy pośrednio do niego należącemi, gdyż miał swoję rękę na wszystkich. W tymsamym sensie mawiał od czasu zniesienia pańszczyzny, a miejscami i jeszcze mawia o sobie kmieć galicyjski, że jest człowiekiem cesarskim, cisarskij czołowik. Przez co nie wyraża nic więcej, jak tylko, że nie podlega żadnej władzy patrymonialnej, że zna nad sobą jednę tylko władzę rządową. W oczach jego jest to dogmat, co lat temu kilka młody sąsiedniego państwa monarcha w przemówieniu w Düsseldofie wyrzekł o sobie: »Jeden tylko jest pan w kraju, a tym panem jestem ja« — słowa dumne, w ustach konstytucyjnego władcy, nie rozstrzygam czy słuszne, ale w kraju patryarchalnie rządzonym, jakim wtedy była Polska, dosłownie prawdziwe.

---

wną słuszność tego, co mu oni mówili, tłómaczy autor i usprawiedliwia jedynie tą właśnie okolicznością, że to byli *proprii ducales homines*. Widocznie chce temi słowami podnieść ich znaczenie, a nie poniżyć.

RUNY SŁOWIAŃSKIE I MIKORZYŃSKIE KAMIENIE.

Artykuł niniejszy był pisany dla »Roczników poznańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauk« i w nich publikowany w tomie z roku 1872.

Życie umysłowe w społeczeństwach słowiańskich prawdziwie godne tej nazwy, zdolne dalszego postępu, rozwijające się nieprzerwanie tak z siebie, jak z otaczających żywiołów, mianowicie wspierane zasobami wiedzy starożytnego świata, który w ciągu wieków średnich głównie zasilał potomność—rozpoczęło się dopiero po zaprowadzeniu religii chrześcijańskiej i w bezpośredniem następstwie tego zdarzenia. Wprawdzie wątpić o tem nie można, że i w pogańskich już czasach byli przodkowie nasi w posiadaniu pewnych wyobrażeń, pojęć, ideałów, domysłów, doświadczeń, podań dziejowych, które razem wzięte stanowiły pewną oświatę i że tak powiem, wiedzę onych pokoleń. Kapłani górowali nad resztą społeczeństwa pewną duchową przewagą — była zatem jakaś, im tylko właściwa, kapłańska mądrość. Lud śpiewał pieśni — posiadał zatem poezyę. Cześć bałwochwalczą praktykowano około posągów bogów, w świątyniach »misternie budowanych«: były zatem pewne początki sztuk pięknych. W gajach Prowego odbywały się co tydzień w dniach stale oznaczonych sądy publiczne: posiadano przeto i prawo zwyczajowe. W baśniach ludowych przekazywało jedno pokolenie drugiemu osnowę, na którą się składały wspomnienia przeszłości i rojenia fantazyi poetyckiej. W przysłowiach tkwiły pewniki wielowiekowej rozwagi empirycznej, którą wolno nazwać... filozofią ówczesną.

Słowem, przyznać należy i wiekom, które poprzedziły epokę chrześcijańską, pewien stopień oświaty i to w każdym prawie kierunku pracy duchowej. Pomimo tego jednak były to takie tylko zdobycze ducha, które stanąwszy na pewnym punkcie swego rozwoju, nie miały już siły iść dalej. Chodzić tylko mogło o mozolne z pokolenia w pokolenie przekazywanie onych zdobyczy, a nie o ich posuwanie stopniowe naprzód i przerabianie na pojęcia coraz bliższe istotnej prawdy.

Było tak i nie mogło być inaczej z dwóch przyczyn. Jednę z nich upatruję w tradycyjnem, w obyczaj narodowy zamienionem odosobnieniu Słowian ówczesnych od reszty świata, w skutek czego mijały wieki całe, nie zmieniając w niczem warunków bytu i wyobrażeń tradycyjnych tego plenienia. Drugą, niemniej ważną przyczynę stanowiła niepiśmienność tych społeczeństw. trwająca aż do samego końca pogańskich czasów.

Wprawdzie wiele nam do niedawna prawili zaentuzyazmowani dla starożytności ojczystej archeologowie nasi o runach słowiańskich. Wedle ich przekonania, mieli Słowianie już w epoce swojej pogańskiej zapomocą pisma runicznego posiadać wszelkie środki nie tylko utrwalania myśli swoich, ale i udzielania ich drugim. Zgodzić się jednak na to zapatrywanie nie można. Najprzód bowiem zauważyć wypada, że runy to jeszcze nie piśmienność. Wydłubane, wyrzezane, wyryte mozolnie pojedyncze wyrazy (szepty niejako) na kamieniu, kruszcu lub drzewie — to rzecz jeszcze bardzo daleka od prawdziwej mowy piśmiennej, przemawiającej żywem, pełnem ruchu i swobody wylaniem myśli. A potem, całe to przypuszczenie istnienia słowiańskich run, polega zdaniem mojem na bardzo kruchej podstawie. W świetle nieuprzedzonej krytyki okazują się te runy, jeżeli nie wierutnem urojeniem, to w najlepszym razie tak drobną, tak w tem plemieniu wyjątkową jedynie rzeczą, że sprowadziwszy ją do

zgodnych z prawdą historyczną rozmiarów, mało co z niej pozostanie, coby warte było uwagi.

Sztuka pisania została wynaleziona prawdopodobnie w Egipcie. Najpierw używano tam pisma obrazowego (hieroglifów), następnie znakowego (tak zwanego demotycznego czyli świeckiego), które więcej już było zbliżone do naszego systemu. Z Egiptu przejęli sztukę pisania Fenicyanie i przekształcili ją na pismo literowe, na któremto stanowisku rzecz ta zostaje dotąd. Od Fenicyan wzięli pismo Grecy, od Greków Etruskowie i Rzymianie, a od tych, razem z ich cywilizacyą lub później chrześcijaństwem, otrzymały je nareszcie dalsze północne narody. Każde z tych wszystkich społeczeństw przeistaczało po swojemu kształty liter przejętych i zmieniało też ich ilość i porządek wedle potrzeb swego języka. Dlatego też widoczne są między wszystkimi tymi alfabetami i podobieństwa w tej mierze i różnice stanowcze.

Runy skandynawskie zajmują odrębne stanowisko. I one wprawdzie okazują także niejakie podobieństwa do alfabetów łacińskiego i greckiego; ale nieokrzesanym kształtem swoim słuszny a dostateczny dają powód do przypuszczenia, że się z nich bezpośrednio nie wyrobiły. Musiały one przybyć — przed przyjęciem jeszcze przez tamte alfabety kształtów miłych dla oka, i w każdym razie w odległej głębi czasów jeszcze pogańskich — do tych północnych stron Europy jakąś drogą krótszą, uboczną. Musiały przybyć w niezupełnym jeszcze liter zasobie, w skutek czego mieszkańcy tych stron zmuszeni byli pomnożyć ich liczbę na własną rękę, t. j. charakterami o nowych kształtach. Rozpowszechniły się w tej postaci na skandynawskim półwyspie, w Islandyi i w Niemczech północnych. Z przyczyny, że ich tutaj odpowiednio stosunkom wieku owego używano tylko do wykuwania i rycia na materyale twardym, jakim jest kamień,

drzewo, kruszec itp. nazwano je u Skandynawców runami; *runnen* bowiem w tamtych językach tyle znaczyło, co *ritzen* (ryć, dłubać). Razem z tą nazwą przejęły później o nich wiadomość i inne języki.

Mniemane runy *słowiańskie* kształtem swoim zaledwie się w pewnych literach różnią od skandynawskich [1]). Gdybyśmy tedy nawet przypuścili, że pismo to znane było Słowianom, to i w takim nawet razie uważaćbyśmy je musieli za osobliwość zagraniczną, żywcem przez nich zapożyczoną, i właśnie przeto za nadzwyczajność tylko wyjątkowo chyba tu i owdzie w Słowiańszczyźnie praktykowaną. Pojmowanie zaś rzeczy owej odwrotne, t. j. że Słowianie byli pierwotnymi run wynalazcami, Skandynawcy zaś od Słowian dopiero je otrzymali, widzi mi się wręcz niedorzecznem.

Wszystko, co dało powód do wiary w runy słowiańskie, daje się sprowadzić do następujących punktów. Odkryto w ciągu 150 lat ostatnich bardzo wiele przedmiotów starożytnych, opatrzonych runami, a jak mniemano, niewątpliwie słowiańskich i autentycznych. Oprócz tego dwaj dawni godni wszelkiej wiary pisarze, Diethmar i Chrabr, pozostawili świadectwa, z których to niby wynika.

Chrabr, zakonnik bułgarski, w pierwszej ćwiartce X wieku żyjący, w rozprawie swej *„O pismenech“* (o literach), po starosłowiańsku pisanej, tak się w tym przedmiocie wyraził:

---

[1]) Można się o tem przekonać z zestawienia obydwóch rodzajów run, jakie dano w różnych pismach dotyczących tego przedmiotu, a najlepiej w rozprawie *Wawrz. Surowieckiego* »O charakterach pisma runicznego«, jako też w artykule Wojciecha Cybulskiego p. t. »Obecny stan nauki o Runach słowiańskich«, zamieszczonym w I tomie Roczników Tow. Przyj. Nauk poznańskiego (1860). Cybulski i Surowiecki poczytywali bowiem runy słowiańskie za własne pismo tego plemienia i różne od skandynawskich.

Przed wynalezieniem liter słowiańskich przez św. Cyrylla, »Słowianie ksiąg nie mieli, lecz kreskami i karbami (»czrtami i rêzkami«) *czytali* i wróżyli, dopóki byli w pogaństwie. Kiedy zostali ochrzceni, próbowali pisać słowiańskie wyrazy literami rzymskiemi i greckiemi, co ich jednak tylko w błąd wprowadzało. Bo czyż to można wyrazić owem pismem nasze słowa dokładnie? Czyż np. następujące wyrazy: *bóg* (greckie β znaczyło w owym czasie już *w*), *żywot*, *dzêlo* (= bardzo), *crkow*, *czajanie* (spodziewanie się), *szyrota* (szerokość), *jad*, *ądu* (skąd), *junost*, *język* i t. d. czyż to można należycie wyrazić literami greckiemi? Przecież oświecił ich w tem sam Pan Bóg, skoro im zesłał Konstantyna »filozofa« (Cyrylla) i t. d.[1]).

Mnie się wydaje, że to świadectwo Chrabra obraca się właśnie przeciwko wierze w runy u Słowian. Nie mieli ksiąg żadnych przed nawróceniem! Po nawróceniu uciekali się do liter łacińskich albo greckich, choć im się to wcale nie wiodło. — Byłożby to potrzebne, gdyby były znane i w używaniu tu runy słowiańskie? — Ale *„czytali“* (cztêachą) mówi nasz świadek, i to »rêzkami!« Otóż słowo *czisti* (czyść, czytać) znaczyło w ówczesnej mowie nie tylko *czytać*, ale i *liczyć* (stąd *czysło* = liczba). Więc po prostu rozumieć to należy tylko o karbach i kreskach jako o znakach, którymi sobie niepiśmienne te pokolenia ułatwiały liczenie, jak to i dziś jeszcze czynią gumienni nasi i owczarze czytać nie umiejący. O czytaniu i runach niema tu mowy. Z tego miejsca przeto na korzyć run nic nie wynika!

Drugi autor, znany niemiecki kronikarz, współczesny naszego Bolesława Chrobrego *Diethmar*, mówi

---

[1]) Zachowany fragment tego pisma Chrabra był kilka razy już drukowany; zamieszczony jest na samym końcu i w dziele Památky drevního písemnictví Jihoslovanův, wydanem przez *Szafarzyka* w Pradze r. 1851.

w pewnem miejscu swojej kroniki o bałwanach ustawionych w sławnej słowiańskiej świątyni w Retrze i powiada, że było na każdym z nich wyrzeźbione imię bożyszcza [1]). To świadectwo na razie zdaje się, że wiele znaczy. Godzi się jednak zapytać, czy była to tak bardzo pewna wiadomość? Czy Diethmar, biskup niemiecki, był sam w wnętrzu owej świątyni i oglądał naocznie owe napisy? A jeżeli rzeczywiście je widział, skąd taka pewność, że te napisy były runiczne? Przecież tego on nie powiada. Wszakże działo się to już w XI wieku. W tych stosunkowo tak późnych czasach i zwykłe litery mogły już być na posągach wyryte, zwłaszcza jeżeli je zdziałał jaki niesłowiański, bieglejszy w swej sztuce rzeźbiarz, któreto przypuszczenie wcale nie widzi mi się niepodobnem do prawdy. Diethmar Słowianom przecież skądinąd wcale nie przyznawał znajomości sztuki pisania. Wszakże w innem miejscu też swojej kroniki, gdzie z rubasznością sobie właściwą prawi o nieśmiertelności duszy, wyraźnie dodał, że to mówi dla niepiśmiennych nieuków, a zwłaszcza Słowian (*„illiteratis et maxime Sclavis“*, ks. I, rozdział 7).

A więc z Diethmarowego świadectwa taksamo nic nie wynika takiego, coby tę sprawę podnosiło ponad wszelką wątpliwość.

Gorzej daleko rzecz się przedstawi, jeżeli weźmiemy pod rozbiór odszukane dotąd pozytywne, naocznie niby rzeczy dowodzić mające zabytki owego pisma. Żaden z nich nie może być uważany za słowiański i zarazem za autentyczny, t. j. za nie sfałszowany.

Tu należą przedewszystkiem sławne owe wykopaliska *prylwickie* czyli t. zw. obotryckie bożyszcza, w których starożytność wierzą ciągle jeszcze wszyscy

---

[1]) *Mon. Pol.* I 278, księga VI, roz. 17: *„Stant dii manu facti, singulis nominibus insculptis“*.

nasi bez wyjątku badacze [1]). — Prócz tego należą tu runiczne napisy na *monetach i pieczątkach litewskich*, poczytane za słowiańskie przez Teodora Narbuta, który też pierwszy dał o nich wiedzieć. Choć nie pojmuję, dlaczego byćby one miały słowiańskie, kiedy się znajdują na zabytkach znalezionych w obrębie innego ludu i kraju. — Następnie odgrywa tu wielką rolę napis runiczny *„Czernobog“*, odczytany na *lwie kamiennym*, postawionym przed katedralnym kościołem w mieście Bambergu w Bawaryi. Odkrycie to zrobił w r. 1835 poeta czeski Kollar, jedna z najbałamutniejszych głów, jakie tylko się kiedykolwiek archeologią trudniły. Rozgłosił je z taką wrzawą, że i Szafarzyk temu uwierzył. Przez kilkadziesiąt lat figurował odtąd ten napis, jako rzeczy dowodzący, we wszystkich dziełach o literaturach słowiańskich. Dopiero w r. 1852 przekonał się Cybulski, oglądając rzecz na miejscu, że żadnego zgoła napisu na lwie tym kamiennym niema. Okazało się bowiem wtedy, że to co Kollar poczytał za runy, były to szpary przypadkowe, szczerby i napęknięcia powierzchni tego wyrobu, spowodowane częścią zębem czasu, częścią swywolą ulicznika może jakiego. — Podobnie na urojeniu jedynie polegało i to, co Andrzej Kucharski w r. 1829 popisał po gazetach o napisach przez siebie odczytanych na dwóch *hełmach styryjskich*, znajdujących się w cesarskim gabinecie starożytności w Wiedniu. Hełmy te od roku już 1812, w którym zostały wykopane z ziemi, przy karczowaniu lasu jakiegoś, między miastem Pettau a Radkersburg w Styryi, zajmowały archeologów niemieckich dla napisów, jakie miały na sobie. Różni różnie je czytali — sensu nikt dorozumieć się nie mógł. Wtem przybył do Wiednia odbywający właśnie naukową swoją podróż po Słowiańszczyźnie Kucharski, którego archeologiczna fantazya śmiało współubiegać się mogła z poetyczną do-

[1]) Mowa tu o stanie rzeczy w r. 1872.

myślnością Kollara. Zdecydował po niedługim namyśle, że to są runy słowiańskie. Odczytał je zaś w sposób następujący:

Sidaku, tu dli Jarmeisel, żupni pan Wapi

To miało znaczyć: Mularzu, tu leży Jaromyśl, żupny pan Wapi [1]).

Przypuszczał bowiem Kucharski, że napis ten wyryto na hełmie owym dopiero po śmierci jego właściciela, kiedy go już złożyć miano do grobu (!) A że (według wyobrażania tych, którzy ten napis ryli) miał kiedyś w przyszłości chyba mularz jaki dobrać się do onego w głębi ziemi grobowca, więc dla tego tu zwrócona do mularza przemowa...

Napis drugiego hełmu połączył Kucharski z pierwszym, jako bezpośrednią kontynuacyę tej notaty o Jaromyślu (!) i czytał go tak:

Ejarifas i eie abil.

to jest: Ejaryfas go tu ubił...

Pomimo całej niedorzeczności tego pomysłu, jaskrawo tryskającej z każdej litery; pomimo tego, że pod językowym względem niemiłosiernie wszystko to było naciągnięte: i ta jednak nowa wiadomość o słowiańskiej piśmienności runicznej przeszła jako pewnik do wszystkich dzieł naukowych, nie wyjmując nawet dzieł skądinąd tak znakomitych, jak Lelewela i Wiszniewskiego. Wyśmiał ją dopiero Łepkowski w Bibliotece Warszawskiej około r. 1851, a jeszcze lepiej wykazał jej bezzasadność w r. 1860 w przytoczonym powyżej artykule swoim Cybulski [2]).

Podobnej wartości było i inne jeszcze odkrycie

---

[2]) Inni później inaczej odczytywali ten napis, np. zamiast *Sidaku, Zri Daku,* a zamiast *Wapi, w Api.*

[1]) Dowodniejsze badania późniejszych stwierdziły co do tych hełmów, że litery na nich etruskiego były pochodzenia. Znaczenie jednak napisów do dziś dnia niedocieczone.

Kucharskiego. W Toruniu w kościele św. Jana znajduje się *chrzcielnica z starożytnym napisem.*

I to także miały być runy słowianskie, które nasz starożytnik tak odcyfrował.

Z dyaboly w lewo (?) Jesus Gospod chce zlewać ciebie wodą tą i żywot woda ta zdrowy podaje ludowi.

Ogłosił odczytanie to swoje w r. 1850 w Bibl. Warsz. jako »najdawniejszy zabytek polszczyzny«, bo z XI pochodzić mający wieku. Tymczasem chyba niewiadomo mu było, że jeszcze 1844 r. w Przyjacielu Ludu Dr. Ney udowodnił, że to zabytek znacznie późniejszy, z końca XIV najwcześniej datować mogący wieku, a zatem już chrześcijański; napis zaś bynajmniej nie jest runiczny, ale literami łacińskiemi, charakterem swoim odpowiedniemi wiekowi.

W roku 1855 i 1856 nakoniec przybyły do tego wszystkiego jeszcze i *Mikorzyńskie kamienie*, wydobyte z ziemi w Mikorzynie w ostrzeszowskim powiecie w W. Ks. Poznańskiem. I one także są pokryte pismem runicznem. — Sprawiły wiele wrzawy w całym naszym świecie uczonym. Wywołały komentarze i roztrząsania, które przez długi czas zapełniały różne nasze pisma czasowe i spowodowały do zabierania głosu w tej sprawie nawet pierwsze powagi na tem polu literatury, między innymi także i Lelewela. Z ichto powodu zabrał się profesor Cybulski do napisania swojej rozprawy o runach. Wykazał w niej bardzo trafnie nieautentyczność wszystkich wprawdzie aż dotąd tu wymienionych, mniemanych i urojonych zabytków runicznej piśmienności. Co do mikorzyńskich jednak kamieni stanął silnie za ich autentycznością, w czem zresztą powtórzył tylko panujące o tem przekonanie powszechne. Właśnie żaś przeto oświadczył się stanowczo i za autentycznością owych prylwickich obotryckich bałwanków, które niektórzy od pierwszej chwili posądzali o podrobienie. Wykopaliska te bowiem w skutek podobieństwa napisów na nich się znajdujących do napisów na

mikorzyńskich kamieniach, razem z nimi albo musiały być poczytane za sfałszowane, albo za rzeczywiście z najodleglejszej datujące starożytności.

Takie więc jest ostatnie słowo aż do chwili obecnej w kwestyi i mikorzyńskich zabytków i prylwickich. Mnie dochodzenia moje doprowadziły co do tych ostatnich, t. j. prylwickich bałwanków, do wręcz przeciwnego wyniku. A ponieważ rzecz tę uważam za nader ważną, gdyż wiara w autentyczność tych odkryć, dopóki nie będzie obaloną, będzie dawała szperaczom naszym powód do coraz nowych urojeń w zakresie archeologii: przeto niechaj mi będzie wolno zająć tu czytelnika uwagę dokładniejszem nieco opowiedzeniem przebiegu sprawy tu poruszonej, z wyłożeniem powodów, dlaczego uważam i jedne i w konsekwencyi drugie także zabytki za sfałszowane.

Fabrykat zwany wykopaliskiem prylwickiem wcale nie pochodzi z Prillwitz. Był on robiony rzeczywiście w mieście Neubrandenburg w Meklemburgii, i to nie naraz, ale po trosze, w różnych czasach drugiej połowy przeszłego wieku.

Pierwsza jego partya powstała między rokiem 1757 a 1768.

W roku 1757 pojawiło się wydane w Hamburgu dzieło Clüvera »Beschreibung des Herzogthums Meklemburg«. Dano w niem między innemi (na str. 264 części I) wzorzec run tak zwanych północnych czyli skandynawskich, który zwrócił w szerszych kołach uwagę na zdarzające się czasem i w północnych także Niemczech takie runiczne napisy, jako też na archeologiczną wartość zabytków tego rodzaju. Mało co przedtem pojawiły się »Monumenta inedita rerum german.« Westphala (Lipsk 1739), w których (w tomie I) sprawa ta także poruszona została. Oprócz tego znane było w całych Niemczech, a więc i w tamtych stronach, dzieło naszego Hartknocha, wydane jeszcze roku 1684 w Frankfurcie p. t. »Alt und neues Preussen«.

Mówi w niem autor o różnych rzeczach dotyczących Prus starożytnych, między innemi także i o czci bałwochwalczej prusko-litewskiej. Jeżeli do tego dodamy jeszcze owę wzmiankę w Diethmara kronice, o świątyni pełnej bogów najrozmaitszych w Retrze i o napisach imion tychże bożków na ich bałwanach, która często była przytaczana w różnych dziełach ówczesnych (nb. w fałszywem najczęściej tłómaczeniu: [1]) to będziemy mieli całą podręczną bibliotekę fabrykanta owych starożytności.

Starożytności te w r. 1768 były już w pewnej części swojej gotowe. W tymto czasie niejaki Dr. Hempel, lekarz w Neubrandenburgu, zakupił od braci Sponholtzów, także tam mieszkających, 46 sztuk rozmaitych przedmiotów starożytniczych. Mocno śniedzią zielonawą pokryte, zniszczone jakby w jakimś pożarze, bardzo niezdarnie wykonane — były to po największej części posążki bóstw rozmaitych słowiańskich; przedstawiały jednak także i inne rzeczy, np. laski kapłańskie, czary świątynne, tace ofiarne, ostrza od włóczni, noże, kraty jakieś i t. p. Posążki były fantastycznej postaci, rozmaitej wagi i miary. Ważyły po 4, 10, 30 i więcej łutów, ale niektóre dochodziły i do 6 lub 7 funtów. Były

---

[1]) Autentyczny tekst Diethmara czytać należy tak: „*Interius* (w świątyni) *autem dii stant manu facti, singulis nominibus insculptis, galeis atque loricis terribiliter vestiti*«. (Bogowie, groźnie odziani w hełmy i zbroje, z wyrytemi imionami na każdym posągu). Otóż to miejsce dawniej powszechnie źle rozumiano, jak to i z dzieła Mascha, o którym zaraz więcej powiemy, i z samego Naruszewicza widzimy (Hist. Nar. Pol. Tom I część II). I łącząc *insculptis* z wyrazami *galeis atque loricis* w jedno, przekładano wzmiankę tę tak: »Stoją tam w wnętrzu ręką zdziałani bogowie, z wyrzeźbionemi każdego boga imionami na hełmach i na pancerzach, straszliwie uzbrojeni«. Tak więc tento mylny przekład przywiedzionego ustępu naprowadził fałszerza na myśl dawania napisów runicznych nietylko na posążkach, ale i na różnych najmniejszych nawet przedmiotach, stanowiących ich ubiory i przybory ofiarne.

i wydrążone wewnątrz i pełne (massiv); z postumentami i bez postumentów. Rozmiary ich wzdłuż dochodziły u niektórych aż do 10 cali; były jednakże i mniejsze, tak iż najmniejszy ze wszystkich tylko półtrzecia cala wynosił. Ulane były z kruszcu — i to najrozmaitszego: czasem z jakiejś mieszaniny, czasem z żółtej jakiejś masy, czasem z ołowiu (który niepojętym dla mnie sposobem nie stopił się w mniemanym owym pożarze!!). Niektóre sztuki tak były wykonane, że np. głowa i tułów były zrobione z kruszcu żółtego, nogi z ołowiu, a postument znowu był żółty. Wszystkie zaś te przedmioty, nie tylko bożki, ale i najlichsze nawet sprzęciki, miały na sobie runiczne napisy. Te napisy po największej części były na nich wyryte, ale zdarzały się i wypukłymi oddane charakterami.

Według opowiadania Sponholtzów, pierwotnych właścicieli owego skarbu, i innych także osób z ich rodziny i otoczenia, miało to być wykopalisko bardzo dawno przedtem odkryte. Przed 70 lub 80 latami miał je przypadkiem w ziemi w ogrodzie swoim wydobyć jakiś ich krewny, który się nazywał Fryderyk Sponholtz i był pastorem w Prylwicach. Śmierć jego zaszła w r. 1697. Znalezione były w ziemi wszystkie te przedmioty razem, i to w dużym kotle ofiarnym, śpiżowym, nakrytym drugim takimże kotłem. Na tych obydwóch kotłach miały się znajdować także runiczne napisy. Pastor z obawy, ażeby rząd albo właściciel Prylwic nie odebrał mu tego skarbu, którego wartość wyobrażał sobie tem większą, że przypuszczał, iż się i srebro mieści w kruszcu, z którego te rzeczy były ulane — miał zataić przed światem to odkrycie swoje aż do samego zgonu. Później, po jego już śmierci, gdy stopiwszy jeden posążek przekonano się, że srebra w tej mieszaninie nie było: miała sprzedać Sponholtzowa, wdowa owego pastora, ten zbiór cały krewnemu swemu Pälkemu, złotnikowi w Neubrandeburgu, który wszelako nie zrobił także żadnego z niego użytku i tylko

dał owe kotły obydwa przelać na dzwon do jednego z kościołów owego miasta. (Poszukiwania późniejsze jednak udowodniły, że w ciągu całego owego czasu nie lano tam żadnego zgoła dzwonu, dla żadnego w Neubrandenburgu kościoła!) Od Pälkego, który także niedługo potem umarł, miała ta własność, ciągle w najściślejszej utrzymywana tajemnicy, przejść spadkiem na jego zięcia; a tego zięcia synami byli właśnie ostatni dwaj właściciele onego zbioru, t. j. Jakób i Gideon Sponholtzowie, którzy go w r. 1768 odprzedali Drowi Hemplowi. Jakób, równie jak już i ojciec jego, i także Pälke, byli z rzemiosła złotnikami. Uchodził w mieście ów Jakób za poczciwego i porządnego człowieka, równie jak i całe grono osób wmieszanych do tej historyi, po największej części wtedy już zmarłych. Brat jego Gideon przeciwnie mniej korzystnej używał reputacyi, choć i jemu nie zarzucano nic tak dalece zdrożnego. Był to sobie za młodu próżniak, który się w szkole niczego nie nauczył, tak iż ledwie umiał pisać. Żył później w domu braterskim jako bezżenny współmieszkaniec, który się niczem nie zajmował na seryo. Znał się trochę na złotnictwie, jako syn i brat ludzi tego rzemiosła, i partaczył niekiedy dla własnej przyjemności, posługując się w takich razach przyrządami i czeladzią brata swojego. Miał się dobrze, więc nic mu nie przeszkadzało puszczać się swobodnie za popędami swojej fantazyi; ta zaś szczególnie go ciągnęła do zbierania starożytności. Wprawdzie nie znał się on na tem, nie szukał też w tem i zysku; ale miał namiętność posiadania takich osobliwości. Pochlebiało mu, że go ludzie uważali za wielkiego archeologa, że go uczeni zachęcali do poszukiwań, że mu rząd później nawet udzielił upoważnienia do podejmowania rozkopywań po całym kraju. To też się włóczył po całym jego obszarze — wynajdywał, zbierał... a przy sposobności (jak to wprawdzie po jego dopiero śmierci

wyśpiewali ci, co z nim w domowych żyli stosunkach) podrabiał i fałszował niejedno.

Według objaśnień Sponholtzów, udzielonych nowemu wykopaliska tego nabywcy Hemplowi, miała wieś Prylwice leżeć na gruncie głośnego w starożytności, zburzonego w XII wieku, miasta słowiańskiego Retry. Twierdzenie to znalazło powszechną wiarę, a znalazło ją tem łatwiej, że ani go stwierdzić ani mu też zaprzeczyć nie było można. Wzmianki kronikarskie o położeniu Retry są jak wiadomo tak sprzeczne pomiędzy sobą, iż i dziś jeszcze nic z nich pewnego nie daje się wyrozumieć. Owoż wyobrażono sobie, że zabytki, w głębi ziemi na tym gruncie znalezione, były czasu swego poumieszczane w sławnej świątyni słowiańskiej owego miasta. Doczekały się pożaru tejże świątyni. Po jej spaleniu miała jakaś pobożna ręka pozbierać z zgliszczów, co tylko nie było jeszcze zupełnie ogniem zniszczone, i zakopać w głębi ziemi, aby świętości te ocalały do lepszych czasów...

Na zapytanie wyraźne Hempla, czy te 46 sztuk, które wtedy od złotników owych nabywał, stanowią cały zasób rzeczy pochodzących z tego wykopaliska? odpowiedział Jakób Sponholtz, który mu je sprzedawał i był uważany za rzetelnego człowieka, że to jest wszystko. Obstawał (lecz tylko w obec Hempla) i później przy tem twierdzeniu.

Kiedy się wieść o tym nabytku Hempla w świecie uczonym rozniosła przez różne pisma czasowe, z których niektóre jednakże już w owych latach podejrzywały całe to odkrycie o oszustwo, zajął się malarz miejscowy nazwiskiem Woge zrobieniem ze wszystkich tych starożytności jak najdokładniejszego rysunku. A że to miało być ogłoszone drukiem, więc się postarał i o tekst archeologiczno-explikacyjny tych wizerunków, którego dokonał z erudycyą, na jaką go tylko stało, choć bez krytyki, superintendent z Neustrelitz Masch. W taki sposób powstało dzieło, w r. 1771

lub 1772 wydane, p. t. następującym: *„Die Gottesdienstlichen Alterthümer der Obotriten aus dem Tempel zu Rhetra in Kupferstichen, nebst Hrn. A. G. Maschens Erläuterungen“*. (Berlin, bez oznaczenia roku, 4to). Dano w niem wierne kopie wszystkich przedmiotów owego świeżo zakupionego zbioru, razem z runami, któremi one były pokryte; dołączono także i odczytanie tychże run (podług wzoru Clüvera), wraz z wyjaśnieniem prawdopodobnego znaczenia każdego bożka. Dołączono wreszcie opis całego przebiegu rzeczy, od czasu mniemanego w XVII jeszcze wieku wykopania z ziemi owych osobliwości aż do chwili ostatniej.

Kiedy ta publikacya była w rękopisie już prawie na ukończeniu, przyszło Maschowi na myśl, że należałoby się jednak dobrze przekonać, czy też u Sponholtzów nie znajduje się jeszcze więcej takich starożytności? Udał się tedy z tem zapytaniem do Jakóba Sp. (złotnika zatem i statecznego człowieka, który przed 2 lub 3 laty dał był zapewnienie Dr. Hemplowi, że to już jest wszystko, co posiadali), i cóż od niego usłyszał? Wydobył z niego po niejakich wstrętach i korowodach przyznanie, w największem jednakże zaufaniu, że jest u nich takich rzeczy, z tegoż pochodzących źródła, i więcej jeszcze! Znalazło się tam tego jeszcze nawet sztuk kilkadziesiąt, które mu też i odprzedano nareszcie na nalegliwe jego żądanie.

Wynurzyły się wtedy z ukrycia nowe 22 posążki, zupełnie takiej samej roboty, jak owe pierwsze, choć zresztą prawie wszystkie wyobrażały inne bożyszcza, jak tamte. Dwa tylko między nimi nie różniły się zgoła niczem od podobnych bałwanków, kupionych już w pierszej partyi. Były to zatem proste kopie tamtych (!)

Ponieważ drukujące się dzieło było wtedy jeszcze nieukończone, wcielono przeto teraz do niego i rysunki tych nowonabytych bałwanków wraz z komentarzem. Mamy w niem tedy cały wyczerpnięty materyał tak

owej partyi, którą zakupił był Hempel, jak i tej, którą dopiero na jaw wyprowadzić Maschowi się udało.

Rozumie się samo przez się, że dzieło to napisane zostało w najlepszej wierze. Masch wtedy jeszcze najmocniej był przekonany o autentyczności rzeczy, które opisywał z takim zapałem. Cały sposób zachowania się Sponholtza w tej sprawie nie wzbudzał w nim podejrzenia. Przeciwnie co do Hempla przypuszczać trzeba, że — po tem wszystkiem co zaszło — zaczynał on już wątpić po trosze o autentyczności nabytego przez siebie skarbu. Przynajmniej dał się już wtedy bardzo łatwo namówić do odstąpienia Maschowi na własność wszystkiego, co był od Sponholtzów zakupił. Nowy właściciel, połączywszy obydwie części zbioru bałwanków owych w jeden, szczęśliwy z tego, że posiadł wszystko co niegdyś wykopano w Prylwicach, wystawił ten zabytek czci bałwochwalczej Słowian na widok i na pożytek publiczny w bibliotece katedralnej w Ratzeburgu, w której też tenże aż do końca wieku przeszłego zostawał. Tutaj właśnie oglądał go w r. 1794 i nasz znakomity badacz — Jan hr. Potocki.

Uczony ten znawca dziejów i pomników słowiańskich, odbywając w roku rzeczonym naukową podróż po całych północnych Niemczech, jako przestrzeni zajmowanej przez słowiańskie niegdyś ludy i z tego powodu godnej badań jak najtroskliwszych na miejscu, nie omieszkał oczywiście zwrócić uwagi swojej i na te wykopaliska, tyle wrzawy wtedy sprawiające w świecie uczonym. Zwiedził zbiór bożków prylwickich, wystawiony w Ratzeburgu. Poznał się z Maschem w Neustrelitz. Odwiedził także i dom Sponholtzów w Neubrandenburgu, do czego go spowodowała świeżo znowu obiegająca pogłoska o nowych zbiorach starożytności, znajdować się i teraz jeszcze mających w posiadaniu Gideona, brata złotnika. Jakoż rzeczywiście pokazano tu Potockiemu kollekcyę złożoną z 104 bożków i innych tego rodzaju pomników czci bałwochwalczej

Słowian. Z pomiędzy tychże miało 36 sztuk być znalezionych w ostatnich dopiero latach na jakiemś polu należącem do rodziny onych złotników; sztuk 17 podawał Gideon za nabyte przez siebie z obcej ręki; najważniejsza zaś część zbioru, bo cała reszta, sztuk 51 obejmująca, pochodzić miała (pomimo danego poprzednio dwukrotnie twierdzenia w przeciwnym sensie) z tego samego znowu kotła w Prylwicach przed 100 laty wykopanego, z którego obie partye poprzednie wykopalisk swój wywodziły początek!!

Dziwiło to Potockiego niemało, że Masch wtedy widocznie przestał już był interesować się tymi skarbami... Kiedy mu wtedy wspominał P., iż jedzie oglądać zbiór starożytności Sponholtza, Masch zdawał się nie wiedzieć wcale o egzystencyi owego zbioru. Potockiemu nie przyszło bynajmniej na myśl, że jeżeli kto, to właśnie Masch powinienby o tem wiedzieć koniecznie; a jeżeli udaje, że nie wie, to chyba dlatego, że już i sam nie wierzył w autentyczność tego wszystkiego i tylko wstydził się przyznać, że go potrafiono oszukać.

Przyjęty w domu złotnika bardzo gościnnie, bawił hr. Potocki przez 3 czy 4 dni na miejscu i przerysował sobie wszystkie przedmioty ówczesne zbioru Sponholtzów. Były one po największej części takiej samej roboty, jak to, o czem dał był Masch w dziele swojem wiadomość. Runiczne napisy pokrywały i tutaj największą część artykułów; znachodziły się między nimi jednak i rzeczy bez napisów. Z rysunków wtedy zrobionych i dodanego do nich tekstu, ułożonego w formie dziennika podróży, powstało dzieło: *„Voyage dans quelques parties de la Basse-Saxe... fait en 1794 par le Comte Jean Potocki“. Hambourg,* 1795. 4°. Napisane jest z niezachwianą wiarą we wszystko, co tylko tam mówiono Potockiemu. Obejmuje w sobie wizerunki samych tylko rzeczy w posiadaniu Sponholtza wtedy będących. (Te

partye wykopaliska, które były już opisane przez Mascha, nie wchodzą więc w jego zakres).

Publikacya Potockiego podniosła znaczenie owych starożytności w opinii ludzi uczonych. Dlatego też w kilka lat potem książę meklemburski nabył je wszystkie na własność — tak to, co Masch w Ratzeburgu wystawił, jak i co Gideon Sponholtz posiadał. Ostateczne umieszczenie otrzymał cały ten gabinet starożytniczy w r. 1804 w Neustrelitz, w bibliotece książęcej, i tam się też pewnie i obecnie jeszcze znajduje.

W następnych latach, to jest w ciągu już bieżącego stulecia, wiele bardzo pisano o tych, jak je nazywano »prylwickich bożkach«. Najpoważniejsze umysły mówiły o nich albo z niedowierzaniem albo nawet wręcz z przekonaniem, że to wszystko fałszerstwo (Rühs 1805, Jakób Grimm 1815, Dobrowsky 1815, Wilhelm Grimm 1821 i t. d.). Nie brakło jednak i takich, którzy je to z tej, to z owej przyczyny brali w obronę (Rumohr 1816, Surowiecki i Lelewel, którzy nie znali jednak wszystkiego co znać należy, ażeby o tem sądzić; później nawet i Jakób Grimm 1836, Cybulski 1860 i t. d.

Do stanowczego zachwiania wiary w starożytność wykopaliska przyczynił się przedewszystkiem Lewezow, uczony archeolog z Pomorza, który je w r. 1825 badał na miejscu przez całe 4 tygodnie i w ostatecznym rezultacie, na podstawie i archeologicznych i chemicznych nawet dochodzeń, wyrzekł stanowczo, że to fałszerstwo — co do run bezwarunkowe, co do samych zaś posążków, z małym chyba może wyjątkiem.

To orzeczenie spowodowało wdanie się samego rządu w tę sprawę. Zamianowana urzędowa komisya do sądowego rozpoznania tej rzeczy, badała ludzi do niej wmieszanych po kilka razy przez ciąg czasu od września 1827 do sierpnia 1829. Sponholtzowie już nie żyli; nie żyli także już Masch i Hempel. Ale byli jeszcze przy życiu niektórzy czeladnicy Sponholtza

i inni znajomi owego domu. Na podstawie zeznań tych świadków, zaprzysiężonych! okazało się, że to wszystko, co posiadał w r. 1794 Gideon Sponholtz, a Potocki w dziele swojem opisał i przerysował, było fabrykatem udowodnionym. Mianowicie stwierdzone teraz zostało, że znajdował wprawdzie Gideon Sponholtz czasem istotnie jaką starożytność pod ziemią: na takich jednak nigdy napisy żadne nie znachodziły się! Dawał on sobie robić garncarzowi nazwiskiem Pohlowi formy z gliny różnych bałwanków, które potem odlewał z mieszaniny mosiądzu z miedzią i innymi kruszcami. Prowadził robotę tę w tajemnicy! Niektóre bożki pomiędzy wystawionymi przedmiotami w gabinecie książęcym zostały teraz przez tych świadków, użytych do pomocy, kiedy one były robione, pozytywnie uznane za tesame. Na takich odlewach, równie jak i na przedmiotach rzeczywiście gdzie znalezionych, ryto lub wykuwano potem napisy runiczne w domu Sponholtza i podług jego wskazówek. Zapomocą boraksu i różnych kwasów wytwarzano na nich sztucznie rdzę i śniedź owę zielonkowatą, ażeby tak wyglądały, jak gdyby były rzeczywiście wydobyte z wilgoci i starożytne. Głównem mądrości archeologicznej źródłem dla Gideona, którem się posługiwał, była wtedy owa książka Mascha w r. 1771 wydana, do której on też prawie jedynie zazierał w owej życia swego epoce. Nie dopuszczał się zaś owej mistyfikacyi, aby ludzi oszukiwać albo też zysk z tego ciągnąć. Przeciwnie, gniewał się nawet, kiedy jego brat Jakób pierwsze owe bałwanki pod niebytność jego w domu sprzedał Hemplowi. A nawet i ostatnią część nagromadzonych zbiorów swoich wtedy dopiero odstąpił na rzecz gabinetu księcia Meklemburskiego, kiedy już stary był i schorzały. Czynił to wszystko zatem jedynie dla własnej przyjemności i z żądzy posuniętej do manii, żeby takie przez nikogo niewidziane nadzwyczajności posiadać...

Co się tyczy owych bożków, które o kilkadziesiąt lat pierwej dostały się w posiadanie Hempla i Mascha, o tych świadkowie nie umieli nic pewnego powiedzieć. Rzecz to bowiem była zbyt dawna. Przypuszczali jednak, że wpływu na ich sfabrykowanie, jeżeli były i one fabrykatami, Gideon Sponholtz mieć nie mógł. Chyba kto inny...

Lewezow w rozprawie swojej, na podstawie własnych spostrzeżeń i tych zeznań wypracowanej, a pod tyt. *„Über die Ächtheit der so genannten Obotritischen Runendenkmäler zu Neu-Strelitz“* zamieszczonej w *Abhandlungen der historisch-philosophischen Klasse der kön. Akademie der Wissenschaften zu Berlin aus dem Jahre* 1834 (wyszło to dopiero r. 1836 w Berlinie), dowodzi jednak, że i ta część starożytności prylwickich równie była sfałszowana, jak późniejsza. Opiera dowody swoje na różnych uderzających poszlakach, dotyczących ich zewnętrznej powierzchowności: więc np. rdzy sztucznej, która kruszec powleka; kształtów bałwanków, pod artystyczno-technicznym względem widocznie nieodpowiednich wszelkim warunkom autentyczności; opiera je na widocznem usiłowaniu owego partacza, który je robił, aby im nadać pozór szczątków niedoniszczonych w ogniu, gdy tymczasem oko znawcy z łatwością widzi, że takiej próby ogniowej one wcale nie przechodziły — wreszcie na innych tego rodaju porównawczo-archeologicznych okolicznościach. I tak przychodzi do wniosku, że może wprawdzie rzeczywiście za czasu jeszcze życia owego pastora Fryderyka Sponholtza w Prylwicach zostało co wydobyte z ziemi, co dało powód do utrzymującej się o tem przez czas tak długi w całej rodzinie tradycyi; że jednak w następnym czasie dołączyły się do tego i oczywiste falsyfikaty, a nawet to, co między nimi pierwotnie autentycznem być mogło, ręka oszusta jakiegoś ozdobiła dopiero owymi napisami. Te bowiem wszystkie, bez wyjątku, Lewezow uznał za podrobione.

Wystąpienie to Lewezowa nie przekonało jednakże wszystkich, mianowicie nie przekonało naszych uczonych, którzy do dziś dnia (1872) przy raz o tem powziętem wyobrażeniu stoją, choć z nich żaden nie usiłował nawet odeprzeć zarzutów tego archeologa, mało który je pewnie nawet czytał z uwagą. (Lelewel np. rozprawy Lewezowa wcale nie znał, jak sam o tem wspomina; bo choć o niej wiele dobrego słyszał, to jej znikąd dostać nie mógł na emigracyi). Zresztą przyznać należy, że wywody Lewezowa, lubo tak gruntownie przeprowadzone w pewnym kierunku, nie wyczerpują też jeszcze całego materyału dowodów, jakie tu mogły być poruszone; w skutek czego pozostają na uboczu sposoby dojścia do prawdy, które właśnie może do najpewniejszych należą. Za taki właśnie przeważny sposób uważam zbadanie językowej strony obotryckich bałwanków, to jest rozpatrzenie się w treści, znaczeniu i starożytniczej wartości owych napisów runicznych, którymi są okryte.

Kiedy się bierze pod ścisły a trzeźwy rozbiór wszystkie owe bazgraniny na bałwankach prylwickich, to pierwszem wrażeniem, którego się doznaje przy tej czynności, jest zdziwienie zdumiewające nad tą mnogością, nad tym nawałem, nad tą prawdziwą ciżbą napisów. Mamy je tu na każdym, by też najlichszym i najobojętniejszym sprzęciku. Widzimy na figurkach niektórych bożków runy te pełzające po ciele i po sukni, z tyłu i z przodu, u stóp i na wierzchołku głowy, na plecach, piersiach, bokach, udach, ramionach. Byłoby to wszystko zapewne wcale niedziwnem, a nawet może i naturalnem, gdyby pogańscy Słowianie byli mieli tyle przynajmniej gorączki do rylca i dłubania nim w kruszcu, ile jej mają dzisiejsi Niemcy do pióra i kałamarza. Cały kraj nasz w takim razie musiałby być zasypany zabytkami tej piśmienności.

Drugie, co niemniej zadziwia, to że prawie w każdym napisie spotyka się między innymi wyrazami

nieuniknione to słowo *Retra*. Prawda, że przedmioty te mają nibyto pochodzić z świątyni w Retrze. Ale przecież przyzna mi każdy, że choćby one rzeczywiście już odlewane były z tem przeznaczeniem, t. j. dla świątyni rzeczonej, to nie było dlatego jeszcze tak koniecznej potrzeby wybijania na nich tak nieodzownie nazwy owego miasta. Wygląda to jakby cyfra prawego właściciela na bieliźnie albo śrebrze stołowem. Na tych przedmiotach, w dzisiejszym zwłaszcza złodziejskim czasie, znaki te mają swoje słuszne utylitarne przyczyny. Ale jakiż cel mógłby być takiej cechy na rzeczach świętych, na przedmiotach czci lub też na narzędziach do nabożeństwa, i to jeszcze w wieku XI lub X? Czyż samo pomieszczenie rzeczy owych w świątyni Retry nie wystarczało na okazanie, że one do niej należą?

Dalsze wrażenie, które w ciągu tych rozpatrywań każdego z podziwieniem ogarnia, to że się też ani jeden z owych napisów w jakiś sens zrozumiały nie składa. Same to tylko pourywane wyrazy bez żadnego znaczenia, sylaby jakieś nie wiążące się w słowa, głosy nieartykułowane i prawdziwe bełkoty! Przecież język słowiański Xgo, a choćby IXgo nawet stulecia nie jest dla nas bynajmniej tak znowu niezrozumiałym, żeby bezmyślność i cudactwo owych napisów było tylko skutkiem ich wieku i żebyśmy je kłaść mogli na karb n a s z e j jedynie niedomyślności, a raczej nieznajomości języka. Rozrzucone między nimi nazwy bóstw i miejscowości słowiańskich, dobrze znanych skądinąd, ułatwiałyby nam tem bardziej odgadywanie myśli ukrytej w tych słowach, gdyby się tylko w nich ukrywała myśl jaka.

Aby czytelnik sam mógł sądzić o rzeczy, przywiodę tu właśnie najcharakterystyczniejsze z owych napisów. Kładę w jednym zawsze rządku to wszystko, co się mieści na jednej sztuce.

Bel. z. Belbog. Ridigast. Rhetra.
Doi. Ridigast. Rhetra.
Rhaz. Ridigast.
Zern. Dlai. Vena. Radegast. Belboeg. Rhetra.
Zir. Vodha. Rhetra.
Pif. daz. Rhetra. Podaga. Asiub. sal. Gül. z. h. t. Pod. Bill. Lun. Rhetra. Szuaixtix. Belboeg.
Zu. l. Berstuce. Crive. Veidelot. s. u.
Nemisa. z. rab. Arcon.
i t. d.

Czyż nie dość i tych kilku przykładów, żeby sobie uprzytomnić cały sposób, jak te napisy były tworzone? Brało się z Hartknocha i podręcznych kronik niemieckich nazwiska znanych bogów słowiańskich lub miejscowości mitologicznych, jak Arkona, Retra, Romowe, i przeplatało się te imiona własne wyrazami urojonymi, bełkotami skleconymi na chybi-trafi, które im brzmiały cudaczniej, tem bardziej i tem pozorniej miały wyobrażać wyrażenia językowi słowiańskiemu właściwe. Dobre to wszystko dla takich głów niedowarzonych, jak Gideona Sponholtza; ale czyż i my będziem temu wierzyli, że nasi przodkowie takim mówili językiem?

A cóż też znowu powiedzieć o pisowni tych nazwisk mitologicznych? Jeżeli *Rhetra* pisana tu zawsze przez *rh*, *Arcona* przez *c*, *Crive* przez *c*, *Zern* (t. j. *cern*, *czerny* czyli *czarny*) przez *z*, *belboeg* przez *oe* i t. d. to czyż mi jeszcze dowodzić trzeba, że to pisał chyba Niemiec, a nie żaden Słowianin?

Lecz choćby to wszystko nie dowodziło jeszcze fałszerstwa: to cóż będziemy o tem sądzili, że tu w najbezmyślniejszy sposób, w sposób prawdziwie partacki, pomieszano bóstwa słowiańskie z Szwajxtyxem, z Berstucą, z Wajdelotami, z Krywekrywejtami, z Perkunem, z Romowem i tym podobnemi rzeczami, znanemi i właściwemi samej tylko Litwie pogańskiej? Czyż Obotryccy Słowianie mieli w tamtych wiekach jakie religijne

kapłańskie lub jakiekolwiek wreszcie inne stałe stosunki z mieszkańcami Prus albo Żmudzi? Czy na jednym i tymsamym posążku mogły się znaleść obok siebie wyrazy: *Retra*, *Szwajxtyx* i *Belbóg*? Że fabrykant tych starożytności, jako człowiek niewykształcony, słowiańszczyznę i litewszczyznę za jedno i tosamo uważał, temu się wcale dziwić nie można. Owszem byłoby raczej dziwnem, gdyby się tej niedorzeczności nie był dopuścił. Ale czyż dla nas nie dowodzi to namacalnie, że mamy do czynienia z oszustem?

Na jednym bożku, danym u Mascha jako figura 6, pochodzącym przeto z partyi pierwotnie zakupionej, t. j. owej, o której nie potrafiono dowieść tego sądownie, czy była podrobioną czy autentyczną, położono napis z tyłu na głowie *Percunust;* na szacie jego *en Romau;* z przodu następujące wyrazy: *Percun deuuaite nemusea und man.* Tym razem jesteśmy w tem szczęśliwem położeniu, że możemy oszusta schwycić na gorącym uczynku, wykazując całą proweniencyę tego napisu — co tem ciekawsze, że się to ściąga właśnie do sztuki stanowiącej jeden z numerów owego pierwszego działu [1]).

Łasicki, szlachcic polski w XVI wieku żyjący, zabrał się do studyów nad religią pogańskiej Żmudzi i czerpiąc głównie z opowiadań niejakiego Laskowskiego, Kaliszanina, który jako lustrator ziemi żmudzkiej przeżył lat kilka w owym kraju, napisał dzieło *„De diis Samogitarum“*. W tem piśmie udzielił między innemi i tej potocznej o zwyczajach i przesądach litewskich anegdoty, że kiedy tam grzmi na niebie, to zabobonny a lękliwy wieśniak tamtejszy wychodzi z chaty

[1]) Wiedzieć bowiem należy, że niektórzy, między niemieckimi nawet archeologami, obstają do dziś dnia nawet przy autentyczności działu tego przez Mascha opisanego, a tylko na Potockiego partyę spozierają jako na podrobioną. W tym sensie napisane jest dzieło F. Bolla *„Kritische Geschichte der s. g. Prillwitzeridole“*, 1855.

na dwór z kawałem słoniny w ręku, zdejmuje czapkę z głowy i patrząc w niebo, takie słowa w języku swoim podniesionym głosem wymawia: *Perkune dievaiti, ne muszki unt mana dievu melsu, tavi palti miesu!* Co znaczy: »Perkunie bożeczku, nie uderzaj w moje! Dam ci za to połeć słoniny«. — Wyrazy te, napisane u Łasickiego z błędami, gdyż autorowi temu nie był wcale znany język litewski, powtórzył Hartknoch w dziele swojem *„Alt und Neues Preussen“* dosłownie, zatem z tymi samymi znowu błędami, gdyż i Hartknoch po litewsku nie umiał. Otóż właśnie tę potoczną — nie powiem modlitewkę, ale dykteryjkę Łasickiego o litewskim wieśniaku, przenosi nasz fałszerz z dzieła Hartknocha dosłownie na swój posążek, przenosi ją nie tylko z tymi samymi błędami w pisowni i układzie, które popełnili Hartknoch z Łasickim, ale je pomnaża i swemi jeszcze własnemi przekręceniami — i pomimo tego wszystkiego znajduje wiarę u tylu ludzi uczonych, którzy to wprawdzie z podziwieniem podnoszą, że ta święta formuła wieśniaczej modlitwy do Perkuna mogła być tak rozpowszechnioną od najdawniejszych już czasów na całej tej przestrzeni krajów litewsko-słowiańskich, wszelako wierzą temu i żadnego nie widzą w tem niepodobieństwa.

Na taką łatwowierność, na takie dobrowolne durzenie się tumanami, niema prawdziwie lekarstwa! Jeżeli ani to nawet nie potrafi otworzyć oczu na prawdziwe znaczenie całej tej mistyfikacyi, to już chyba chcemy się koniecznie łudzić urojeniami [1]).

---

[1]) Za takiesamo uważać trzeba szalbierstwo i owe wreszcie częścią kamienie, częścią płyty z gliny wypalonej, pokryte runicznymi napisami i rysunkami, o których z silną wiarą w ich autentyczność podał wiadomość Hagenow w dziele *„Beschreibung der zu Neu-Strelitz befindlichen Runensteine“*. Greifswalde, 1826. I te kamienie dostały się do owego gabinetu od Sponholtza, który miał je po odjeździe już hr. J. Potockiego poznajdować w tamtych okolicach, po roku już 1794. Kto tyle rzeczy sfałszował, ten popodra-

Po tem wyjaśnieniu co do obotryckich starożytności czyli wykopalisk prylwickich, przejdźmy wreszcie do Mikorzyńskich kamieni, ażeby i tych także autentyczność ocenić.

Kamienie te, obecnie własność krakowskiej Akademii Umiej. znajdują się już od lat kilkudziesięciu w Krakowie. Wierne ich kopie, odlewy z gipsu zrobione, w naturalnych i także w małych rozmiarach, rozrzucone są po wszystkich znaczniejszych zbiorach muzealnych naszego kraju. Jest ich dwa. Zostały znalezione w krótkim czasie jeden po drugim, na gruncie tejsamej wprawdzie wsi i przez jednę i tęsamę osobę, ale na różnych miejscach [1]). Są to płyty z twardego, szaro-czerwonawego granitu, który mineralogowie nazywają *syenit*, średniej wielkości, surowo ociosane, po jednej tylko stronie ogładzone nieco staranniej. Jedna z nich, kształtu podłużnie okrągławego, przedstawia po tej właśnie ogładzonej stronie wklęsłość jakoby nieckowatą, zajmującą całą przestrzeń tego kamienia, wyżłobioną widocznie ręką ludzką. Drugi kamień, nieco większy, ale bez żadnej wklęsłości, ma formę nieregularnego czworokąta. Były to niewątpliwie zwierzchnie płyty czyli wieka pogańskich grobowców, użyte do położenia ponad urnami w taki sposób, że podczas gdy urna wstawiona była w wnętrze jamy grobowej, kamienie te, wsparte na innych kamieniach sztorcem do koła poustawianych, stanowiły ponad urną ochronę od

---

biał niewątpliwie i te napisy. Jemu tylko udawało się znajdować runy słowiańskie pod ziemią. Oprócz niego — nikomu więcej! Dotąd przynajmniej przykładu drugiego rzeczy takowych nigdzie tam nie znaleziono.

[1]) Bliższe szczegóły o znalezieniu obydwóch tych kamieni w wsi Mikorzynie i o innych okolicznościach z tem połączonych, podał dokładnie Wojciech Cybulski w swojej rozprawie o runach, zamieszczonej w Rocznikach poznańskiego Tow. Przyj. Nauk. Do tej tedy rozprawy odsyłam czytelnika ciekawego dowiedzieć się całego przebiegu rzeczy.

ciężaru ziemi grobowiec pokrywającej. Takiego kształtu głazy znachodzą się dość często tu i owdzie w Wielkiejpolsce — zawsze na miejscach, które tam żalnikami, to jest cmentarzyskami pogańskimi nazywają, i w pobliżu urn z pod ziemi wydobywanych. Jakoż i z tych mikorzyńskich kamieni jeden, to jest ten okrągławy, mniejszy, z nieckowatą wklęsłością, został znaleziony tuż obok czerepów urny stłuczonej.

Co się tyczy samych kamieni, niema do tego oczywiście żadnego powodu, ażeby wątpić o ich odwiecznej autentyczności. Były to niezawodnie płyty, w pogańskich jeszcze wiekach przyrządzone na użytek, jak go oznaczyłem powyżej. Nie przypuszczam tego bowiem, żeby się dziś komu chciało, dla zażartowania sobie z łatwowierności sąsiada albo uczonych w mieście, podejmować ciężką pracę połączoną z ociosywaniem, ogładzaniem i nawet wyżłabianiem materyału tak twardego, jak granit albo syenit.

Innego zato przekonania jestem co do rysunków i runicznych napisów, jakie się dziś widzieć dają na tych obydwóch kamieniach. Nie stosuję tego, co powiem, do żadnej wskazanej osoby. Historya rzeczywista znalezienia ich na mikorzyńskim gruncie bynajmniej nie jest dobrze wiadoma. Kto tu był oszukanym, a kto oszukującym, i z jakich powodów i wśród jakich okoliczności? to wcale nie wyjaśnione. Nie czyniąc tedy nikomu w szczególności zarzutu zato, co zaszło — biorąc rzeczy zupełnie przedmiotowo: oświadczam że daleki jestem od zamiaru i od możności ubliżenia komukolwiekbądź w szczególności, jeżeli utrzymuję, że runy i rysunki rzeczone są sfałszowane. Powstały one na tych kamieniach dopiero między rokiem 1853 a 1856, najpewniej roku 1856. Utrzymuję nadto, że dopuściła się tej mistyfikacyi osoba jakaś, mało albo wcale z archeologią nieobeznana; i że całem źródłem jej starożytniczych natchnień, jedyną studnią jej erudycyi, były dwie rozprawy Lelewela: »Bałwochwalstwo

słowiańskie« i »Cześć bałwochwalcza Słowian i Polski«, z których pierwsza pojawiła się po raz pierwszy w r. 1853 w tak zwanym Tomie Wstępnym »Polski wieków średnich« (Poznań 1853), druga zaś w pierwszym tomie tegoż dzieła, którego edycya druga, najwięcej rozpowszechniona, wyszła w Poznaniu 1855. Z tych tedy dwóch książek niezawodnie zaczerpnął autor mikorzyńskich starożytności wszystko, czego mu było potrzeba, ażeby tego runicznego dzieła dokonać; i na latach publikacyi obydwóch tych jego źródeł opierając się, i ja także miałem możność oznaczyć czas, kiedy to mniej więcej było zrobione.

Zostało więc dokonane to lapidarne dzieło dopiero w roku 1855 lub 1856. W tymże 1856 też roku pojawiła się w *Gazecie Poznańskiej* pierwsza wiadomość o niem. Zrazu doniesiono o znalezieniu jednego tylko kamienia, lecz z dodatkiem, że »ludzie miejscowi powiadają, iż przed kilkunastu laty znajdowano w Mikorzynie więcej podobnych rzeczy — tylko inakszych, bo z ptakami, k o ń m i (!) i różnymi dyabłami«. We dwa miesiące później rzeczywiście przyszła do Poznania wiadomość o odkryciu, przez tęsamę osobę, drugiego podobnego kamienia — właśnie z zapowiedzianym już naprzód k o n i e m! — Gdy wysłannik poznańskiego Towarzystwa Przyj. Nauk, zainteresowanego owem odkryciem (p. Białecki), umyślnie dla sprawdzenia rzeczy samej na miejscu zjechał do Mikorzyna i rozpytywał się »ludzi miejscowych«, gdzie te kamienie zostały znalezione i gdzie widziano owe »inaksze«: okazało się, że ci ludzie ani o jednych ani o drugich nic nie wiedzieli. Właściciel Mikorzyna, nieobecny natenczas w domu, niekontent czegoś był z całej tej roztrąbionej sławy jego majątku. Najbliżej interesowana osoba... jego synowiec Piotr Droszewski, podobno emigrant, trochę miłośnik archeologii i zbieracz starożytności, który niewiadomo mi dokładnie, czy zupełnie czystą rolę w owych odkryciach odgrywał — także był

gdzieś wtedy wyjechał z Księstwa. Wieśniak, który miał być obecny przy wydobyciu ze ziemi pierwszego z tych dwóch kamieni, nie żył już wtedy! Może dlatego też już potem trzeciego kamienia runicznego w Mikorzynie (z ptakami i dyabłami) nie znaleziono, choć bez run leży ich tam w okolicy kilka podobno jeszcze...

W niepojęty dla mnie sposób, mistyfikacya owa, tak podejrzana już na pierwszy rzut oka, znalazła jednak w świecie literackim powszechną wiarę. Lelewel tak się do niej zapalił, że nawet z urąganiem rzucił w przyszłość z góry zapowiedź, że znajdzie się kiedy Niemiec jaki, który (jak Lewezow co do prylwickich bożków) i tu także podrobienia i oszustwa będzie dowodził. Tak niezachwianie wierzył ten nasz starożytnik w autentyczność owych napisów!

Zobaczmy, jakie to są napisy.

Na kamieniu wpierw znalezionym, okrągłym, wyrzezany jest w samym środku jego wklęsłości rysunek, przedstawiający w popiersiu bożka P r o w e g o. Resztę miejsca, poniżej tego rysunku (niezmiernie niezdarnego), zapełniają bazgraniny runiczne, także w tym kamieniu wykute. Ich odczytanie może być dla nas zupełnie obojętne. Czy je tam kto czytać będzie, jak chciał Cybulski:

Smir. Kmet. Prowe.

czy jak drudzy decyfrowali:

Sbir. Prowe. Kbel.

albo też:

Smir. Prowe. cezt.

sensu zdrowego bełkoty te mieć nie będą, i nie chodziło też wcale o to ich dowcipnemu autorowi. Runy co do kształtu swojego są zgoła takiesame, jak na bałwankach prylwickich. Podał cały ich alfabet we wspomnianych wyżej dziełach swoich Lelewel, i z tych też dzieł one tutaj żywcem przeniesione zostały. Co się tyczy rysunku bożka, to widocznie i niezaprzecze-

nie wzięty on jest z tablicy Lelewela, dołączonej do jego »Czci bałwochwalczej«, na której bożyszcze to figuruje pod Nr. 8, w tejże samej zgoła postaci, nawet z tymże napisem »Prowe«. A ponieważ wszystko, co się znajduje na tej lelewelowskiej tablicy, było wzięte z dzieła Potockiego (nie Mascha), i obejmuje same tylko wizerunki bożyszcz tej partyi, którą Sponholtz w końcu życia swego posiadał i o której później przedewszystkiem sądownie dowiedzionem zostało, że to roboty własnej tego oszusta industryi: więc i ten Prowe do tejże kategoryi należy. (Dany on jest u Potockiego jako fig. 12). Skoro zaś taki jego początek, więc oczywiście nie dostał on się i na mikorzyński kamień w pogańskiej jeszcze epoce. Skądinąd wiadomo też przecież każdemu, kto tylko czytał Helmolda albo jaką mitologię słowiańską, że wizerunków żadnych zmysłowych Słowianie bogu Prowemu nie dawali, ale go czcili jedynie w wyobraźni: o czem snać nie wiedział ani Sponholtz ani archeolog nasz mikorzyński. Gdyby mu to było wiadome, nie wiem, jakby sobie w takim razie był począł. Wiedzieć bowiem należy, że na całej tej Lelewela tablicy ta jedna tylko figura, pod Nr. 8 dana, tak jest prosta i łatwa do przerysowania, że ją i nie będąc artystą, można było dłótkiem na kamieniu jako tako wypukać. Inne rysunki, nierównie więcej skomplikowane, byłyby znacznie do odrysowania trudniejsze. To zatem jest jedyny powód, dlaczego właśnie Prowego, a nie innego bożka rysunek mamy na owym kamieniu.

Drugi kamień, jako pochodzący z tejsamej ręki, już przez to samo podlega podejrzeniu. Można sobie krom tego jednak i tutaj dokładnie uprzytomnić, jak powstał wizerunek na nim, w takiż sposób wyryty, co na pierwszym kamieniu. Jest to niezdarny wizerunek konia. Ale i ten koń ani nie jest zabytkiem czasów pogańskich, ani nawet własnym pomysłem mikorzyńskiego rytownika. Jest to rodzoniuteńki braciszek, jak

najwierniejsza kopia owego konika, którego w zbiorach krakowskich może każdy oglądać na posągu Swantewita, wydobytego przed kilkudziesięciu laty ze rzeki Zbrucza, a o którego istnieniu i postaci dowiedział się nasz archeolog nie skądinąd, jak z drugiej rozprawy Lelewela, wyżej wspomnianej. Dany jest bowiem w tej rozprawie rysunek tego zbruckiego posągu ze wszystkimi jego ornamentami zamieszczonemi u stóp Swantewita, a zatem i z konikiem tam wyrzeźbionym.

Naokoło tego konia czytamy na tym drugim mikorzyńskim kamieniu znowu kilka runicznych bełkotów, które, jak się samo rozumie, nie mają żadnego sensu. Czytali je różni różnie.

Zbir. woin. boh. dan. sl. na. woi (Lelewel).

Smir. woin. s. l. na. woi. bohdan (Cybulski).

Swir. bog. odin. woin. Lutuoi (Wocel, czeski uczony).

Smir. bohodan. woin. s. Upawoi (X. Petruszewicz, ruski badacz).

Smir. bohdan. woin. s. Ludiwoi (Rogawski) i t. d.

Komentarze, jakie ci uczeni dołączali do tego odczytania, zwłaszcza Lelewel[1]) i Cybulski, mogą iść śmiało o lepszą z bujnością starożytniczej fantazyi ś. p. Tadeusza Wolańskiego, o którego inskrypcyjnych odkryciach całe W. X. Poznańskie zapewne jeszcze pamięta.

Do odkrycia mikorzyńskich kamieni przywięzywali uczeni słowiańscy zaraz po ich znalezieniu tem więcej wagi, że zdawało im się, iż przez nie usuwają się tedy nakoniec wiekowe wątpliwości i co do owych wykopalisk prylwickich, takiemi samemi opatrzonych runami, co te właśnie kamienie. Zdawało im się, że od

---

[1]) Lelewela uwagi o mikorzyńskich kamieniach znajdują się w ostatniej (z roku 1857) edycyi jego pism dotyczących mitologii słowiańskiej, które wyszły wszystkie razem p. t. »Cześć bałwochwalcza Słowian i Polski« w Poznaniu u Żupańskiego, jako tomik osobny.

tej pory nie wolno już będzie wątpić o autentyczności tamtego wykopaliska. Stąd to tak powszechne zajęcie, z jakiem się wzięto do tego. Tymczasem bezstronne a nieuprzedzone rozpoznanie tego późniejszego »odkrycia« prowadzi, jak sądzę, każdego do przekonania, w sposób już niezachwiany, że to fabrykat, którego podrobienie właśnie dopiero wtedy oczywistem się staje, kiedy się rzecz tę porównywa z tamtą na wielką skalę mistyfikacyą.

W taki sposób upada więc w oczach naszych i ta ostatnia twierdza runicznej mądrości naszych przodków, czcigodnych, choć niepiśmiennych. Jeżeli są jakie dowody, że rzecz się miała przeciwnie, to te dowody odkryć chyba dopiero trzeba. Dotąd nie zdołano wyszukać ani jednego.

BIBLJOTEKA NARODOWA

BIBLJOTEKA 8-mio klasowej № SZKOŁY MAZOWIECKIEJ

SPIS RZECZY.

Str.

Rewizya dziejów polskich w pierwszych dwóch wiekach politycznego istnienia, 962—1146 1
Jeszcze w sprawie testamentu Bolesława Krzywoustego . . 171
Wolna ludność włościańska w pierwszej dziejów polskich epoce 191
Runy słowiańskie i Mikorzyńskie kamienie 243

BN
BIBLIOTEKA NARODOWA
64129
t.1

Biblioteka Narodowa
Warszawa
30001017596679